



Leonid Kudriawcew

Polowanie na Quacka

Przekład
Ewa i EuGeniusz Dębscy

SOLARIS

Olsztyn 2000

„Polowanie na Quacka”

Tytuł oryginału „*Ochota na Kwaka*”

Copyright © 1999 by Leonid Kudriawcew

All Rights Reserved

This edition published by arrangement with Agencja Praw Autorskich „Aquarius”

Copyright © 2000 for the Polish translation by Ewa I EuGeniusz Dębscy

Copyright for the first edition © 2000 by Agencja Promocji Książki „Solaris”, Olsztyn

ISBN 83-88431-01-3

Projekt graficzny serii *Tomasz Wencek*

Redaktor serii *Wojtek Sedeńko*

Redakcja *Tadeusz Lewandowski*

Korekta *Małgorzata Wencek*

Skład własny

Wydanie I

Agencja Promocji Książki „Solaris”

ul. Generała Okulickiego 9/1, 10-693 Olsztyn

Box 933

Tel. (0-89) 541-31-17

e-mail: deogracias@poczta.onet.pl

1.

Siedziałem w tawernie „Blood Mary” i słuchałem jak Hobbin i Nobbin roztrząsają uroki polowania na krety, gdy do lokalu zajrzał Plotka, duży staruch z olbrzymią splątaną brodą, z której sterczały na wszystkie strony strzępy słuchów.

Plotka jakiś czas przebierał nogami na progu, najwyraźniej kombinując czy ma sens uszczęśliwianie takiego przybytku swoją osobą, jak również szacując, czy nie oberwie tu po fizys. Jego wzrok przeleciał lokal dokoła, co i rusz zatrzymując się przy tym czy innym kliencie. Przy kontuarze podskoczył i skierowawszy w lewo i prawo ostry nosek, zadowolony skinął głową.

Plotka cicho gwizdnął i wzrok migiem rzucił się do swego pana. Wdrapawszy się mu na ramię zaczął coś szybko szeptać wprost do długiego, spiczastego ucha Plotki. Ten chrząknął z zadowoleniem i, zdecydowany w końcu, podreptał do kontuaru. Barman, chudy, przekrzywiony na jedną stronę, pomarszczony, podobny - nie wiadomo dlaczego - do dużego grzyba psiura z rozregulowanym strojeniem kolorów, natychmiast wzniosł spojrzenie do sufitu. Tam, między plafonami, rysowało w powietrzu skomplikowane precle stado tęczowych rybek.

Plotka oparł się łokciami na barze i odkaszlnął. Barman tak się zainteresował rybkami, że nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

Plotka odkaszlnął raz jeszcze. Barman, ciągle gapiąc się do góry, wyciągnął spod lady siatkę na długim kijku, machnął nią,

usiłując schwytać jedną z rybek. Ale spudłował.

Plotce z uszu wyleciały długie popielate strużki dymu. Jego wzrok poczerwieniał, zeskoczył na szynkwasa i nerwowo zaczął po nim biegać. Barman zamachnął się raz jeszcze i zamarł, widocznie czekając na taki moment, kiedy interesująca go rybka, co to wystraszywszy się uciekła za najdalszy plafon, wróci w zasięg siatki.

Plotka przysunął się bliżej do szynkwasa i powiedział:

- Tak, a propos, dodatkowych źródeł infobucksów... Są tacy, co rozcieńczają pseudonapój pewną ilością białej informacji i potem odpowiednio przepędzają...

Barman westchnął, wsunął siatkę pod ladę i, z odrazą zerknąwszy na Plotkę, wymamrotał:

- Niech cię lichy, skąd o tym wiesz?

Plotka uśmiechnął się zadowolony z siebie.

- Ja żebym miał nie wiedzieć?

Barman westchnął. Przez tych kilka sekund, jak mi się wydało, jeszcze bardziej przekrzywił się i pomarszczył.

- Dobra, czego chcesz?

- Jak zwykle - wzruszył ramionami Plotka. - Dwie porcje „Słonecznej nalewki”. W ramach rozpędówki.

- Dobrze. Ale pamiętaj - jeżeli zaczniesz mi wypłaszać klientów...

- Ale skąd? - uśmiechnął się Plotka.

- Ja cię uprzedziłem. Zaczniesz znowu robić te swoje sztuczki - przepędzę i na zawsze zamkną się przed tobą drzwi mojego lokalu. Kumasz?

- Co mam nie kumać.

Plotka zatarł dłonie. Jego wzrok wdrapał mu się z powrotem na ramię, mocno wczepił drobnymi pazurkami i jak syty kot zamknął z rozkoszą oczka. Barman wydobył spod lady butelkę

z jaskrawą nalepką...

Dokładnie w tym momencie Nobbin klepnął mnie w ramię i oświadczył:

- Ale mimo wszystko mam dług wdzięczności wobec tego parszywego kreta. Sprawił, że stałem się mądrzejszy i czystszy. Uganiam się za nim poznałem wiele praw życia.

- Na przykład? - zainteresował się Nobbin.

Stół, przy którym siedzieliśmy, nagle lekko zawibrował. To wielkie, nieproporcjonalne nogi Nobbina zaczęły wybijać pod nim jakiś werblowy rytm.

- Pewnego razu, doganiając go, krzyknąłem, że moralnie stoi poniżej mnie. Dlaczego? Ano dlatego, że to on ucieka, a ja doganiam. W odpowiedzi kret podał mi prawo wypychania. Powiedział mianowicie, że nawóz zawsze wypływa na wierzch. Przy okazji, Essutilu, tam, w waszym świecie, tak to się odbywa naprawdę?

Skinąłem głową. I skrzywiłem się.

Nie lubię, gdy ktoś nazywa mnie po imieniu. Nie podoba mi się moje imię. Chociaż powinienem być z niego dumny. Bo jakżeby inaczej - imię przekazywane w naszej rodzinie z pokolenia na pokolenie, wywodzące się od jednego z legendarnych programistów! Wtedy, gdy nadawano je mojemu pradziadkowi, pewnie było bardzo ważne, znaczące, bohaterskie nawet. Ale teraz? Osobiście nie widzę w tym żadnego sensu i nie podoba mi się. Jeśli kiedykolwiek zdecyduję się na ożenek, a na dodatek dorobię się dzieci, to stara tradycja mojego rodu zostanie przerwana. Ani jeden z moich potomków nie będzie uszczęśliwiony tym heroicznym imieniem.

- Znaczy to, że prawo... - zaczął Hobbin.

Akurat w tym momencie jakiś typ, bardzo podobny do

gnoma z dziecinnych książeczek, zatrzymał się przy naszym stoliku. Klepnąwszy Hobbina w plecy przybysz radośnie wrzasnął:

- Hej, stary pierniku! Dawno się nie widzieliśmy. Jak żyjesz? Widzę, sam widzę, że świetnie. Po knajpach się szlajasz i po barach. A ja muszę na życie w pocie czoła... Wokół dołów się kręcę jak jakiś wyrzutek, wojuję z różny mi kreaturami, każdy infobucks obracam dwa razy w łapie zanim wydam, a ty siedzisz sobie zadowolony jak kura w spichrzu. Pewnie jedyne zmartwienie, to żeby barman nie zapomniał dolać do kufelka.

Hobbin, rzecz jasna, poczuł się urażony i zaczął oponować, udowodniać, że właśnie to on jest tą najbardziej zapracowaną na świecie istotą. W przeciwieństwie do niektórych, co się szwendają gdzie popadnie i udają strasznych pracusiów, a w rzeczywistości obijają się jak nie wiadomo co. Niechby taki ktoś spróbował schwytać kreta, a przy tym...

Ich sprzeczka mogła dostarczyć słuchaczom wiele przyjemności. Hobbin, jak się rozkręci idzie na całość. Ale jakoś zrobiło mi się nieswojo. Poczułem rodzący się gdzieś w trzewiach gwałtowny ból. Ból ten podniósł się wyżej, jeszcze wyżej, eksplodował w mózgu, niczym ostatnia noworoczna petarda, i w końcu zaniknął. Jakby w ogóle go nie było.

Dziwne, bardzo dziwne. Co to mogło być? Może uboczne działanie napitku, serwowanego w tej spelunie? Może ktoś z klientów postanowił pobawić się nabytym od kukaracz nielegalnym trimerjokerem, przeznaczonym do wykonywania joków? A może negatywne pole informacyjne pokazało kolejny raz swoje zębki?

Cokolwiek to było, po powrocie będę musiał koniecznie wypytać operatorów, co się tu działo. Tu, w cyberze, każde dziwne wydarzenie może mieć straszliwe konsekwencje.

Każde... Mogłem, na przykład, wróciwszy do własnego ciała, odkryć, że moja osobowość odmieniła się w fatalny dla mnie sposób i nie da się jej przywrócić do normalnego stanu.

Takie mogą dziać się rzeczy.

Odruchowo otrząsnąłem się, wziąłem ze stołu paczkę papierosów. Wyciągnąwszy jednego pośpiesznie zapaliłem i wypuściłem dym w stronę sufitu. Jeśli mam być szczery to papierosy zrobione były fatalnie. Wyraźnie przemyt z jakiegoś chińskiego cybera. Dym szedł i smak nie był jakiś ohydny, ale ogienek na przykład, był za duży. Chwilami nawet jakoś dziwnie migotał i sypał drobnymi iskierkami jak z zimnego ognia.

Nagle Nobbin walnął w stół zniekształconymi kleszczami i ryknął:

- Cicho! Co się tyczy tego nicponia - kreta, to znam go lepiej niż ktokolwiek inny. Ale cokolwiek by ten stwór nie mówił, cokolwiek by nie oferował, to wszystko jest niczym więcej jak sztuczką, próbą wykiwania. Jasne?

Poczułem, że nudzą już mnie rozmowy o krecie, i chciałbym porozmawiać o czymś innym, ale nagle znieruchomiałem, czując na sobie wzrok Plotki. Lekko odwróciwszy głowę zobaczyłem, że wzrok siedzi mi na ramieniu i jak gdyby nigdy nic myje pyszczek.

- Spadaj stąd - powiedziałem do niego.

Wzrok bezczelnie uśmiechnął się i zeskoczywszy na podłogę rzucił się do Plotki. Zręcznie wspiął się na ladę i złożył właścicielowi meldunek. Ten ryknął z niewysokiego kufla, wypełnionego do połowy połyskującym i przelewającym się jak płynny ogień napojem, a potem z zafrasowaną miną podmuchał sobie na dłoń lewej ręki. Pojawił się na niej zainteresowany wzrok Plotki, a ten cisnął go w moją stronę, a

sam zajął się swoim napojem. Żeby, broń Boże, nie pomylić zainteresowanego wzroku z żadnym innym, na brzuchu tego pierwszego świecił wielkimi literami napis: „Jestem bardzo, ale to bardzo tobą zainteresowany”.

Nie powiem, żebym się z tego bardzo ucieszył, chociażby dlatego, że kilka razy mówiono mi jakie to nowości są przynoszone przez Plotkę - w dziewięciu wypadkach na dziesięć są nieprzyjemne. Zresztą, tliła się jeszcze we mnie nadzieja, że wszystko jakoś się ułoży. W końcu jedną szansę na dziesięć mam. Grywałem mając znacznie mniejsze szansę.

Zainteresowany wzrok zręcznie wskoczył na stół i zapytał z czułością:

- No to co, zaczynamy?

Nagle uświadomiłem sobie, że stół, przy którym siedzę, znalazł się w centrum uwagi. Hobbin, Nobbin i Gnomek zamilkli jak na komendę i wytrzeszczyli gały na zainteresowany wzrok. Pozostali klienci tawerny poszli za ich przykładem. Tylko barman, zachowując całkowity spokój, ponownie zajął się badaniem pływających pod sufitem rybek. Jednakże zauważyłem, że w pewnej chwili gwałtownie nacisnął na jakiś przycisk pod barem. Zaraz potem spod sufitu nadleciał duży, mieniący się srebrzyście żuk i zamarł nad głową Hobbina. Nie było wątpliwości - barman nie stracił ani jednego słowa z mającej się odbyć rozmowy.

Rozmowy? No tak, zadano mi pytanie i powinienem na nie odpowiedzieć.

- Dobrze. - Wzruszyłem ramionami. - Zaczniemy. A tak przy okazji - co właściwie zaczniemy?

- Rozmowę.

- Słuchaj - powiedziałem tonem zwierzenia. - Czy twój pan - nie życzy sobie bezpośredniego ze mną kontaktu? Brzydzi

się, czy jak?

Gnomek przysunął się bliżej i, lekko trąciwszy mnie łokciem w bok, wyszeptał:

- Nie rozumiesz, czy co? Nie powinien tego robić. Nie może przekazywać ważnych informacji bezpośrednio. Powinien to robić za pośrednictwem wzroku. Dociera do ciebie?

- Dociera, pewnie - wymamrotałem i popatrzyłem w stronę Plotki.

Ten skinął mi lekko głową i niemrawo pomachał ręką, jakby potwierdzając słowa Gnomka. Co prawda, nie mogłem wykluczyć, że pokiwał głową do jakichś swoich myśli, a rękę gimnastykował, bo mu ścierpła od trzymania kufla w powietrzu.

- A o czym chcesz ze mną rozmawiać? - zapytałem zainteresowany wzrok.

- O interesie. Mój pan chce ci przekazać pewne informacje. Ważne. Dla ciebie. Bardzo niezbędne. Dla ciebie również. Za pieniądze, za nikczemną, w gruncie rzeczy, kwotę. Dla niego.

- Aha. Pieniądze, znaczy dla niego, a informacje dla mnie?

Pokiwałem głową z mądrą miną.

- Właśnie - zainteresowany wzrok uśmiechnął się krzywo i, kłapnąwszy na tyłek, podrapał się łapką za uchem. - Tak właśnie jest. Ale musisz zapłacić z góry.

- Ile?

- Dwieście infobucksów.

- Ho-ho? Nie za dużo?

- Nie, nie za dużo. Informacje Plotki są tego warte. Przekonasz się o tym. Oczywiście, po tym jak zapłacisz.

- A jeśli okaże się, że jego informacje nie są warte tej kwoty? - zainteresowałem się.

- Nie okaże się - zapewnił mnie zainteresowany wzrok. -

Jeśli uznasz, że wykiwano cię, to pieniądze zostaną ci zwrócone. Plotka ci to obieca. Przy świadkach.

- Nie strugaj durnia - odezwał się Hobbin. - Zgódź się. Plotka tak naprawdę nikogo jeszcze nie wykiwał.

- Nawiasem mówiąc - powiedziałem - ja też. Dlaczego mam ufać komuś, kto nie ufa mnie?

- Jednakowoż, takie są nasze zasady - oświadczył zainteresowany wzrok. - I nie zamierzamy ich zmieniać.

Plotka odkasznął.

Wzrok natychmiast zeskoczył ze stołu i rzucił się do swego pana. Wymieniwszy szeptem kilka zdań wrócił do mnie i oświadczył:

- Jednakże dla klientów, co się zowie perspektywicznych, czynimy wyjątki. Na przykład teraz. Dla ciebie.

Poczułem rozczarowanie.

Tu, w cyberze, jak i na tureckim bazarze, przy robieniu interesów należy dobrze się potargować. W przeciwnym przypadku można stracić twarz. Zresztą, to nie ja zrezygnowałem z targowania się, a Plotka. Co oznacza, że to on będzie pił piwo uwarzone tym nieprzemyślanym postępkim.

Nie zostało mi nic innego, jak tylko powiedzieć:

- Dobrze, zgadzam się. Dawaj tę swoją nowinę.

- Czy to znaczy, że przybicie?

- Tak, oczywiście. Wykładaj towar.

Zainteresowany wzrok wesoło zachichotał i machnąwszy ogonem powiedział:

- Przed chwilą ukradziono ci ciało.

- Co?

- Ukradziono twoje ciało, powiadam. Zręcznie, profesjonalnie. Złodzieje nawet wdarli się do podstawowego banku informacji i skasowali z niego wszystkie informacje o

tobie. Kumasz?

Jak miałem nie kumać! Jeżeli tylko pośrednik Plotki nie kłamał, to w obecnej chwili nie istniałem. Nie istniałem - i już. W mgnieniu oka ktoś odebrał mi ciało, zapisaną w podstawowym banku danych przeszłość, a przekształcając mnie spowodował, że stałem się pirackim, tułaczym programem.

Jak, do diabła, mogło się to stać?

- Kłamiesz - oświadczyłem.
- Mój pan nigdy nie kłamie.

Powiedziawszy to zainteresowany wzrok podążył do Plotki, wskoczył na jego wyciągniętą dłoń i zniknął. Żuk barmana wzniósł się do sufitu i również wyparował. Gapie przy sąsiednim stoliku zaczęli półgłosem komentować moje nieszczęście. Hobbin, Nobbin i Gnomek popatrywali na siebie i wydawali z siebie jakieś bezsensowne dźwięki.

Już miałem pogрузić się w smutnych rozmyślaniach, ponieważ znalazłem się w sytuacji, w jakiej wcześniej nie byłem, ale niespodziewanie Nobbin klepnął mnie w ramię i oświadczył:

- Wydaje mi się, że jest nas więcej.

Hobbin ponuro zapytał:

- Czy to cię cieszy?

Nobbin wystukał stopami krótki werblowy rytm na podłodze i oświadczył:

- Szczerze mówiąc - nie za bardzo. Ale przecież Essutil nie jest temu winien? Po prostu tak wyszło, tak chciał tego los.

- A ja uważam, że właśnie on jest winien temu, co się stało. Pewnie, gdy oddawał ciało na przechowanie chciał zaoszczędzić i wszedł do cybera przez portal jakiejś parszywej firemki. No i oszczędził. A my straciliśmy klienta, z którym

przyjemnie było pogadać i za pieniądze którego jeszcze przyjemniej było się napić.

- Co prawda, to prawda - westchnął Nobbin. - Straciliśmy. Przy tym w dość śmieszny sposób.

- A na dodatek, być może, dorobiliśmy się konkurenta.

Nobbin kilka razy stuknął nogami o podłogę i powiedział zdecydowanym tonem:

- Słuchaj mnie, Essutilu, jesteś dobrym człowiekiem i uwierz mi, że szczerze ci współczujemy... ale pamiętaj, że „Krwawa Mary” to nasza ojczyzna, i nie możemy tu tolerować kłusowników.

Akurat w tym momencie Gnomek postanowił się oddalić. Wymamrotał coś pod nosem, że przypomniał sobie o ważnej sprawie i pośpiesznie ruszył do wyjścia z tawerny.

Dopiłem to, co jeszcze zostało w mojej szklance i zapytałem:

- O czym ty mówisz?

- O tym, że jesteś teraz tułaczem, pirackim programem. Co za tym idzie, prędzej czy później, wpadnie ci do głowy, żeby oskubać któregoś z klientów. My, rzecz jasna, nie mamy nic przeciwko temu, ale pamiętaj, że „Krwawa Mary” to nasz teren łowiecki i właśnie tu nie wolno ci tego robić. Rozumiesz?

Oszołomiony pokręciłem głową.

- Ach, to tak?

- Tylko się nie obrażaj - oświadczył Hobbin. - Naprawdę uważaliśmy cię za miłego faceta, ciekawie się z tobą rozmawiało. I infobucksy zawsze miałeś. Ale teraz... twój status się zmienił. Gwałtownie się obniżył. Jako człowiek byłeś fajny facet, jako tułaczy program jesteś na razie niczym. Nie masz nawyków do przetrwania. I nawet nie wiadomo, czy w ogóle pojawią się one w twoim przypadku, ponieważ większość tułaczy programów ginie, nie przeżywszy nawet

kilku godzin po stracie swoich właścicieli. Przetrwać mogą tylko takie pogramy jak my - wystarczająco twarde i sprytne, posiadające dobrze rozwinięty instynkt przystosowania. Jest nas mało i musimy rozpatrywać każdy nowy tułaczy program przede wszystkim jako konkurencję.

- Teraz was zrozumiałem - mruknąłem. - To znaczy, że ta tawerna jest waszym terenem łowieckim, A ja byłem tylko zdobyczą, która nagle okazała się być zepsutą. Śmierdzącego ścierwa, oczywiście, nie jadacie i z pogardą się od niego odwracacie.

- Nic nie rozumiesz - powiedział Nobbin. - Zjedlibyśmy śmierdzące ścierwo również. Nie raz tak robiliśmy. Ale w tej chwili to ty nie jesteś nawet ścierwem, jesteś zero, pustka. A pustki nie da się zjeść. Przy okazji, jeśli cię aż tak to interesuje, nawet kiedy byłeś człowiekiem nie uważaliśmy ciebie za żarcie. I myśleliśmy o tobie nie tylko jak o dostarczycielu infobucksów. Ale teraz...

Znacząco zamilkł. Hobbin z lekka się uśmiechnął. To nie był przyjemny uśmiech, a na dodatek w dużych wypukłych oczach widniała nie ukrywana już groźba.

Pomyślałem, że nadszedł chyba czas na bójkę. Powinienem dobrze przyłożyć Hobbinowi w kinol, potem przewrócić stół na Nobbina...

Problem w tym, że nie chciałem tego robić, w końcu mieli trochę racji. W czym? No, na przykład w tym, że wyprawiając się do cyberprzestrzeni, rzeczywiście postanowiłem, że trochę zaoszczędzę. Skorzystałem z usług niespecjalnie pewnej firmy i nawet zrezygnowałem z przewodnika. Dlaczego? Po prostu dlatego, że orientuję się w cyberze dla odwiedzających całkiem nieźle, a porwania ciał zdarzając się tak rzadko, że nie warto sobie nimi zawracać głowy.

Logiczne myślenie, a co za tym idzie - prawidłowe. W każdym razie do niedawna tale mi cię wydawało. Teraz, na przykład, rozumiałem, jak głupio postąpiłem.

Gdybym miał w tym momencie przewodnika, to udowodnienie, że jeszcze niedawno istniałem w postaci całkowicie wyposażonego i uformowanego człowieka nie stanowiłoby żadnego problemu.

Właśnie - udowodnienie.

Zdecydowałem, że nadszedł czas, by pożegnać się z tymi dwoma wesołkami, Hobbinem i Nobbinem, jak również z gościnną tawerną „Krwawa Mary” i wyruszyć na poszukiwania własnego ciała.

- Dobra, wszystko rozumiem - powiedziałem do Hobbina i Nobbina. - Z tego też powodu - żegnam panów.

- Spadaj równo - rzucił Hobbin. - Możesz wrócić, gdy tylko twoje sprawy się poprawią.

Wstając od stołu pozwoliłem sobie na krótkie prychnięcie. Scena żywcem z bulwarowego romansu. Odpowiednia chwila, żeby się poryczyć z rozrzewnienia. Usiadłem przy barze i rzuciłem do barmana:

- Jeszcze jedną szklaneczkę, proszę.

Pokręcił przecząco głową.

- A pieniądze?

- Jakie pieniądze?

- Infobucksy.

- Przecież zapłacę...

- A - ciekawe - jak?

Rzeczywiście: jak? Nie mam aktualnie ani grosza przy duszy. Jestem teraz nikim, i zwań mnie nikt. Był sobie żywy człowiek, a został tułaczy program.

Już miałem pójść gdzie nogi poniosą, gdy dotarł do mnie

niecو zachrypnięty głos Plotki:

- Nalej mu. Na moje konto.

Barman wzruszył ramionami i nalał mi porcyjkę. Chwyciłem szklankę i odwróciwszy się do dobrodzieja, zapytałem:

- Dlaczego?

W zamyśleniu pokiwał głową i powiedział:

- Mam ku temu swoje powody.
- Jakie? - zainteresowałem się.

Takie sztuczki jak poczęstunek przy barze zupełnie mnie nie ruszały. Usiłowałem zrozumieć, jakim cudem Plotka dowiedział się o tym, że ukradziono moje ciało. Kto mógł mu o tym szepnąć na uszko? Czy nie ci niegodziwcy, co to wpadli na pomysł, żeby mnie oskubać?

- A nie - jakby odgadnąwszy moje myśli, zachichotał Plotka.
- Nie uda ci się. Ja handluję informacjami, a nie źródłami tychże. Nie mam zamiaru ich zdradzać, a ty nie masz jak i czym w obecnej swojej sytuacji mnie naciskać. Zresztą, wątpię, czy kiedykolwiek ci się to uda. Uwzględnij, że nie jesteś pierwszy, któremu przyszło do głowy, że może spróbować wyszarpać ze mnie moje źródła informacji. Możesz przepytac cały cyber i dowiesz się, że nie urodził się jeszcze taki, któremu się to udało. A ci szczególnie namolni tak sobie nagrzebali, że do dziś nie mogą się opamiętać z radochy.

Łyknął ze swojej szklanki i, energicznie stuknąwszy nią o kontuar, powiedział do barmana:

- Dawaj no, chluśnij tu jeszcze.

Barman rzucił się do wykonywania polecenia.

Nie widziałem specjalnego sensu, żeby dłużej siedzieć w tawernie, ale istniało jeszcze jedno pytanie, na które chciałem poznać odpowiedź.

- Dobrze - powiedziałem. - Jeśli handlujesz informacjami,

to odpowiedz mi, dlaczego mi dałeś ją bezpłatnie właśnie mi?

Plotka prychnął.

- A skąd wiesz, że dostałeś ją bezpłatnie? Jesteś mi winien dwieście infobucksów, i dług ten nie zginie, nie obawiaj się.

- Jak to? Przecież świetnie wiesz, że nie mam ani grosza przy duszy.

- W tej chwili. Ale jestem pewien, że nie tylko przetrwasz, ale przytniesz ogony porywaczom swojego ciała. Prawda? Przecież właśnie to zamierzasz zrobić?

- Masz rację - zgodziłem się.

- No to o co biega? Wrócisz do ciała, wrócisz do swoich pieniędzy. Dlatego - wal do przodu! Dopijaj te popłuczyny i ruszaj na spotkanie niebezpieczeństwa.

Powiedziawszy to, odwrócił się do mnie bokiem, zdjął z ramienia wzrok i rzucił nim o podłogę. Wzrok puścił się pędem do odległego stolika, przy którym siedziało kilka kukaracz, sączących tanie piwko i rozprawiających o czymś z ożywieniem.

Kukaracze często bywały również w innych cyberach, z tego też powodu mogły interesować Plotkę. Cóż, robił to co chciał, nie to, co niektórzy...

Opróżniłem szklanekę i skierowałem się do wyjścia z tawerny. Najwyższy czas spróbować odzyskać swoje ciało.

Drzwi tawerny z nieprzyjemnym skrzypieniem zamknęły się za moimi plecami. Za kłamkę służyła lwia mordą z ogromnym pierścieniem z brązu w nosie. Gdy ruszyłem od drzwi, lwia mordą ryknęła za mną:

- Dziękuję za wizytę. Koniecznie proszę nas odwiedzić ponownie.

- Absolutnie koniecznie - mruknąłem.

Odszedłem na kilka kroków, wyjąłem z kieszeni paczkę

papierosów i zapaliwszy jednego poszedłem dalej.

To był cudowny dzień. Któryś z odpowiedzialnych za pogodę techników zdobył widocznie świeże matryce i wolno dryfujące po niebie obłoki miały niewyobrażalnie czyste, niezwykle nasycone kolory. Słońce z kulistego, jakim było w zeszłym tygodniu, stało się ognistym płonącym kwadratem, podobnym do otwartych drzwiczek pieca parowego. Dokoła słońca kręciła się wielka wiewiórka z wielkimi wytrzeszczonymi oczami i ogromnym puszystym ogonem. Koniec szerokiej, zawiązanej na pasie wstążki trzepotał w powietrzu jak proporczyk. Gdyby ktoś uważnie wpatrzył się we wstęgę mógłby przeczytać na niej napis: „Powiedzmy zdecydowanie stop inwazji pierzastych na kraj wiecznego mrozu!”.

Przeczytawszy napis pomyślałem, że dla techników ma to z pewnością jakiś ukryty sens. Ja, ponieważ nie byłem jednym z nich, nie rozumiałem z tego nic. Nie wykluczone jednak, że jeśli pożyję w cyberze dłużej...

No tak, od dwudziestu minut jestem stałym mieszkańcem cyberu. Oczywiście, nie z własnej woli, ale jakie to ma znaczenie? Teraz jestem. Stałem się tułaczym programem. Przestałem być człowiekiem. Moje istnienie ograniczało się do przestrzeni cyberu o numerze 12. Na długo, praktycznie na zawsze. Oczywiście jeśli nie uda mi się odzyskać swego ciała, jeśli, przekonawszy się, że to niemożliwe, poddam się, podniosę łapki od góry.

Zresztą, jeszcze za wcześnie na kapitulację. Póki istnieje choćby najmniejsza szansa na odnalezienie porywaczy muszę ją wykorzystać.

Doszedłem do rogu i miałem już skrócić w przecznicę, gdy cisnąłem niedopałkiem na jezdnię. Teoretycznie, zaledwie

dotknąwszy podłoża, powinien zniknąć bez śladu.

Akurat. Upadłszy na jezdnię pet zasyczał jak masło na rozgrzanej patelni i rozlał się granatową plamą, bardzo podobną do plamy z atramentu.

O rany, całkiem zapomniałem, że papierosy są produkowane w jednym z chińskich cyberów.

Zupełnie odruchowo spróbowałem zetrzeć plamę czubkiem buta i osiągnąłem tylko tyle, że but nabrał soczystej niebieskiej barwy.

Cholerni Azjaci!

Rozejrzawszy się dokoła zobaczyłem, że w kierunku plamy pośpiesza już dozorca i odetchnąłem z ulgą. Chwała Bogu, że w tym cyberze dozorca pracują jak się patrzy. Znaczy, że z czystym sumieniem mogę iść dalej. Na pewno z plamami od chińskich papierosów dozorca mieli do czynienia często i potrafią je wywabiać. Skręciłem w końcu w przecznicę, omal nie zderzyłem się z niewysokim, zupełnie jeszcze młodziutkim kukaraczą, i nagle zatrzymałem się jak wryty, zobaczywszy gliniarzy.

2.

Na oko nie sprawiali groźnego wrażenia. Trzy metalowe, wielkości ludzkiej głowy, opasane czerwonymi pasami kule. Oczywiście, ten, co je tworzył, mógł nadać stróżom porządku postać, chociażby dyszących ogniem smoków. Tylko po co? Żeby straszyć turystów? Komu to potrzebne? Gliniarze powinni pilnować porządku i wyglądać zupełnie nieszkodliwie. Do czasu, do czasu... W ogóle, gliniarze pojawiają się w tym cyberze dość często, ale żeby wparowali

tu we trójkę, musiało dojść do zupełnie nieprawdopodobnego zbiegu okoliczności. Albo czegoś innego. Trzej gliniarze naraz mogli być wysłani na przykład po to, by zniszczyć pewien, bardzo komuś przeszkadzający program.

Jaki, na przykład?

Widząc jak gliniarze formują szyk, który miał wprowadzić mnie do półksiężyca, zrozumiałem, że znam odpowiedź na to pytanie. Przecież mnie, kogo by jeszcze?!

- Proponuję, żebyś się dobrowolnie poddał! - zabuczał jeden z gliniarzy. Gwarantuję, że będziemy się z tobą obchodzili humanitarnie, i po niewielkiej korekcie będziesz mógł przynosić pożytek społeczeństwu.

Już ja wiem co nieco o tej korekcie, jak i o pożytku!

Szybko się rozejrzałem. Trzeba było spływać stąd równym szpurtem. Tylko dokąd? I jak? Gdziekolwiek się skieruję, gliniarze dogonią mnie bez problemu.

- Jeśli masz broń powinieneś ją natychmiast oddać! - oświadczył gliniarz. - Niepodporządkowanie się wezwaniu do oddania broni będzie zakwalifikowane jako stawianie oporu władzy i zakłócenie porządku publicznego.

Kiedy usiłowałem wymyślić co powinienem zrobić, gliniarze przeformowali szyki. Znalazłem się w środku regularnego trójkąta, w każdym z kątów którego znajdował się stróż porządku. Wyraźnie usiłowali zyskać na czasie, czekali aż spróbuję się ulotnić. Wtedy, w majestacie prawa będą mogli mnie ustrzelić. I skorzystają z tego prawa.

Bo w innym przypadku po co przysłano by ich tutaj?

Ten, kto buchnął moje ciało, wcale nie był zainteresowany bym wpadł w ręce władz. Dlatego nie mogłem wykluczyć, że gliniarze otrzymali instrukcje, by załatwić mnie nawet jeśli nie będę stawiał oporu. Ale nie tu, na środku ulicy, na oczach

świadków, a nieco później, gdy znajdę się w bazie danych jednego z nich. Wtedy, zamiast przenieść mnie dalej, do bazy ogólnego ładu społecznego, załatwią mnie. Oczywiście, to nie jest prosta sprawa, ale znacznie łatwiejsza niż wydlubywanie potem z licznych kącików bazy społecznego ładu wszystkich odnośników dotyczących mojej skromnej osoby.

Z uliczki wyszli trzej turyści z przewodnikiem. Widząc mnie i gliniarzy, zatrzymali się. To już było coś. Turyści, rzecz jasna, się nie liczą. Ale przewodnik na pewno zapamięta ten incydent i może nawet spróbuje się dowiedzieć, co to za tułaczy program osaczali aż trzej gliniarze. To jego chleb - wiedzieć o wszystkim, co się niezwykłego dzieje w cyberze. Zdziwi się zatem potężnie, gdy się okaże, że w bazie społecznego ładu żadnych śladów po mnie nie ma.

Tyle, że mnie osobiście nic już to nie pomoże.

- Jeśli natychmiast nie wykazesz się gotowością poddania, to mamy prawo cię zniszczyć! - oświadczył gliniarz.

Cholera, naprawę mnie załatwią! Ale może... mam jeszcze mizerną, niemal nierealną szansę, że gliniarze znaleźli się tu przypadkowo. Poza tym obecność przewodnika...

- Czas się skończył. Ponieważ nie zamierzasz się poddać, jesteśmy zmuszeni...

- Poddaję się - powiedziałem. - Jesteście górą. Zgadzam się podporządkować prawu. Natychmiast. Przy świadkach.

Szybko strzeliłem okiem na przewodnika i turystów, przekonałem się, że ciągle jeszcze przyglądają się scenie pochwylenia tułaczego programu przez stróżów porządku.

No i świetnie. Muszę to wykorzystać.

- Tułaczy programie, gdy tylko jeden z nas otworzy odbiornik, powinieneś niezwłocznie wejść do niego. Resztą zajmiemy się my, zgodnie z zasadami wychwytywania

tułacznych programów.

Gliniarz, do którego twarzą stałem, wysunął ze swego ciała przewód. Koniec przewodu rozszerzył się i zmienił w lejek odbiornika. Teraz wystarczyło bym zrobił kuka kroków, skoczył do lejka i cała reszta mojego życia będzie zależała tylko od gliniarza. Jeśli zostali wysłani przez porywacza mojego ciała, to ten lejek jest ostatnią rzeczą, jaką w życiu widzę.

Zrobiłem krok do przodu i zerknąłem do środka odbiornika.

Mrok. Atramentowy, bez najmniejszej plamki światła. Chociaż... Stop, coś tam jest... Malutka, ledwo widoczna plamka. Co to jest? Ach, metka producenta. Można nawet odróżnić malusieńkie literki: *Lobotom. 154/873*.

Strasznie stary ten odbiornik. Dawno takie wyszły z użycia. W każdym razie gliniarze powinni korzystać z doskonalszego sprzętu.

I korzystają. A ta wesoła trójca - to najprawdziwsi przebierańcy. Trzy stare programy gliniarskie - widocznie złodzieje mojego ciała gdzieś je wygrzebali i wysłali, żeby mnie załatwiły.

- Tułaczy programie, to jest ostatnie ostrzeżenie. Następnego nie będzie. Natychmiast przystępujemy do likwidacji.

Uśmiechnąłem się, przepełniony nadzieją, że mój uśmiech wygląda wystarczająco złowieszczo.

Tak więc, gliniarze to wycofane modele. Bardzo dobrze! Wprost wspaniale! Mają pewną taką właściwość, o której nie każdy wie. Ja, przykładowo, wiem. Przypadkowo. Dzięki pewnemu człowiekowi, dobremu specjalście z dziedziny obsługi cyberów - tam, w wielkim świecie. Kiedyś mi o tej właściwości powiedział. A ja zapamiętałem.

Teraz ta przypadkowa i na pierwszy rzut oka niepotrzebna informacja powinna mnie uratować. Właśnie tak! Nie ma niepotrzebnej wiedzy. Każda wcześniej czy później się przyda.

- Ponieważ ty, tułaczy programie, nie zamierzasz podporządkować się naszym żądaniom, przystępujemy...

Pośpiesznie krzyknąłem:

- Tańczył pies po fortepianie!

Gliniarze wyłączyli się.

Wyszedłem z utworzonego przez nich trójkąta, zrobiłem kilka kroków i mimo wszystko nie wytrzymałem - odwróciłem się. Zgadza się. Stróże porządku nie zamierzali mnie ścigać. Nie zamierzali w ogóle niczego robić. Trzy stalowego koloru kule, zupełnie nieprzydatne do niczego i obojętne na wszystko.

No i świetnie.

Zerknąłem w stronę świadków. Turyści, rzecz jasna, nic z tego nie rozumieli. Stali z tępowymi gębami i półgłosem do siebie mówili. Ale przewodnik...

Przewodnik od razu zorientował się co i jak. Nie zdążyłem nawet odejść na kilka kroków od miejsca spotkania ze stróżami porządku, jak dwoma susami dogonił mnie i zapytał:

- Co to było, brachu, kod strojeniowy?

- Nie - odpowiedziałem z godnością. - Ulubione przekleństwo mojej babci. Działa na gliniarzy bez pudła.

- Gdzie zdobyłeś kod?

Westchnąłem.

Może akurat jest dobry moment, żeby opowiedzieć mu wszystko? O tym, że jakiś niegodziwiec, a dokładniej - jacyś niegodziwcy ukradli moje ciało. O tym, że właśnie teraz koniecznie muszę powiadomić o tym policję, tam, w wielkim świecie, i to im szybciej tym lepiej. Tylko, że ma to mało sensu.

Kto jak kto, ale przewodnicy najlepiej wiedzą, do czego są zdolne tułacze programy, żeby tylko zdobyć oficjalny status. Nie uwierzy w moją opowieść.

- Nie przeciągaj. Widzisz, że czekają moi klienci.
- A jeśli powiem ci, że poznałem ten kod w wielkim świecie?
- Akurat ci uwierzę. Nie ściemniaj, gadaj, gdzie zdobyłeś kod. Potem, jak się oporządzę z klientami, postawię ci szklaneczkę.

No tak, to bez sensu. Nie uwierzy za skarby świata.

- Posłuchaj - powiedziałem. - Po co ci strojeniowy kod gliniarzy przechodzonego modelu? Co będziesz z nim robił?
- A... - Przewodnik wyraźnie rozczarowany pokiwał głową.
- Dlaczego od razu mi nie powiedziałeś?

Chwyciłem go za rękaw kurtki. Na dotyk niczym nie różnił się od prawdziwego materiału stamtąd, z wielkiego świata. No, w końcu to przewodnik, nie byle kto...

- Słuchaj, bracie, dopiero co ukradziono mi ciało. A przedtem byłem takim samym człowiekiem jak i ty. Rusz głową, przyjrzyj mi się dobrze... Czy istnieją takie programy?

Przewodnik uśmiechnął się krzywo.

- Nie takie istnieją!
- No to mogę cię skłąć tak, jak żaden program nie wydoli: trzypiętrowo i z koloraturą? A może chcesz, żebym ci opowiedział szczegółowo, jaką trasą idzie się z centrum New Sybirsk do pomnika starych błędów? Albo opowiem ci jak zdemoralizowałem nauczycielkę literatury, młodzieńką dziewczynę, prosto z ławy uniwersytetu?

Przewodnik wyrwał rękę i pośpiesznie skierował się do turystów, mamrocząc pod nosem:

- Ja bym te kukaracze mordował bez litości! Bawią się,

cholery jedne, tworzą szalone programy i zaśmiecają nimi cyber. Nienormalne. Nie można potem kroku zrobić, żeby się nie natknąć na kolejny wytwór młodego geniusza.

- Stój! - krzyknąłem. - Poczekaj! Mogę, daj mi tylko szansę, mogę udowodnić, że byłem człowiekiem. Zapytaj o co chcesz. Chcesz to ci opowiem, jaki kolor ma kłapa sedesu w moim mieszkaniu!?

Przewodnik nawet się nie odwrócił. Podszedł do turystów i coś szybko do nich powiedział, cała trójka pośpiesznie się oddaliła.

Żeby się przynajmniej któryś odwrócił, bydlaki!

Pokiwałem ze złością głową i poszedłem w drugą stronę.

No dobra, eksperyment został wykonany. Wynik negatywny. Nie, nie ma co liczyć na czyjąś pomoc. Powiniennem wszystko zrobić sam, poradzić sobie własnymi siłami, a na początek przynajmniej muszę się dowiedzieć kto się połakomił na moją powłokę cielesną. A potem muszę ją z powrotem przejąć.

Prościej by było pójść nie wiem dokąd, i znaleźć nie wiadomo co. Jestem zamknięty w tym cyberze i nie przedostanę się do innego. Nie mówiąc już o tym, że nie dam rady znaleźć się w komisariacie gliniarzy. To znaczy - mogę teraz udać się na poszukiwanie prawdziwych gliniarzy i oddać się w ich ręce, po dobremu. Mogę. Ale kto mi zagwarantuje, że przerzucą mnie do bazy swojego zarządu? Ten, co wysłał po mnie trójkę gliniarzy na pewno uważnie śledzi każdy mój ruch. I, oczywiście, zrobi wszystko, żeby mnie zniszczyć.

Muszę przedostać się do wielkiego świata, żeby zgłosić kradzież swojego ciała stróżom porządku. Tylko tam wysłuchają mnie prawdziwi, żywi ludzie. Tam wiem, co mam robić i - najważniejsze - jak. Tam mogę walczyć na całego. Tu

wokół mnie - kurort, miejsce relaksu, nic więcej. Tu jestem tylko gościem, a to znaczy, że jestem kruchy, a przyczyna całej tej kruchości leży w tym, że nie znam wszystkich praw i reguł, wedle których żyje wirtualny świat.

A powinienem znać... Chociaż, jak mogłem przewidzieć, że ktoś się połaszczy na moje ciało? Co się w nim komuś spodobało? Zwyczajne ciało, zwyczajny trzydziestoletni mężczyzna, o całkowicie standardowej profesji - handlarz nieruchomościami.

I musiałem wpaść w ten kompot akurat tu, właśnie w tym cyberze. Jeśli coś tego typu zaszłoby tam, gdzie żyją bogacze, co uciekli w wirtualny świat spod kosa pewnej kościstej damulki, to było by łatwiej. Tu natomiast będzie ciężko.

Pewnie, nie można powiedzieć, że ten cyber-12 to slumsy. Widywałem już gorsze cybery, takie, w których bez uzbrojonych i na wszystko zdecydowanych przewodników nie ma co się pokazywać. Mimo wszystko jednak... Tylko wariat powiedziałby, że żyje się tu dostatnio i przyjemnie.

Chociaż, całkiem możliwe, że mój pobyt tu ma też jasne strony. Na przykład: w tym bałaganie łatwiej jest ukryć się przed prześladowcami niż w cyberze dla bogaczy. Przed prześladowcami? No jasne, a przed kim jeszcze? Pewnie niegodziwy złodziej ciał do schwytania mnie i zlikwidowania rzucił wszystko, co mógł, w tym trójkę przestarzałych gliniarzy. Miałem szczęście, że na razie natknąłem się tylko na nich. Wśród prześladowców z pewnością są prawdziwi zawodowcy, od których nie da się tak łatwo odczepić jak od gliniarzy.

Ciekawe, na ile ten bydlak wycenił moją głowę? Pewnie niezbyt nisko.

Hm... marzenie każdego, za którego głowę wyznaczono

nagrodę - otrzymać za nią pieniądze do rąk własnych. Ale zazwyczaj otrzymuje je ktoś inny.

Zatrzymałem się i rozejrzałem z uwagą.

Wygląda, że zbłądziłem ku wykrotom... Zgadza, się - oto one. Wykroty. Miejsce, do którego zwyczajni ciekawscy turyści zazwyczaj nie zagląдают. Chociaż kto ich tam wie? Tam, w wielkim świecie, cmentarne hieny nie zdarzają się wcale tak rzadko, jak by się mogło wydawać.

Nie wytrzymałem i mimo wszystko podszedłem do jednego dołu i zajrzałem do środka. Zwyczajna dziura, duża, kwadratowa, do połowy wypełniona półpłynnymi glutami szarego koloru. Oczywiście, większość tych zgęstków była kiedyś zwykłymi nieożywionymi programami, nie reprezentującymi sobą nic szczególnego, jednakże na pewno ostatnią przystań znalazło tu również kilka tułających programów. Takich samych, do jakich teraz i ja należę.

Wstrząsnął mną dreszcz. Pomyślałem, że moi prześladowcy w zasadzie mogą specjalnie się nie starać - w końcu jedyna rzecz, jakiej naprawdę potrzebują to dokładna kontrola wszystkich wyjść z cyberu, uniemożliwienie wymknienia się z niego mojej osoby.

Jeśli im się to uda, to być może niczego więcej nie potrzebują. Zginę tu sam, bez jakiegokolwiek pomocy, trafię do wykrotu, może właśnie do tego, nad którym stoję.

Jeden ze zgęstków poruszył się, wydał przeciągły jęk i ponownie ucichł.

Wzdrygnąłem się.

Oto właśnie ten stan... Na poły życie, na poły - śmierć.

Ciekawe, co czują lądujące w wykrocie tułacze programy? Czy są świadome, że stopniowo, nieodwołalnie umierają? Czy czują przy tym ból? No i jak to się odbywa? Wolne wygasanie,

ni to śmierć, ni to sen, czy też długa męcząca agonia? A może ten wykrot jest tylko ostatnim punktem w długim łańcuchu cierpień?

Zanim wpadły doń, na pewno wiele wycierpiały, na pewno odczuwały rozpacz, uświadamiały sobie, co to jest własny rozpad, nieodwracalny jak wizyta reketierów u właściciela świeżo otwartego luksusowego lokalu.

Prychnąłem gorzkim krótkim śmiechem.

Rozpad, całkowity rozpad, to w cyberświecie ekwiwalent śmierci. Każdego kto nie potrafi zarabiać tu infobucksów czeka w tym miejscu taki właśnie koniec. Rozpad, a na końcu wykrot.

Przypomniałem sobie jak to tłumaczył pewien znajomy kukaracza. Że niby wszystkiemu winne jest negatywne pole informacyjne, powstające w wyniku napływającej bez przerwy do cybera informacji. Informacja i jeszcze raz informacja. Niewyczerpane morze informacji. Właśnie dzięki niej istnieje cyber, jak również ci, co w nim żyją. To jest krew cybera, to jest powietrze, jego podstawa i osnowa. Istnieje wszędzie, bez niej nic się nie dzieje.

Rzecz jasna - jej część gubi się, wymyka spod kontroli. W wyniku tego powstaje negatywne pole informacyjne. Nie da się od niego uciec, a ono, jak kwas, przeżera każdy program, jaki wpadł do cybera. Nie od razu. Stopniowo. Bardzo wolno. Ale nieodwołalnie. Informacji, która wpada do cybera i płynie dalej, do banków danych, pole nie zagraża, ponieważ zbyt krótko na nią działa. Ale jest niebezpieczne dla tych, co siedzą w cyberze stale.

Jeśli jakiś mieszkaniec cybera nie wprowadza systematycznie w siebie programów odtwarzających, to zginie. A programy odtwarzające znajdują się w jedzeniu i

piciu. Innymi słowy - jeśli stały mieszkaniec cybera nie będzie jadł i pił - jego koniec jest bliski.

Kopnie w kalendarz z głodu, dokładnie tak samo, jak to się dzieje w wielkim świecie.

Jedyna różnica polega na tym, że umierający z głodu tu, w cyberze, nie będą chudli ani puchli, nie będą wpadali w głodowe omdlenia czy ulatywali do krainy głodowych halucynacji. Wolno, dzień po dniu, godzina po godzinie, będzie się taki delikwent rozpadał. Najpierw straci kolor, potem zarysy ciała, wreszcie nadejdzie kolej na myślenie, pamięć, przyswajalność informacji.

Jeśli proces ten posunie się zbyt daleko, nie da się go już zatrzymać. Program traci kształt, umiejętność przyswajania informacji, a to znaczy że i posilania się. Nawet gliniarze nie ruszają takich programów - kto wie, w co się zdeformowały? Zacziesz ją delejtować, a sam się zarazisz. Najprostsze i najbardziej racjonalne wyjście - wrzucić ginący program do takiego wykrotu, żeby nie kłuł w oczy turystów. Wcześniej czy później rozpad dokona się ostatecznie. Albo się nie dokona. Kto wie, może kiedyś wylezie z takiego wykrotu jakieś monstrum?

A właśnie - monstrum... Czy nie czas, bym przestał marnować czas na bzdury? Póki jeszcze nie znaleźli mnie najemnicy, wysłani przez złodziei mego ciała, by dokończyć sprawę. Może nadszedł czas bym i ja coś zrobił?

Udało mi się w końcu oderwać wzrok od wykrotu i ocenić swoje położenie. No tak, na razie, jak mawiał grabarz, dokoła spokój. Na razie. Wyciągnąwszy z kieszeni paczkę papierosów zapaliłem jednego i pośpiesznie oddaliłem się od wykrotów.

Niech martwi mają swoje, żywi - swoje. Na razie jeszcze istnieję i ci, co zamierzają wysłać mnie w niebyt, będą musieli

nieźle się namęczyć. Postaram się, słowo honoru, żeby nagrodę za moją głowę dostali z wielkim trudem. Albo w ogóle nie dostali.

Na razie trzeba dotrzeć do portalu, przez który wlałem do cybera, zachowując przy tym maksymalną ostrożność, żeby nie wpaść na pościg. Tam, w wielkim świecie, o ile, rzecz jasna, uda mi się powrót, znajdzie się kilku przyjaciół, co to będą w stanie pomóc mi wrócić.

A co się stanie, jeśli mi się to nie uda? Czy któryś z przyjaciół domyśli się, że wpadłem w tarapaty, i czy zaryzykuje poszukiwania mojej skromnej osoby, a na dodatek nie gdzieś tam, a właśnie tu, w cyberze? Innymi słowy - czy mogę liczyć na pomoc przyjaciół z zewnątrz, z wielkiego świata?

Rozważałem to tak i siak i wyszło mi, że nie ma co na to liczyć. Nie, problem nie w braku przyjaciół. Na przykład Lukianus na pewno byłby do tego zdolny. I Doc. Na pewno już się niepokoi, gdzie mnie poniosło. Problem w tym, że w cyberze nie będą mnie szukać. A jeśli nawet będą to na końcu. Dopiero wtedy, gdy stanie się jasne, że przytrafiło mi się jakieś nieszczęście. Na razie zaczną od tego, że obdzwonią wszystkich znajomych. Potem wpadną na myśl, że przeżywam kolejną miłosną przygodę i skoncentrują się na znalezieniu tej, która tak zawładnęła moimi zmysłami, że zapomniałem dla niej o przyjaciółach. To im się nie uda. Wtedy odczekają jeszcze trochę i dopiero potem wpadną na pomysł, że musiałem wpakować się w jakieś szambo. A do tego czasu albo mnie zabiją, albo umrę z głodu.

Ze złością palnąłem niedopałkiem w jezdnię.

Nie, nie ma co liczyć na pomoc z zewnątrz. Złodziej ciała wszystko sobie doskonale obmyślił! Niewykluczone, że w tej chwili spokojnie papie o jakichś bzdurach z Dociem. A ten

nawet nie podejrzewa, że obok niego siedzę nie ja, a obcy w moim ciele.

Chociaż... nie, nie mam racji. Kto jak kto, ale Doc czy Lukianus na pewno wyczają podmiankę. Ten numer nie przejdzie. Dlatego, albo moja grzeszna powłoka poszła na części zapasowe, albo została, że tak powiem, wykorzystana w całości. Rozpatrzmy pierwszy wariant: rozczłonkowano ciało na części zamienne. Czy to się mogło zdarzyć? Bez wątplenia. Jednakże to, co zrobiono z moim ciałem kosztuje bardzo dużo. Czy ktoś mógł wywalić takie ogromne pieniądze tylko po to, by zdobyć kilka organów do przeszczepów?

Wątpliwe. O wiele taniej i łatwiej można kupić jakieś części na czarnym rynku transplantów. Niektórzy z przesiedleńców do cyberów sprzedają stosunkowo dobrze zachowane części swoich ciał naprawdę za tanioczę. Wystarcza im, że uzbierają kwotę gwarantującą nabycie komputerowej nieśmiertelności. Co z tego wynika? A to, że złodziej mego ciała potrzebował go w całości. Być może gdzieś w wielkim świecie pęta się teraz człowiek, uznawany przez wszystkich za mnie, i czyni wielce, wielce niedobre rzeczy.

Ostatnia myśl nie spodobała mi się. Bardzo.

Zatrzymałem się i sięgnąłem do kieszeni po papierosa, ale natychmiast się rozmyśliłem.

Nie, papierosy muszą oszczędzać. Jeśli nie uda mi się wrócić do wielkiego świata w najbliższym czasie, pomogą mi tu wytrzymać. Oczywiście, papierosy były z Chin i wątpliwe, by zawierały mocne programy stabilizujące. Ale jak się nie ma co się lubi... to się lubi...

A tak w ogóle - czy nie pora, bym się trochę ruszył? Sądząc ze wszystkiego im szybciej wpadnę do wielkiego świata tym bardziej prawdopodobne jest, że uniknę wielkich kłopotów.

3.

Jakieś dziesięć kroków od portalu zatrzymałem się. Tak w ogóle to nie przypominał ani portalu, ani bramy. Ot, niewielki domek w staroniemieckim stylu. Spiczasty dach. Wąskie, pochodzące od strzelnic, okienka. Drzwi pozornie dębowe, zdobione krzyżem z kutych, żelaznych sztab.

Portal.

Gdyby wszystko było w normie, to przechodząc przez te drzwi już po jakichś trzech minutach połączyłbym się ze swoim, pozostającym w stanie nieświadomości, zgodnie z prawem „O zakazie powielania osobowości”, ciałem. Z tym, że tym razem nie ma mowy o żadnej normie.

Tam, z drugiej strony portalu, nie było mojego ciała. Ciekawe - po licho tu przyjechałem? Nacieszyć wzrok widokiem miłego domku i wrócić do wykrotów? Może powinienem sam do któregoś wskoczyć, żeby nie trudzić gliniarzy?

Guza tam, niedoczekanie ich!

Oparłem się plecami o stojący pośrodku drogi, wyraźnie bezpieczeństwa samochód. Sądząc z wyglądu właściciel porzucił go jakiś tydzień temu, świadczył o tym dach i boki wozu. Pod wpływem negatywnego pola informacyjnego niemal straciły swój kolor, stały się szare, jakby poproszone mąką.

Tak więc, mam przed sobą portal, przez który trafiłem do tego świata. Mogę wejść i spróbować wyłuszczyć swoje pretensje przedstawicielowi serwisującej ten portal kompanii.

I co dalej?

Pewnie nic szczególnego. Najpewniej poinformują mnie, że gdzieś wydarzyła się spora awaria. Firma strasznie się pokaja i

obiega mi w najbliższym czasie wszystko wyprostować. A na razie może uprzejmie zgodzę się wrócić do zaproponowanego przez firmę sztucznego ciała?

Oczywiście - najlepszy model, prawie nie różniący się od naturalnego, ludzkiego?

Na tę propozycję będę zmuszony - w końcu chciałem wrócić do wielkiego świata - się zgodzić. W otoczeniu całego bezmiaru różnorodnych przeprosin zaproszą mnie do odbiornika. Ja, rzecz jasna, pójdę. A przedstawicielowi firmy nie pozostanie już nic innego, jak wydać jedną jedyną komendę deletującą mnie i nikt więcej, nigdy, w żadnej postaci mnie nie zobaczy. Sto do jednego, że właśnie tak to się odbędzie.

Z najbliższego domu wyszli dwaj turyści. Lekko kiwając się na nogach ruszyli w moją stronę. Rzuciłem na nich obojętnie okiem. Turyści, wielka rzecz... Weseli, ponieważ nie wiedzą co to prawdziwe kłopoty. Niechby się znaleźli na moim miejscu, dowiedzieliby się gdzie raki zimują.

Gdy zwiedzający zrównali się ze mną jeden z nich powiedział:

- Patrz, to chyba tułaczy program. Ale numer!
- Ale gdzie tam - entuzjastycznie zaoponował drugi. - Nie ma w nich nic zabawnego. Zwyczajne programy, przestarzałe i dlatego do niczego się nie nadają. Odrzuty.

Zatrzymali się i - ciągle się sprzecząc - przyglądali się mojej osobie, jakby była nie wiadomo jakim kuriozum.

- Nie gadaj. Pamiętaj, że w tym świecie również działa prawo doboru naturalnego, które głosi, że przeżywają najsilniejsi. Gdyby tułacze programy były nic nie wartymi odrzutami, gliniarze w try miga wyłapaliby je wszystkie. Prawo doboru naturalnego to wielka rzecz.

- Zgoda. Ale nie uwzględniłeś, że same programy tułacze nie mogą się rozwijać. Co więc ma do tego dobór naturalny?

- Dużo. A programy te mogą się rozwijać. Chcesz wiedzieć jak?

- Tak, powiedz mi, skoroś taki mądry.

- Zaraz zapytamy sam przedmiot sporu. Usłyszysz, co nam odpowie.

- Niech ci będzie. Tylko pewnie będzie chciał jakąś zapłatę.

- Drobiazg. Z dziesięć infobucksów mu wystarczy.

Przygotowałem się i przyjrzałem im uważniej.

Sądząc z wyglądu musieli mieć forszę. Maski były wykonane bardzo, ale to bardzo przyzwoicie, starannie co się zowie; mimika - najlepszy test jakości wykonania - niemal nie różniła się od prawdziwej. Z masek sądząc, stali przede mną dwaj typowi przedstawiciele plemienia urzędników. Obaj mieli po jakieś trzydzieści pięć - czterdzieści lat. Jeden był blondynem, na twarzy którego zastygł wyraz bardziej przystający do miesięcznego szczeniaka, pewnego, że cały świat stworzono tylko po to, by go kochał i rozpieszczał. Jedyną rzeczą, jaką drugi różnił się od pierwszego, był kolor włosów. Ten był brunetem.

Znaczyło to, że jeśli tylko maski nie były wykonane nielegalnie, wbrew prawu „O zgodności zewnętrznego wyglądu odwiedzających cybery”, stały przede mną, z punktu widzenia dowolnego tułaczego programu, dwa bardzo łakome kąski. Wspomniani już Hobbin i Nobbin na pewno wyszabrowaliby od nich kwotę wyższą niż zakichane dziesięć infobucksów. A właśnie - kto mi przeszkadza w wykonaniu takiegoż manewru? W końcu - nie da się ukryć - pieniędzy brakowało mi w wymiarze katastrofalnym.

- Czym mogę służyć... e-e-e, panom?

Staralem się, mówić ostro i nieco z góry. Jeśli klienci łakną egzotyki to ją dostaną. Blondyn rzucił na bruneta zatroskane spojrzenie, a tamten postanowił nie kluczyć tylko zapytał wprost:

- Powiedz no nam, kochany, czy rzeczywiście jesteście tułaczym programem?

Według scenariusza, zanim odpowiem, powinienem rozejrzeć się i obrzucić klientów podejrzliwym spojrzeniem. Tak zrobiłem. Zadziałało. Turyści natychmiast również się obejrżeli i, najwyraźniej nie widząc zagrożenia przysunęli się bliżej.

- Jak się panowie domyśliliście? - zapytałem półgłosem, robiąc konspiracyjną minę.

- Zupełnie przypadkowo - pośpiesznie zatrajkotał blondyn.
- Zapewniam pana, że zupełnie przypadkowo.

- Widzę, że jesteście panowie ludźmi bywałymi - oświadczyłem. - Z tego wynika, że nie muszę wyjaśniać, jakie dla mnie może mieć konsekwencje rozmowa z wami.

- Oczywiście, oczywiście - zapewnili mnie chórem.

Według mnie wytrzeźwili już całkowicie i teraz żalowali, że wszczęli rozmowę o tułaczach programach. Ocenilem, że już dojrżeli do ulżenia ich kieszeniom, oświadczyłem z bezczelną miną:

- Na początek po dysze od łba. Potem będę całkowicie do waszej dyspozycji.

Blondyn posłusznie sięgnął do kieszeni, wyjął zeń ważki plik banknotów i wyjąwszy dwa papierki podał mi je niezdecydowanym gestem.

Zakląłem w myślach.

Ech, gdyby na moi miejscu byli Hobbin i Nobbin, nie daliby takiej plamy. Te kurczaki okazały się tłustsze niż sądziłem.

Trzeba było zażądać więcej. Zresztą, co się stało, to się nie odstanie. Jeśli teraz spróbuję zmienić cennik, klienci mogą zacząć podejrzewać, że po prostu zawracam im głowę.

- Dobrze, pieniądze skasowane - oświadczyłem uroczyście. Teraz możecie, panowie, zadawać swoje pytania.

Brunet odkasznął niezdecydowanie i powiedział:

- Myśmy się sprzeciali z kolegą... On twierdzi, że wy programy tułacze, nie możecie się samodoskonalić. Ja zaś twierdzę, że posiadacie takie możliwości.

Byłem gotów na to pytanie, dlatego bez zająknięcia zameldowałem:

- Oczywiście, że mamy. Inaczej nie przeżylibyśmy w tym świecie. Tak naprawdę każdy program tułaczy, żeby podnieść swoją zdolność do przeżycia, zmuszony jest od czasu do czasu dokupować różne programiki użytkowe. Wiecie, panowie, żeby mieć wyrazistszy wygląd, żeby zwiększyć prędkość myślenia, zwiększyć pamięć... i tak dalej. Większość z nas tak się już zmieniła, że z pierwotnego wyglądu, w którym rozpoczęliśmy byt tułaczych programów, zachowały się tylko imiona.

- Aha, więc miałem rację! - oznajmił brunet. - Mimo wszystko prawo doboru naturalnego działa i tu.

Blondyn natychmiast zaoponował gorąco:

- Nie zgadzam się. Co to za, do licha, dobór naturalny, skoro żeby przeżyć nie trzeba się niczego uczyć? Wystarczy tylko zapłacić określoną kwotę i jesteś doskonalszy.

- Ale pieniądze, pieniądze! Trzeba je zapracować.

Nie przerywając sprzeczki ruszyli spod portalu.

Popatrzyłem na zaciśnięte w garści dwa tęczowe papierki.

Gdyby był tu Hobbin czy Nobbin to nieźle by mi się od nich oberwało. I słusznie, zresztą. Miałem przed sobą turystów,

nafaszerowanych gotówką aż po czubek głowy. Po co mamona takim faciom w świecie, gdzie niemal każdą usługę można opłacić po prostu przelewem pieniędzy z konta na konto?

Każdą? Nie, nie każdą. Są pewne usługi, niektóre przyjemności, wymagające zapłaty w gotówce. Jakie? No, te wyjęte spod prawa. Dlaczego? Dlatego, że gotówka niesie ze sobą masę nieprzyjemności, a jedyną ich przyjemną stroną jest to, że dają całkowitą anonimowość.

Ech, gdyby na moim miejscu był Hobbin albo Nobbin, to urządziliby temu duetowi taką wycieczkę po miejscowych spelunach... Zresztą, ja nie mam czasu na zajmowanie się tymi rzeczami. Mam na głowie inne problemy, wymagające szybkich decyzji. Im szybciej wymyślę, jak się przedostać do wielkiego świata, tym dla mnie lepiej.

Włożywszy do kieszeni pieniądze, rzuciłem kontrolne spojrzenie na domek ze spiczastym dachem.

Portal, do którego nie mogę wejść, ponieważ dalej mnie nie wpuszczą. Portal, zamknięty na bardzo mocny zamek. Co robi człowiek, dla którego przejście przez tę bramę jest sprawą życia i śmierci?

Wiadomo - wyłamuje ją. Czym? Bez wątpienia - najlepiej odpowiednim do tego celu narzędziem. Ale gdzie je zdobyć - oto problem. Nagle zrozumiałem, że myślę zupełnie nie o tym, o czym powinienem.

Każdą sprawę należy wykonywać od początku, nie można budować dachu domu, nie wzniosłszy wcześniej fundamentu. Co w tym przypadku jest fundamentem? Oczywiście, że możliwość zapewnienia sobie bezpiecznego żywota. W jaki sposób? Jedyne stosowny, stary jak świat i dobrze w nim wypróbowany. Przy pomocy broni.

Tak, przy pomocy broni.

Zacząłem się zastanawiać się, gdzie w cyberze można zdobyć broń. Jasne - na czarnym rynku. Tylko, że do zakupu potrzebuję kilka setek infobucksów. A mam ledwie dwie dychy. Wygląda więc na to, że ten wariant odpada. Pozostaje inny - odebrać. Komu? Tym, co zawsze w cyberze mają broń. Czyli przewodnikowi.

Jeszcze raz przyjrzałem się portalowi i zobaczyłem, że przekreślone żelaznymi sztabami drzwi otwierają się. Wszedł z nich przewodnik, zatrzymał się i, wyciągnąwszy z kieszeni paczkę papierosów, zaczął przypalać jednego z nich.

Nie miał klientów. Widocznie postanowił wpaść do cybera nie dla zarobku, a zaspokajając jakieś prywatne zachcianki. Może chciał coś kupić. W każdym razie w tej chwili nie był w pracy. Dlatego powinien, nie - musi być odprężony.

Nawet nie zauważyłem jak pokonałem dzielącą nas przestrzeń. Wydawało mi się, że przebyłem ją jednym skokiem. W rzeczywistości musiało być inaczej, ponieważ nie skacze się na dziesięć kroków, a i czasu zajęło mi to odrobinę więcej. Zanim dotarłem do przewodnika, ten przypalił papierosa, wsunął zapalniczkę do kieszeni i nawet odwrócił się w moją stronę.

No i nic więcej nie zdążył zrobić, ponieważ właśnie w tym momencie trafiłem go w nos.

Nie jest łatwo poważnie uszkodzić przewodnika. Oczywiście, zgodnie z prawem, nie są oni nie do zranienia, jednakże ich maski są wyposażone w pewne, niezupełnie usankcjonowane prawnie, urządzenia obronne; gliniarze, z reguły, patrzą na to przez palce.

Zresztą, nie miałem nadziei, że go ogłuszę. Chciałem tylko zwalić go z nóg.

Tak się właśnie stało.

Walnąwszy głową o drzwi, przewodnik kiwnął się w moją stronę i natychmiast zainkasował jeszcze jeden cios, w brzuch. Przypomniawszy sobie z wojska lekcje ji-quari, podciąłem mu nogi. Pewnie nasz plutonowy sensei obsztorcowałby mnie za jej wykonanie, ale pożądany wynik został osiągnięty. Przewodnik runął na ziemię. Pochyliwszy się nad nim wyciągnąłem z kabury, którą niczym kowboj nosił na biodrze, ciężki staromodny kolt i natychmiast odskoczyłem w bok.

Zdążyłem.

Przekręciwszy się jak sprężyna, przewodnik wypróbował na mnie kopnięcie z obu nóg. I trafił. W miejsce, gdzie byłem chwilę temu.

- Nie świruj - powiedziałem, dźgając koltem w stronę przeciwnika. - Bo będę strzelał.

Oczywiście, że ryzykowałem. To, co wyglądało jak broń, mogło się być nieszkodliwym straszakiem. Mogło się okazać czymkolwiek innym, ale - widocznie - okazało się jednak prawdziwą bronią.

W każdym razie, widząc, że został wzięty na muszkę, przewodnik zamarł i ochryłym głosem zapytał:

- Czego ty właściwie chcesz?

- Niczego szczególnego - odpowiedziałem, odsuwając się jeszcze o krok. - Zaraz wstaniesz i odejdziesz stąd na jakieś dziesięć kroków. I to wszystko. Jasne?

- No masz! - powiedział przewodnik. - Ale po co ci to? Coś sobie wymyślił?

- To już nie twoja sprawa. Wstawaj. I pamiętaj, że mam mało czasu. Może mi wpaść do głowy, że sporo go zaoszczędzę dziurawiąc twą powłokę.

- Chyba chłopie widziałeś za dużo tanich westernów!

- A ty myślałeś, że tylko tacy jak ty je oglądają?

Powiedziawszy to zdecydowałem, gdzie wpakuję przewodnikowi pierwszą kulę. Chyba w nogę. Zanim dokuśtyka do portalu będzie go bolało. Ale przynajmniej nie będzie to zabójstwo. Oczywiście - warunek jest taki, że jego kolt strzela pociskami.

- Rozumiesz, że zabijając mnie wydasz na siebie wyrok śmierci?

- Rozumiem.

Naprawdę to rozumiałem.

Tu, w cyberze wszystko odbywa się niemal dokładnie tak jak w wielkim świecie. Oczywiście, istnieją też różnice, ale zabójstwo pozostaje prawdziwym zabójstwem. Portale, przenoszące nas tutaj, zbudowane są zgodnie z prawem „O zakazie powielania osobowości”. Prościej rzecz ujmując, gwarantuje ono coś na kształt wędrówki dusz. Przenoszące do cybera portale skanują dokładnie umysł, aż do najtajniejszych jego zakątków, do podświadomych życzeń i pragnień, a potem przenoszą osobowość do cybera. W wielkim świecie pozostaje tylko ciało pozbawione najmniejszych oznak świadomości.

Jeśli się dobrze zastanowić, to jest to bardzo mądre prawo.

Wyobraźcie sobie, co się stanie, gdy zbuduje się portal działający inaczej, omijający owo prawo?

Nic dobrego.

Może się stać tak, że w czasie, kiedy wasza świadomość znajduje się w cyberze, zajdzie jakiś przypadek, w wyniku którego wasze ciało w wielkim świecie zbudzi się. Będziemy mieli do czynienia z dwoma identycznymi osobowościami. Która z nich będzie prawdziwsza? Która z nich będzie miała prawo do waszego majątku, waszych pieniędzy, własności? Czy ta osobowość, która została w cyberze, czy ta, która istnieje w wielkim świecie? A dlaczego ta? Czy tylko dlatego,

że dysponuje ciałem?

Tak, posiadanie ciała to potężny dowód. Ale nie w sądzie. Tam bystrzy adwokaci migiem udowodnią, że pozostała w cyberze osobowość ma nie mniej praw do waszego ciała, co i wy.

A co się stanie, gdy pozostawiona w cyberze osobowość jeszcze raz się zdubluje? A potem, jeśli będzie chciała, jeszcze raz? No właśnie, żeby wykluczyć takie przypadki została przyjęta ustawa „O zakazie powielania osobowości”, a każdy portal budowany jest tak, by wykluczyć jego omijanie. W żadnym wypadku. Oczywiście, ma ta ustawa i złe strony. Jeśli wasza świadomość podczas pobytu w cyberze będzie uszkodzona, to w tym stanie wróci do ciała. Jeśli wasza świadomość zginie, to w waszym ciele, w wielkim świecie, zatrzyma się serce i ciało umrze. Zostanie pochowane.

Śmierć to śmierć, gdziekolwiek by się nie przydarzyła. Czy to będzie w wielkim świecie, czy w cyberze.

- Dobra - powiedział przewodnik. - Zrobię jak zechcesz. Po co ci broń?

- Żeby pozostać przy życiu - oświadczyłem.

Popatrzył na mnie jak na świra, ale mimo to wstał wolno i odszedł na jakieś dziesięć kroków.

- Pięknie. A teraz odwróć się do mnie plecami i cwałuj stąd - poleciłem. - Wolno. Jeśli się odwrócisz - strzelam.

- Masz zamiar zwać?

- Oczywiście.

- Wiesz, że nie uda ci się daleko uciec?

- A to się jeszcze zobaczy.

- Świr - mruknął przewodnik.

Pomyślałem, że pewnie ma rację, więc ponownie wycelowałem w jego stronę kolta.

- No, ruszaj stąd.

Przewodnik grzecznie pokazał mi plecy i ruszył.

Wolno.

A ja zrobiłem kilka kroków do tyłu, zanurkowałem za róg najbliższego domu i ruszyłem biegiem z całej siły. Po dwóch przecznicach zatrzymałem się, przycupnąłem na ławeczce i postanowiłem w końcu zapalić

Zdobyłem broń. Co dalej?

Zdążyłem wypalić niemal połowę papierosa, gdy nagle poczułem, że na moim ramieniu ktoś siedzi. Oczywiście, że był to wzrok Plotki. Widząc, że został zauważony, wzrok wydał z siebie cichutki skrzek i rzucił się do swego pana.

Sam Plotka stał o pięć metrów ode mnie. Stał i gapił się na mnie z flegmą w oku. Zapytałem go, czego, do cholery, ode mnie chce.

Plotka uśmiechnął się niemal niezauważalnie, podszedł do ławeczki, usiadł obok mnie i powiedział:

- Jest temat.

- Jaki?

- Niemal żaden - krzywo uśmiechnął się Plotka. - Po prostu interesuję się, czy rozumiesz, że narobiłeś tu kupę bałaganu?

- Kupę?

- No tak. - Plotka ukazał w uśmiechu żółte zęby. - Ogromną... Jesteś teraz nie tylko tułaczym programem, jesteś przestępcą, który wdał się w tarcia z przewodnikami. A ci się nie uspokoją, póki cię nie zniszczą. Do tego gliniarze... Wszyscy gliniarze, a nie tylko ci, przekupieni przez złodzieja twego ciała.

- Cóż - odezwałem się. - Kupa to kupa. Może to nawet lepiej.

Plotka uśmiechnął się zadowolony.

- To jest właśnie to, co chciałem usłyszeć. Od dawna nie było w naszym cyberze dobrej zawieruchy. W każdym razie możemy na jakiś czas zapomnieć o nudzie.

Pomyślałem, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Jeśli do schwytania mnie przyłączą się nie tylko gliniarze, ale na dodatek przewodnicy, to w końcu któryś z nich zada sobie w końcu pytanie, skąd się wziął ten ścigany tułaczy program. Zjrzyj do archiwum, i dowie się, że pojawił się znikąd, z pustki. Na pewno zrozumie, że tak się stać nie mogło. Może nawet, odpukać, uda mu się dowiedzieć, co się właściwie ze mną stało.

W każdym razie duży hałas był nie na rękę porywaczowi mego ciała. A to znaczy, że był na rękę mnie.

Przysunąłem się do Plotki i powiedziałem:

- Słuchaj, mógłbyś mi...
- Nie wiem - odpowiedział pośpiesznie, nie dając mi dokończyć. - Słowo honoru, że nie wiem kto buchnął twoje ciało i po co. Musisz się tego dowiedzieć sam.

Zakląłem półgłosem, wyrzuciwszy niedopałek wstałem i, nie żegnając się z Plotką, pomaszerowałem przed siebie. Nie powinienem był teraz marnować czasu. Kiedy dzieliła nas już odległość jakichś dziesięciu kroków, przysłała mi do głowy jeszcze jedna myśl. Zatrzymałem się i zapytałem:

- A tak w ogóle, skoro nie wiesz kto gwizdnął moje ciało, to po jaką cholere łazisz za mną wszędzie?

Plotka wzruszył ramionami.

- Po prostu chciałem być pewien, że otrzymam te infobucksy, które mi jesteś winien.
 - Przekonałeś się? Zadowolony?
- Plotka pokiwał głową w zamyśleniu.
- Wydaje mi się, że zacznam wierzyć w ich otrzymanie.

Nie wytrzymałem i życzyłem mu, by zdechł i to im szybciej tym lepiej. Potem oddaliłem się.

4.

Pomyślałem, że oszczędzanie jest ze wszech miar słuszne. Ale skoro być może zostało mi niewiele życia, to w diabły z oszczędzaniem! Niech żyją chińskie papierosy!

Wyszukawszy jednego w kieszeni zatrzymałem się, chcąc go zapalić.

Zapaliłem. Zaciągnąłem się. Wypuściłem dym. Poczułem się lepiej. Odruchowo rozejrzałem się, przyjrzałem domowi, przy którym stanąłem.

Niezła chatka. Niewielki, starannie wykonany dom, z dachem krytym dachówką i nawet z kominem. Sądząc ze wszystkiego kosztował niemało swego właściciela. Dachówka wyglądała na prawdziwą, a w kąciku jednego z okien widniała nawet mała, koronkowa pajęczynka.

Bardzo drogi ten domek. Bardzo.

O jego ścianę opierała się i przyglądała mi się z pewnym zainteresowaniem młoda kobieta, też nie wyglądała na tanią podróbkę.

Czy może być zwykłym zwiedzającym istota płci żeńskiej, figurę której, nawiasem mówiąc - bardzo kształtną, przeniósł do cybera na pewno jeden z profesjonalnych dizajnerów? Ile infobucksów kosztował taki naturalny kolor włosów? Ile zapłaciła by tu, w cyberze, szpanować delikatną brzoskwiniową cerą, a przy tym pokazywać każdemu i wszystkim młode oblicze doświadczonej szantrapy, która świetnie wie co i ile kosztuje?

Uśmiechnęła się.

Oszołomiony potrząsnąłem głową.

Szantrapa? W życiu, to tylko tak mi się wydawało. Za nic nie może być kimś takim ta dziewczyna z oszałamiającym uśmiechem... sympatyczna dziewczyna z takim uśmiechem...

Nagle uświadomiłem sobie, z czym kojarzył mi się uśmiech tej dziewczyny. Mniej więcej tak powinien uśmiechać się rekin, szykujący się do odgryzienia nogi beztroskiego pływaka.

...Sympatyczna dziewczyna?

Poczułem nieodpartą ochotę, by pokazać jej plecy i dać stąd dyla.

Za późno.

Nawet nie pojąłem jak ona to zrobiła, a mgnienie oka później stała obok mnie i mocno trzymała rękaw mojej kurtki.

- Nie chciałbyś porozmawiać, chłopcze?
- O czym? - zainteresowałem się. Zachichotała.
- O różnych rzeczach. Najpierw jednak musisz odpowiedzieć na kilka pytań.
- Nie mam czasu zajmować się głupstwami - mruknąłem i ruszyłem przed siebie.

Ten numer przeszedłby z każdą inną przedstawicielką płci pięknej, ale nie z nią. Coś mnie gwałtownie cofnęło. Zerknąłem zezem na rękaw, skinąłem głową.

Oczywiście, haczyki-stoppery. W niektórych cyberach są zabronione, a w niektórych - nie. Usiłowałem przypomnieć sobie, czy tego typu haki są zabronione w tym cyberze, w którym znajdowałem się teraz, ale nic mi nie wychodziło.

Zresztą - co za różnica? Mnie akurat nie powinien męczyć problem czy haczyki są zgodne z prawem czy nie. Powinno mnie interesować ich użycie. Chociażby dlatego, że najczęściej korzystają z takich gadżetów dziennikarze. Na ogół ci

pracujący w żółtych gazetkach. Ci, pracujący dla czcigodnych publikatorów, nie potrzebują takich sztuczek, dostają wszystko i bez nich. Chociaż zdarzają się i wyjątki.

Dobra, ale o co mi chodzi? Przecież mam przed sobą reportera, czyli człowieka, potrzebnego mi w danej chwili jak powietrze. Popatrzyłem na haczyki niemal ironicznie. Gdyby ta dziennikarka wiedziała, jak jej potrzebuję.

- No to jak będzie, odpowiesz na pytania?

- Z wielką przyjemnością - powiedziałem. - Jestem nawet gotów opowiedzieć...

- O nie, ten numer nie przejdzie, to ja będę zadawała pytania. A ty będziesz na nie odpowiadał.

Szybko obejrzałem się.

No dobrze, mam trochę czasu. Ale i tak nie warto go było marnować na jakieś bzdury. Ale mimo to... Nigdy nie wydawało się wam, że rozmówca za moment was ugryzie? Jeśli nie, to gdy spotkacie taką młodą osobę spróbujcie ją rozeźlić.

- Ja będę zadawała pytania! Odpowiadaj na pierwsze. Od kiedy to takie byleco pracuje jako przewodnik? Tłumisz w ten sposób kompleksy? Czy musisz utrzymać liczną rodzinę? A może za dużo książek, barwnie opisujących całkowicie bzdurne przygody bałwanów, pretendujących do miana bohaterskiego przewodnika?

Westchnąłem i odpowiedziałem:

- Wcale nie dlatego. Nie jestem przewodnikiem.

- Ta-ta! Tylko mi nie wciskaj kitu. A broń? Skąd masz ten pistolet? Znaczy - przewodnik.

No tak... Ech, gapa, trzeba było schować go do kieszeni...

- Ten rewolwer - odpowiedziałem z godnością - rzeczywiście był własnością przewodnika.

Dziennikarka obrzuciła mnie zdziwionym spojrzeniem:

- Przewodnika? Czy to znaczy, że jesteś tułaczym programem, na tyle bezczelnym, że napadłeś na przewodnika i odebrałeś mu broń? Och, to jeszcze lepiej!

- Gorzej. Ponieważ jeszcze dzisiaj byłem zwyczajnym gościem cybera, człowiekiem, a nie tułaczym programem. Ukradli mi dzisiaj ciało.

- Bujdy produkowane przez tułacze programy mnie nie interesują. Opowiedz lepiej jak odważyłeś się napaść na przewodnika. Ale gazem. Jeśli opowiesz całą prawdę dam ci dziesiątkę.

- Jaką, co cholery, dziesiątkę? Mówię do ciebie, że kilka godzin temu...

- A mnie to zwisa i łopoce. Chcę się dowiedzieć jakie seksualne fantazje dręczą nie sankcjonowane programy. Jak je realizujecie, co? I co jest wam do tego potrzebne? Co czujesz patrząc na to?

Pokazała palcem w dół.

Odruchowo popatrzyłem we wskazanym kierunku. No tak, nogi miała jak marzenie! Śliczne, toczone, kuszące.

- No więc, co o nich myślisz? Kuszą cię? No, odpowiedz, że...

Nie traciła przy tym czasu. Kiedy oderwałem spojrzenie od jej kończyn okazało się, że zdążyła przysunąć do mojej twarzy coś jak starożytny mikrofon i aż otworzyła cudowne usteczka z niecierpliwości.

Oto przykład wspaniałej bojowej postawy dziennikarza!

- Tak więc, czy na widok moich kuszących nóg poczuł pan, jak uaktywniają się te programy wspomagające, które pan, proszę się przyznać, wykorzystuje nie tak znowuż często, jak by pan chciał?

- Niech pani słucha, przecież pani mówię, że nie mam

żadnego programu wspomagającego. Zupełnie niedawno byłem zwyczajnym turystą, któremu, proszę posłuchać co mówię, jacyś przestępcy ukradli...

Nie zdołałem dokończyć zdania. Usłyszałem wystrzał.

Pocisk uderzył w stopper, przy pomocy którego dziennikarka zatrzymała mnie przy sobie, i rzecz jasna, przeciął go. Wykonawszy tę pożyteczną przysługę, kula poleciała dalej, dokąd - nie interesowałem się. Być może ułamek sekundy później wykonała staranny otwór w szyldzie najbliższego sklepiku, może nawet osiadła w miękkiej części ciała niefartownie ustawionego turysty. Powtarzam - wcale mnie to nie interesowało, ponieważ cała moja uwaga skupiła się na następnym pocisku. Nie wiem dlaczego, ale wydawało mi się, że nie będzie tak humanitarny jak pierwszy.

Gwałtownie odepchnąwszy dziennikarkę odskoczyłem w bok.

Pora była najwyższa.

Drugi pocisk, sądząc po zostawianym po sobie fioletowym przerywanym torze lotu, przeleciał dokładnie w miejscu, gdzie chwilę temu znajdowała się moja głowa.

Runąwszy na czworaki, dość żwawo rzuciłem się za róg najbliższego domu.

Cholera, w cyberach nic nie jest zrobione po ludzku.

Trzeba być zupełnym durniem, żeby wyposażyć pociski w punktowane linie, wyznaczające trajektorię ich lotu. Co za problem określić według takiej linii miejsce przebywania strzelającego?

Chociaż... Może go tam już nie ma? A na dodatek skąd wiem, jakie dodatkowe wyposażenie ma moja własna broń? A właśnie! Jest okazja wypróbować ją.

Wyjrzałem zza rogu.

Strzelca, oczywiście, nie było widać, mimo, że wciąż wisząca w powietrzu przerywana linia wskazywała, że musi znajdować się dwa domy ode mnie. Pewnie ukrywa się pod stojącą obok niego ławeczką. Chowa się?

Za ławeczką ktoś się poruszył.

Aha, zaraz...

Wycelowałem w ławeczkę kolta i nacisnąłem na spust.

O-la-la! To ci numer! Teraz rozumiem dlaczego przewodnik, któremu odebrałem tę broń, tak się jej bał.

Huknęło jakbym strzelił z atomowej armaty. Ławeczka w oka mgnieniu stała się palącym ogniskiem. Ogień, co prawda, nie wyglądał całkowicie naturalnie: dym, unosząc się, kumulował się w zwarte kłębuszki, wewnątrz których szamotały się jakieś postacie, chyba kobiece.

Ale parzyło naprawdę - ukrywająca się za ławeczką osoba wrzasnęła okrutnie i rzuciła się do ucieczki, też za róg najbliższego budynku.

Teraz będzie próbował obejść mnie z boku, a ja nie mam powodu, by czekać na zakończenie tego manewru. Brakowało mi do dossier jeszcze tylko strzelaniny niemal na głównej ulicy cybera. Na dodatek ten snajper-amator lada chwila może dostać fachowe wsparcie. Wtedy moja sytuacja będzie nie tyle zła, co bez wyjścia. Czyli - trzeba się zmywać, póki jeszcze można.

Nie wytrzymałem i popatrzyłem przedtem na dziennikarkę. Leżała nieopodal, za olbrzymią urną, o jakichś zupełnie wariackich kształtach. Leżała w pozycji, określanej najczęściej jako kusząca.

Widząc, że zwróciłem na nią uwagę, dziennikarka poderwała się i krzyknęła:

- No to co pan czuje, kiedy pańskie podprogramy, te, co je

mam na myśli, zaczynają działać?

Nie udzieliwszy tej wariatce odpowiedzi poderwałem się i pobiegłem, oczekując w każdej sekundzie biegu, że rozlegnie się kolejny wystrzał i pojawi się trzecia punktowana linia, która skończy swój przebieg w moich plecach.

Byle tylko nieznany strzelec nie był diggerem. Jeśli porywacze mojego ciała włączą do polowania diggerów - *addio pommoodore*. Nie pozostanie mi nic innego, jak unieść łapki i spokojnie czekać śmierci.

Ale strzał nie padł.

Przebiegłem kilka przecznic, odwróciłem się i już chciałem odetchnąć z ulgą, gdy nagle zauważyłem gliniarzy. Było ich pięciu, wyraźnie więksi od tych, co napadali mnie ostatnio. Znaczyć by to mogło, że to nie te jelenie, od kontaktu z którymi tak cwanie się uwolniłem.

Działali precyzyjnie. Sekundę później niż ich zauważyłem, gliniarze zaczęli formować półkole, którego środkiem była moja skromna osoba. Wcale, ale to wcale nie chciałem się z nimi spotkać. Poza tym, wszystko, co się tu działo, zaczynało przypominać totalną obławę. Musiałem zniknąć i tak zmylić tropy, żeby myśliwi znaleźli mnie możliwie najpóźniej.

Tylko jak to zrobić?

Przeskoczyłem przez niewielki reklamowy billboard obwieszczający, że firma „Samo-jed” gwarantuje dostawę artykułów żywnościowych takiej jakości i o takim smaku, jakich nikt inny na tym globie nie kosztował od trzystu już lat. Potem trafiłem na wejście do knajpki „Młody przewodnik”. W chwili gdy przebiegałem obok, z lokalu wypęzło kilku klientów. Za cholerę nie dałoby się o nich powiedzieć, że są młodzi.

Gdy tylko minąłem knajpkę usłyszałem kolejny wystrzał.

Teraz już nie było mowy o żadnych pociskach smugowych. Dobry, rzetelny strzał. Pocisk o gabarytach korniszona, świsnął obok mego ucha, uderzył w średniej wielkości czołg z czasów drugiej wojny światowej, nie wiadomo po co ustawiony na postumencie obok knajpy, odbił się od jego pancerza i pomknął pionowo w niebo. Z góry rozległ się historyczny wrzask wiewiórki:

- Pierzaści! Już zaczynają! Hilfe, ludzie! Jeśli ich nie zatrzymamy, to zginie świat cały, ponieważ brak wiecznego mrozu jest jego sercem!

Wiałem stamtąd. Och, jak wiałem. Tak, jak chyba nigdy dotąd w życiu.

Jakiś typek, w fajansiarskiej czapeczce, z cienkimi, podobnymi do wychudłych gąsienic wąsikami rzucił się do odcinania mi drogi. Zatrzymałem się na sekundę i dołożyłem mu z obcasa tak, że chwyciwszy się za żołądek mógł tylko wystękać:

- Oj-oj-oj! Po co tak człowieka!..

- A ty myślałeś, że nagrodę za schwytanie przestępców dają za nic? - wymamrotałem, biegnąc już dalej.

Ale w głębi duszy wiedziałem, że długo już sobie tak nie pobiegam. Wcześniej czy później przycisną mnie do ściany cybera, otoczą ze wszystkich stron i albo ujmą, albo rozwalą na miejscu. To drugie jest bardziej prawdopodobne.

Muszę więc coś wymyślić. I to już.

Znowu miałem szczęście. Przebiegłem obok kolejnej przecznicy i zanurkowałem pod arkę, oplecioną winogronowymi łożami, obstawioną nagimi młodzieńcami o poważnych obliczach i tępych mieczami w ręku, i nagle zobaczyłem przed sobą mieniącą się wszystkimi kolorami tęczy, wydającą z siebie jakieś niezrozumiałe, ale bez wątpie-

nia radosne dźwięki, roztaczającą prawdziwy bukiet aromatów, kulę o średnicy jakichś pięciu metrów.

Reklama!

Runąłem w jej stronę, jakby od tego zależał mój ratunek... Właściwie - tak było. W każdym razie w danej chwili.

Ostatnia rzecz, jaką usłyszałem zanim zanurzyłem się w trzewiach reklamy, był okrzyk jednego z prześladowców:

- Trzymaj go! Ucieknie, gadzina!

Potem dokoła mnie zwały się ściany reklamowego świata.

5.

Kule reklamowe mogą istnieć tylko w cyberach. Przy okazji - z ich powstaniem wiąże się dość zabawna historia. Kiedyś reklama tak mocno okupowała cybery, że nie dało się nic zrobić, jak tylko wysłuchiwać od rana do nocy pochwał kolejnych cud krakersów czy super pewnych uszczerek. Oczywiście, że usiłowano z tym walczyć, ale wszelkie zagłuszacze i ekrany ochronne działały na krótką metę, ponieważ producenci reklam szybko znajdowali sposób przebicia się przez ich sztańce. Skończyło się to czymś w rodzaju wojny, w wyniku czego reklama, w każdym jej przejawie została wygnana z cyberprzestrzeni. Oczywiście, nie na długo. Wróciła, nie mogła nie wrócić. Najpierw stopniowo, cichutko i leciutko, potem coraz agresywniej... Przegrani w pierwszej wojnie reklamowej nie chcieli, by powtórzyły się ich nieszczęścia i straty.

Właśnie dlatego podpisany został pakt, który przekształcił się z czasem w jedną z tych zasad, na których opiera się egzystencja cyberów. Prawo o reklamie. Pokrótce sprowadza

się ono do tego, że w każdym cyberze wydziela się pod reklamę kilka, dokładnie określonych w przestrzeni, punktów. Tym sposobem w każdym cyberze pojawiło się po dziesięć stosunkowo niewielkich kul reklamowych.

Ponieważ wymiary w cyberze nie mają żadnego znaczenia, to kule te, z zewnątrz mające najwyżej pięć metrów średnicy, dla tego, kto do nich wszedł stawały się całym światem. Światem reklamy, we wszystkich jej różnorodnych przejawach. Był w tym tylko jeden hak - w jaki sposób wciągnąć do kul potencjalnego klienta, na którego powinna ona podziałać?

Dla reklamiarzy zadanie to było pestką. Nieoczekiwanie okazało się, że kule reklamowe proponują turystom furę nieocenionych usług. Z jednej z nich właśnie zamierzałem skorzystać.

Trafiwszy do kuli od razu wzniosłem oczy do sufitu.

W jego centrum znajdowała się niemal przesłonięta eksplozjami barwnych ogłoszeń, cyfra „3”.

No i świetnie.

Wyglądało więc, że trafiłem do kuli numer trzy. Aby znaleźć się możliwie daleko od pościgu, musiałem przeskoczyć do kuli o numerze 8 albo 9. Musiałem więc odnaleźć wyjście z takim numerem. Żaden problem dla kogoś, kto był w takich kulach niejeden raz. To znaczy dla mnie.

Niespodziewanie omotała mnie utkana chyba z rozgwieżdżonego nieba sieć, w poprzek której ogniste ogony komet wykreśliły napis: „Najlepsze, najbardziej aromatyczne, najpożywniejsze i najwspanialsze ambriooliwki! Tylko u nas! Tylko dla Was! Szukajcie w sklepach firmy „Chandelen i synowie”. Rozsunąłem ją rękami, siatka z lekkim, jak mi się wydało pełnym niezadowolenia, trzaskiem pękła i zniknęła,

ustępując miejsca innej, w kolorze sałaty, sugerującym radość i przyjemność, wzdłuż niej już rozpałał się napis, na czytanie którego nie miałem już czasu.

Właśnie, co do czasu, to było z nim kiepsko. A nawet gorzej. Już za momencik prześladowcy zorientują się gdzie i jak im umknąłem. Wystarczy, by zorientowali się, z jakiego wyjścia skorzystam, żeby pościg trwał nadal.

A to znaczyło - do roboty!

Kopniakiem odrzuciłem na bok przeźroczysty box na krótkich nóżkach, usiłujący wcisnąć mi próbki jakichś okropnie słodkich cukierków. Świetnie wiedziałem, że gdybym nawet miał czas na ich kosztowanie, nic by z tego nie wyszło - w chwili, gdy sięgnę do pokrywki wbudowany weń program przeskanuje mój rachunek i, przekonawszy się, że takowy po prostu nie istnieje, przekaże boxowi, że częstowanie cukierkami tej akurat osoby, nie ma perspektyw.

Jakaś bajeczna ośmiornica z uśmiechem tak słodkim, że odruchowo zaciskały się szczęki, usiłowała zastąpić mi drogę. Wystarczyło jednakże bym zamachnął się na nią, a zrećźnie odskoczyła. To pozwoliło mi wykonać kilka kroków i rozejrzeć się.

Ach, tam jest wyjście numer 9.

W czasie, kiedy się rozglądałem, jakaś stonoga, podśpiewując radosny i afirmujący życie hymn, zdążyła nakleić mi na rękę los bezpłatnej loterii, w której główną nagrodą była wycieczka do jakiegoś parku rozrywek.

Zresztą, nie powinienem narzekać, na dobrą sprawę nie odczuwałem niemal wcale zwyczajowego ataku reklamowego, kierowanego na osobę, które weszła do kuli. Jasne - dobre, dobrze wykonane reklamy, wyposażone były w programy

zdolne do skanowania na odległość rachunku potencjalnego klienta. Tak więc to, co kleiło się do mnie teraz, było zwyczajnym drobiazgiem, nic nie znaczącym, i bez pożytku.

Uśmiechnąłem się.

Moi prześladowcy, z wyjątkiem gliniarzy, będą musieli się tu trochę namordować. Oni wszak mają na kontach co nieco. A ja... ja martwiłem się w tej chwili tylko jedną rzeczą - jak możliwie szybko dostać się do wyjścia numer 9.

Szybciej, do diaska. Szybciej!

Miałem również pewne obawy, co do tego, że stan moich finansów może wpłynąć na skuteczność działania wyjścia. Jeśli tak się stanie - jestem martwy.

Jednakże wyjście zadziało. Już przeskakując nie wytrzymałem i obejrzałem się: pościgu jeszcze nie było widać.

No to znakomicie, świetnie. Wspaniale. Tym razem szczęki ścigających mnie gończych psów z kościstym trzaskiem schwyca powietrze. Wsunąłem do kieszeni pistolet, przysunąłem się do ścianki kuli numer 9 i pozwoliłem sobie na krótki odpoczynek. Króciutki. W końcu istnieje szansa, że któryś z prześladowców na chybił trafił wskoczy w jedno z dziesięciu wyjść i akurat wpadnie na mnie.

Ale chyba uciekłem.

Gdyby na moim miejscu był jakiś nie sankcjonowany program, to na pewno by nie odpoczywał. Ja jestem jeszcze na razie turystą. W każdym razie tych podprogramów, które pozwalają istnieć bez odpoczynku i snu na razie nie posiadałem.

Szkoda.

Jeśli uda mi się przetrwać, to będę musiał zatroszczyć się o nie w pierwszej kolejności... A w drugiej...

Stop, co to za gadanie?! Nie zostanę w cyberze ani sekundy

dłużej niż to konieczne. Udowodnię tylko, że ukradziono mi ciało i więcej tu się nie pokażę. W nosie mam. Żyłem sobie wcześniej bez podróży po cyberach, to i teraz pożyję.

Żebym tylko stąd się wydostał.

Zmusiłem się do ruchu, odkleiłem od ścianki reklamowej kuli i ruszyłem do wyjścia.

To tam sobie odpocznę. Na zewnątrz. Tam będę miał trochę czasu. Może niewiele. Przydałoby się pomyśleć o kryjówce, w której, nie trzęsąc się, że zaraz ktoś do ciebie palnie, można będzie odetchnąć, może nawet pospać kilka godzin, a co najważniejsze - przemyśleć sytuację. Jeśli ma się czas, zawsze można znaleźć wyjście z każdej sytuacji, jakkolwiek beznadziejną się wydaje.

Tak, dokładnie.

Przypomniałem sobie, ile razy los zapędział mnie w swoje chytrze rozstawione pułapki, i poczułem się nieco pewniej. Jeszcze się nie poddaję, jeszcze pokażę światu. Wypuszczając mnie ze swego przeładowanego radością życia i wysokiej jakości wyrobami wnętrza, kula reklamowa wydała z siebie dźwięk podobny do przebitej dętki rowerowej.

- No i dobrze ci tak - mruknąłem oglądając się szybko.

Ta czynność pewnie niedługo wejdzie mi w krew.

Tak więc, wyjście numer 9 przeniosło mnie tam, gdzie chciałem się znaleźć - do parku.

Odszedłem na bok, wybrałem gęstszy od innych krzew i ułożyłem się za nim.

Od strony kuli nie byłem widoczny. Mogłem więc odpocząć. Nawet gdyby pojawił się w otworze kuli prześladowca - uciekać nie będę.

Nie mam już siły. Żeby ciągnąć ucieczkę muszę przynajmniej pół godzinki odetchnąć. Żebym zdechł - muszę.

Żałowałem teraz, że nie wyposażyłem swojej maski kilkoma podprogramami, pozwalającymi funkcjonować bez przerwy kilka dób, nawet bez snu. Gdybym pomyślał o tym wcześniej byłoby mi teraz łatwiej tu funkcjonować. Inna sprawa, że zwyczajny turysta, jakim byłem jeszcze niedawno, nie ma szans na zezwolenie na takie podprogramy, żadnych szans.

Ułożyłem się wygodnie, pełną piersią odetchnąłem najczystszy w świecie powietrzem, rozkoszując się aromatem kwiatów, zapachem świeżej ziemi, brzęczeniem muchy fruującej dokoła mej głowy.

Oczywiście, mogę tę muchę zgnieść. Po jakimś czasie pewnie pojawi się inna, ale na jakieś dziesięć minut miałbym spokój.

Nie, niech sobie brzęczy, niech wykonuje swoje zadanie.

Jakie? A takie, że park, zapach kwiatów i owady zostały stworzone po to, by turyści mogli tu pozbyć się stresów, narosłych w trakcie zwiedzania cybera.

Wchodząc do cybera człowiek trafia jakby do innego Wszechświata. Oczywiście - po jakimś czasie niemal przystosowuje się do niego. Ale jego umysł powinien, musi odpoczywać, ponieważ w pewnej chwili może nie poradzić sobie z napływającą zewsząd informacją. A tymczasem turysta, sam o tym nie wiedząc, ładuje i ładuje do umysłu wiedzę, nie dając mu czasu na relaks, na strawienie już posiadanej informacji. Co się więc potem dzieje? Dobrze, jeśli sprawa skończy się zwyczajnym stresem. Najczęściej umysł takiego nieostrożnego turysty wysiada. Prosto rzecz ujmując - człowiek wariuje.

Wariactwo. Żeby tego uniknąć, w maski wbudowany jest podprogram, realizujący łączność zwrotną, od czasu do czasu, zgodnie z indywidualnymi biorytmami turysty tworzącego w

nim poczucie zmęczenia, a potem wręcz usypiający go.

Zmęczenie.

To był chyba najpoważniejszy mój wróg. Jak go uniknąć? Bardzo prosto - znaleźć schronienie i wypocząć, i dobrze wszystko sobie przemyśleć. Nie ma sytuacji bez wyjścia, zawsze jakieś jest. Potrzebny jest tylko czas. Trochę, odrobinę. Ociupinkę. Pospać...

Z trudem rozkleiłem oczy i nagle, zrozumiawszy, co się dzieje poderwałem się na równe nogi.

No tak, zaczyna się.

Cholerna maska. A przecież proponował mi tworzący ją mistrz, że dołoży kilka bajerów. Zupełnie nieszkodliwe, niemal zgodne z prawem... I żądał za tę przysługę pełne grosze. Ale mnie się wydawało, że wydawanie pieniędzy na takie bzdurne drobiazgi jest niewybaczalnym marnotrawstwem. Och, gdybym wiedział... Zapłaciłbym nawet więcej.

Cholewcia, gdybym wiedział, że upadnę, podłożyłbym słomkę.

Dobra, żarty żartami. Wydaje mi się, że nieszczęście podkradło się do mnie od tej strony, z jakiej się go nie spodziewałem. Jeśli w ciągu najbliższej godziny gdzieś nie przyłożę głowy, to mizerna moja dola.

Dlaczego? Bo włączy się mój podprogram i zmusi mnie do snu. Nic na to nie poradzę. Oczywiście, tam, w realnym świecie, gdybym musiał, mógłbym nie spać i trzy doby.

Tu takie numery nie przejdą. Osławiony podprogram to coś w rodzaju wyłącznika, wmontowanego w moją maskę przez jej twórcę. Za godzinę wyłącznik zadziała, a ja pogrążę się we śnie, niewątpliwie bardzo mi potrzebnym, i przychodzącym o właściwym czasie, jak pijany typ, co się pojawia w twojej sypialni i drze się idiotycznie: „Przyszedłem cię rozweselić!”.

Oczywiście, w chwili, kiedy postanowiłeś poznać szczegóły figury pewnej cholernie kuszącej osoby, za którą od kilku lat się włóczyłeś.

Gdy zasnę, stanę się łatwą zdobyczą. Wystarczy podejść i schwytać gołymi rękami. Podejdą i chwycą. Po czym z radosnym chichotem, przewidując otrzymanie sutej nagrody za schwytanie mojej skromnej osoby, skasują.

Zaraz, czy ja nie przesadzam w panikowaniu? Mam jeszcze całą godzinę. Muszę działać, a nie marnować czas na bezsensowne rozmyślania.

Wstałem i poszedłem alejką do wyjścia z parku. Już tu bywałem i dlatego nie bałem się, że zabłądzę. Minąłem niewielki staw, w którym pływało kilka nienaturalnie białych łabędzi, minąłem łąkę, na której urządziła sobie piknik grupka chłopców i dziewcząt. Młodzieńcy, wydawało się, należeli do tych miłośników przyrody, dla których cały sens obcowania z nią polega na tym, że towarzyszą mu nieumiarkowane ilości napojów wysokokowych. Maski dziewczyn wykonano z pewnymi pretensjami na oryginalność, ale nie specjalnie mocnymi. Takie tam - barachło, inaczej - popelina.

Dobrze by było, żeby ci kandydaci do zakonu czerwonego kinola nie zwrócili na mnie uwagi. Czasem jest tak, że pijacy posiadają potworną spostrzegawczość i pamięć.

Miałem nadzieję, mocno się łudziłem, że będę miał fart i ta młodzież mnie nie zapamięta. W końcu, kiedyś mój pech musi się skończyć? Dobrze by było, żeby to się stało teraz. Na zasadzie rekompensaty... Zresztą, prócz zasady rekompensaty istnieje też prawo podłości.

Gdy wesołe towarzystwo zostało za mną, przyspieszyłem. Musiałem możliwie szybko wyjść z parku. Tu nie miałem gdzie się ukryć, a w mieście może się do mnie uśmiechnąć szczęście.

Jakiś roztargniony turysta mógł wracając do wielkiego świata zapomnieć zamknąć drzwi do swego domu, a jeśli nie przypomni sobie o tym przez najbliższe osiem godzin, to będę mógł się wyspać. Oczywiście - szans na to nie mam za wiele. Ale jaką mam alternatywę - poddać się? Podnieść łapki? O nie, niedoczekanie ich!

Musiałem jak najszybciej dostać się do miasta. Znowu przyspieszyłem. Ścieżka zawiodła mnie do pomnika Pétrie Jerva, autora słynnej powieści „Na pusty żołądek”. U podnóża rzeźby, na ławeczce, siedziała zakochana parka. Chłopiec i dziewczyna oddawali się z zapamiętaniem temu, czemu z zapamiętaniem oddają się wszyscy zakochani idioci w najbardziej odpowiednich i nieodpowiednich ku temu miejscach, a mianowicie całowali się. Nad ich głowami krążył dość fajnie wykonany gołąbek. Do jego łapek przywiązano wywieszkę *Please do not disturb*. W chwili, gdy przechodziłem obok ławeczki, prawa ręka chłopaka przemieściła się ze zgrabnej talii dziewczyny nieco niżej. Widocznie ruch ten nieco przekraczał zwyczajowy repertuar pieszczot zakochanych, ponieważ dziewczyna usiłowała nieco odsunąć się od kawalera i cicho krzyknęła. Zresztą, już chwilę potem uspokoiła się i ponownie przyłgnęła do ust ukochanego.

Pokręciłem głową.

W porządku, przynajmniej tymi się nie muszę kłopotać. Mają, zdaje się, swoje problemy. Tylko po diabła przyleźli do cybera? Nacałować się do syta? Czy nie można się tym zajmować w realnym świecie? Czy do wykonania tak prostej czynności potrzebne są maski? Chociaż... kto wie, może ci wspaniali zakochani w rzeczywistości tam, w wielkim świecie - multimilionerzy, mają po siedemdziesiąt lat? Może maski, jakie przed chwilą widziałem, są nabyte nielegalnie? Tylko po

to, żeby znowu przeżyć wrażenia z młodości, ponownie poczuć się młodymi i pięknymi. Świat cyberów może zaszerwować i takie przyjemności. Ale nie za pieniądze, tylko za bardzo duże pieniądze. Na takie rzeczy mogą sobie pozwolić tylko nieliczni, bardzo nieliczni.

Może to zresztą wcale nie są turyści, a wytwór jednego z kukaracz, który uznał, że pomnik znakomitego pisarza wymaga pewnego uzupełnienia? Miną lata, dziesięciolecia, a ci dwoje, dopóki nie skończy się zasilająca ich energia będą przez cały czas siedzieć na tej ławce i całować się. Ponieważ ich czynności nie wyróżniają się ani złożonością, ani różnorodnością, to nie wymagają dużego wydatku energetycznego i wszystko to może trwać bardzo długo...

Boże, a co mi do tych zakochanych?! Mam swoje problemy. Dokładnie - jeden: jak znaleźć dom, w którym da się spokojnie pospać. Znajdowałem się już przy koronkowej arce, zdobionej wielkimi, wielkości piłek futbolowych, kwiatami, arce będącej wyjściem z parku, gdy zwałił się na mnie drugi atak senności.

Już nie starał się podkradać. Zwałił się na mnie jak tsunami, zwałił się, spróbował pochłonąć, porwać ze sobą, tam, gdzie kusząco pluskały ciepłe morza nieczułości, ukryte za mgłą niepamięci; chwycił mocno za ramię, nawet nie bawiąc się już w sugestie, a głośno i władczo, z pozycji siły, powiedział, że jeśli mu się nie poddam, to zetrze mnie na pył.

Lub nawet inaczej - to nie był rozkaz, to był ryk, i czuło się w nim taką niezwykłą wściekłość, że sprzeciwić się mu nie potrafiłby nikt. Chyba, że ja. Wcale nie dlatego, że jestem taki ostry zawodnik. Ja walczyłem o uratowanie własnego życia, a kiedy sprawy dochodzą do ratowania życia, to zwyczajny człowiek staje się silny jak lew. o ile, rzecz jasna, uświadomi sobie, że wymaga się od niego właśnie tego.

Ja zdążyłem. Uświadomiłem sobie. Oparłem się. I mimo, że mocno mną trzepnęło, to jednak nie zmyło i nie zwaliło.

Pewnie dla jakiegoś postronnego obserwatora wyglądało to zabawnie. Zwyczajny turysta ni stąd ni zowąd zaczął nagle kreślić stopami dziwaczne figury, jakby usiłował zwalić się na bok zahaczając głową o jedną z kolumn, podtrzymujących arkę. Majtało mną z jednej strony w drugą, jak bielizną na wietrze. Jedna noga za wszelką cenę chciała podstawić drugiej haka, oczy same mi się zamykały, ale wytrzymałem i ustałem na nogach. A potem atak się skończył i mogłem się rozejrzeć.

Na szczęście nikt z postronnych mnie nie obserwował. A ja już widziałem peryferie miasta, miałem je w zasięgu ręki. Obejrzałem się na wszelki wypadek i chyba wybrałem sobie na to odpowiednią chwilę - akurat w tym momencie nie wiadomo skąd nadleciał wiatr i doniósł do mnie zapach świeżych kwiatów, tak mocny i oszałamiający, że nigdy dotąd w realnym świecie takiego nie czułem. Ale to jeszcze nie wszystko. Ponieważ zaraz za tym zapachem wiatr przyniósł z parku liść, a ten, jakby przybijając niewidzialną pieczęć, na krótką chwilę przykleił się do mojego policzka, by za chwilę odpaść i zgodnie z wolą wiatru ulecieć i zniknąć z pola widzenia.

To dotknięcie, i ta pozostawiona na moim policzku pieczęć nagle spowodowała, że zrodziła się w mojej głowie prosta myśl, zupełnie mi do szczęścia w danej chwili niepotrzebna, ale jednocześnie przynosząca ukojenie i ulgę, być może dlatego, że wiało od niej również soczystym kwiatowym aromatem?

Myśl dotyczyła tych sławetnych, zupełnie niepotrzebnych nikomu na swojej głupiej ławeczce zakochanych. Nagle pomyślałem, że jest jeszcze jedno, dotąd nie przychodzące mi

do głowy wyjaśnienie ich istnienia. Najbardziej nieprawdopodobne, najgłupsze z możliwych.

Być może ci zakochani wcale nie są turystami i nawet nie stworzył ich nieznany kukaracza, który nagle postanowił ozdobić park alegoryczną, ruchomą rzeźbą? Może są oni zwyczajnym odbiciem, projekcją realnie istniejącej zakochanej parki, co to gdzieś tam, w wielkim świecie, w tej samej chwili siedzi na ławce w jednym z rozrzuconych po powierzchni Ziemi parków i konsumuje namiętny, najśłodszy z możliwych pocałunek?

Nieważne jak powstała ta projekcja. Być może nie bez pomocy wypełniającej cyber i stale zmieniającej się informacji. O tym nie chciało mi się myśleć.

Oczarowała mnie pewna, nagle powstała możliwość. Być może wcale niepotrzebne są te ucieczki, strzelaniny i poszukiwania kryjówek? Może wystarczy bym wrócił do pomnika, oderwał od siebie tę parę młodych idiotów i wyjaśnił im kim jestem, co się ze mną stało i co powinni zrobić.

Już nawet zrobiłem kilka kroków z powrotem do parku, ale się rozmyśliłem. Ten pomysł, to nie było nawet chwytnie słomki. Nie wolno chwytać się za słomkę, która nie istnieje. Bo nawet jeśli mój domysł jest słuszny, to żadnej pomocy od zakochanych nie mogę otrzymać - jeśli są projekcją, to są w cyberze dlatego, że przeżywane przez nich emocje weszły w rezonans z informacyjnym polem cybera. Bardzo to rzadki, niemal wykluczony z praktyki przypadek. Dlatego więc, gdy tylko przerwę pocałunek ich emocje wypadną z rezonansu i projekcja zaniknie.

Westchnąłem.

Ci smarkacze nigdy nie dowiedzą się, że swoim istnieniem

podarowali kilka sekund nadziei na ratunek pewnemu człowiekowi, posiadaczowi wielkich problemów. Czy nie pora wrócić do jednego z nich? Odwróciłem się plecami do parku i poszedłem do miasta. Tam należało szukać ratunku. Nie wykluczone też, że właśnie tam czeka mnie koniec żywota. Zależy jak mi się powiedzie. Kto nie ryzykuje, szampana nie skosztuje.

Pierwsze budynki znajdowały się na wyciągnięcie ręki. Dokładnie po pięciu minutach usiłowałem już otworzyć drzwi domu, który wydał mi się odpowiedni do zamieszkania przez człowieka, którego roztargnienie miało mi uratować życie.

A jakże!

Zamiast gościnnie się otworzyć, drzwi wysunęły ze swojej płaszczyzny paskudny pysk wyposażony w ostre zębiska i dość uprzejmie zapytały:

- Czego?
- A co ciebie to obchodzi? - warknąłem, udając się dalej.
- Jak cię capnę za wiadome miejsce, to się dowiesz, co - syknęły drzwi na pożegnanie.

Nawet się nie odwróciłem. Po co miałem tracić drogocenny czas na bezużyteczne sprzeczki. Czasu miałem coraz mniej i mniej, ubywało go jak tlenu w płucach tonącego człowieka.

Następne drzwi wyglądały bardzo kusząco. W górnej ich części pracowicie machał skrzydłami różowutki, jakby właśnie wypadł z sauny, aniołeczek, w dolnej pracowicie niszczyła trawę utuczona ponad miarę łania o nieprawdopodobnie cienkich nóżkach. Cały środek drzwi zajmował wykaligrafowany wytwornie napis „Miłosierdzie jest jedyną drogą do życia pocziwego”.

Czyż można przejść obojętnie obok takich drzwi?

Pchnąłem je. I natychmiast aniołeczek zapytał słodziutkim

głosikiem:

- Jesteś w potrzebie?
 - I to jak jeszcze - odpowiedziałem. - Oczywiście, że w potrzebie.
 - W potrzebie ducha czy ciała?
 - I jednej, i drugiej.
 - Dlaczego cierpi dusza twa? - zainteresował się aniołeczek.
 - Może dlatego, że w naszych czasach tak wiele jest ludzi, którzy odrzucili wyciągniętą ku nim miłosierną dłoń?
 - To też. - Usiłowałem utrzymać na obliczu wyraz twarzy skruszony i postny. - Ale jeszcze bardziej dlatego, że lada chwila dusza ma rozstanie się z grzesznym ciałem, które dotychczas zamieszkiwała.
 - Aha - powiedział aniołeczek takim tonem, jakby wszystko zrozumiał. - To tak to jest?
 - Właśnie. Jestem z tych, których duszę można jeszcze uratować. Ale najpierw trzeba się trochę zaopiekować moim ciałem. Grozi mu o wiele większe niebezpieczeństwo.
 - Oczy aniołka nagle zwężyły się. Nie nazwałbym ich w tej chwili dobrymi i czułymi.
 - Nic nie jest ważniejsze od duszy - powiedział metalicznie brzmiącym głosem. - Myli się ten, co najpierw dba o ciało, a dopiero potem o duszę. Radzę ci dobrze rozważyć tę myśl i wejść w końcu na drogę cnoty.
 - Ja już to rozważyłem, naprawdę - powiedziałem szybko. - I chciałbym nawet od teraz wejść na tę właśnie drogę, ale najpierw...
- Bach!
- Aniołeczek zniknął z głośnym trzaskiem, a na jego miejscu pojawił się serafin z ponuro zaciśniętymi wargami, płonącymi oczami i ogromnym połączonym mieczem w ręku.

- Ukorz się grzeszniku przez wojownikiem Bożym! - odezwał się głębokim basem. - Ukorz się i pokajaj.

Westchnąłem ciężko.

Tu też plama. Żeby to diabli z tymi wszystkimi świętoszkami. Żeby to diabli.

- Czy to znaczy, że trwasz w uporze? - zapytał serafin i zamachnął się na mnie mieczem.

Łania przestała szczypać trawę i zaczęła się wydierać cienkim głosikiem:

- Pokajaj się! Pokajaj, póki nie opadła karząca dłoń.

Machnąłem ręką i ruszyłem dalej, wypatrując kolejnych drzwi. I zobaczyłem je, niemal niewidoczne, ozdobione tylko jednym, podobnym do słonecznika kwiatem. Wydało mi się nawet, że są tylko przymknięte i wystarczy do nich podejść...

Nie, to niemożliwe. Nie ma takiego idioty, który nie tylko zapomniałby o zamknięciu na zamek drzwi w cyberze, ale jeszcze zostawiłby je uchylone, jakby zapraszając nieproszonych gości? Musiało mi się wydawać.

Zrobiłem kilka kroków w tamtym kierunku, dokładnie zobaczyłem, że są przymknięte i nagle zatrzymałem się.

Zbyt łatwe to, zbyt proste. Nie może tak być. Chociaż... Może tak być, pod jednym warunkiem: niedomknięte drzwi są pułapką. Pułapką na kogo zastawioną? Na mnie, wiadomo, na kogo by jeszcze?

A jeśli się mylę i ominę jedyną szansę na ratunek, ominę nieprawdopodobny sprzyjający zbieg okoliczności z gatunku tych, co się trafiają tylko takim durniom, jak ja?

Szczęście to, czy pułapka?

Czasu zostało bardzo mało. Trzeba się na coś decydować, teraz, już, natychmiast.

Ech, żyje się tylko raz!

Przeżegnawszy się w myślach zrobiłem krok do drzwi, sięgnąłem do klamki...

I nagle poczułem falę emocji.

Jaka tam fala! To było uderzenie pałą w czubek głowy. Otaczający mnie świat stał się nienaturalnie wyraźny, a potem z delikatnym cichym brzęknięciem, jakie towarzyszy pękającym bombkom choinkowym, pękł na mnóstwo kwadracików. W akompaniamencie czarującej melodii zawirowały wokół mnie, stały się różnokolorową zamiecią, potem zawirowały jak trąba powietrzna, uderzyły w moją twarz, i to tak mocno, że ugięły się pode mną nogi.

Zachwiawszy się, ale jednak utrzymawszy na nogach, zrobiłem krok do przodu, nieludzkim wysiłkiem uwolniłem od pęt snu, znowu zobaczyłem klamkę tych zbawiennych drzwi, i już nie myślałem, że za nimi może być pułapka, tylko o tym, że muszę ją pociągnąć... i tylko na moment, na momencik...

Zasłona z kwadracików ponownie odcięła mnie od otaczającego świata.

Zdążyłem jeszcze usłyszeć, jak przez usypiającą melodyjkę przedarło się skrzypienie otwieranych drzwi, znowu zrobiłem krok do przodu, już nie widząc, dokąd idę, potknąłem się o coś i zacząłem upadać.

I, rzecz jasna, upadek trwał wiecznie, towarzyszyło mu ciche, niemal nieśmiałe współczucie i żal, że nie udało mi się uratować, a skończył się ten upadek, jak tego należało oczekiwać, całkowitą, absolutną ciemnością.

6.

Światło. Rozbłyśki. Poruszająca się we mgle dziewczyna.

Chyba ładna. Tancerka.

Po co tańczy? I w ogóle - po co mi tancerki, skoro umarłem? Umarłem? Skoro umarłem, to dlaczego ją widzę, dlaczego jestem zdolny do myślenia? Tak być nie może, przecież tam, za granicą życia i śmierci nie ma niczego: ani myśli, ani uczuć, ani dziewczyn. Czy może są? Może są hurysy mahometańskiego raju. Może trafiłem akurat tam. Ale jak to możliwe? Jakiś fantastyczny, cudowny, nieprawdopodobny zbieg okoliczności? Nie, to się nie zdarza.

A skoro się nie zdarza, to nie pozostaje mi nic innego, jak znaleźć dla tego, co tu się dzieje najbardziej racjonalne wytłumaczenie. Coś mi się wydaje, że nie będzie o to trudno. Zwłaszcza teraz, w danej chwili, ponieważ z mych oczu opadła już kurtyna, ponieważ mogę jasno myśleć, ponieważ...

Tak, wszystko się zgadza.

Jaki - do licha - tamten świat? Zrozumiałem, że leżę na plecach w niewielkim pokoju, sufit którego ozdobiony jest wizerunkiem tańczącej dziewczyny, rzeczywiście bardzo ładnej, bardzo podobnej do tej dziennikarki, która usiłowała mnie zatrzymać chwilę przedtem, zanim zwałem swoim prześladowcom do kuli reklamowej.

Do tego - jakimś cudem byłem jeszcze żywy, a w trakcie snu nie wpadłem w łapy swoich prześladowców.

No właśnie, jak to się stało? Kto mnie ukrył i do czego mu to było potrzebne?

Żeby otrzymać odpowiedź na to pytanie wystarczyło odwrócić lekko głowę. Al-le numer! Któż to znajomy kręci się w polu mojego widzenia? Nie Nobbin to? Oczywiście, że on.

- No, ocknąłeś się, palancie - czule odezwał się Nobbin. - Odchrapałeś się, bydlaku. Możemy teraz pogadać.

Mówiąc to przypominał jakoś starego dobrego papcia, który

nagle odkrył, że jego synalek, jedyna nadzieja i duma rodu, w rzeczywistości jest koszmarnym matolem, którego należy bezlitośnie wysmagać, przy tym im szybciej tym lepiej.

- Sam jesteś palantem - burknąłem. - Przy tym ze wszystkich palantów, jakich w życiu widziałem, jesteś najbardziej obrzydliwy i wstrętny.

Nobbin w zamyśleniu pokręcił głową i spróbował sprecyzować:

- No to w końcu obrzydliwy czy wstrętny?

- Jedno i drugie, razem. A przy tym tępy, złośliwy, chciwy, podły, ohydny i obsmarkany wytrzeszcz, z grubym zadkiem.

- A obsmarkany niby dlaczego? - zapytał oszołomiony Nobbin.

- Dlatego! - odpowiedziałem znacząco i usiłowałem wstać.

Akurat! Nie udało się. Nawet nie mogło się udać. Wykonawszy porządnego zeza w dół ciała zobaczyłem, że leżę na jakiejś platformie w pozycji ukrzyżowanej. Zamiast gwoździ, zwyczajowo używanych do krzyżowania, użyto czterech silnych rąk, wyrastających bezpośrednio z powierzchni platformy i mocno trzymających moje nadgarstki i łydki.

- Niech to licho - powiedziałem. - Po coś to zrobił?

- A po to, że zauważyliśmy jaki szybki z ciebie Bill. Nie chcielibyśmy, żebyś wykręcił kolejny numer zanim z tobą porozmawiamy.

My?

Szybko rozejrzałem się.

No tak! Byli tu wszyscy. Nobbin, Hobbin, Plotka i jeszcze z dziesięć tułaczych programów. Nie wyglądały specjalnie przyjaźnie. Plotka miał swój wzrok na ramieniu, a przez cały jego brzuch biegł napis „Bardzo zatroskany”.

Pewnie powinienem był powiedzieć coś w stylu: „Wy świnię!”. Ale nie postąpiłem tak. W końcu - co to, rodzina moja? Oczywiście, jestem w tarapatach, wielkich tarapatach, ale dlaczego akurat oni mieliby się tym przejmować? Dla nich najważniejsza sprawa, to żeby mogli żyć tak, jak chcą, i żeby nikt nie stwarzał im problemów. A ja, tak mi zaczęło wydawać, w ostatnim czasie stałem się dla nich wielkim problemem, na tyle wielkim, że postanowili coś przedsięwziąć.

Ciekawe, wydadzą mnie w ręce tym, którzy na mnie polują? Nie, to głupota, nie. Gdyby zamierzali oddać mnie w ręce gliniarzy, to już by to dawno zrobili. Chociaż, kto wie? Najprawdopodobniej odbędzie się tu zaraz coś na kształt narady, na której zdecydują o moim losie. Zupełnie nie da się przewidzieć, do jakiego wniosku mogą dojść te tułacze programy.

No, dobra. Zobaczymy. Może trafi mi się szansa wykiwania tego zespołu.

- Porozmawiajmy.

Postarałem się odpalić jeden z najbardziej przyjaznych uśmiechów, posiadanych w arsenale. Co prawda, obawiam się, podobny był do uśmiechu, jakim wita leśniczego zaplątany we własne sidła pechowy kłusownik.

- No to świetnie.

Nobbin skinął głową i machnął ręką do swych towarzyszy. Pokój, w którym się znajdowaliśmy, nie należał najprawdopodobniej do tanich, sklepanych przez jakiegoś kukaracę chałturszczyka. W każdym razie wyposażony został w stojące pod ścianami wygodne fotele. Gdy tułacze programy rozsiadły się, Nobbin zaczął:

- Zebraliśmy się tu po to, by zdecydować o losie tułaczego programu zwanego Essutil Quack. Zrodził się on w naszym

cyberze niedawno, ale już zdążył...

- Dobra tam, dość tej demagogii - przerwał Plotka. - Sedno nie leży w tym, że istnieje sobie fajny facet, któremu depczą po piętach gliniarze, przewodnicy i jeszcze jakiś szubrawiec, który w podły i ohydny sposób buchnął mu ciało. Informuję tych, co nie znają całej historii. Zrozumiały więc, że cała ta banda aż się trzęsie, by go wykończyć. A on, rzecz jasna, marzy tylko o jednym - nie dać się zabić.

Któryś z tułaczych programów cicho gwizdnął, któryś wydał z siebie aprobujący odgłos.

- Wiadomo, to zuch - powiedział Hobbin. - Tylko, że ratując swą skórę rozwścieczy! swych prześladowców. Wydaje się, że teraz, żeby go pojmać, są gotowi do niebezpiecznych ruchów. Powtórzę: do bardzo niebezpiecznych ruchów. Rozumiecie, co to oznacza?

Siedzący nieopodal Hobbina człowieczek w czarnym smokingu o wąskiej smągłej twarzy i czarnymi wąsikami, widocznie zajmujący się zabawianiem turystek w balzakowskim wieku, podniósł z roztargnioną miną prawą rękę i - nacieszywszy wzrok zdobiałym wskazujący palec sygnetem z ogromnym brylantem, powiedział cicho:

- Totalna czystka.
- Tak właśnie - potwierdził Hobbin. - Totalna czystka.
- Skąd wiesz, że oni mimo wszystko na to pójdą? - zapytał Gnomek, którego widziałem już w tawernie „Blood Mary”.

- Bardzo prawdopodobne - wyjaśnił Plotka. - Godzinę temu postawili ultimatum. Albo wydamy Essutila Quacka, albo dokonają totalnej czystki.

- Ile mamy czasu? - zainteresował się Gnomek.
- Trzy godziny, a z tego jedna już minęła. Tak więc: zostały dwie. Niewiele, prawda?

- Może bluffują? - wyraził przypuszczenie Gnomek.
- Może i tak - powiedział Plotka. - Jednakże szansa na to, że się zdecydują na czystkę, jest bardzo wysoka. Jeszcze wczoraj w środkach masowej informacji tam, w wielkim świecie, panowała zupełna cisza. Gazety rozpaczliwie szukały czegokolwiek o cechach sensacji. I w końcu znalazły. Cyber-12, w którym pojawił się tułaczy program, napadający na przewodników, w którym to cyberze w każdej sekundzie może wybuchnąć kolejna strzelanina. I tak dalej... W innej sytuacji nikt by nawet nie zwrócił uwagi na to uwagi, ale dzisiaj!.. Komentatorzy halowizji nic tylko smakują szczegóły. Występują różne uczone pniaki i wysuwają zupełnie idiotyczne teorie, wyjaśniające powstanie takiego psychicznego tułaczego programu. Państwowi urzędnicy, których urzędy mają jakikolwiek związek z cyberami, udzielają wywiadów, w których składają wielopiętrowe przysięgi zaprowadzenia we wszystkich cyberach, a w pierwszej kolejności w naszym, idealnego porządku. Przewodniczący stowarzyszenia przewodników oświadczył, że wyznaczył nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy infobucksów za zniszczenie tułaczego programu o imieniu Essutil Quack. No... i tak dalej... i wszystko inne w tym i podobnym stylu. Myślę, że na to nie ma co zwracać większej uwagi, ponieważ za kilka dni wrzawa ucichnie. Tak więc, nie musimy o tym mówić. Jednakże musimy rozważyć ultimatum. To jest sprawa poważna.

- Ultimatum przekazał sam naczelnik gliniarzy? - zainteresował się jeden z tułaczy programów.

- Własną osobą - odpowiedział Plotka.

- Oho!

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Tułacze programy

wpadły w zamyślenie.

Po jakichś trzech minutach zdecydowałem, że nadeszła pora na jedno pytanko, które bardzo mnie interesowało.

- Co to jest totalna czystka?

Nobbin wpił we mnie zdziwione spojrzenie:

- Czyżbyś nie wiedział?

- Nie - przyznałem się szczerze i bez bicia. - Nawet nie słyszałem o tym ani razu.

- To dlatego, że wykonuje się ją bardzo rzadko - wyjaśnił Hobbin. - W ogóle, totalna czystka, to operacja kosztowna i to bardzo. Do tego, żeby ją wykonano w jakimś cyberze, konieczne są wystarczająco ważne przyczyny. Ale jeśli już się ją wykonuje, to umarł w butach. Po totalnej czystce w tym cyberze, w którym jest wykonywana, pozostają tylko dozwolone przez prawo programy, tylko domy bez najmniejszych odchyień, zbudowane według wszelkich prawideł, tylko te reklamy, przy wykonaniu których przestrzegane były wszystkie niezliczone zasady i postanowienia, poza tym domy handlowe i instytucje rozrywkowe z tych, które nie odstępują od prawa ani na jotę. Cała reszta jest bezlitośnie likwidowana. Krótko mówiąc, dla wszystkich, którzy w swej działalności cichutko wysuwają się poza ramy praworządności - totalna czystka jest czymś w rodzaju Armageddonu.

- Właśnie-właśnie! - odezwał się Gnomek. - Jeśli do tego dodać, że nasz cyber nie należy do bardzo bogatych i kwitnących, to łatwo zrozumieć, że niemal każdy jego mieszkaniec, żeby wiązać koniec z końcem, musi od czasu do czasu złamać ten czy inny przepis. Jak myślisz, co zostanie z naszego cybera po totalnej czystce?

Skinąłem głową ze zrozumieniem.

Zgadza się, miał rację co do joty. Żeby uratować własne

życie zamierzałem rozpętać wielką burzę, i rozpętałem. Wynika jednak z tego, co usłyszałem, że mieszkańcom cybera może ona wyjść bokiem.

Plotka w zamyśleniu pokiwał głową i cicho powiedział:

- Tak, chłopcze, za bardzo się rozkręciłeś. Szczerze mówiąc, byłem pewien, że postarasz się rozdmuchać aferę. Ale nie na taką przecież skalę!

Rozeźlił mnie, więc zapytałem:

- A na jaką, do licha? Co miałem robić - stać i czekać aż mnie odstrzelą?

- No-o-o-o...

Plotka wyraźnie się skonfundował. Jego wzrok przeniósł się na podłogę i nerwowo po niej biegał.

- W ogóle - powiedziałem - mam dość leżenia na tym stole. Może byście mnie łaskawie uwolnili? Nie ucieknę wam. Jak, zresztą mam to zrobić, skoro siedzi tu dziesięciu zdrowych łebasów? A zresztą, dokąd mam uciekać? No, wypuście!

Hobbin i Nobbin wymienili spojrzenia. Nobbin wystukał stopami krótki rytm, a potem powiedział:

- Dobra, mnie się wydaje, że teraz, kiedy on jest na bieżąco z całą sprawą, możemy go uwolnić. A uciec i tak mu się nie uda.

Ulubieniec wdówek krzywo się uśmiechnął, wysunął z dłoni długie cienkie ostrze i, przyglądając się mu w zamyśleniu, jakby widział pierwszy raz w życiu, oświadczył:

- To prawda. Uciec mu się nie uda. Niech nawet nie próbuje.

Hobbin wyemitował gwałtowne, podobne do zmijowego, syknięcie.

Natychmiast cztery utrzymujące mnie ręce znikły, gwałtownie usiadłem na krawędzi platformy i szybko

sprawdziłem własne kieszenie. Wszystko było na swoim miejscu, z wyjątkiem, rzecz jasna, pistoletu.

Szkoda, fajna armata. Pomogła mi nieźle.

Wyciągnąłem na pocieszenie papierosa i zapaliłem z przyjemnością. Dobra, teraz możemy pogadać. Nie ma sytuacji bez wyjścia. Są tylko ludzie, którzy nie potrafili wymyślić jak wykręcić się z kolejnej pułapki, zastawionej przez los, cynicznego kpiarza.

Hobbin ponownie syknął, platforma, na skraju której siedziałem, błyskawicznie rozplynęła się w powietrzu. Od upadku na podłogę uratował mnie miękki fotel, identyczny jak te, w których siedziały inne tułacze programy - błyskawicznie wyrósł z podłogi i pochwycił w swe objęcia moje ciało.

- Pamiętaj - upomniał mnie Gnomek - nawet jeśli uwolniliśmy cię, to nie oznacza, że lekceważymy warunki ultimatum.

- A pewnie, doczekam się od was współczucia - burknąłem.

- Musiałyby się świat zawalić.

- Nawiasem mówiąc - odezwał się Nobbin - mogliśmy oddać cię gliniarzom od razu po tym, jak wlałeś do tego pomieszczenia i zasnąłeś jak suseł.

Uśmiechnąłem się krzywo.

- Ale nie oddaliście. A to znaczy, że mieliście ku temu ważne powody. Bardzo chyba ważne. Czy może się mylę?

Ha! Nie wiedzą jeszcze z kim mają do czynienia. Nie każdy może być komiwojażerem. To bardzo trudna praca. Wyobraźcie sobie, że przychodzicie do zupełnie nieznanego wam domu, widzicie ludzi, którzy mają was w nosie, i wasz towar, może nawet cały świat mają w nosie. Musicie błyskawicznie oszacować, co za ludzi macie przed sobą, odgadnąć ich słabe strony i pasje, a potem, dosłownie pierw-

szymi słowami dać im do zrozumienia, że jesteście tą osobą, która może znacznie ułatwić im życie. Jeśli się to wam uda i w czasie toczącej się dalej rozmowy nie popełnicie żadnego błędu, ani razu nie pozwolicie im zwątpić w to, że sprawa tak właśnie się przedstawia - są wasi. Ważny tu jest każdy gest, każde słowo, każde spojrzenie. Szczególnie spojrzenie. Możecie długo i z powodzeniem kitować kogo chcecie, ale z powodu jednego nieostrożnego spojrzenia tracicie wszystkie owoce swej ciężkiej pracy. Ciężkiej? Oczywiście, że ciężkiej. Czy można nazwać łatwą pracę, która wymaga od was byście przez pół godziny doskonale kontrolowali swą mowę, mimikę, wyraz oczu, a wszystko po to, żeby jakimś jeleniom opchnąć dwie czy trzy butelki nowego środka do mycia? W najlepszym przypadku, jeśli wam się powiedzie, możecie upchnąć odkurzacz, i to będzie dużym fartem. Pytam więc raz jeszcze, czy można taką pracę nazwać lekką?

Do waszej wiadomości - zajmuję się tą pracą już od dziesięciu lat i nie zamierzam się przekwalifikowywać. Dlaczego? Dlatego, że cała ta praca gwarantuje mi dość znośną egzystencję.

Jeszcze raz rozejrzałem się. Jakoś nikt nie śpieszył się z odpowiedzią na moje pytanie. A to znaczyło jedno - trafiłem w dychę. No, chłopcy i dziewczęta, kto najodważniejszy?

Okazał się nim Plotka. Widocznie czuł się w jakiś sposób za mnie odpowiedzialny. A może ciągle miał nadzieję, że odzyska swój infoszmal.

- Świetnie - odezwał się. - Zgadłeś. Mieliśmy ważne powody. Właściwie - jeden powód, ale bardzo ważki.

Westchnąwszy Plotka usiadł wygodniej w fotelu, splótł palce i, głośno strzeliwszy stawami, popatrzył pytająco na Nobbina. Ten ledwo zauważalnie skinął głową. Zmarszczyłem

brwi, byłem zły.

Tanie sztuczki. Szczególnie tu, w cyberze. Program, odtwarzający trzask stawów w palcach kosztuje zaledwie kilka infobucksów, nie więcej.

- Ultimatum stawiają nam nie po raz pierwszy - zakomunikował Plotka. - Gliniarze śpią i śni im się, że potrafili zapanować nad tułaczymi programami. Bo kto, prócz nas, ma pojęcie o wszystkich ciemnych sprawach dziejących się w cyberze? Kto lepiej niż my potrafi zdobyć kompromitujące dane o określonym turyście? To system stary jak świat. Żeby podtrzymywać prawo, czy tylko pozory prawa, stróże porządku rozpaczliwie potrzebują współpracy z tymi, którzy potrafią je łamać. O ile wiem, w historii wielkiego świata zawsze tak było. Teraz gliniarze usiłują wdrożyć tu, w cyberach, ten sam system.

Obrzuciłem spojrzeniem pokój, siedzące w nim tułacze programy i oszołomiony podrapałem się po głowie.

To ci numer! Nie, takie coś nie może mieć miejsca. Okłamują mnie. Kitują na całego. Bo z tego wynika - że w tym świecie ktoś, nawet nie żywi ludzie, a jakieś tułacze programy usiłują obronić takie głupie i zapomniane przez wszystkich pojęcie jak wolność? Tam, w wielkim świecie, słowo „wolność” dawno przekształciło się w nic nie znaczący zestaw dźwięków, w zszarganą szmatę, tak już brudną z powodu długiego używania w najbardziej parszywych celach, że co bardziej obrzydliwi ludzie wstydzą się brać ją do ręki, a tu...

Jeszcze raz przyjrzałem się im. Po kolei, każdemu w szczególności. Hobbin, Nobbin, Plotka, Gnomek, miłośnik podstarzałych damulek, i całej reszcie.

Hm, a może mówią prawdę? Nie, nie może być. Ktoś tu usiłuje mnie jeszcze raz, cynicznie i aż do bólu łatwym

sposobem, wykiwać i zostawić na lodzie. Potem, kiedy wszystko się skończy i nie będę już potrzebny, ci właśnie miłośnicy wolności z sytymi, zadowolonymi uśmieszkami, wbiją mi twarz w szambo.

To się już zdarzało, i to niejednokrotnie.

- Hej, bracia, on nam nie wierzy - powiedział Plotka. - Ten sukinsyn ośmielił się nam nie wierzyć!

- A z jakiej to racji mam ci wierzyć? - Wyszczrzyłem w jego kierunku kły. - Skąd mam wiedzieć, co masz w głowie i co sobie tak naprawdę wymyśliłeś? Nie, kochany, na ten haczyk ja już nie wezmę. Lubię, jak mi się mówi prawdę, albo przynajmniej coś, co w niewielkim przynajmniej stopniu zawiera prawdę.

Wzrok Plotki wskoczył mi na kolana i zaczął cienko kwilić. Na brzuszku widniał malinowy napis: „Jesteś świrem!”

- Masz pełne prawo nam nie wierzyć. - Plotka wzruszył ramionami. - Jednakże czas płynie i musimy coś wymyślić. O ile przed ogłoszeniem ultimatum mogliśmy wydać Essutila gliniarzom, to teraz, gdy postawili nas przed wyborem, nie możemy pokazać im swej słabizny. Inaczej bardzo szybko znajdzie się powód do kolejnego ultimatum. I wtedy już nie będziemy mogli nie postąpić tak, jak tego sobie życzy gliniarnia. A trzeciego ultimatum po prostu już nie będzie. Po co to glinom, skoro mogą nam po prostu rozkazywać? Rozumiecie, co mam na myśli?

Gnomek z poważną miną skinął głową i oświadczył:

- Oczywiście, że rozumiemy to wszystko, Jednakże, jeśli nie zgodzimy się na żądania gliniarni, to oni po prostu przeprowadzą tę totalną czystkę. Czy potrzebna jest wolność tym, co przestali istnieć?

- Po pierwsze, potrzebna - odpowiedział poważnie Hobbin.

- Wolność, to jest taka rzecz, która jest potrzebna zawsze. Weselej się z nią żyje. Poza tym, kto ci powiedział, że z tej sytuacji, w jakiej się znajdujemy, są tylko dwa wyjścia: albo przyjąć to cholerne ultimatum, albo nie przyjmować?

- A istnieje trzecie? - zapytał miłośnik podstarzałych poszukiwaczek przygód.

- Całkiem możliwe, że tak. - Hobbin starannie otarł szczupłą łapką swoje ogromne wypukłe oczy i popatrzył na Plotkę tak, jakby ten, wzorem Mikołaja, miał wyjąć z kieszeni gotowe, owinięte błękitną wstążeczką rozwiązanie.

Plotka posepnie zaklął i powiedział w zamyśleniu:

- No-o-o... W sumie to mam takie rozwiązanie. Ale można je wdrożyć tylko pod warunkiem, że Essutil zgodzi się nam pomóc.

No. Nareszcie dochodzimy do sedna.

- Zakładam się - powiedziałem - że owo osławione rozwiązanie miałeś we łbie jeszcze zanim gliniarze ogłosili ultimatum? A cała ta rozmowa została zorganizowana tylko po to, by zmusić mnie do udziału w jakiejś grze, której reguły dawno temu wymyśliłeś?

Ultimatum jest tu niczym więcej jak pretekstem, który akurat pomyślnie nawinął ci się pod rękę?

- Nie, to się nie uda - mruknął Hobbin. - On nam nie wierzy.

- Oczywiście, że nie wierzę - ciągnąłem swoje. - Cała wasza intryga jest białymi nićmi szyta. Szczególnie to, jak wpakowaliście mnie do tego pokoju. Nigdy nie uwierzę, że dokładnie na mojej drodze, akurat w chwili, kiedy już niemal zasnąłem, zupełnie przypadkowo znalazły się otwarte drzwi. A za tymi drzwiami, również całkowicie przypadkowo, czekaliście akurat wy, i tylko po to, żeby ukryć mnie przed prześladowcami i dać mi spokojnie się wyspać.

- On jest nie reformowalny - powiedział Hobbin. - To się chyba nazywa mania prześladowcza.

- Jest mi zupełnie wszystko jedno, jak się to nazywa - odezwałem się. - Dopóki nie przestaniecie uważać mnie za durnia i póki nie wyjawicie przynajmniej części prawdy, nie zamierzam poważnie z wami rozmawiać. À propos, uwzględnijcie, że czasu mamy coraz mniej.

- To ci numerant - rzucił miłośnik romantycznych babć. - Zauważyliście, że on usiłuje nas szantażować?

Hobbin kilka razy tupnął nogami, potem machnął ręką i powiedział:

- Dobrze, spróbujmy porozmawiać z nim inaczej. Hej ty, paranoiku, czego właściwie chcesz? Chcesz wydostać się z cybera do wielkiego świata, czy nie tak?

- Tak - zgodziłem się niechętnie.

- No i świetnie. Możemy ci to załatwić. Bez kantów. Trafiasz do wielkiego świata i tam poszukasz swego skradzionego ciała. Ale najpierw musisz pomóc nam. Rozumiesz? Pomożesz nam wyplątać się z sytuacji, w jaką nas wkręciłeś poprzez swoje nieprzemyślane działania, a my za to przeprowadzimy cię do wielkiego świata. Zgoda?

- Jakie mam gwarancje, że mnie nie wykantujecie?

- Gwarancje? - zapytał ponuro Plotka. - Nie damy ci żadnych gwarancji. Rozumiesz? Darujemy ci nadzieję, a to w twojej sytuacji niemało. Albo nam wierzysz, albo zginiesz. W danym przypadku masz rzeczywiście tylko dwie możliwości - nadzieja albo śmierć. A drzwi na twojej drodze pojawiły się rzeczywiście nieprzypadkowo. Ale nie po to, by cię wykorzystać. Zrozum, my jesteśmy jak wilcza wataha. W normalnym czasie każdy troszczy się o siebie, każdy starannie chroni swoje przywileje i swoje łowieckie rewiry, każdy sam

rozwiązuje swoje problemy. Jednakże mamy swoje żelazne prawo: swoich nie wydajemy. A ty, stając się tułaczym programem, stałeś się swoim. Właśnie dlatego chcieliśmy ci pomóc, właśnie dlatego śledziliśmy cię i otworzyliśmy drzwi właśnie wtedy, kiedy byłeś już załatwiony. Liczyliśmy na to, że wypawszy się, ruszysz dalej rozwiązywać sam swoje kłopoty. Nas one nie dotyczą, jednakże musieliśmy ci pomóc w sytuacji bez wyjścia, szczególnie, że nie kosztowało to nas specjalnie dużo trudu. Dotarło do ciebie?

- No dobra, a co dalej?

- A dalej postawiono przed nami ultimatum. Co robi wilcza wataha, kiedy niebezpieczeństwo zagraża wszystkim? Właśnie - w takim przypadku wilki zbijają się w stado i, zapominając o starych krzywdach, usiłują rozwiązać problem wspólnymi siłami. Potem, gdy niebezpieczeństwo minie, znowu się rozejdą i będą żyły „każdy sobie”, ale póki do tego nie doszło priorytet ma przeżycie. Teraz rozumiesz?

Diabli, może oni w ogóle nie łążą?

Wyciągnąłem z kieszeni jeszcze jednego papierosa i, zapaliwszy, popatrzyłem do góry. Tam nieustannie, w bezsensownym, mechanicznym tańcu kręciła biodrami dziewczyna straszliwie podobna do pewnej mojej znajomej dziennikarki.

Ta to na pewno nie ma żadnych problemów. Najmniejszych. Nie to, co ja.

- Jak przerwicie mnie do wielkiego świata? - zapytałem.

- Dowiesz w odpowiednim czasie - zapewnił mnie Plotka. - Może ten sposób ci się nie spodoba, ale innego nie ma. No to jak, zgadzasz się nam pomóc, żeby wykiwać gliniarzy?

Westchnąłem ciężko, strząsnąłem popiół na podłogę i powiedziałem:

- Dobra, niech was licho. Co mam zrobić?
- Nad tym się właśnie zaraz zastanowimy - oświadczył radośnie Plotka. - Tak przy okazji, to według moich obliczeń, nie zostało nam wiele czasu.
- Nie traćmy go więc niepotrzebnie - powiedział Hobbin. - Ja już chyba wymyśliłem, co powinniśmy zrobić.

7.

Nic się nie zmieniło. Niebo miało ten sam co i wcześniej kolor, i słońce świeciło równie wesoło i jasno. Nawet wiewiórka nadal kręciła się w niebie. Co prawda na wstążce przywiązanej do jej brzuszka, widniał inny napis: „Chłopy, wkrótce ktoś tu kopnie w kalendarz!”

Oczywiście, napis ten był pewnie wykonany z jakiegoś zupełnie nieistotnego powodu i nie miał niczego wspólnego ze mną, ale i tak mi się nie spodobał. Nawet bardzo.

Obejrzałem się.

Hobbin i Nobbin już znikli gdzieś w łąkach okolicy i nie dało się teraz określić skąd mnie obserwują. Właściwie to mogli wcale mnie nie obserwować. Po co mieliby to robić? Żeby wiedzieć jak się poruszam i gdzie jestem wystarczył wzrok Plotki. Ten to mógł podglądać mnie z każdego miejsca, nawet z ogona tej cholernej wiewiórki.

Wiewiórka.

Popatrzyłem jeszcze raz do góry. Teraz na wstędze widniał inny napis: „Zresztą, wszystko jest w ręku Pana”.

Słusznie. Przepowiednia, która daje precyzyjne i jednoznaczne rady, ryzykuje, że w najbliższym czasie oberwie po łbie bojowym toporem. Albo dowie się, co znaczy

podpiekanie na wolnym ogniu.

Chłopiec w krótkich spodenkach, sandałkach i koszulce, na której szczyrzyła zęby jakaś pop-gwiazda z niewiarogodną paszczą, rzucił się do mnie, wymachując plikiem gazet i pokrzykując:

- A oto ostatnie, posiadane przez nas wiadomości! Tylko tu, tylko w naszej gazecie, znajdziecie to, czego nie widzieliście w ostatnich wiadomościach halowizji! Biercie, to niemal darmo! Ostatnie wiadomości o maniakalnym tułaczym programie! Na jego koncie są już napady na stróżów porządku w siedmiu cyberach. Kupujcie naszą gazetę, a poznacie mrożące krew w żyłach szczegóły tych napaści!

Oczywiście, nie mogło się bez tego obejść. Wystarczy, by człowiek trafił w jakieś tarapaty, poczuł, że sprawa dotyczy jego życia lub śmierci, przedsięwziął cokolwiek, żeby się ratować, jak media natychmiast ogłaszają pojawienie się kolejnego monstrum i Bóg wie jeszcze czego.

- Nie, nie biorę - powiedziałem do chłopca.

Ten splunął mi pod nogi i oddalił się. Z sąsiedniego domu wyszedł turysta, na oko - prawdziwy jeleń. Ten powinien był kupić tę gazetę.

Pomyślałem, że może postąpiłem niesłusznie. Czy to takie trudne kupić od chłopca gazetę? Otrzymane od turystów infobucksy ciągle jeszcze leżały w kieszeni. I tak nie miałem w tej chwili na co je wydać. A może w ogóle nie uda mi się ich wydać?

A kupując gazetę może pomógłbym młodemu stworzeniu wyżyć i przeżyć w cyberze. Kto wie, może z czasem wyrośnie z niego geniusz? Nie tak przecież łatwo zostać w tym wieku gazeciarem w cyberze. Chętnych jest do licha. Skoro chłopiec zaczepił się w cyberze, to znaczy, że ma co nieco we łbie.

Ale mogę się i mylić. Może chłopak pochodzi z bardzo bogatej rodziny i jego kochający papa kupił swojej progeniturze własny portal do cybera, a żeby jego syn poznał życie takim jakie ono jest, urządził go w gronie gazeciarzy. To bardzo wygodne. Chłopiec uczy się komunikacji z ludźmi, zarabia własne pieniądze, a nic złego mu się w cyberze stać nie może.

Zapaliłem papierosa i pomyślałem, że zajmuję się jakimiś bzdurami. Powinienem teraz nie roztrząsać losów jakiegoś małoletniego biznesmena, a zająć się swoimi sprawami. Czas ultimatum upływa. Do roboty, to do roboty.

Z gracją okręciwszy się na obcasach ruszyłem wzdłuż ulicy, czujnie zerkając na boki, wyszukując odpowiedni obiekt do wprowadzenia w życie wymyślonego przez Hobbina planu.

Nie musiałem długo szukać.

Minąłem jakieś pięć domów, skręciłem za róg i omal nie zderzyłem się z grubym, wąsatym, brodatym i obwieszonym całą kolekcją śmiertelnie niebezpiecznej broni turystą. Widząc mnie stanął jak wryty, potem kilka razy mrugnął oczami i cienkim głosem zapytał:

- Aha, przecież ty jesteś Essutil?

O-la-la! Wychodzi, że do akcji włączyli się również amatorzy. No tak, wszak za moją głowę wyznaczono nagrodę. Co prawda tego obywatela nie interesują pieniądze. Popularność. Sława. No bo jakże - człowiek, który zniszczył tułaczy program-monstrum.

- A jak myślisz? - zapytałem.

- Jestem pewien, że jesteś Essutil Quack - wysapał grubas.

- A skoro tak, to co zamierzasz robić dalej? - zainteresowałem się.

- Co zamierzam zrobić?

Grubas skierował na mnie lufę jakiejś broni, wyraźnie przypominającej skrzyżowanie strzelby myśliwskiej i moździerza. Ręce nieźle mu chodziły i dlatego lufa tańczyła mi przed oczami.

Wtedy się wystraszyłem.

Gdyby grubas był nieco spokojniejszy, to mógłbym się założyć, że nie trafi we mnie. Ale teraz, kiedy lufa wypisywała nieopodal mojego ciała jakieś wymyślne figury, a gruby, podobny do serdelka palec lada moment mógł nacisnąć na spust, prawdopodobieństwo trafienia w cel zależało od przypadku. Niech się tylko powodzenie odwróci do mnie plecami...

- Hej, chłopie, nie żartuj sobie - powiedziałem. - Nie widzisz, że nie zamierzam uciekać?

Nie wiadomo dlaczego, ale to oświadczenie nie wpłynęło uspokajająco na grubasa. Zamiast tego, by się wyluzować ryknął kwikliwym falsetem:

- Na ziemię, draniu, kładź się na ziemię! Bo ci łeb zwałę z ramion!

Wzruszyłem ramionami i wymamrotałem:

- Dobra, jeśli publiczność tak chce...

Guza tam! Nie zamierzałem się kłaść. Tego nie przewidywał wymyślony przez Hobbina scenariusz.

Udając, że zamierzam położyć się naprawdę na ziemi pochyliłem się i nagle szczupakiem runąłem pod lufę straszliwej broni, celując głową w ogromne brzuszysko.

Masz! Nie wsadzaj nosa, kretynie, w nie swoje sprawy. Siedź w domu! Widzicie go, sławy mu się zachciało!

Brzuch miał jędrne, twarde, jak piłka futbolowa. W chwili, gdy moja głowa wbiła się weń, posiadacz tego znakomitego bandziocha wydał z siebie straszliwy jęk, przypominający

niecو dźwięki, wydawane deszczową jesienią przez starą przekrzywioną furtkę, prowadzącą do zaniedbanego sadu, w którym mieszka ktoś nieprzyjemny i może nawet straszny.

Ogromny brzuch zamortyzował uderzenie i odrzucił mnie do tyłu. Jakimś cudem utrzymawszy równowagę zobaczyłem, że grubas, rozpaczliwie machając rękami wali się na plecy. Na mgnienie oka lufa jego broni wycelowana była dokładnie w górę. Zły los żartowniś nie mógł przepuścić takiej okazji i strzelba, rzecz jasna, wypaliła. Z jej lufy wypadł oślepiający snop iskier, a w niebo, hucząc niczym rój rozsierzdzonych pszczoł, uleciała garść grubego śrutu.

W następnej chwili grubas z koszmarnym łomotem runął na ziemię. Sekundę później z góry rozległ się oburzony okrzyk bólu. Moim zdaniem był to krzyk wiewiórki. W każdym razie nie miał kto prócz niej wydzierać się z góry. Zresztą, nie sprawdzałem tego. Akurat w tym momencie zza rogu wypadli dwaj gliniarze i wzięli kurs prosto na mnie.

Hej! Wielki pościg trwa, ciąg dalszy tego momentu, w którym był przerwany.

No to trzymajcie się!

Wyciągnąłem z kieszeni, zwrócony mi kilka minut wcześniej przez Plotkę, pistolet i palnąłem w stronę gliniarzy. Niech wiedzą, świnie, że ciągle jeszcze jestem uzbrojony i nie ma co się do mnie pchać. W każdym razie póki jeszcze mam w pistolecie naboje.

- Programie tułaczy, powinieneś się zatrzymać i poddać! - warknął jeden z gliniarzy.

- A już, zadzieram kiecę i lecę! - powiedziałem.

- Poddać się, to właściwa decyzja. Jesteśmy gotowi zagwarantować ci życie.

No-no, jeszcze niedawno nikt mi nie zamierzał niczego

gwarantować.

Rzuciłem się do ucieczki. Po sekundzie wahania gliniarze, mrużąc coś o łamaniu prawa, o odpowiedzialności przed prawem i o jakichś cholernych gwarancjach, ruszyli za mną.

Świetnie. Na razie wszystko szło zgodnie z prawem.

Zacząłem uciekać, od czasu do czasu zatrzymując się i waląc z pistoletu do czego się dało, przeskoczyłem w ten sposób kilka przecznic, a miałem już za sobą cały ogon prześladowców. Wszystko to zaczynało przypominać poprzedni pościg. Chociaż nie, różnica była - teraz świetnie wiedziałem dokąd mam uciekać, znałem punkt, do którego miałem doprowadzić swoich prześladowców. Zostało mi do tego miejsca jakieś piętnaście domów, nie więcej.

Wpadłem za kiosk handlujący pornograficznymi magazynami, odczekałem kilka sekund i, wyrzawszy za kiosku, strzeliłem raz jeszcze.

Macie!

Ciężki, ogromny szyld nad barem po drugiej stronie ulicy, pozbawiony jednej z dwu podpórek, zachwiał się i zaczął walić się na bok. Potem coś zachręściło, szyld okręcił się i jego uwolniony koniec przemknął nad ulicą niczym ogromny miecz. Pod jego cios trafiło kilku prześladowców. Odrzuciło ich na jakieś pięć kroków, poturlali się jak strącone kręgle, wykrzykując nieprzyzwoite przekleństwa. Chyba komuś szyld odciął ucho. Ktoś zahaczył nogą gliniarza i ten z rozpędu zwałił kiosk przepowiadacza przyszłości, ozdobiony gwiazdami, kometami i portretami starca w czerni, stojącego z wysoko uniesionym do góry palcem wskazującym.

Fajnie, że pięć lat temu przez cybery przetoczyła się fala powszechnej fascynacji hiperrealizmem. Wtedy właśnie, każdy posiadający mamonę mieszkaniac cybera uważał za

punkt honoru wybudowanie swego domu tak, że ten dom czy bar, sklep, czy też bank urządzone były z uwzględnieniem praw świata realnego. Znaczy to, że ściany przy mocnym uderzeniu miały się kruszyć, a przy bardzo silnym - pękać i walić się. Lampy można było rozbijać, a odłamki szkła spadały na ziemię, krzesła ze wstrętnym skrzypieniem rozpadały się, szyby wystawowe bardzo ładnie pękały, w szyldy mogły, nie mając podparcia, runąć w dół i kogoś bardzo realistycznie przywalić.

Oczywiście, kosztowało to majątek, ale było modne. W halowizji co i rusz roztrząsano problemy hiperrealizmu: „Czy jest etyczne wyposażenie domów w WC, z których nikt nie korzysta, jak również czy warto rozpylać w nich odpowiednie zapachy?”, „Czy warto ryzykować i wyposażać pokojowe pieski w programy, które mogą wywołać wściekliznę?”, „Czy ma sens wprowadzanie do programów grządek, tworzonych dla amatorów hodowli w cyberze warzyw, podprogramów, odpowiadających za regularne pojawianie się chwastów?”

Moda ta panowała góra przez rok, nie więcej, a potem, jak i wszystkie inne mody, znikła. Na szczęście dla mnie, szyld, który wprowadził zamęt w szeregach prześladowców, został zamocowany w tamtym właśnie okresie, w innym przypadku mój strzał nie wywołałby takiego efektu.

Pozwoliłem sobie na kilka sekund rozkoszowania się skutkami strzału, potem chciałem runąć dalej, ale stało się coś niezaplanowanego: kiosk, za którym się ukryłem, nieoczekiwanie wypuścił parę mocnych macek i mocno objął mnie nimi.

Och ty!

Szarpnąłem się, usiłując się uwolnić. Ale nic z tego nie wyszło. Macki trzymały mocno, nie wyglądało, żeby dały się

rozerwać. Skąd one się tu wzięły? Ach, zupełnie zapomniałem, że wiele kiosków wyposażonych zostało w takie bajery. Tu, w cyberze, również nie brakuje różnych drobnych chuliganów. Cholerny kiosk, wykorzystawszy, że zatrzymałem się przy nim na kilka sekund, uruchomił antychuligańskie urządzenie!

Dokładnie tak!

Szarpnąłem się raz jeszcze. Bezskutecznie.

Moi prześladowcy odzyskali trochę animuszu i pośpieszyli do kiosku. Nie tak szybko, moi kochani! Na szczęście ręce mam wolne.

Nacisnąłem kilka razy na spust. Jakies dziesięć kroków ode mnie powstała ściana ognia.

Ciekawe, ile ta pukawka ma ładunków? Śmiesznie będzie, jeśli okaże się, że właśnie teraz się skończą! Zresztą nawet jeśli się nie skończą, to ktoś w końcu wpadnie na pomysł, żeby obejść mnie sąsiednimi ulicami. Po tym fakcie odważny rycerz i bojownik z wszechświatową niesprawiedliwością strzeli w kalendarz.

Rozpaczliwie pokręciłem głową.

Najwyższy czas, by któryś z tułaczych programów przyszedł mi na pomoc. Na przykład Hobbin czy Nobbin. A najlepiej - Plotka. Wygląda mi, że w tym towarzystwie ma najwięcej sprytu. Ale - niestety. Albo nie ma ich w pobliżu, albo boją się wysunąć czubek nosa z kryjówki, mając nadzieję, że wypłaczę się sam.

Nie wypłaczę się! Nie wypłaczę się, żeby to wszyscy-wszyścusienci-i-jeszcze-kilku diabli!

Dziennikarka!

W sumie nie zrozumiałem, jak to się stało, że znalazła się obok mnie. Zresztą, nie miało to teraz znaczenia. Znalazła się obok mnie, a ja błyskawicznie pojąłem, że jest moją ostatnią

nadzieją.

- Aha, widzę, że maniakalny program trafił jednak w zasadzkę.

- Mylisz się - odpowiedziałem kierując na nią lufę pistoletu.
- Przede wszystkim w zasadzkę wpadłaś ty. Jeśli mnie nie uwolnisz odstrzelę ci nogi.

Dodatkowo jeszcze, żeby moje słowa zabrzmiały serio, zrobiłem tak straszliwą minę, na jaką było stać moją maskę. Dziewczyna roześmiała się i pokazała mi różowy, wspaniale wykonany języczek i powiedziała:

- Głupki! Założmy się, że nie strzelisz!
Opuściłem lufę pistoletu i westchnąłem.
- Oczywiście, że nie strzelę. Czego chcesz?
- A nie domyśliłeś się jeszcze?
- Nie mam czasu na jakieś kretyńskie wywiady. Jeszcze chwila i będziesz musiała przeprowadzić je z chłopcami, którzy mnie wykończą.

- Niegłupi pomysł - powiedziała, rozważając moje słowa, dziennikarka. - Może naprawdę trochę poczekam?

W tym momencie wystraszyłem się. Kto wie, może rzeczywiście nie żartuje? Dziennikarze to świry.

- No dobra, przekonałaś mnie - powiedziałem szybko. - Udzielę ci wywiadu. Jak tylko ucieknę od tych bydlaków. Opowiem ci wszystko, co zechcesz. A teraz, sama widzisz, zupełnie nie mam czasu.

Dziennikarka rzuciła na mnie badawcze spojrzenie, potem powiedziała:

- Dobra. Ponieważ to pierwszy raz, to ci uwierzę. Ale weź pod uwagę, że jeśli mnie oszukasz, to znajdę cię wszędzie, a wtedy - biada ci!

- Jak tylko uwolnię się od pościgu będę cały do twej

dyspozycji.

- Akurat potrzebny mi cały! - prychnęła dziennikarka. - Ale wywiad, czemu nie...

Na koniuszku wskazującego palca jej prawej ręki błysnęło cienkie ostrze. Wystarczyły dwa szybkie ruchy, by przeciąć macki.

- Fruń, gołąbeczku, fruń - dziennikarka odsunęła się o parę kroków. - Ale nie zapomnij o obietnicy.

- Nie zapomnę.

Obejrzawszy się zobaczyłem, że ognista ściana, dzieląca mnie od prześladowców, zrobiła się wyraźnie niższa. Jeszcze chwila i któryś z miłośników nagród zdoła ją pokonać.

Stop, coś ich za mało się zrobiło, i gliniarzy wcięło. Czy nie wybrali obejścia? Na pewno. Trzeba się zwijać.

Rzuciłem się do ucieczki.

Dwie przecznice dalej, za plecami pojawili się ścigający. Miałem rację - rzeczywiście ruszyli dookoła, żeby mnie obejść, jeszcze chwila pod kioskiem i udałoby się im wziąć mnie w kleszcze.

Ale się nie udało! Figa!

Strzeliłem kilka razy z pistoletu, odstraszyłem szczególnie zawziętych łowców głów i ruszyłem dalej.

Do celu mojej ucieczki zostało już niewiele. Jeśli w ciągu najbliższych pięciu minut nie ustrzelą mnie, to będę mógł śmiać się w nos całej hordzie prześladowców.

Los mi sprzyjał. Szczęśliwie dotarłem do wyznaczonego przez Hobbina celu. To był duży namiot, nad wejściem do niego wisiała tabliczka „ZOO”. Gdy rzuciłem się do drzwi, jakiś staruszek z ogromnymi bokobrodami, w liberii, przypominającej te, które w osiemnastym wieku nosili lokaje w domach bogaczy, zastąpił mi drogę i wrzasnął:

- Bilet! Musisz kupić bilet!

Nie pozostało mi nic innego, jak sięgnąć do szczytów podłogi. Pomachałem mu przed nosem koltem i oświadczyłem:

- Oto mój bilet! Wystarczy?

Podziałało. Staruszek rozumnie odstepił na bok i szybko powiedział:

- Prosimy. Mam nadzieję, że się panu tu spodoba.

- Nie sądzę, ale nie mam wyjścia.

Wystrzeliłem jeszcze raz, dla odstraszenia pościgu i zanurkowałem do namiotu. Naprawdę był to ogród zoologiczny. Oczywiście, wewnątrz był znacznie większy niż z zewnątrz.

Rozejrzałem się oszołomiony.

Do licha, jak znajdę tę właściwą klatkę?

Z zewnątrz rozległ się wrzask staruszka:

- Jest tutaj! Wbiegł tu i nawet nie zapłacił za wejście. Żądam, by zostało to odnotowane w waszym sprawozdaniu.

Wspaniale! Stara cholera znała się na robocie. Nie podejrzewał nawet, że jego krzyki są wodą na mój młyn. Ale jak się tu zorientować?

Ruszyłem przejściem między klatkami, wewnątrz których siedziały stworzone w przedpotopowych czasach wirusy. Na każdej klatce wisiała tabliczka, informująca o tym, kiedy został utworzony jej mieszkaniec, a także jak działa. Mijając klatki zerkałem na te tabliczki. Potrzebowałem wirusa o nazwie „królewski tygrys”. Na razie trafiały mi się wszystkie, tylko nie ten.

Zrównawszy się z kolejną klatką zobaczyłem, że nad wiszącą na niej tabliczką pojawia się jeszcze jedna.

„Śpiesz się. Żeby znaleźć klatkę, której szukasz musisz

minąć trzy, licząc od tej i skrócić w prawo. Po trzech klatkach - w lewo. Szósta jest tą, której potrzebujesz. Powodzenia. Hobbin”

No, fajnie, że się staruszek zatroszczył. Muszę gonić. A tak w ogóle - coś moi prześladowcy się spóźniają. Teoretycznie powinni już tu być i walić do mnie z całego arsenału. Chociaż...

Postarałem się wczuć w sposób myślenia pościgu.

Powinni sobie pomyśleć, że zapędzili zdobycz w pułapkę. Z ogrodu zoologicznego były dwa-trzy wyjścia. Wystarczy je zająć i jestem ugotowany. Na pewno tym właśnie się zajmują - przechwytyują wyjścia. Co będą robić potem? To jasne - wedrą się wszyscy razem, na jakiś sygnał, i zaczną walić we wszystkie strony.

Zgodnie z opracowanym przez Hobbina planem.

A właśnie! Kiedy do tego dojdzie powinienem stać już obok klatki „królewskiego tygrysa”. Tabliczka z komunikatem Hobbina kilka razy mrugnęła i znikła. Ruszyłem dalej. Klatka, której szukałem, była nieco większa od innych. A siedział w niej prawdziwy potwór, ogromny, straszny, rzeczywiście podobny do tygrysa. W każdym razie miał na ciele szerokie czarne i białe pasy.

Na mój widok potwór ryknął i rzucił się na kraty klatki usiłując je wyłamać. Pręty, oczywiście, ten wściekły atak przetrzymały.

Starając się nie myśleć o tym, że Hobbin mógł czegoś w swoim planie nie uwzględnić, przyjrzałem się zamkowi klatki. Niezawodny i jednocześnie prosty zamek. Żeby go otworzyć wystarczyło nacisnąć jeden guzik.

Nieźle. Ale gdzie pościg? Coś się spóźnia.

Już miałem zająć się czytaniem tekstu z tabliczki znamionowej, na której wyliczane były techniczne dane

potwora, ciągle jeszcze bryzgającego śliną i usiłującego mnie dorwać, gdy zaczęło się...

Jak przypuszczałem, wpadli do namiotu ogrodu zoologicznego jednocześnie przez kilkoro drzwi. Gliniarze, jasna sprawa, od razu pobiegli szukać mojej grzesznej osoby w ciemnych kątach. Pozostali zachowywali się nie tak jednomyślnie. Wielu myśliwych znalazło się w zoologu z wirusami po raz pierwszy. Niektórzy na widok miotających się po klatkach potworów i ryczących monstrów stracili resztki odwagi. Dały się słyszeć okrzyki przestachu i wystrzały.

Mnie to już nie interesowało. Obserwowałem tylko gliniarzy. W mającym za chwilę premierę widowisku w roli widzów mieli wystąpić właśnie oni.

W końcu doczekałem się. Jeden z gliniarzy wynurzył się z sąsiedniego przejścia, zupełnie blisko mnie. Od razu zaczął wywodzić stary song:

- Tułaczy programie, jeśli natychmiast się nie poddasz, będziemy zmuszeni zniszczyć cię.

Teraz zostało tylko jedno - zdecydować się na ostatni krok.

Nie potrzebowałem wiele czasu, by to uczynić. Dlaczego? Dlatego, że go nie miałem. Albo teraz, albo nigdy. Albo rybka, albo pipka.

- Ty, kulopodobny - powiedziałem do gliniarza. - Nie macie szans ze mną wygrać. Kapewu? Wiesz dlaczego?

- Tułaczy programie, jeśli natychmiast nie odłożysz swej broni na podłogę, to będę zmuszony zgodnie z prawem...

Dość, mój czas się kończył.

Nacisnąłem na przycisk przy klatce. Drzwi stopniały w mgnieniu oka. Królewski tygrys, usiłujący jeszcze chwilę temu wyłamać pręty kraty, nie od razu to zauważył, a gdy zauważył, było już za późno.

Wszedłem do klatki.

- ...jak również wykorzystując przysługujące mi prawa i uwzględniając istniejące za twą przyczyną potencjalne niebezpieczeństwo, zastosować przeciwko tobie posiadane w tej chwili przeze mnie w stosunku do ciebie...

- Tuman - powiedziałem, odwracając się do królewskiego tygrysa twarzą.

Sekundę później potwór pojął, że zdobycz znalazła się już w zasięgu jego ataku i napadł na mnie.

8.

- Masz rację, to całkowicie durnie i kretyni - powiedział dozorca zoologu. - A to dlatego, że program, który nie ma możliwości samodzielnego rozwoju, skazany jest niepodważalnie na głupotę. Dlaczego, zapytasz, nie można zrobić tak, by każdym gliniarzem kierował człowiek? Sam wszak rozumiesz, że ludziom należy płacić za pracę, i to niemało. Właśnie dlatego dziewiętnastoma na dwudziestu gliniarzami kierują programy. Oczywiście, to tworzy wielkich speców, ale mimo to... mimo to żaden nie zaryzykował wprowadzenia do swego tworu możliwości samodzielnego rozwoju. I nie zaryzykuje. Dlaczego? Ha, dlatego, że wzrasta przy tym ryzyko przekształcenia samego gliniarza w tułaczy program. Albo nie jednego gliniarza, a kilku. Albo wszystkich. Kumasz? Tak, przy okazji, pamiętaj, że miałeś sporo fartu. Gdyby wśród ścigających ciebie znalazł się choć jeden kierowany przez człowieka gliniarz, na pewno tak łatwo byś go nie wykiwał.

Na oko nadzorca miał lat dwadzieścia, nie więcej. Szczupły,

wąska twarz, na nosie, zgodnie z trwającą od roku modą - duże okulary w rogowej oprawie. Krótka rzecz ujmując - najzwyczajniejszy młody kukaracza, przyszły mistrz.

Jak temu młodziakowi udało się zaciepić na tak odpowiedzialnym stanowisku? Może jego rodzice są grubymi fiszami? Nie, raczej nie. Takie fisze, z reguły, starają się ustawić swoje progenitury w jakiejś synekurze, a tu trzeba było pracować. Wypadałoby z tego, że jest tylko jedna możliwość tłumacząca, jak ten typek mógł stać się dozorcą w ZOO. Przede raną musiał stać młody geniusz.

Odruchowo zabarwiłem swoje spojrzenie szacunkiem.

A on uśmiechnął się protekcjonalnie i, rozsiadłszy się wygodnie w fotelu, oparł stopy na brzegu pulpitu.

Nobbin wystukał nogami jakiś krótki rytm i powiedział:

- Co ma do tego fart? Mogę się założyć, że to przedstawienie, jakie urządziliśmy, mogło wykiwać nawet specy?

Dozorca skinął głową z aprobatą.

- Wykiwać? Zgoda, to przedstawienie mogło zmylić każdego. Tylko, że na prawdziwego specy byłoby za mało. Ten na pewno chciałby wiedzieć nieco więcej o zoologu z wirusami.

- A co takiego mógłby się dowiedzieć? - zainteresowałem się.

- O, wiele. Na przykład to, że ten ogród jest całkowitą fikcją. Cały, calusieńki. Ta tajemnica jest pilnie strzeżona. Jeśli dowiedzą się o niej turyści to nasz interes, to jasne, runie. Jednakże gliniarze, jeśli oczywiście, chcą to zrobić, mogą dogrzebać się prawdy bardzo szybko.

- Co to znaczy - fikcja?

- Niewielkie, niewinne oszustwo. Wszyscy wiedzą, że w

czasach wielkich legendarnych programistów istniały straszliwe wirusy, które z łatwością niszczyły praktycznie każdy program. Ale było to tak dawno, że teraz nikt nie ma pojęcia, jak one naprawdę wyglądały. No, może wie kilku specjalistów-historyków. Nawiasem mówiąc, turyści bardzo lubią się bać. Tak im się to podoba, że nawet chcą za to płacić. Dlatego powstał nasz zoolog. Oczywiście, wszystkie pokazywane w nim wirusy, wszystkie, bez wyjątku, to nic więcej jak owoc wyobraźni kilku mistrzów, którzy dostali za to całkiem niezłe pieniądze. Wirusy są zupełnie nieszkodliwe, ponieważ tak naprawdę nigdy nie istniały. Ale spełniają swoje zadanie: straszą i przynoszą pieniądze.

- Skoro nie mogą nikogo skrzywdzić - zapytałem - to na czym polega twoje zadanie?

- O! - Dozorca uniósł palec. - Najważniejszy mój obowiązek polega na pilnowaniu, by nikt nie dowiedział się prawdy o naszym muzeum. Poza tym muszę dbać o znakomity stan naszego skromnego przybytku, starać się, by był odpowiednio rozreklamowany.

- Yhy - powiedziałem zdegustowany. - Tak więc kiedy wlałem do klatki „królewskiego tygrysa” nic mi nie groziło? Kompletnie nic?

- Dokładnie - usłużnie potwierdził dozorca. - Nic kompletnie. Jedyną rzeczą, jakiej się bałem było to, że coś się zawiesi i wirus się na ciebie nie rzuci. To byłoby prawdziwą katastrofą. Wystarczyło, by któryś ze ścigających ciebie to zauważył, a potem o tym gdzieś bąknął, i koniec - dupa błada.

- No tak - bąknąłem.

Przypomniałem sobie tę chwilę, kiedy rzucił się na mnie ten kretyński program, co właściwie wtedy odczuwałem, i nabrałem okrutnej ochoty, żeby walnąć w łeb Hobbina lub

Nobbina, nieważne, kogo, tego, który pierwszy nawinie mi się pod rękę.

Widocznie to, o czym myślałem, odbiło się na moim obliczu, bo Hobbin szybko dodał:

- Zwróć uwagę, jak to wszystko zostało zręcznie wykonane. Postronni obserwatorzy widzieli, że wirus cię połknął, a w rzeczywistości przeniosłeś się tu, do tego pokoju. Przy tym zajęło to najwyżej sekundę. Czyżbyś śmiał twierdzić, że zdążyłeś w tym czasie się wystraszyć?

Cholerny cwaniak. Nie mogę przecież przyznać się, że wystraszyłem się tak, jak nigdy dotąd w życiu? Gdyby to odbywało się w wielkim świecie, na pewno musiałbym zmieniać spodnie. Popatrzyłem na Hobbina, potem na Nobbina, a dopiero potem na dozorcę zoologu. Ten zrobił minę, jakby wszystko rozumiał i puścił do mnie konspiracyjne oko.

To mi pomogło.

Ciężko westchnąwszy powiedziałem:

- Dobra, bydlaki wstrętne, niech będzie po waszemu. Ale mogliście mnie uprzedzić, że ten program jest zupełnie nieszkodliwy? Po co wciskaliście mi kit, że wirus mnie nie zaatakuje, że muszę tylko przebiec obok niego do rogu klatki, że gliniarze zobaczą bardzo fajne intro i uwierzą, że zginąłem?

- No-o-o-o... przecież w końcu tak właśnie wyszło - wymamrotał Hobbin. - Ale gdybyśmy cię uprzedzili, to scena nie zostałaby odegrana tak wiarogodnie. Rozumiesz, co mam na myśli?

Rozumiałem. Bardzo dobrze rozumiałem. Znowu nabrałem ochoty, by walnąć któregoś z tych cwaniaków w łeb, ale nawet nie chciało mi się wstawać z krzesła. Dlaczego? Dlatego, że już minęła sprzyjająca chwila na tego typu działania. Poza tym...

Oczywiście - dlatego, że nagle przyszła mi do głowy interesująca myśl.

Bo kto przeszkodzi teraz tułaczym programom załatwić mnie ostatecznie? Wszystko, czego chciały, już osiągnęły. W każdym razie ultimatum gliniarzy już im zwisa i powiewa. Oficjalnie zginąłem po wejściu do klatki niewiarygodnie okrutnego wirusa. O tym, że to nieprawda, wie tylko kilka tułaczycy programów i dozorca ZOO. On, zresztą, też jest raczej cholernie zainteresowany tym, żebym zniknął naprawdę. Wraz ze mną zniknie niebezpieczeństwo przecieku prawdy o powierzonym mu interesiku.

- Dobra, niech wam będzie - powiedziałem. - Postąpiliście, to jasne, jak świnie, ale dla sprawy...

Hobbin uśmiechnął się. Nobbin wystukał stopami radosny rytm. Dozorca ZOO rzucił zatroskane spojrzenie na jeden z monitorów ustawionych na pulpicie, przy którym siedział, potem odwrócił się do mnie i, uśmiechnąwszy się pokrzepiająco, oznajmił:

- To nic, wszystko się ułoży. Wkrótce wróci Plotka. A my jeszcze musimy coś z tobą zrobić.

Jeździł chwilę palcem po pulpicie, znalazł malusieńkie pudełeczko i kilka razy przycisnął wieczko wskazującym palcem. W wyniku tej manipulacji pudełko powiększyło swe gabaryty trzykrotnie. Po kilku kolejnych przyciśnięciach pudełko przekształciło się w dość poważnie wyglądającą szkatułkę. Otworzywszy ją dozorca, pogwizdując z zatroskaną miną, zaczął w niej grzebać.

To było najbardziej sprzyjająca chwila. Inna taka może nie nadejść. Zaraz wróci Plotka i ilość moich przeciwników wzrośnie do czterech. Albo i więcej. Kto wie, do czego jest zdolny wzrok tego dziwnego stworzenia? Może nie tylko

obserwuje, ale i gryzie lub strzyka jadem?

Starając się zachować możliwie obojętną minę, sięgnąłem do kieszeni.

Znakomicie, mój wierny kolt znajdował się tam jeszcze. To dziwne. Co by nie mówić, to ta dziwna kompania powinna przede wszystkim uwolnić mnie od brzemienia broni. A może nie mieli na to czasu? Kto wie? Zresztą, nieważne to teraz. Pora zaczynać.

- Nawiasem mówiąc, kiedy ten stwór skoczył na ciebie, to miałeś taką minę... - powiedział Hobbin.

Gwałtownie poderwawszy się wyszarpnąłem pistolet i odskakując w bok przywarłem plecami do ściany.

- Masz ci los - powiedział Hobbin. - Co to znaczy?

Dozorca przestał grzebać w szkatułce i, obdarzywszy mnie beznamiętnym spojrzeniem, wyjaśnił:

- Atak paranoi. To nic strasznego. Zaraz minie.

- Oczywiście, że minie - przyznałem, uśmiechając się krzywo. - Gdy tylko wypuścicie mnie z tej nory. Na zewnątrz.

Hobbin pokiwał głową i oznajmił:

- O tym nie ma mowy.

- Czyżby?

Wieloznacznie poruszyłem lufą swego pistoletu, udając, że szacuję, kogo z tej trójki odstrzelę pierwszego. Hobbin i Nobbin wyraźnie zaniepokoiili się. Dozorca ZOO niedbale wzruszył ramionami i wrócił do grzebania w szkatułce.

- Hej, chłopie, po co ci to? - ostrożnie zapytał Hobbin.

- Po to, że nie wierzę wam - odpowiedziałem. - Kto wam przeszkodzi, żeby teraz mnie stuknąć? Po tym, gdy ultimatum gliniarzy przestało wam zagrażać, nie jestem dla was niczym innym jak dotkliwą przeszkodą.

Dozorca chrząknął z zadowoleniem i wyjął ze szkatułki

strzykawkę z długą igłą, kilka ampułek, a także kilka tabletek. Położywszy to wszystko na pulpicie zapytał:

- A kto nam przeszkadzał stuknąć cię wcześniej? Pamiętaj, że mogłeś się przenieść z klatki „Królewskiego tygrysa” nie tutaj, a w niewiadome.

No tak, o tym nie pomyślałem. Mocny argument, bardzo mocny. Zresztą, są też w nim pewne wątpliwości.

- A gdyby gliniarze nie uwierzyli w moją śmierć? Wtedy musielibyście mnie im oddać. Może właśnie dlatego mnie nie zniszczyliście od razu? A teraz, kiedy gliniarze zostali wykiwani, już mnie nie potrzebujecie.

- Oczywiście, że nie - powiedział Hobbin. - Pamiętaj jednak, że zawarliśmy sojusz i chcemy go dochować.

- I dochowamy - zapewnił mnie Plotka.

Nawet nie zauważyłem, kiedy wszedł do pokoiku. Sekundę wcześniej go nie było, a potem już jak gdyby nigdy nic stał pod przeciwległą ścianą. Wzrok Plotki już zeskoczył z ramienia gospodarza i pośpiesznie spenetrował pokój. Starał się przy tym nie zbliżać przesadnie do mnie.

Słusznie zrobił. Powstała we mnie niemal nieodparta chęć podsmażenia całej tej drużyny. A co, czy to złe wyjście? W najgorszym przypadku, załatwiwszy ich, będę miał tę nieszczęsną pewność, że oni mnie nie zabijają.

Plotka usiadł na wolnym krześle i powiedział w zamyśleniu:

- Nawiasem mówiąc, jeśli zaczniesz strzelać w tym nie tak znowu wielkim pokoju, to niewątpliwie usmazysz się wraz z nami. Tu się pomyliłeś. Zanim wyszarpnąłeś broń trzeba było się dowiedzieć, gdzie jest wyjście z pokoju. Dlatego radzę, żebyś nie wymachiwał rewolwerem nadaremnie, a usiadł i porozmawiał z nami.

W jego słowach było sporo sensu.

Nie usiadłem, ale rewolwer skierowałem lufą w dół. Jeśli trzeba będzie i tak zdążę wystrzelić wcześniej niż ktokolwiek inny w tym pokoju. Co prawda Plotka miał rację - zyskam na tym niewiele. Dlatego dobrze by było wysłuchać tego, co mi powiedzą.

Wzrok Plotki znowu znalazł się na ramieniu gospodarza. Wyglądał na zmęczonego, ale mimo to, od czasu do czasu popiskując cicho, zaczął wylizywać swoją prawą przednią łapkę, jakby to zajęcie było jakimś uświęconym rytuałem, działaniem, bez którego mogą się wydarzyć okropne rzeczy, na przykład szturm na mieszkanie oddziału policji podatkowej.

Plotka dał ręką znak dozorczy ZOO i ten, pośpiesznie przeszukawszy blat pulpitu znalazł na nim jakiś mały przedmiot. Położył go na dłoni i ostrożnie nań dmuchnął. W mgnieniu oka powiększywszy się, przedmiot przekształcił się w dużą filiżankę.

- Dziękuję - powiedział Plotka, wziął od dozorczy naczynie i łyknął.

Na jego obliczu pojawiła się rozkosz. Zadowolony chrząknął, łyknął jeszcze raz i odstawił filiżankę. Uśmiechnął się. To był miły uśmiech, dobrze wykonany, prawdziwe dzieło sztuki.

Jakoś ten uśmiech spowodował, że zrobiło mi się lekko i miło. Pomyślałem nawet, że wszystkie moje podejrzenia to bzdura, majaczenia chorej wyobraźni, i już miałem wsunąć pistolet do kieszeni, usiąść na swoim krześle i wyjaśnić wszystkim obecnym, że zagalopowałem się. I że wstyd mi za tę sytuację.

Tyle, że uśmiech był naprawdę wyprodukowany, kupiony i to pewnie za niemałe pieniądze. I Plotka, kupując go, na pewno miał na myśli nie to, że sprawi nim komuś

przyjemność. O nie, uśmiech był mu potrzebny do tego, by w odpowiednim momencie, używszy go, uśpić podejrzenia jakiegoś naiwniaka w moim typie. A jeśli tak myśląc miałem rację, to musiałem wysłuchać wszystkiego, co mają mi do zaoferowania. Tak na wszelki wypadek.

Plotka zerknął na mnie i pokiwał z aprobatą głową:

- Zuch, nie tak łatwo cię wyrolować. Od razu to zauważyłem.

W tym momencie przesadził. Kiepski ruch. Skrzywiłem się.

Wzrok Plotki przestał wylizywać się i zamarł jak piesek w stójce. Sam Plotka łyknął jeszcze z filiżanki i powiedział:

- No to przepraszam. Słowo honoru - nie chciałem. Ale wyjaśnij mi, dlaczego uznałeś, że teraz zamierzamy się ciebie pozbyć?

- Skąd wiesz, co właściwie uznałem? - odpowiedziałem pytaniem na pytanie. - Wydaje mi się, że zjawiałeś się tu dopiero kilka minut temu.

- A mnie się z kolei wydaje, że to jedyny powód, dla którego mogłeś chwycić za tę swoją straszną armatę. Czy nie tak?

Aha, wygląda, że będziemy rozmawiali szczerze. Czemu nie?

- Oczywiście, że tak - odpowiedziałem. - Rozwiejcie więc moje wątpliwości. Tylko uprzedzam, że to się nie uda, jeśli będziecie używali wszystkich tych sztuczek w stylu kupnych uśmiechów i pokrępiających tekstów.

- A możemy używać logiki? - szybko zapytał dozorca.

- Bezwzględnie. Tylko jak zamierzasz to zrobić? - zainteresowałem się.

- Jakoś to zrobię. Jeśli tylko mój przyjaciel Plotka nie ma nic przeciwko temu.

W tym momencie Plotka powinien ponownie się uśmiechnąć. Zamiast tego tylko skinął głową i przylgnął do

filiżanki. Pomyślałem, że może zapas uśmiechów jest ograniczony. Może wykorzystuje je tylko w nadzwyczajnych okolicznościach...

A dozorca znowu szukał czegoś na pulpicie, a ja nagle uświadomiłem sobie, że na tym nieszczęsnym pulpicie może nawet sobie leżeć pistolet albo nawet automat. Już miałem podnieść broń, ale dozorca znalazł to czego szukał, wykonał szybki ruch ręką i zobaczyłem, że trzyma w niej tylko paczkę papierosów.

- Prawdziwe, nie chińskie - powiedział, częstując mnie.

Żeby skorzystać musiałbym zrobić krok do przodu. Wtedy znalazłbym się niebezpiecznie blisko Hobbina. Nie, figa z makiem!

- Rzuć! - powiedziałem.

Dozorca posłusznie cisnął mi papierosa. Znalazłem w kieszeni zapalniczkę i zapaliłem. Pewnie, papierosy dozorca rzeczywiście były nie chińskie.

- No to dawaj te swoje logiczne dowody - rzuciłem.

- Zaraz, zaraz.

Dozorca zapalił również, radośnie puścił pod sufit nad podziw prawdziwie wyglądającą smugę dymu i powiedział:

- Dobra, oto moje argumenty. Są przy tym proste aż do bólu. Nie wierzysz nam? Dobrze. Dlaczego my, jak jacyś idioci, siedzimy tu i udowadniamy coś tobie? Po co? Komu to potrzebne? Nam? Gdybyśmy chcieli ci zrobić kuku, to byłoby to bardzo proste. Rozumiesz, że czas jest naszym sprzymierzeńcem? A ty jednak nie będziesz do nas strzelał tak sobie, nie mając niczego prócz podejrzeń, prawda?

- Kto go tam wie - powiedziałem. - Może się zdecyduję?

Niestety, nie zabrzmiało to specjalnie pewnie, sam od razu pożałowałem. Lepiej już było milczeć...

- No i widzisz? - ciągnął dozorca. - Sam się wahasz. A co będzie za godzinę, czy dwie? A co się stanie, gdy znowu zaczniesz być senny? Nam to nie grozi. My tylko musimy doczekać do momentu, kiedy zaśniesz, a wtedy będziemy mogli zrobić z tobą co zechcemy. Dociera? Widzę, że dociera. Zwróć przy tym uwagę na fakt, że wyjaśniam ci to wszystko tylko dlatego, że czas się kurczy. Twój czas. My możemy tu siebie siedzieć choćby i do drugiego zwiastowania. A ty nie. Może za pół godzinki twoje rodzone ciało rozbiorą na części. Albo jego nowy właściciel wpakuje się w jakąś koszmarną aferę, w wyniku której straci rękę albo nogę. Ale co mu tam? Nie jego. A ty do śmierci będziesz chodził bez ręki. Dotarło?

Patrzyłem na niego niemal z nienawiścią.

Co za bydlę. Niezawodnie i bezbłędnie trafia we wszystkie punkty czuciowe, przebiera, zaraza, jeden po drugim. Ale jeszcze żyję i mogę kontrować.

- To jasne - powiadam. - I co do czasu, i co do tego, że życzyście mi dobrze. Ale mam jedno pytanko. Też proste.

- Leć - skinął głową dozorca.

- O ile dobrze zrozumiałem, nie jesteś tułaczym programem. Jeśli już tak bardzo chcesz mi zrobić dobrze, to co ci przeszkodziło, żebyś zamiast uczestniczyć w tym bałaganie, wrócił do wielkiego świata i opowiedział gliniarzom o tym, co mi się tu wydarzyło?

- On jest takim samym tułaczym programem jak ty i my - oświadczył Hobbin. - Po prostu swego czasu udało mu się dobrze zarobić, a całe te pieniądze sensownie zainwestował w siebie.

- Dokładnie - zgodził się dozorca. - Rozumiesz, zazwyczaj pieniędzy, zarabianych przez tułacze programy wystarcza tylko na to, żeby ledwo-ledwo, na bieżąco, być z postępem.

Kupujesz sobie potrzebny dobry podprogram, a potem za pół roku widzisz, że jest już beznadziejnie przestarzały, i trzeba w galopie kupować coś innego, niezbędnego do przeżycia, drogiego. Ja jednak miałem szczęście, zarobiłem trochę szmalu, wykonałem dodatkowy ruch. Wystarczyło mi sałaty nie tylko na zakup wszystkiego, co niezbędne, włącznie z porządną maską, ale i zostało jeszcze na to, by uruchomić własny interes.

To był prawdziwy cios. Dobra, poważna odpowiedź, po której powinienem poczuć się jak ostatni świr. Niezły numer - nie odróżniłem programu od turysty. Chociaż... chociaż... niby jak to miałem zrobić, to niemal niemożliwe. Szczególnie w moim stanie nerwów, z rewolwerem w dłoni, gotowym w każdej chwili zacząć strzelać.

- Dobra, idźmy dalej - powiedziałem. - To jasne. A co dalej?
- Dalej, że jak ostatni baran tracisz swój czas na zupełne bzdury. Zawarliśmy z tobą ugodę i jesteśmy gotowi dotrzymać jej warunków. Nawet teraz. Inna sprawa, że rzeczywiście - załatwić cię jest o wiele łatwiej i taniej. Ale my zrobimy to, do czego się zobowiązaliśmy. Cały dowcip polega na tym, że ty ciągle jeszcze żyjesz według prawideł wielkiego świata. To tam się czeka na spełnienie obietnic po trzy lata, to tam gra się według okoliczności i obietnice spełnia się też według zaistniałych okoliczności. Tu jest inaczej. Tu unika się obietnic, ale jeśli już coś takiego się przydarzy, to musi to być spełnione koniecznie. Rozumiesz?

- Teraz tak mówisz - uśmiechnąłem się. - To są słowa, nic więcej, nic mniej - słowa.

- Tak, słowa - zgodził się dozorca. - A czas płynie. Twój czas. Powygłupiaj się jeszcze trochę i w ogóle będzie za późno. Decyduj, ryzykuj. Tym bardziej, że innego wyjścia i tak nie

masz.

Powiedziawszy to umilkł. W jego spojrzeniu nie widać było ani ciekawości, ani współczucia, ani nawet oczekiwania. Nic, jakby był mechaniczną zabawką, w której skończył się napęd ze sprężyny, a zabawka zamarła w niewygodnej pozycji i będzie tak trwała aż ktoś przynajmniej raz przekręci kluczyk. Wyczuwało się, że będzie tak sobie siedział nieskończenie długo, tygodniami, póki go definitywnie nie dobije negatywne pole informacyjne.

Co za zaraza!

Rozejrzałem się po pokoju. No tak, Hobbin, Nobbin i Plotka również zamarli w bezruchu, jakby ich ktoś wyłączył, stali się nieruchomymi posągami. Poczulem strach, aż mi się na karku zjeżyły włosy.

Cisza, bezruch postaci i poczucie, że może to trwać nieskończenie długo, na przykład do chwili aż zwariuję. Jedyna żywa istota, pozostawiona sam na sam z marionetkami, napędzanymi prądem elektrycznym, którym znudziło się udawać to, czym nie były i wróciły do stanu, w którym czują się naprawdę dobrze, naprawdę naturalnie. A czy ja jestem żywy? Jaka, do licha, ze mnie żywa istota, skoro jestem taki jak oni i różnię się tylko tym, że na razie nie zrozumiałem, nie przyswoiłem jeszcze sobie istoty własnej osobowości?

Chciałem krzyknąć, albo nawet nacisnąć na spust, zrobić cokolwiek, byle ta cisza i ten bezruch skończyły się, ale nie mogłem niczego zrobić, ponieważ - czułem to bardzo dobrze - skądś z głębin świadomości, ze strasznej, kryjącej się tam ciemności, zważyło się coś wielkiego, rzeczowo agresywnego i straszego. Był to kłębek jakichś myśli, takich, jakie od czasu do czasu pojawiają się u każdego człowieka i natychmiast znikają nieuświadomione, pozostawiając po sobie tylko ślad w

postaci całkowicie idiotycznych i zupełnie niewytłumaczalnych postępków.

I cały ten straszny kłębek gniótł mnie i przygniatał, rósł we mnie, starając się pożreć, wyjeść od środka, niczym straszliwie rozrośnięty pasożyt, który zamierza zostawić po mnie tylko powłokę, a ta, straciwszy rozum, zacznie wrzeszczeć z całej siły i strzelać we wszystkie strony, nie podejrzewając nawet, że w ten sposób przykłada się do własnej zguby.

Zguby.

To było kluczowe słowo, a ja wczepiłem się weń, jak w koło ratunkowe. A ono w cudowny sposób przyłożyło się do uratowania mnie, była to minimalna pomoc, niemal niewyczuwalna, ale wystarczająca. Pomogła mi rozewrzeć palce, wypuścić rękojeść rewolweru. Broń wolno, jakoś niezręcznie wirując, podążyła w kierunku podłogi tego dziwnego pokoju.

Zresztą to już mnie nie interesowało, ponieważ najważniejsze się stało. Byłem znowu sobą i mogłem trzeźwo myśleć, odzyskałem również możliwość poruszania się. Musiałem to wykorzystać od razu, póki nie było za późno.

- Niech was licho, zgoda - machnąłem ręką. - Niech będzie jak chcecie. Umawialiśmy się? No to wykonujcie swoje obietnice. Ale już bez żadnych numerów.

To podziałało. Wzrok Plotki poruszył się i znowu zajął się wylizywaniem własnej nogi, a jego właściciel wesoło zachichotał. I Nobbini wystukał stopami cichy rytm na podłodze. Hobbin zaś popatrzył na mnie ogromnymi, wypukłymi, zdziwionymi oczami, jakby mnie widział pierwszy raz w życiu, jakby usiłował pojąć kto też stoi przed nim, a dozorca z kolei, pośpiesznie zlustrował ekrany i przekonawszy się, że w jego ukochanym zoologu nic się złego nie dzieje,

zaczął grzebać w manelach na pulpicie.

- Co za bezczelny typ - powiedział Hobbin. - Nie bardzo wiadomo, kto z nas wykręca tym drugim numery.

- Może i tak - zgodziłem się siadając na krześle. - Ale, przyznajcie, wy też bluffowaliście.

- Dlaczego tak sądzisz? - zainteresował się Plotka.

- Dlatego, że co najmniej jeden z was nie mógł długo pozostawać nieruchomo. W końcu, oprócz wszystkiego innego, musi się troszczyć o swój interes.

Powiedziawszy to, skinąłem głową w stronę dozorca ZOO.

Wzrok Plotki cicho roześmiał się. Jego pan rozłożył ręce i zaproponował uprzejmie:

- No, wszystko jeszcze można zmienić. Kto ci przeszkadza podnieść swój rewolwer i spróbować powtórzyć wszystko, co się tu działo w ciągu ostatniego kwadransa?

- Jeśli ci, rzecz jasna, nie żal własnego czasu - dodał dozorca. - A jeśli szkoda, to zacznijmy przygotowania do twego powrotu do wielkiego świata.

- Przygotowania? - zapytałem. - Jakie przygotowania?

- A takie.

Dozorca w końcu znalazł to, czego szukał, podrzucił przedmiot w powietrze, chwycił i jeszcze raz podrzucił. Tym razem miał w ręku niewielkie pudełeczko. Otworzywszy je wyjął dwie tabletki. Jedna była czerwona, druga niebieska.

- Po co to? - zapytałem.

- Dla ciebie - rzucił dozorca. - Czerwona da ci możliwość funkcjonowania trzy doby bez snu. A niebieska dokona niewielkich zmian w twoim wyglądzie. Będziesz miał nieco węższy nos, węższe wargi, nieco zmieni się przekrój oczu. Nie będziesz straszył ludzi, ale nikt już nie rozpozna w tobie tego tułaczego programu-potwora. W każdym razie nie rozpozna

na oko. Oczywiście, podczas skanowania twój wygląd wróci do normy. Ale na to się nic nie poradzi. W każdym razie po zażyciu tej tabletki możesz swobodnie poruszać się po cyberze. Kumasz?

- Po co mi to w wielkim świecie?
- Może będziesz musiał niespodziewanie i nagle wrócić tu? Kto wie? Druga tabletką, tak jak i pierwsza, działa przez trzy doby. W tym czasie albo znajdziesz swoje ciało, albo...

- Co, właściwie?
- Albo cię załatwią - uśmiechnął się dozorca.
- Tego bym właśnie nie chciał - dodał Plotka. - O ile pamiętam, jesteś mi winien pewną sumę. Jeszcze nie straciłem nadziei, że ją odzyskam.

W zamyśleniu przyjrzałem się pigułom. Może ta banda postanowiła mnie zagadać, a potem podsunąć jakąś truciznę, żeby się serdecznie pośmiać widząc, jak kopię w kalendarz?

Nie, taki numer nie przejdzie. Albo im ufam, albo nie. Trzeciej opcji nie ma. A jeśli ufam im, to muszę skonsumować tabletki i jeszcze za nie podziękować.

Tak uczyniłem. Smak pigułek nie był specjalnie miły.

- W porządku - powiedział Plotka - zabierz swój rewolwer i wsadź go sobie do kieszeni. Wydaje mi się, że jeszcze może ci się przydać.

Grzecznie wykonałem polecenie.

- O, jakby wreszcie zaczął kapować - skwitował moje czynności Nobbin. - To dobrze. To prawidłowo. Teraz wyślemy cię do wielkiego świata i z przyjemnością zapomnimy o całej tej historii.

Plotka pokiwał głową i powiedział:

- Nie miej złudzeń. Wydaje mi się, że tak prosto to się nie skończy.

- Dlaczego? - zdziwił się Nobbin.

- Skąd mam wiedzieć? Po prostu tak mi się wydaje. Ten chłopak jeszcze się tu pojawi. I to nie raz.

Nobbin kilka razy stuknął stopami o podłogę, uważnie przyjrzał mi się i z obrzydzeniem powiedział:

- Znowu pościgi, strzelanina, zadyma?

- Niekoniecznie - odpowiedział Plotka. - Zresztą, co ci się w tym nie podoba? Jeśli się dobrze nad tym zastanowić, to nasz cyber tylko na tym zyskał. Wszystko, co zostało zniszczone podczas pogoni i strzelaniny, zostanie odtworzone bardzo szybko, wykorzystując przechowywane w ubezpieczalniach kopie. A wzmożona fala turystów, przez kilka najbliższych dni przynajmniej - gwarantowana. Więcej turystów, więcej kapuchy. Kumasz?

- Jasne - odezwał się Nobbin. - Ach, gdybym miał w tej chwili kilka tysięcy infobucksów, mógłbym otworzyć sprzedaż zdjęć tego pacjenta. A do tego przeróżne tiszerty, czapeczki i inne pierdoły. Na tym można znakomicie zarobić.

- Ale nie masz takiej forsy - powiedział dozorca.

- Nie - szczerze przyznał Nobbin.

- A ja mam. I, rzecz jasna, zajmę się tym. Już się zająłem. Nie tylko czapeczki, tiszerty, papierośnice i zapalniczki z podobizną monstrem - tułaczego programu, ale dodatkowo wszystkie te bajery z podobiznami królewskiego tygrysa. Przy tym turyści na pewno będą chcieli nań spojrzeć, a to znaczy, że wszyscy niewątpliwie tu zajrzą.

- No i zawsze tak jest - rzucił Hobbin. - Pieniądze przyciągają do siebie inne pieniądze. A nam zostaną zupełne drobiazgi, w rodzaju podpowiedzianego przez ciebie barmanowi z „Blood Mary” nazwy koktajlu. Za to dostaniemy po kilka darmowych drinków, nic więcej...

- Dlaczego? - zapytał dozorca. - Potrzebuję pomocników i jestem gotów wejść z wami w układ. Oczywiście - racjonalny układ.

- A! - niemal chórem odezwali się Hobbin i Nobbin. - To inna rozmowa.

Też poczułem pewną ulgę.

Wreszcie staje się chyba jasne, dlaczego te tułacze programy nagle zainteresowały się moim losem. Powodem jest zwyczajny i trywialny zysk. Pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze - proste, znane, zrozumiałe. A skoro tak, to staje się jasne, jak właściwie należy postępować.

Tylko jak się ma do tego Plotka? Czy on jest i jak jest tym wszystkim zainteresowany?

Jakby czytając w moich myślach, Plotka powiedział:

- Ja też na tej historii zyskam co nieco. Informacja zawsze była cennym towarem. Jednakże teraz, zanim zaczniemy kosić szmal, powinniśmy pomóc Essutilowi. Hej, dozorczo, jesteś gotów?

- Oczywiście - radośnie odezwał się zapytany. - Całkowicie. Zaczynamy?

- Tak.

Tym razem dozorca nie grzebał po pulpicie. Nacisnął jakiś przycisk. Kawał ściany nieopodal mnie zniknął, otworzyła się czarna gardziel odbiornika.

- Tak, tak. Po prostu stąd - z miłym uśmiechem powiedział dozorca. - Na drugim końcu czeka już na ciebie sztuczne ciało. Jest twoje. W każdym razie póki nie znajdziesz własnego. Mamy do ciebie wielką prośbę - jeśli ci się uda, zwróć to na miejsce. Nawiasem mówiąc - czy korzystałeś już kiedyś ze sztucznego ciała?

- Nie - odpowiedziałem.

W mojej sytuacji nie było sensu kłamać, a i było to niebezpieczne.

- Różni się ono mocno od prawdziwego, ale na twoje potrzeby wystarczy. Kiedy będziesz je usuwał nie zapomnij odłączyć od informacyjnego spinacza. Znajduje się na prawym boku. Jeśli zapomnisz, to możesz uszkodzić ciało. Energii w ciele wystarczy również na trzy doby. Potem trzeba będzie doładowywać.

- Jak się nim steruje? - zapytałem.

- W chwili, kiedy znajdziesz się w ciele, do twojej pamięci załoguje się podprogram, zawierający wszystkie informacje o funkcjach ciała i sposobie sterowania nim. Tak więc nie musisz się niczego uczyć - gdy tylko znajdziesz się na miejscu, od razu będziesz wiedział wszystko, co trzeba. Masz jeszcze pytania?

Zerknąłem na odbiornik.

Sądząc po wyglądzie zewnętrznym musiał być starszy nawet od tych gliniarzy, którzy pierwsi napadli na mnie po moim wyjściu z „Blood Mary”. Znacznie starszy.

- Ile to ma lat? - zapytałem.

Dozorca uśmiechnął się i powiedział:

- Dokładnie to nie wiem, ale dużo, bardzo dużo. Ale niemal z niego nie korzystano, a poza tym, musisz wiedzieć, że w tamtych czasach wszystko robiono z potrójnym zapasem wytrzymałości. Nie to co teraz.

Prychnąłem pogardliwym śmieszkiem:

- Ho-ho! Znaczący się, to jest ten sposób, przy pomocy którego chcecie wysłać mnie na tamten świat: wpakujecie w tak stare ciało, że po pierwszym kroku rozpadnie się ono w drobny mak.

Dozorca energicznie potrząsnął głową:

- Nic nie rozumiesz. Ciało jest w znakomitym stanie. Jest

lepsze od wielu nowych, a przy tym różni się od nich pozytywnie, ponieważ było wykonane zanim przyjęto wiele praw, według których buduje się teraz sztuczne ciała. Rozumiesz, co mam na myśli? W końcu masz w nim tylko dotrzeć do centralnego zarządu gliniarzy i złożyć doniesienie.

- A jeśli powstaną jakieś komplikacje?
- Wtedy przyda ci się jeszcze bardziej. Słyszałeś, żeby ktoś wyposażał sztuczne ciała w broń?
- Nie, to jest zabronione przez prawo.
- A ciało zostało wykonane zanim pojawił się przepis zabraniający wyposażania sztucznych ciał w broń, czy tarczę. Rozumiesz teraz? W tym ciele są również pewne inne niespodzianki. Wszystkie poznasz, gdy się w nim znajdziesz. No to - skacz. Nie ma co przeciągać.

Jeszcze raz zajrzałem do odbiornika. Wstrząsnął mną dreszcz. Musiałem uruchomić straszliwe zasoby siły woli, żeby stłumić chęć wyjęcia rewolweru i urządzenia w tym pokoiku małego auto da fe.

Pakowanie swojego ciała do antykwarycznego przedmiotu, na widok którego każdy dyrektor muzeum rozwoju cybera dostałby obfitego ślinotoku, było zupełnie bez sensu. Chociaż wszystko, czego dokonałem w następstwie sprzedanej przez Plotkę nowiny nie dałoby się nazwać inaczej, jak właśnie tak. A więc...

- Nie marnuj czasu - ponaglił mnie dozorca.
- Rzykujesz, że stracisz swoje prawdziwe ciało na zawsze - przypomniał Hobbin.
- Jak również nadużywasz naszej cierpliwości. Jak struna pęknie będziesz się miał - z pyszna - postraszył mnie Nobbin.
- I wszystko nie jest tak groźne jak wygląda w tej chwili - podbudowywał moje morale Plotka.

Mogłem dać im odpór tylko w jeden sposób.

- Żebyście zdechli, zarazy - życzyłem tej miłej drużynie, która - być może - z zadowoloną miną ekspediowała mnie na tamten świat.

Nie dowiedziałem się, jak zareagowali na moje życzenia, ponieważ od razu po tych słowach wkroczyłem do odbiornika.

9.

Trzecie narodziny nie przysporzyły mi jakichś specjalnych emocji. Wydaje się, że wszystkie odczucia zostały mi już podarowane podczas drugich, gdy po raz pierwszy przeniosłem się do świeżo wykonanej maski. Tym razem nie odczułem niczego szczególnego. Ani bezdennej studni, w którą jakoby miałem wlecieć, ani żadnych odgłosów z tamtego świata, ani jaskrawego światła na końcu tunelu. Zupełnie nic.

No tak, cóż może być prostszego?

Nowe ciało. Nowe odczucia. Przyjemne? Raczej nie, raczej niezwykle. Tak, to jest właściwe słowo, najbardziej pasuje do odczuć. Zresztą, nie wątpiłem, że zaraz doń przywyknę i przestanę je zauważać.

Właśnie, co do sztucznych ciał... Ile ono ma lat? I jakimi to ekstraordinaryjnymi możliwościami mnie obdarzyło? No i co się tyczy broni?..

Dowiedzieć się tego można było bardzo, jak się wydawało, łatwo, ponieważ w chwili, kiedy przeniosłem się do sztucznego ciała, cała niezbędna wiedza trafiła do mej pamięci. By wyciągnąć ją stamtąd, wystarczyło tylko o niej pomyśleć.

No tak, pomyślałem.

Żeby cię!

Nabrałem ochoty dać klapsa niegodziwemu dozorczy.

Ten drań oszukał mnie mówiąc o wieku ciała. Sądząc z wszystkiego moje ciało w ogóle było jednym z pierwszych sztucznych ciał. Stworzyli je uczeni wielkiego zimnego mocarstwa, na rok czy dwa przed tym, jak przestało istnieć. Tylko po co? Oczywiście, że na potrzeby instytucji wywiadowczych.

Większość z prominentów wspomnianego mocarstwa, z reguły nie uświadamiała sobie, że jego rozpad jest nieuchronny. Jednakże ci, którzy kierowali instytucją wywiadu, rozpatrywali również taką możliwość. W wyniku czego powstał taki, a nie inny głupi plan. Zgodnie z nim, na obszarze tych regionów wielkiego mocarstwa, co do których istniało prawdopodobieństwo, że najprędzej się odłączą, powinni byli zostać umieszczeni agenci, tak zwane *śpiochy*. Poza zwykłymi ludźmi, do obowiązków których wchodziło zbieranie informacji, przekazywanie jej gdzie należy oraz rozsiewanie wymaganych przez szefów plotek, góra wywiadu potrzebowała również herosów. Tych, którzy mogli kogoś załatwić, czy wysadzić coś w powietrze.

Ze zwykłymi herosami zawsze było więcej kłopotów niż pożytku. Dlaczego? Ponieważ do szeregów owych bojowników trafiali ludzie o określonym charakterze. Tacy, co to nie potrafili długo siedzieć beczynnie. Wcześniej czy później sam charakter zmuszał ich do działania, bez sensu, bez celu, tylko po to, żeby sobie postrzelać, czy coś wysadzić, żeby cokolwiek zrobić. W wyniku tego pozostawieni na obcym terytorium bojownicy w chwili, kiedy zachodziła potrzeba ich uruchomienia dawno już byli zneutralizowani.

Przed wynalezieniem sztucznych ciał problem ten

rozwiązywano na dwa sposoby: albo do wysadzania czy zabijania używano agentów, albo pośpiesznie przerzucano na wraży teren niewielką terrorystyczną grupę. Wykonawszy zadanie grupa równie szybko wracała do domu.

Oba warianty miały swoje wady. Uśpieni agenci dość znośnie zbierali informacje i rozsiewali plotki, ale w sferze działań terrorystycznych, z reguły, byli całkowitymi ignorantami. Wystarczyło, by którykolwiek z nich dostał do ręki broń, a już zaczynał popełniać błąd za błędem. W wyniku tego dziewięć zadań na dziesięć pozostawało nie wykonane.

Profesjonalni komandosi znali się na swej robocie znakomicie. Jednakże i z nimi wiązały się spore trudności. Przede wszystkim należało ich przerzucić przez granicę, do kraju, w którym mieli działać. Z reguły podobne operacje wymagały wielu finansowych nakładów, a ryzyko wpadki nie małało. Jeden uczciwy i czujny żołnierz ze straży granicznej, który wkręcił się do gromady sprzedajnych kolegów, czy inny przykry przypadek mógł doprowadzić do krachu operacji. A nawet jeśli grupa szczęśliwie przedostała się przez granicę, komandos mogli po prostu zginąć przegapiwszy jakiś drobiazg, czy popełniwszy fatalny błąd - nie znając miejscowych obyczajów, wierzeń, czy warunków życia ludności miejscowej.

Zresztą, zdarzało się, że los im sprzyjał. W tym przypadku komandos mogli wypełnić postawione przed nimi zadanie. A zaraz potem zaczynał się najniebezpieczniejszy etap dowolnej operacji, tak zwane wycofywanie. Wycofując się, grupa terrorystyczna powinna była możliwie szybko wrócić na obszar własnego kraju. Ale nie było to takie proste. Nawet głupi przeciwnik stawiał na nogi całą swą armię, aż do ostatniego żołnierza, i w plecy uciekających herosów strzelano

z powietrza, z ziemi i z wody. Zastawiano na nich pułapki, usiłowano ich okrążyć, zapędzano ich na bagna, urządzano na nich obławy z psami i tak dalej.

W wyniku tego wszystkiego, w najlepszym przypadku, do bazy wracała nawet nie połowa oddziału, a najczęściej przeżyć udawało się jednemu, może dwóm. Wróciwszy i zameldowawszy rządowi o pomyślnie wykonanej operacji, zwiadowcy drapali się po głowach, przypominali sobie znane nieźle słowa pewnego starożytnego władcy o imieniu Pyrrus, i przystępowali do realizacji kolejnego planu.

Uczeni, tworzący pierwsze sztuczne ciała, pracowali z reguły w jakimś wojskowym kompleksie. Kiedy stało się jasne, że coś im wychodzi, zwiadowcy szybko położyli łapy na całym projekcie. Po co im to było? Oczywiście, że do pracy. Zwiadowcy w odpowiedniej chwili zrozumieli, że sztuczne ciała pozwalają na stworzenie idealnego terrorysty. Szybkiego, zręcznego, silnego i niemal nie do pokonania.

Ogólny plan był nadzwyczaj prosty. Na terytorium tych krajów, które w najbliższym czasie miały wyjść ze składu wielkiego mocarstwa, utworzono całą sieć tajnych, dobrze zamaskowanych bunkrów. Każdy z nich wyposażony był w źródło energii i podłączony do cyberprzestrzeni. W każdym z bunkrów umieszczono po jednym sztucznym ciele, a te miały istnieć nieskończenie długo. Aż staną się potrzebne, rzecz jasna.

Ten czas miał nadejść zaraz po tym, gdy nafaszerowany schronami kraj oddzielić się miał od wielkiego mocarstwa. Bo po odizolowaniu się nieuchronnie wpadał w sferę zainteresowania wywiadu mocarstwa. Wtedy też nadchodził moment, w którym występowała potrzeba wysłania dywersanta.

Zamiast więc pakować się przez granicę, komandosi przechodzili przez cyberprzestrzeń.

Fajnie, nie? Zamiast szkolić tabuny zbirów, wydawać na nich pieniądze i tracić czas, wystarczyło mieć dziesięciu speców najwyższej klasy. W odpowiednim momencie, ci profesjonaliści przez cyberprzestrzeń wnikają w sztuczne ciała, wychodzą ze schronu i wykonują swoje ciemne zadania. Po zakończeniu operacji wykonawcy, starannie zacierając po sobie ślady, wracają do bunkrów i za pośrednictwem cyberprzestrzeni bez kłopotów wracają do domu.

Czysta robota, efektowna z minimalnym ryzykiem. A efekt takiej operacji jest znacznie większy. Kilku nieuchwytnych zawodowców, niczym widma pojawiających się nie wiadomo skąd, robiących swoje i znikających nie wiadomo gdzie, może skutecznie zastraszyć całe państwo.

Plan był dobry w każdym calu. Nie został wdrożony tylko z powodu całkowitego rozpadu wielkiego mocarstwa. Stało się to niespodziewanie i znacznie wcześniej niż przewidywały resorty wywiadowcze. Na tę chwilę przygotowano tylko kilka bunkrów ze sztucznymi ciałami. Prócz tego - rozpad mocarstwa był całkowity i nieodwoalny. Wszystkie resorty, wywiadowcze również, przestały istnieć. Przy tym zapanował bałagan, a ponieważ o planie wykorzystania sztucznych ciał wiedziało niewielu, to i nie przypomniano sobie o schronach w czasie owej paniki. Kogo obchodzą jakieś nieukończone projekty, gdy trzeba wykonać zadanie najważniejsze - zniszczyć wszystkie tajne dokumenty?

Po co? A diabli wiedzą! Należy i już. Szpiedzy tacy już są. Jak tylko coś się wydarzy, natychmiast rzucają się do niszczenia tajnych dokumentów. No i poniszczyli. Nie wszystkie, oczywiście, ale większość. Zniszczyli i rozbiegli się.

Wartościowi specje bez pracy nie zostali, pojechali do dalekich krajów. Ci gorsi, znaleźli sobie zajęcie w nowopowstałych krajach, a ci, co się nigdzie nie nadawali, wypełnili szeregi licznej i bez nich armii świata przestępczego.

Innymi słowy - wszyscy ci, którzy wiedzieli, że wywiad zamierzał wykorzystywać sztuczne ciała w wiadomych celach, nagle przestali się tym interesować. Zostali zavaleni innymi pilnymi sprawami typu zdobywanie pożywienia dla zachowania swego drogiego życia.

Jednakże tych kilka sztucznych ciał, które zostały mimo wszystko umieszczone w bunkrach, czekały swojej chwili i mogły czekać wiecznie. Po kilkudziesięciu latach ich twórcy, zgodnie z podstawowymi kanonami przyrody wymarli. A po tym fakcie znalezienie któregoś z ciał możliwe było tylko dzięki zbiegowi okoliczności.

Tak też się stało. Kilka ciał zostało znalezionych, a co najmniej jedno z nich ocalało. Właśnie to, w którym się znalazłem. Dozorca, jak się wydawało, znalazł je poprzez gmeranie w cyberze, ponieważ było z nim połączone. Jak mu się to udało? Pojęcia nie mam. Właściwie, to nie miało to dla mnie żadnego znaczenia.

Znalazł to znalazł. Cześć mu i chwała. Chociaż... za taki rupień?..

Dobra, co za sens teraz wybrzydzać na los? Czy nie lepiej dowiedzieć się, co można z tego ciała wycisnąć? Urządziłem szybkie, choć szczegółowe przeszukiwanie i - po zakończeniu - poczułem się znacznie lepiej.

Co by nie mówić, to ciało było przygotowywane do pracy w trybie terrorystycznym. Oczywiście - i broń i wyposażenie było przestarzałe, ale lepszy rydz niż nic. W każdym razie do zarządu glin powinienem się przedostać bez większych

kłopotów.

Skoro tak, to w drogę i niech los nam sprzyja!

Otworzyłem oczy, ale niczego to nie zmieniło, ponieważ w bunkrze było ciemno jak w brzuchu Moby Dicka. Po chwili ta ciemność została zastąpiona przez zielonkawą poświatę, pozwalającą obejrzeć pomieszczenie z moim ciałem.

Nic szczególnego. Niska piwnica, w której można tylko stać, bo brakuje miejsca, żeby się położyć. Niski, pokryty pajęczynami sufit, gołe, nie otynkowane ściany. Z jednej wysuwały się dwa przewody, pokryte spękaną ze starości izolacją. Oba przewody kończyły się w moim boku.

Aha, znaczy wszystko w porządku. Jeden doprowadza prąd, drugi, zapewne, prowadzi do cyberprzestrzeni. Za jego pośrednictwem trafiłem do tego starożytnego ciała. Wystarczy, że odłączę ten przewód i łączność z cyberem się przerwie. Jeśli coś się później stanie z tym sztucznym ciałem, to nie będę mógł wrócić i zginę wraz z nim.

Rozśmieszyło mnie to.

O rany, ale to się da wyjaśnić dość łatwo.

Strach. Zwyczajny. Nic innego. Strach, towarzyszący nam od pierwszych chwil po przyjściu na świat. Strach przed odcięciem pępowiny, łączącej z bezpiecznym schronieniem, pierwotny strach, dlatego najstraszniejszy ze wszystkich, odczuwanych przez człowieka.

Do diabła, muszę się pośpieszyć. Już niemal nie mam na nic czasu.

A jednak zwlekałem, nie wiadomo dlaczego, po prostu zbierając siły do odłączenia tych dwu cienkich przewodów.

Nuże, no - już... teraz.

Obmaciałem lewy bok, wykryłem miejsce, gdzie podłączone były przewody, i ostrożnie za nie pociągnąłem. Kabelki ani

myślały się poddać. Wtedy pociągnąłem mocniej. Z cichym pstryknięciem przewody wyskoczyły z gniazd. Znieruchomiałem.

No i co?.. A nic.

Nic szczególnego się nie stało. Przed oczami przez sekundę miałem napis: „Ciało przeszło na zasilanie autonomiczne”. Tylko tyle. No i wystarczy.

Trzecie urodziny, żeby to diabli! Niestety - żadnych nowych wrażeń, nic w sumie specjalnego. Popatrzyłem pod nogi i zobaczyłem skrzynię. Nie za dużą, ale wystarczająco pojemną. Musiałem przez nią przejść, chcąc otworzyć drzwi i wyjść.

Ciekawe, co w niej jest?

Wystarczyło, bym o tym pomyślał, jak pamięć natychmiast podsunęła odpowiedź.

Ach tak, muszę do niej zajrzeć. Są tam niezbędne mi rzeczy. Jakie?

Pochyliłem się i podniosłem wieko, na szczęście nie było w nim w nim żadnego zamka. Na wierzchu leżała spora paczka w złocistej folii. Rozdarłszy ją odkryłem stertę ubrań. Jakieś dość obszerne spodnie, kurtka z mocnego, może nawet podgumowanego materiału, mocne żołnierskie buty. Nie dało się tego nazwać modnym odzieniem, ale nie wybieram się przecież na bal charytatywny. Mam tylko dotrzeć do zarządu gliniarzy, a i tak nie bardzo mogę zasuwać tam na golasa.

Ubierając się, pomyślałem, że bunkry mogły być budowane nieco lepiej, mogłyby być większe. Rozumiałem jednak budowniczych - w końcu zbudowali tylko futerał dla nieżywego obiektu. Po cholere tu jakieś komforty? No i im mniejszy schron, tym trudniej go wykryć.

Pod ubraniem w skrzyni leżała paczka pieniędzy. Może nawet były sporo warte dla jakiegoś kolekcjonera. Dla mnie

warte były tyle, ile papier, na jakim je wydrukowano.

Fajnie, a co dalej?

Kilka szczegółowych map jakiejś okolicy, pewnie tej, w jakiej się znajduje schron. Pewnie mi się nie przydadzą, zestarzały się od rozpadu wielkiego zimnowojennego mocarstwa. Odsunąłem mapy i znalazłem jeszcze jedno spore zawiniątko, jego zawartość mogła mi się przydać.

Tak też się stało. Rozwinąwszy pakunek odkryłem w nim przedpotopowy środek łączności. Pewnie swego czasu było to arcydzieło miniaturyzacji i niezawodności, ale teraz tyle miałem z niego pożytku, co krowa z pomadki do ust. Poza tym w zawiniątku leżał nóż w pochwie z mocnym długim ostrzem, pięć okrągłych przedmiotów, w których rozpoznałem granaty, i - jakżeby inaczej - pistolet.

Boże, od tego rodzaju broni chyba nie uwolnię się do końca życia. Wsunąłem pistolet do kieszeni kurtki, cmoknąłem. Nie, to nie cyber. Tam, jeśli kieszeni nie wykonał zaciekły zwolennik naturalizmu, to możesz doń włożyć choćby i haubicę, i nikt niczego nie zauważy. Natomiast tu każdy ćwokowaty gliniarz zauważywszy, jak odstaje mi kieszeń, natychmiast będzie chciał wiedzieć, co w niej noszę.

Z nożem sprawa była łatwiejsza. Już wkładając kurtkę zwróciłem uwagę na znajdującą się w lewym rękawie długą wąską kieszonkę. Wsunąłem tam nóż.

No i tak. Teraz, by wyszarpnąć nóż potrzebuję tylko jednego ruchu. Jeśli, oczywiście, znajdzie taka potrzeba. Ale niby po cholere miałbym go wyszarpywać? Zacząłem się zastanawiać patrząc na granaty.

Nie, to już przesada. W końcu - mam tylko dotrzeć do najbliższej komendy glin. Oczywiście, po drodze ktoś może na mnie napaść. Wtedy pistolet, czy nóż mogą mi się przydać, Ale

granaty... chyba lepiej obejść się bez nich.

Pozostałe w pakunku pięć czy sześć przedmiotów nieco mnie zakłopotaly. Nie potrafiłem określić do czego mogą się przydać i jak sieje używa. Nie zostało mi nic innego, jak położyć je z powrotem do skrzyni.

Zamknawszy jej wieko wyprostowałem się i zerknąłem na drzwi. Jak się one otwierają nie miałem najmniejszego pojęcia. Ta niewiedza była rzeczą dziwną, a może... może i nie dziwną? Może twórcy schronu doszli do wniosku, że otworzyć go może tylko wysłany przez nich terrorysta? To by była taka asekuracja, na wypadek, gdyby do ciała dobierał się niepożądany gość? Ostatnia myśl zupełnie mi się nie spodobała, szczególnie, że mogła być trafną, krystalicznie czystą prawdą.

Po krótkim czasie znalazłem zamek. Znajdował się po lewej stronie drzwi i wyglądał jak mały pulpik z dziewięcioma ponumerowanymi przyciskami. Od jednego do dziewięciu.

No tak, zgadza się. Zwyczajny zamek cyfrowy. W czasach, kiedy budowano ten schron uważano je za dość pewne.

Może i była w tym prawda. Postronny gość z cyberprzestrzeni, trafiwszy w sztuczne ciało i nie znając kodu, za nic nie mógłby otworzyć drzwi, a zatem nie mógłby skorzystać z obcego ciała.

Omiał nie huknąć z całej siły w cyfrowy zamek. To wyjście miało cechy ślepej uliczki. Nawet nie ślepej uliczki, a pułapki, z której dopiero może uda mi się wyrwać.

Zapewne wysławszy mnie do tego ciała dozorca natychmiast zerwał z nim łączność. Dla bezpieczeństwa i może nie na zawsze. Może za dobrę czy dwie raczy sprawdzić, czy aby nie wróciłem. Może uczyni to później, uważając, że nie przedostawszy się do komendy gliniarzy nie będę wracał do

schronu, żeby odstawić to przeklęte ciało na miejsce. Zresztą, jak mogę to zrobić, zanim nie znajdę swego prawdziwego, rodzimego ciała?

Nie, droga powrotna raczej jest zamknięta. Co bym robił po powrocie do cybera? Innego ciała dozorca raczej dla mnie nie zdobędzie. Czyli nie pozostaje mi nic innego, jak sforsować jakoś te nieszczęsne drzwi. Potrzebne mi do tego jest?..

Pomyślałem, że przede wszystkim muszę się uspokoić. W końcu jestem komiwojażerem i wykonując swoją pracę, często mam do czynienia z zamkami, i to mocniejszymi. Nie, nie jestem prywaciarzem. Mam całkowicie oficjalną państwową licencję, dającą mi prawo wchodzenia do wszystkich dopuszczalnych prawem w moim zawodzie pomieszczeń. Inna sprawa, że w mojej pracy ten, kto przestrzega wszystkich praw i zaleceń, często nie ma zysku. Prawo to taka rzecz, której - jeśli chcesz zarobić - nie można nie złamać. Co prawda należy to robić w jakichś sensownym ramach. Wystarczy lekko przegiąć pałę i można nałykać się takich nieprzyjemności, że głowa mała.

Tak więc nic mi nie zostało, jak przywołać na pomoc całe potężne doświadczenie.

Przywołałem. Doświadczenie miało, jak mi się wydawało, depresję. Nie, no coś mi podpowiedziało. Przypomniałem sobie, że zwyciężyć ten zamek można przy pomocy dwóch niezbyt skomplikowanych narzędzi z mojego standardowego zestawu; przy pomocy tych narzędzi...

A po co mi takie podpowiedzi!

Oczywiście, z radością skorzystałbym z tych narzędzi. Tylko, że cały ten zestaw pozostał z moim prawdziwym ciałem. Z narzędzi miałem w tej chwili do wykorzystania zawartość skrzyni, do tego nóż i pistolet, które zdążyłem wyjąć ze

skrzyni.

Pistolet!

Zmrużyłem oczy i uważnie przyjrzałem się zamkowi.

Ha, może to i dobry pomysł? Oczywiście, przy pomocy pistoletu drzwi się nie wysadzi, ale sam zamek... Jeśli mi się poszczęści i jeden z pocisków trafi gdzie trzeba, to może zamek się otworzy.

Bzdura, całkowita bzdura. Zbyt duże ryzyko. Co będzie, jeśli ten szczęśliwy traf nie zajdzie? Pocisk rozwali pulpit i nie da się otworzyć zamku innym sposobem.

Może na przykład spróbować otworzyć pulpit nożem i pogrzebać w jego wnętrzu. Nie, to też ryzykowny wariant. Pulpit pewnie został zabezpieczony w jakiś sposób. W przypadku nawet niewielkiego uszkodzenia może wyłączyć cały zamek, całkowicie, tak więc nie da się już go potem otworzyć.

Nie, i jeszcze raz nie. Trzeba zacząć od najbezpieczniejszego wariantu. Ale od jakiego?

Doświadczenie, które ucięło sobie drzemkę w najgłębszych odcinkach mojej pamięci, poderwało się i poszło do mnie jeszcze jedną podpowiedź. To też wymagało sporego szczęścia, ale spróbować mogłem. W każdym razie nie musiałem w tym wariantcie grzebać w pulpicie.

Na początek musiałem sprokurować sobie światło. Jeszcze raz przetrząsnąłem zawartość skrzyni i znalazłem małą paczuszkę, której nie zauważyłem przy pierwszej penetracji. Wewnątrz znajdowało się zapakowane w plastik pudełeczko zapałek.

Mądrze. Baterie z czasem wysiadają, a zapałkom, na dodatek dobrze zapakowanym, nic nie grozi. Rozdawszy opakowanie zapaliłem jedną zapałkę i w jej świetle dokładnie

obejrzałem pulpit.

Jest. Chyba coś mam!

Pod działaniem czasu plastik, z którego wykonane były przyciski, pożółkł, stał się podobny do kości słoniowej. Ale trzy przyciski różniły się od innych. Te były nie tylko ciemno-żółte, a nawet poczerniały na brzegach.

Ciekawe, dlaczego tak się stało, skoro nikt nie próbował otworzyć zamka? Czy może właśnie to ciało było już raz czy dwa wykorzystywane do jakichś operacji? Nie, niemożliwe, byłoby to w moich, załadowanych do pamięci, wspomnieniach.

Może dawno temu ktoś przypadkowo natrafił na to ciało, próbował otworzyć drzwi, nie udało mu się, więc musiał wracać jak niepyszny? Wątpliwe. Bo co - usiłował otworzyć drzwi przyciskając tylko trzy guziki?

Nie, o coś innego chodzi.

Zamyśliłem się.

Zagadka nie dawała się rozwiązać. Ale rozwiązanie istniało, czułem to, wiedziałem, że zanurzone jest gdzieś w mojej podświadomości. Jeszcze jeden niewielki wysiłek i pochwycę je... już... za momencik...

Ha, jak mogłem się nie domyślić! Przecież to wszystko jest takie proste.

Oczywiście, przyciski były poruszane zanim drzwi zostały zamknięte po raz ostatni, może zanim w bunkrze zostało ulokowane sztuczne ciało. A kto dotykał przycisków? Oczywiście, że ten, kto montował zamek cyfrowy. Powinien, w końcu, sprawdzić, czy zamek działa?

Zakląłem z ulgą.

Wszystko w porządku. Przecież żeby sprawdzić, czy zamek działa dobrze trzeba przynajmniej raz wystukać kod. Na pewno zostało to zrobione. Dlatego te przyciski, których

dotykał monter zamku skorodowały mocniej niż pozostałe. Dlaczego? A niby skąd mam wiedzieć? Może miał dłonie czymś ubrudzone, może po prostu spocone? Pot przecież może oddziaływać na plastik. Może nawet ten spec miał ręce całkowicie czyste, ale przyciski były pokryte cienką warstwą jakiegoś środka antykorozyjnego i wystukując kod startł go.

Nieważne, teraz najważniejsze, żebym mógł być pewien, że kod składa się z trzech cyfr. Przy czym, jeśli składa się z co najmniej sześciu znaków, a tak z pewnością jest, to któreś z tych cyfr się powtarzają. Jakie? Tego nie wiadomo. Nie pozostaje nic innego, jak wypróbować wszystkie możliwe kombinacje. Jest ich wiele, ale na szczęście, nie nieskończona ilość.

No to może by tak do roboty? Przysunąłem się bliżej pulpitu i zacząłem. Po jakimś czasie, wystukawszy kolejną kombinację, usłyszałem ciche szcęknięcie zamku.

No, to tyle w temacie zamek.

Pchnąłem drzwi, poddały się i uchyliły. Trzeba było wychodzić, porzucić tę betonową piwnicę, ale nie wiem dlaczego nie śpieszyłem się, jakby mi czegoś brakowało, jakby coś było nie tak.

Co właściwie? Ach, jasne, jak mogłem zapomnieć? Brakowało mi możliwości zaczerpnięcia pełną piersią powietrza, brakowało szczęścia i radości z powodu powrotu do swego świata. Dlaczego?.. Pewnie dlatego, że tak właściwie, to jeszcze nie wróciłem. Ciągle jeszcze jestem w świecie cyberów. Po prostu granica, oddzielająca mnie od wielkiego świata, stała się cieńsza, zmieniła się w powłokę sztucznego ciała. Powinienem teraz zrobić to najważniejsze - zakończyć swoją ucieczkę, usunąć ostatnią przeszkodę.

Ciekawe mimo wszystko, czy dozorca wiedział, że nie tak łatwo jest wyjść z schronu? Na co liczył, wysyłając mnie do

tego ciała? Na to, że dam sobie radę, czy na to, że ugrzęznę tu na długo?

W ogóle to zabawna istota ten dozorca zoologu. Jak na tułaczy program jest po prostu niewiarygodnie mądry. Czy tułaczy program może rozwinąć się tak, że stanie się nie tylko mądrzejszy od człowieka, a nawet przejdzie na jakiś inny poziom rozwoju, potrafi zrozumieć coś, czego nie może człowiek, i dlatego nie przechodzi na następny stopień rozwoju?

Pokręciłem głową.

Jakie to ma znaczenie? Szczególnie dla mnie i właśnie teraz. Czas na działanie. Do diabła wszystkie te paranoiczne pytania. Najważniejsze, że droga jest wolna. Zostało mi tylko wyjść i udać się do zarządu gliniarzy. A o to, czy jakiś program wejdzie na poziom bóstwa, będę się martwił później, kiedy to wariactwo się skończy.

Ostrożnie otworzywszy drzwi, wyjrzałem na zewnątrz.

Ciemność, gwiazdy, miasto, cichy szept przelatującej nad głową awietki, zaraz potem rozpaczliwy wrzask śmietnikowego kota, muzyka przeniesiona przez wiatr skądś z daleka i po sekundzie rozmyta i zagubiona w ciszy nocy.

Wyszedłem ze schronu i zatrzymałem się usiłując określić, gdzie jestem. Drzwi, rzecz jasna zaraz się zamknęły, a obejrzawszy się, zobaczyłem tylko wysoką, szarą, wymurowaną z ciemnych wiekowych kamieni ścianę. Pewnie była to ściana jakiejś katedry, czy po prostu starego domu, posiadającego wielką historyczną wartość. Cyniczni zwiadowcy, budując schron wszystko wzięli pod uwagę. Musieli mieć gwarancję, że obiekt, w którym ulokują schron nie będzie przerabiany, czy burzony. Cóż, nie zawiedli się - budynek, w którym urządzono kryjówkę nie był naruszony,

nikt nie ośmielił się go ruszyć.

Tylko co by powiedzieli ci spryciarze, gdyby wiedzieli, że wszystko to robili po to, żeby kiedyś w przyszłości z owoców ich troski korzystał jakiś komiwojażer, który nagle znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

Uśmiechnąłem się i jeszcze raz przyjrzałem ścianie. Czysta profesjonalna robota. Nie dało się określić, gdzie były drzwi. A już na pewno, gdyby nawet udało mi się je odnaleźć, nie otworzyłbym ich za skarby świata, ponieważ zamek pewnie już się zamknął.

Mógłbym stać jeszcze trochę i zastanawiać się jak, zdaniem owych wywiadowców, miał wrócić do schronu terrorysta po wykonaniu swego zadania, ale nie zrobiłem tego. Raczej mieli wszystko przemyślane i obliczone. Nie miałem czasu na rozważania pod ścianą.

Przede wszystkim musiałem określić, w jakim kierunku mam się udać, a to znaczyło, że muszę choć w przybliżeniu określić w jakiej części megapolisu się znalazłem.

Jeszcze raz się rozejrzałem.

W prawo i w lewo ode mnie ciągnęła się nie kończąca się ściana. Na wprost przede mną, równoległe do ściany płynęła rzeczka, z gatunku tych, co to jej głębokość mieści się w przedziale jednego metra. Co się znajdowało za nią nie widziałem, ponieważ widok zasłaniały jakieś drzewa. Na drugim brzegu chyba znajdował się owocowy sad, a drzewa, które w nim rosły, były stare, grube, wysokie, z obfitymi koronami.

Nie chciało mi się pokonywać rzeczki. Sad mógł być wielki. Jaki sens ma błędzenie po nim? Co mogę w nim znaleźć? Tylko zmarnuję czas. Raczej trzeba iść wzdłuż ścian. Wcześniej czy później musi się skończyć.

A więc, w prawo czy w lewo?

Odwrociłem się w lewo i zmuszając do wolnego kroku poszedłem wzdłuż ściany.

Jasne, bardzo się śpieszę, ale to nie powód, żeby zachowywać się nieostrożnie. Nieważne, w jakim megapolisie się znalazłem. Nocne spacery po każdym z nich niosą spore ryzyko. Szczególnie w pewnej odległości od oświetlonych ulic i patroli glin.

Po jakichś dwustu krokach przekonałem się, że wybrałem dobry kierunek. Ściana zaserwowała mi niespodziankę w postaci wąskich żelaznych drzwi. Całkowicie naturalna była chęć dowiedzenia się, co kryją. O ile, rzecz jasna, nie są zamknięte na klucz. W tym przypadku nawet nie będę próbował ich sforsować, dość już mam wszystkich tych sprytnych zamknięć. Lepiej przejdę się jeszcze wzdłuż tej wspaniałej, bardzo starej ściany. Być może los będzie mi sprzyjał i zaserwuje zwyczajną arkę, przez którą można przejść bez prób otwierania czy wyłamania.

Kombinując mniej więcej w ten sposób pociągnąłem za klamkę.

O cudzie! Otworzyły się.

Więcej, prowadziły nie do jakiejś cuchnącej piwnicy, kanciapy stróża, a prosto na ulicę.

Zobaczyłem kilka pojemników na śmieci, pochyloną latarnię, przypominającą jako żywo pijaczka z dużym stażem, który przesiedział przy kontuarze baru cały dzień, poza tym - ścianę jakiegoś domu z odłupanym tynkiem, z oknami, zasłoniętymi pancernymi okiennicami, z wąskimi szczelinami widokowymi.

Teraz musiałem tylko wyjść na tę ulicę, znaleźć komendę policji, i - po robocie. No to skoro tak, dlaczego zwlekam?

Zadowolony z siebie, uśmiechnięty jak ostatni krety, myśląc tylko o tym, że moje przygody dobiegają końca, przekroczyłem próg drzwi. I natychmiast oberwałem kawałem żelaznej rury w łeb.

10.

To było to: ciężki i przekonujący, nieprzyjemny jak wizyta komornika, kawał żelaznej rury.

Każdy normalny człowiek po takim uderzeniu powinien, albo pożegnać się z życiem, albo runąć jak podcięty i stracić przytomność, przynajmniej na kilka godzin. Ale posiadane przeze mnie aktualne ciało zostało wykonane przez świetnych fachowców.

Zanim więc ten operujący kawałem rury człowiek zaprawił mnie po raz drugi odwróciłem się do niego. Nic szczególnego. Po prostu duży facio, z tępym pyskiem. Taki typ człekokształtnego, z którym, będąc w swoim ciele, nie chciałbym spotkać się na wąskim chodniku.

Zresztą - stało się. Spotkałem go.

Odcinek rury dokonał zetknięcia z moją głową po raz drugi. Nie mogę powiedzieć, żebym zupełnie przy tym nie czuł bólu. Bolało, i to jeszcze jak! Jednakże odczuwany był jakby przez poduszkę, jakbym miał na głowie dobrze chroniący ją hełm.

Wszystko się zgadza - tak powinno być. Wszak twórcy ciała zatroszczyli się, żeby było ono wystarczająco współczulne, ale jednocześnie tak, by ból nie mógł przeszkodzić posiadaczowi ciała w wykonaniu postawionego przed nim zadania.

A propos bólu...

Goryl zamachnął się raz jeszcze. Rozwój jego intelektu

zatrzymał się, jak sędzę, gdzieś w wieku lat trzech. Przechwyciwszy w locie odcinek rury, gwałtownym szarpnięciem wyrwałem go z łap pakera, odrzuciłem daleko w bok i zapytałem:

- Te, chłopie, coś się tak rozkręcił? Czy ja ciebie ruszałem?

Paker zdębiał. Potrzebował co najmniej trzech sekund, żeby zrozumieć, że zabawa skończyła się zanim się rozpoczęła. Po upływie tego czasu na obliczu goryla pojawił się wyraz skrzywdzonego dziecka. Jakby ktoś malcowi zabrał smakowity cukierek.

- Ach toś ty taki? - w końcu wykwakał.

- Dokładnie - powiedziałem. - Taki. A może i gorszy. Jeśli mi nie powiesz, kto cię napuścił na mnie, to poodrywam ci rączki i nóżki. Nie wierzysz?

A może rzeczywiście? Bydlak naprawdę wyraźnie czekał na mnie. Kto mógł wiedzieć, że znajdę się tu akurat w tym czasie? Plotka i jego towarzysze? Ależ nie, po co im to? Może złodzieje mojego ciała potrafili uruchomić searchprogram i dzięki temu dowiedzieli się, jak udało mi się urwać z cybera? Ale to musiałyby kosztować ich koszmarną furę pieniędzy. Właśnie, czy to moje ciało nie kosztuje ich przypadkiem zbyt drogo?

- To ja ci poodrywam co trzeba - wychrypiał paker. Ale nie było w jego głosie zbyt dużo pewności, o nie.

- Guza tam.

Chyba przesadziłem z tym ostatnim zdaniem. Zamiast kontynuować towarzyską konwersację goryl rzucił się na mnie. Zrobił to w wielce oryginalny sposób, po prostu pochyliwszy głowę i runąwszy do przodu jak byk, usiłujący nanizać na rogi znieawidzonego torreadora. Oczywiście, nie potrafił sobie wyobrazić, że nie da rady jakoś specjalnie uszkodzić głową kogoś, kogo nie dał rady sprowadzić do

parteru odcinkiem rury.

Nie zostało mi nic innego, jak ułamek sekundy przed zderzeniem usunąć się z trasy goryla. To wystarczyło. Z pełnym rozczarowania chrząkaniem, paker przemknął obok mnie i wyrznął w ścianę. Jakimś cudem ściana ustała, a nowo objawiony torreador, bucząc z bólu, runął na kolana.

Skinąłem głową z zadowoleniem.

Tak ma być. Gdyby ta mała ilość mózgu, jaka znajdowała się w głowie mojego adwersarza, nie była chroniona grubą warstwą tkanki kostnej, to goryl zgruchotałby sobie czerep. A tak dorobił się tylko dużego guza, który po tygodniu, po dwóch zniknie całkowicie.

A właśnie, dlaczego napastnik jest sam?

Niestety, ta cenna myśl przyszła mi do głowy nieco za późno.

Ten osobnik, który podkraść się do mnie od tyłu, różnił się od Goryla. Należał do zupełnie innej rasy.

A ja, szczerze mówiąc, wystrugałem z siebie durnia, przejmując się zabawą z Gorylem, który okazał się tylko koziołkiem ofiarnym, przy pomocy którego profesjonalny myśliwy zazwyczaj poluje na niebezpiecznego drapieżnika. W ogóle należało przypomnieć sobie, że istnieje taki gatunek niegodziwców, którzy czują się bezpieczni tylko w bliskiej obecności poważnego wsparcia.

Niestety, nawet go nie zauważyłem. Zresztą, działał jak prawdziwy profesjonalista. Zamiast walić mnie po łbie jakimś ciężkim przedmiotem, skorzystał z g-shockera.

Ta zabawuszka skutecznie i na długo paraliżuje każdą istotę zarówno pochodzenia naturalnego jak i sztucznego. Powstała dawno po tym, jak powstało moje ciało. Dlatego nie posiadała żadnej, nawet najmniejszej ochrony przed g-shockerem.

Nie poczułem bólu. Po prostu nagle odjęło mi ręce i nogi. Grawitacja naszej starej dobrej planety dokonała reszty, i runąłem na jezdnię jak worek z mierzwą. I jeszcze raz nie miałem fartu. Upadłem twarzą w dół i praktycznie pozbawiłem się możliwości wizualnej penetracji otoczenia, oczywiście - poza mikroskopijnym odcinkiem jezdni, znajdującym się tuż przy moich oczach.

Co prawda, mogłem słyszeć, o czym rozmawiają te dwa typy, ale czy miałem z tego jakiś pożytek? Przez pierwszych kilka minut w ogóle ze sobą nie rozmawiali.

Goryl, widocznie, przychodził do siebie, a profesjonalista po prostu milczał, ponieważ był prawdziwym zawodowcem.

W końcu Goryl zaproponował:

- Może mu wybiję teraz wszystkie zęby? Na początek. Potem trochę odetchnę i zabiorę się do niego na serio. Założę się, że on nawet sobie nie wyobraża, co tak naprawdę mogę z nim zrobić?

- Nawet go nie tkniesz palcem. - Głos Profesjonalisty był tak zimny, że na dystans trzech metrów zamrażał sok pomarańczowy.

- A dlaczego to? - oburzył się Goryl. - Widziałeś, co mi zrobił? Niech zdechnę, jak się z nim nie policzę.

- Nie policzysz się. Dla dobra sprawy musi wyglądać świeżo i zdrowo.

- No to po co kazałeś mi walić go po łbie?

- Ponieważ wiedziałem, że nie zrobisz mu w ten sposób krzywdy, tylko odwrócisz jego uwagę... I tak się w końcu stało.

Pomilczawszy chwilę, Profesjonalista powiedział:

- Dobra, już chyba czujesz się dobrze. Przyniesź więc ją tu.

Goryl półgłosem obiecał mi, że jeszcze się policzymy, i poszedł wykonać polecenie. Słyszałem jak cichnie odgłos jego

kroków. Nagle zatrzymał się i dał się słyszeć szcęk otwieranych drzwi awietki.

Aha, mają transport. Ciekawe, co wymyślili?

Właściwie, to nic innego mi nie pozostało, jak tylko zgadywać zamiary tej wesołej pary. Przeczucie mówiło mi, że wkrótce poznam je aż za dokładnie. Tak się też stało.

Nie minęła i minuta, jak Goryl ruszył w powrotną drogę. Teraz jego kroki były stłumione, jakby niósł coś ciężkiego.

Ciekawe, co mnie czeka.

Goryl zatrzymał się kilka metrów ode mnie, jakby oczekując dalszych instrukcji. Nie czekał długo.

- Świetnie - powiedział Profesjonalista. - Połóż ją tu. I pamiętaj, że wszystko ma wyglądać w najwyższym stopniu naturalnie.

Gdybym miał taką możliwość, to cisnąłbym teraz w twarze tych bydlaków kilka soczystych przekleństw, może nawet nowych dla nich. W końcu, tak mi wyglądało, postanowili wykonać z moim udziałem pewien podły, stary jak piramida Cheopsa, numer.

A może jestem przesadnie cyniczny? Takie numery widzimy znacznie częściej w filmach niż w życiu. Chociaż... Dlaczego nie? Przecież cynikami nazywają tych, co znają dobrze życie, nie tych, co nie mają o nim pojęcia. W takim ujęciu cynizm - to tylko świetna orientacja.

Goryl położył jakiś ciężar na jezdni i radośnie zarechotał. Głupszego i bardziej podłego śmiechu nie słyszałem w życiu. Zazwyczaj tak rechocą skończone bydlaki, wykonujące kolejny podły czyn i, mający pełną gwarancję bezkarności. Pomyślałem, że to nie jest takie pewne. Gdy tylko uda mi się podporządkować sobie znowu ciało, znajdę tego szubrawca, a wtedy się zacznie...

- Nie zgubiłeś żelastwa? - zainteresował się Profesjonał.
- Oczywiście, że nie.
- No to na cholereę czekasz? Dawaj, rób jak się umawialiśmy.

Wytężyłem słuch.

Wyniki nasłuchu były mizerne. Mogłem powiedzieć na pewno tylko tyle, że Goryl coś robi, przy tym szybko i zręcznie, ale co - nie mogłem stwierdzić. Minęło trochę czasu i Goryl raźnie zameldował:

- Gotowe!
- Wszystko?
- Oczywiście!
- Dobrze. Teraz zwijamy się stąd. Aha, zerknij-no na awietkę...
- Gdzie?

Widocznie spełniając polecenie Profesjonalisty Goryl naprawdę usiłował wypatrzeć, co się dzieje z ich środkiem komunikacji. Dureń, musiał być zupełnie zielony, skoro nie znał pewnej nieprzyjemnej cechy zawodowców.

Niemal natychmiast usłyszałem krótki krzyk i odgłos upadającego na jezdnię ciała, co potwierdziło moje przypuszczenia. Profesjonałiści nie lubią pozostawiać żywych świadków swych czynów. Szczególnie, gdy prawdopodobieństwo, że świadek sypnie, jest wysokie. W przypadku Goryla było to pewne na sto procent. Gdyby Profesjonalista zostawił go przy życiu, osiłek prędzej czy później trafiłby w ręce glin. Taki jest los goryli. Wcześniej czy później trafiają w łapy glin, a wtedy... Oczywiście, że ratując swoje skóry przed więzieniem, chwytają się każdej słomki i zaczynają sypać, zdradzając wszystko, co interesuje gliniarzy.

Ciekawe, czym Profesjonalista go wykończył?

Odpowiedź na to pytanie dopadła mnie niemal natychmiast.

Podszedł do mnie. Upadając na jezdnie, podłożyłem pod siebie prawą rękę. Teraz, żeby ją uwolnić Profesjonalista musiał mnie unieść i ponownie opuścić na jezdnię. Wystarczyło to, żebym zobaczył jego stopy.

Stopy jak stopy, nic szczególnego. Najzwyklejsze nogi, buty, spodnie...

A on coś robił z moją prawą ręką. Mógłbym przysiąc, że włożył do niej ten przedmiot, jakiego użyto do załatwienia Goryla. Co to może być? Nóż? Jeśli tak, to mam za przeciwnika konserwatystę. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat wymyślono mnóstwo poręcznych i stosunkowo łatwych w użyciu patentów, przy pomocy których każdy mógł pozbawić kogoś życia. Tym sposobem moda na noże wśród reprezentantów świata przestępczego niemal minęła.

Tak, to chyba nóż.

Chwilę stał nade mną, widocznie jeszcze raz sprawdzał, czy niczego nie pominął, potem zabójca wydał z siebie jakiś gardłowy odgłos, zapewne oznaczający pełną aprobatę, i niespiesznie ruszył w stronę, gdzie stała awietka.

Można powiedzieć, że Maur zrobił swoje, Maur może odejść. Z czystym sumieniem, żeby go lichu.

A ja zostałem na jezdni. Czekałem. Nie wiem, na co.

Dlaczego - nie wiem na co? Wiadomo, na co, bardzo dobrze wiadomo. Nie trzeba mieć jakoś specjalnie rozwiniętej wyobraźni, żeby odgadnąć co się zaraz stanie. Znacznie ciekawsze jest co innego. Po co ci, co wynajęli Profesjonalistę, zostawili mnie żywego? Po co ryzykować jakąś obsuwę, zamiast kazać temuż Profesjoniście, by pozbawił mnie mego bezcennego żywota, o który walczę przez ostatnią dobę jak szczur zapędzony w kąt?

Oto pytanie.

Może akurat jest dobry moment, by się nad nim zastanowić? 1 tak nie mam nic innego do roboty. Mogę jeszcze spróbować odgadnąć po co Profesjonął wykonał tę całą serię manipulacji ze mną. Choć to akurat nie jest specjalnie trudne do odgadnięcia - za jakieś dwadzieścia minut przyjadą tu gliny, a ja, tak jak chciałem, trafię na komendę.

O właśnie, dokładnie tam, gdzie chciałem trafić. Tylko, że miałem się tam znaleźć nie jako schwytyany na miejscu zbrodni zabójca, a jako ofiara, pozbawiony ciała człowiek. A różnica między tymi dwoma statusami jest znaczna.

W myślach jeszcze raz zakląłem i oddałem się rozmyślaniom na temat, dlaczego pozostałem przy życiu. Jakoś mi się kiepsko o tym myślało. Chyba dlatego, że moje myśli przez cały czas wracały do nieuchronnego i niemiłego, jak przyjazd teściowej, przybycia glin.

W końcu, rzecz jasna, przyjechali. Przy tym stało się to o pięć minut wcześniej niż sądziłem. Gliniarzy było dwóch i działali oni spokojnie i rzeczowo, jakby z góry wiedzieli co ich tu czeka.

Pewnie, przynajmniej jeden z nich musiał wiedzieć, co tu zobaczy. A może i obaj.

Wyładowali się z awietki, podeszli do mnie i po mikroskopijnej pauzie, potrzebnej chyba do rzucenia okiem na miejsce zbrodni, przystąpili do rzeczy.

- Aha - powiedział pierwszy - kolejne zabójstwo. Powiedz mi, Ganelonie, czy to aby nie szóste w tym tygodniu?

- Siódme.

Głos Ganelona przypominał skrzywienie ośki nie nasmarowanej furmanki. Milutki głosik. Akurat takiego należy używać, kiedy krzyczy się, że opór nie ma sensu, że wszyscy są

okrażeni, i że zaraz posiadacz tego głosu wytłucze temu ćwokowi cały mózg ze łba, a potem zmusi go do jego zjedzenia.

- Zobaczymy, jak on wygląda?

- Oczywiście. Ale uważaj, to sztuczniak. Może wykręcić jakiś numer. Oni tacy są, ci sztuczni. Kto wie, może naszpikował swoje ciało jakimiś bajerami i teraz tylko czeka, żeby je zastosować?

- Przegiąłeś trochę. Gdyby miał takie możliwości, to już by się stąd ruszył, nie sądzisz? Po co by czekał na nasz przyjazd?

- Może chce dołożyć do swojej kolekcji trupów jeszcze parę gliniarzy?

Zdziwiłem się.

O jakiej kolekcji trupów oni bełkoczą? Skąd miałyby się wziąć? I co ja mam do tego?

- To może najpierw przedziurawimy mu rękę albo nogę? Będzie wiedział, że z nami nie ma żartów, a my zyskamy pewność, że będzie się zachowywał grzecznie. A jak przyjedziemy na komendę, to powiemy, że stawiał nam opór i musieliśmy go trochę ochłodzić. Może nawet dostaniemy premię za zatrzymanie szczególnie niebezpiecznego przestępcy.

- Tak, a może on ma gdzieś wmontowany aparat rejestrujący? Zdarzało się już tak. Aż do sądu będzie udawał owieczkę, a w odpowiedniej chwili pokaże sędziemu zapis. I - łup! Jego wypuszczają, a nami zajmują się na poważnie. Nie, skoro on jest sztuczny, to róbmy wszystko dokładnie według procedury.

- Dobra, jak według procedury, to według procedury.

Przewrócono mnie na plecy i szybko dopełniono obrzędu zatrzymania. Nie było to nic szczególnego. Ciągle ten sam stary, według mnie nie zmieniający się przez sto lat, tekst, w

którym wspomina się o prawach, o jakimś dzwonku, jakimś adwokacie, i innych duperelach.

- Uff, chyba wszystko - powiedział Ganelon.

Teraz przynajmniej ich widziałem. Wygląd Ganelona odpowiadał jego głosowi. Taka niemal budka videofoniczna, odziana w mundur, obwieszona jak choinka noworoczna narzędziami, przy pomocy których można każdego przenieść do kategorii kalek.

Drugi był nieco mniejszy. Brak ciała rekompensował niesamowicie ohydny wygląd. Praca komiwojażera sprzyja wykształceniu pewnej umiejętności poznawania ludzkiej natury. Tak więc, jeśli znam się na ludziach, to ten typek na pewno mógł po służbie dla rozrywki wychodzić na ciemne ulice i wypruwać flaki z kapłanek miłości.

Prócz tego mogłem, zezując, rozejrzeć się. Tak, ciało Goryla leżało nieopodal, a moje palce zaciskały się na rękojeści noża, którym został pochlastany. Ale najważniejsza niespodzianka znajdowała się gdzie indziej. Niedaleko od trupa miłośnika gazrurki leżało jeszcze jedno ciało. Sądząc z ubrania była to kobieta. Pewnie zabito ją tym samym nożem, co i Goryla, a na dodatek, mogłem się o to założyć, na pewno była młoda i piękna.

Nie wiadomo dlaczego, tych, co zabijają młodych i pięknych nienawidzi się mocniej niż tych, co zarzynają jak podleci. Zapewne ten, co zaplanował scenariusz przekazania mnie glinom, powinien był uwzględnić ten czynnik.

O-żesz-ty!

Chyba wpadłem na całego. Jeśli trup Goryla da się wytłumaczyć samoobroną, to śmierć młodej ładnej kobiety pociągnie mnie na dno lepiej niż przywiązany do nóg młyński kamień.

Koniec jazdy. Teraz, cokolwiek bym nie mówił, jakkolwiek bym nie udowadniał swą niewinność, nikt mi nie uwierzy. Wszystkie moje wyjaśnienia uznane zostaną za majaczenia tułaczego programu. A to oznacza szybką rozprawę i równie szybką karę. Jaką? Można postawić sto infobucksów przeciwko starej wykałaczce, że od dostarczenia do komendy do prostackiego skasowania nie minie więcej niż pół godziny.

W międzyczasie Ganelon wyciągnął z awietki jakiś sprzęt i zaczął filmować miejsce przestępstwa. Po pięciu minutach, skończywszy filmowanie, chwycił nieszczęsny nóż za ostrze i włożył do plastikowego woreczka. Włożył sprzęt i woreczek z narzędziami zbrodni do awietki, wylazł z niej na ulicę i podszedł do partnera.

Ten chrząknął z aprobatą i odezwał się:

- OK. Teraz nałożymy mu obrączki.

- To, Mordnie, twoja robota - odezwał się Ganelon. - Nadszedł czas, abym odpoczął po pracy.

Mordnie przemyślał wypowiedź partnera, uśmiechnął się i powiedział:

- Mylisz się. Zrobisz to również ty. Pamiętaj - ja jestem dowódcą, a zatem mój obowiązek to dowodzić i obserwować.

- Jesteś pewien?

- Jak cholera.

- Cóż, dobrze...

Według mnie w głosie Ganelona słychać było groźbę. W mojej duszy zatliła się słabiutka nadzieja. Jeśli teraz stróże porządku zaczną się wyklócać...

- Uprzedzam, że jeśli zamierzasz wykręcić ten sam numer, na który pozwoliłeś sobie w ubiegłym tygodniu, to złamię ci rękę.

- I zostaniesz bez partnera.

- Wiesz co, takiego jak ty znajdę zawsze. Pod każdym płótem leży dziesięciu.

- Takiego jak ja, nie jest łatwo znaleźć. Ciekawe, z którym z tych znawców płótnów będziesz kręcił swoje machloje, dzięki którym masz uboczne dochody? Załóżmy się, że każdy z tych idiotów przede wszystkim będzie chciał cię zakablować? I jeśli mu się to nie uda, to będziesz znowu szukał dla siebie partnera, a jeśli się uda - stracisz pewną ilość pieniędzy.

Mordnie zamyślił się. Zdziwiłem się raz jeszcze.

Na moich oczach odeszło w niebyt' przekonanie, że podobni do nich ludzie nie są zdolni do takiego wyczynu.

- Dobra, niech cię diabli - mruknął Mordnie, odpinając od pasa kajdanki. - Ale pamiętaj, jeśli będzie szurał, to odliczę z twojej doli dziesięć procent.

- Załóżmy się, że ci się nie uda?

Mordnie szybko przeszukał mnie i wyjął na światło dzienne pistolet i nóż. Schowawszy je, zatrzasnął kajdanki na swojej i mojej ręce, potem szarpnięciem podniósł mnie, i to tak, jakbym nic nie ważył, i poniósł do awietki. Po drodze nie odmówił sobie przyjemności i podzielił się przypuszczeniami co do sposobu, w jaki jego partner pojawił się na tym świecie. Szczerze mówiąc, nie słyszałem w życiu o dziwniejszym sposobie reprodukcji. Ganelon nie pozostawał dłużny, więc zniżył się do pewnych podejrzeń, co do najbliższych krewnych Mordniego. W sumie - dowolne dwa fragmenty, wyjęte na chybił trafił z jego monologu, dałyby góralowi powód do krwawej zemsty na przestrzeni co najmniej pięciu pokoleń.

Zresztą, czuło się, że gliniarze sprzeczą się tylko z nawyku. Cały ten słowny rynsztok był dla nich czymś w rodzaju gimnastyki. Ciekawe, jakie perły chowane są na chwile prawdziwej werbalnej kanonady?

Mordnie otworzył drzwi awietki, chwycił mnie wygodniej, jak toból z brudną bielizną, i wpackował się na tylne siedzenie. Ganelon usiadł za kierownicą. Podjechał awietką bliżej do ciał, załadował je do bagażnika i ponownie usiadł na swoim miejscu.

- Szkoda, że jednak nie przykopałem mu trochę - z żalem w głosie powiedział Mordnie.

- Po co? - zainteresował się partner.

- Po to, żeby nie wydało mu się, że życie to śmietanka z cukrem.

Ostatnie słowa były dla nich czymś w rodzaju dobrze znanego, codziennego żarciku, bo po ich wygłoszeniu gliniarze długo i serdecznie się śmiali. Kiedyś odwiedziłem swego znajomego w domu wariatów. Śmiech gliniarzy jako żywo przypominał mi to, co tam słyszałem.

- Jedziemy!

Awietka wzbiła się w powietrze.

Właśnie w tym momencie dokonałem dwu ważnych odkryć. Pierwsze z nich dotyczyło działań Profesjonalisty. Dotarło do mnie mianowicie, dlaczego zleceniodawca, ten, kto go wynajął, kazał mnie pozostawić w gronie żywych.

Ten bydlak musiał mieć paskudny charakter, a przy tym najpewniej był straszliwie mściwym człowiekiem. Przecież, gdy gliny dostarczą mnie w końcu do komendy, natychmiast dokonane zostanie skanowanie mojej osobowości. I co zostanie wykryte? A to, że jestem właśnie tym programem, który przed chwilą wywołał straszliwą zadymę w cyberze. I to jeszcze nie koniec. Ze mną, oczywiście, koniec. Przy okazji gliny będą musiały zadać sobie bardzo proste pytanie: w jaki sposób tułaczy program, uważany za zdelejtowany, trafił do wielkiego świata, na dodatek w sztucznym ciele i jeszcze

utrupił dwóch znacznych obywateli? I najważniejsze - jak?

W poszukiwaniu odpowiedzi na to pytanie pojawią się w ZOO i wsiądą na mojego dozorcę. Wtedy wyjaśni się wiele rzeczy, a niektórzy będą niezadowoleni. I jak wam się wydaje - czy kara dosięgnie dozorcę, tułaczy program, posiadający może i duże pieniądze, ale oszukujący gliniarzy? Oczywiście, że dosięgnie i zostanie po prostu skasowany.

Zemsta, najczystszej wody zemsta. Chociaż... Kto to wie? Może nie tylko zemsta. Niszcząc dozorcę, mój nieznany wróg jednocześnie sprzątnie tego, kto zna moją historię, innymi słowy - świadka.

Drugie odkrycie polegało na tym, że - co pojąłem nagle - działanie shockera ustało. Widocznie na sztuczne ciało działał nie tak, jak na normalne. Nie było specjalnie czasu na zastanawianie się, dlaczego tak się stało. Najważniejsze, że znowu byłem panem swego ciała i powinienem wykorzystać tę nagle pojawiającą się możliwość natychmiast, póki jeszcze nie jestem w komendzie. Tam szybko sobie ze mną poradzą, oni to potrafią.

Dobra, panowie gliny, fortuna wam chyba dzisiaj nie sprzyja. Mam nadzieję, że zapamiętacie to sobie wszystko na długo. Jeśli, oczywiście, wszystko pójdzie jak należy.

- A przy okazji - jak się ma Tina? - zainteresował się Mordnie.

- Dziękuję, nawet nieźle. Dość dobrze rozstała się ze swoim trzecim mężem. Jeśli chcesz, możemy do niej zajrzeć. Tylko dostarczymy tego sztucznego do komendy i wsadzimy do tabakiery.

- Może...

Mordnie nie dokończył. W tym właśnie momencie rozpocząłem działania wojenne.

Wydaje mi się, że ten kto stworzył to ciało uwzględnił zaistnienie podobnej sytuacji i wyposażył je w kilka niewielkich patentów. W chwili, kiedy Mordnie zamierzał zakomunikować, co myśli o Tinie, wyszarpnąłem z rękawa jeden z tych małych patentów, przypominających trochę małe cążki.

Gwałtowny ruch ręki - łańcuszek kajdanek, którymi przykuty byłem do stróża porządku, został przecięty.

- Hej, co ty tu kombinujesz?! - ryknął Mordnie.
- Natychmiast lądujcie - poleciłem. - Bo powyrywam wam tchawice.

Każdy na miejscu tych psycholi wykonałby polecenie bez wahania. Każdy...

- Ach, więc odżył! - wrzasnął Mordnie i usiłował przyłożyć mi w głowę jakimś elementem, przypominającym krótką gumową pałę.

Ale trafiła kosa na kamień.

Przechwyciwszy jego rękę zacząłem wyrywać mu tę zabawkę. Trzeba przyznać, że nie było to łatwe. Gliniarz wczepił się w pałę, jakby nie chciał wypuścić z ręki najdroższej mu na świecie rzeczy. Nie wykluczone, że tak było.

W tym czasie, kiedy unieszkodliwiałem jednego stróża porządku, ten drugi na moment oderwał się od kierowania i gruchnął mnie pięścią w łeb.

No, to mi się nie spodobało.

Wojna na dwa fronty to pewna przegrana. Nie wierzycie? Sprawdźcie w podręcznikach historii. Powiedziane jest tam czarne na białym, że każde państwo, które zaczęło wojnę z dwojgiem sąsiadów, nieuchronnie ją przegrywało.

Wiem to dlatego, że w szkole jednym z moich ulubionych przedmiotów była historia. Dokładniej mówiąc, duże

zainteresowanie tym przedmiotem wywołał pewien dodatkowy bodziec, w postaci wykładającej ją młodziutkiej dziewczyny, o bardzo miłej powierzchowności, która dopiero co skończyła szkołę pedagogiczną, ale i tak przekonanie, że nie należy deptać po stopach obydwu przeciwników jednocześnie, przyswoiłem sobie dobrze i trwale.

Właśnie dlatego rozbroiłem Mordniego i natychmiast wypróbowałem skuteczność jego palki. Zdążyłem. Pała smakowicie wyróżnęła Ganelona w czoło, akurat w momencie, kiedy ten odwrócił się, chcąc jeszcze raz mi przyłożyć.

Efekt nazwałbym wstrząsającym. Co prawda nie na ten rodzaj liczyłem.

Zamiast z lekka uspokoić gliniarza i odebrać mu ochotę do dalszych działań partyzanckich, pała odesłała go w objęcia Morfeusza.

Oho-ho-ho?!

Ganelon runął na siedzenie jak ścięty.

Widząc to, i ja i Mordnie jednocześnie wydaliśmy z siebie rozpaczliwy okrzyk i runęliśmy w przód, usiłując przechwycić uwolnioną z uchwytu Ganelona kierownicę.

Nie zdążyliśmy.

Awietka zaczęła bokiem jakąś budowlę. Potrzęsnęło nią tak, że rzuciło nas do tyłu. Znalazłem się na górze, dlatego poderwawszy się sięgnąłem ponownie do kierownicy.

Akurat!

Właśnie w tym momencie awietka zaczęła drugim bokiem o inny budynek, obróciło ją kilka razy dokoła własnej osi. Potem nastąpiło zderzenie z jakąś dużą i nietrwałą konstrukcją, coś jakby billboardem, a w wyniku tego awietka pochyliła się dziobem ku ziemi, gwałtownie runęła w dół i kilka chwil później, przeraźliwie zgrzytając i skrzypiąc, po

przejechaniu jakichś pięćdziesięciu metrów po kostce, zatrzymała się.

- Szlag!., - jęknął Mordnie, usiłując wygramolić się spodemnie. - Niech to... szlag...

Jakimś cudem udało mi się wysadzić kopniakiem drzwi i wyskoczyć na zewnątrz. Rozejrzawszy się szybko skonstatowałem, że wylądowaliśmy przymusowo na zupełnie pustej ulicy. Ani gapiów, ani glin. Najwyższy czas dać w długą.

Ale nie, stop, jest jeszcze jedna sprawa. Dobrze by było zrobić tak, by Mordnie nie poszedł moim tropem. Zajrzawszy do awietki stwierdziłem, że wciąż jeszcze nie jest zdolny do rozmowy.

- Posłuchaj, koleś - powiedziałem czule. - Nie będziesz mnie już prześladował, prawda?

- Szlag - odpowiedział Mordnie. - No, szlag!

Wyglądał na zakochanego w tym słowie, Bóg z nim.

Straszliwym wysiłkiem woli powstrzymawszy się przed ponownym użyciem palki, przeszukałem go i odzyskałem swój arsenał.

Świetnie, te zabawki na pewno przydadzą mi się w przyszłości. Szczególnie, jeśli uwzględnimy, jak sprawy toczą się od czasu wylądowania w wielkim świecie. Teraz, kiedy na moim koncie są wszystkie te zabójstwa, opór stawiany władzy, ucieczka, uszkodzenie własności stróżów porządku i, zapewne, mnóstwo jeszcze innych przestępstw, byłoby głupotą pojawić się w komendzie glin.

Znaczy, że mam tylko jedno wyjście - własnoręcznie spróbować ująć porywaczy swego ciała.

Wylazłem z awietki i jeszcze raz przyjrzałem się Mordniemu i Ganelonowi. Jeden, jak poprzednio, był nieprzytomny, drugi, w równych dziesięciosekundowych odstępach wypowiadał

wciąż to samo, ulubione słowo.

Bye, chłopaki, mam nadzieję, że tak szybko się nie zobaczymy.

Zamachnąłem się i cisnąłem pałkę daleko od siebie. Mnie nie będzie potrzebna. Potrafię, jakby co, obronić się i bez niej.

- Szlag! - powiedział Mordnie.

Coś mi się zdaje, że nastąpiło u niego przemeblowanie pod kopułą. Taka praca... Codziennie trzeba na kogoś nawrzeszczyć, kogoś postraszyć, kogoś złać i jeszcze odczuwać każdym milimetrem skóry, że większość ludzi, delikatnie rzecz ujmując, nie kocha cię. W takich warunkach każdy po jakimś czasie będzie miał problemy z psychiką.

Gdzieś nieopodal dało się słyszeć wycie karetek, na miejsce katastrofy śpieszyła jeszcze jedna awietka glin.

Znaczyło to, że muszę stąd spadać.

11.

Na to, by określić gdzie się właściwie znajduję, nie potrzebowałem wiele czasu.

Minąłem kilka przecznic i natknąłem się na infoboya. Tak nazywano agregaty, których jedynym zadaniem było serwowanie najprzeróżniejszej informacji głupawym turystom. Za dodatkową opłatą taki infoboy mógł pełnić rolę przewodnika. W ogóle, moim zdaniem, każdy człowiek stając się turystą głupieje po prostu w oczach. Dzięki temu infoboye nie znikali z ulic; najprawdopodobniej przynosili swoim właścicielom spore dochody.

Trzeba jeszcze dodać, że były stosunkowo dobrze chronione, więc uliczni chuligani po kilku incydentach dali

sobie spokój z atakowaniem ich.

Nie miałem w ogóle pieniędzy, ale na to pytanie, które zamierzałem zadać, powinienem uzyskać odpowiedź bez opłaty.

Tak też się stało.

Widocznie program tego najlepszego przyjaciela turysty został tak ułożony, by za najprostsze pytania nie żądać pieniędzy. Logiczne. Bardzo logiczne, ponieważ ani jeden turysta nie ogranicza się do jednego prostego pytania, po nim następuje drugie. A za to już trzeba będzie zapłacić.

Nie byłem turystą. Może dlatego interesowała mnie odpowiedź tylko na jedno jedyne pytanie.

Kiedy ją otrzymałem, zrozumiałem, że miałem potworne szczęście - okazało się, że jestem o pół godziny marszu do swojego domu. Taksówka zawiozłaby mnie w ciągu trzech minut, ale najpierw trzeba by ją złapać, a potem za nią zapłacić. Oczywiście, powinienem był zabrać gliniarzowi nie tylko swoją broń, ale i gotówkę. Na pewno miał w kieszeni jakąś mamonę.

Powiedziałem sobie, że większego barana nie widziałem w życiu. No bo co mi za różnica, w jaki sposób gliniarz zdobywa gotówkę? Najważniejsze, że jest mi ona potrzebna, potrzebna jak cholera. Trudno, nie będziemy rozdzierać szat... Gdybym wrócił do rozbitej awietki spotkałbym przy niej co najmniej pluton dobrych, mężnych i sprawiedliwych chłopaków, którzy się bardzo ucieszą na mój widok.

Trzeba było wcześniej myśleć.

Poszedłem na piechotę, ale nie do domu. Posiadane przeze mnie zaczątki zdrowego rozsądku, podpowiadały mi, że wizyta w swoim mieszkaniu byłaby szczytem głupoty. Niemal na pewno ktoś tam na mnie już czeka. Jak nie gliny, to goryle z

tej paczki, która zwinęła moje ciało.

Muszę pomocy szukać tam, gdzie bywam stosunkowo rzadko. Gdyby dobrze pomyśleć, to można uznać, że to może być mieszkanie Doca.

Tak, Doc jest osobą, która jest mi potrzebna. Bywam u niego nie częściej niż raz na pół roku, ale jednocześnie przez wiele minionych lat znajomości uznałem, że można mu zaufać, i to właśnie w takich okolicznościach, jak te. Choć mogę się i mylić.

Cóż, Doc, to Doc. Nadszedł czas weryfikacji swoich odczuć.

Tak naprawdę, to już dawno nie byłem w mieście nocą. Pewnie, zdarzało mi się zatrzymywać gdzieś do późna i potem wracać do domu już w świetle latarni. Tyle, że za każdym razem pieszo robiłem tylko kilka kroków - od bramy do taksówki.

Nie, nie jestem domatorem. Taką mam po prostu pracę, że codziennie muszę pokonać dobrych kilka kilometrów. To się dzieje w dzień. Wieczorami nie pracuję, ponieważ po prostu ludzie nie są skłonni do zakupów o tej porze.

Nadstawiłem uszu.

Dobrze się stało.

Niespieszne, odmierzone kroki, coraz głośniejsze. Ktoś mnie chyba doganiał. Ale - bez pośpiechu, spacerkiem? Coś mi tu nie gra. Kto to może być? Na pewno nie kolejny goryl, ci chłopcy tak nie chodzą. Zwyczajny, nieszkodliwy miłośnik nocnych spacerów? Wątpliwe. Ta grupa szaleńców wymarła w niepamiętnych czasach i przy życiu pozostała ograniczona ich ilość i to w cichych, prowincjonalnych miasteczkach, gdzie każdy zna każdego i można spacerować bez obawy spotkania niebezpiecznego nieznanego. Natomiast tu, w megapolisie... Nie, tu się to nie zdarza.

A jednak ktoś za mną szedł. Spacerkiem. I doganiał.

Zatrzymałem się.

Ciekawość to w ogóle niebezpieczna sprawa. Niezliczona ilość ludzi wpadła w koszarne tarapaty kierując się właśnie ciekawością. Liczni stracili życie. W sumie, to ciekawość ustępuje pod względem konsekwencji zaspokajania tylko chciwości. Ale i tak się jej poddałem.

Rozwiązanie okazało się proste - to był infoboy.

Wypadł zza najbliższego rogu i skierował prosto do mnie. Dzięki swoim długim nogom mógł, doganiając mnie, przestawiać je w rytmie spacerującego człowieka.

Krótko zakławszy poszedłem dalej. Po jakimś czasie infoboy dogonił mnie i zaczął maszerować obok. Zerknąłem na niego zezem i zapytałem:

- Co jest? Nie mam pieniędzy.
- Dzisiaj, jeśli pan pozwoli, będę pracował bez wynagrodzenia.

Infoboy miał melodyjny, obiecujący, czarujący głos. Właśnie taki, żeby móc oskubać każdego, nawet najbardziej nieufnego turystę.

- A niby dlaczego? - zainteresowałem się. - Czy może się mylę - wszak stoi przede mną pijawka, wiecznie przyczepiona do portmonetek biednych ufnych turystów, a nie dobry samarytanin?

- Można i tak powiedzieć - infoboy zachichotał krótko. - Po prostu od czasu do czasu nasza firma serwuje stutysięcznemu klientowi niewielką premię w postaci bezpłatnej obsługi. Jeśli ma pan takie życzenie, to oprowadzę pana po najlepszych muzeach tego megapolisu. Przez całą dobę będę serwował panu bezpłatną informację. Dowolną. Za kilka przecznic znajdziemy się przy pałacu Lloykinga. Jeśli chce pan, możemy uciąć sobie wspólną wycieczkę. Chce pan?

Prychnąłem.

Wiedzie mi się, jak topielcowi. Nie mogłem mieć szczęścia rano, kiedy dopiero zamierzałem zajrzeć do cybera-12? W końcu mogłem spędzić ten dzień na wycieczce po pałacu, co zaowocowałoby posiadaniem własnego grzesznego ciała.

A teraz... No tak, tylko tego mi jeszcze brakowało. Nie mogłem dopuścić, żeby całą dobę majtał się obok mnie ten „dobry samarytanin”. Nic więc nie pozostało, jak powiedzieć nieoczekiwanemu fartowi „żegnaj”.

- Tak więc - dokąd udamy się, szczęściarzu? - zapytał mnie infoboy.

- W nocy?

- No to co? Przed stutysięcznym klientem otwierają się drzwi dowolnego budynku, będącego jakimkolwiek zabytkiem. Każdego, bez wyjątku. Śmiało!

Przyszła mi do głowy jedna interesująca myśl.

- A gdyby się okazało, że jestem przestępcą, specjalizującym się w kradzieżach antyków?

- Prawdopodobieństwo takiego przypadku jest, jak mawiają matematycy, znikome.

- Ale gdyby?

Infoboy westchnął ciężko.

- Będziemy zmuszeni i tak otworzyć drzwi każdego muzeum. Ale ja będę przy panu podczas całego zwiedzania. A ukraść cokolwiek, kiedy ja obserwuję obiekt, jest niemożliwe.

- Naprawdę niemożliwe?

- Wy, ludzie, jesteście istotami sprytnymi. W zasadzie bardzo zręczny złodziej antyków może mnie oszukać. Jednakże nasze badania wykazały, że musiałby się do tego przygotowywać, starannie, przez kilka tygodni. A przecież przywilej ten trwa tylko dobę. Innymi słowy, temu

profesjonalnemu złodziejowi, żeby mnie wykiwać, po prostu nie wystarczy czasu.

- Fajnie - powiedziałem. - Znakomicie. Najważniejsze, że wszystko było obliczone i uwzględnione. Powiedz mi jednak, co zrobicie, jeśli okaże się wasza nagroda zostanie się przestępcy, poszukiwanemu przez gliniarzy?

Infoboy zamyślił się.

Zerknąłem na niego spod oka.

Duża, oklejona posterami z wizerunkami starych świętyń, paka na długich nogach, przypominająca trochę przerośniętego kurczaka. Widzisz go, zamyślił się. Pomijając wszystko, może się nawet zamyślać. No-no... Ciekawe, co mi odpowie?

Odpowiedział.

Coś w infoboyu trzasnęło. Głos, jakim mi odpowiedział, zupełnie nie przypominał tego, którym przemawiał wcześniej. Był suchy, twardy, oficjalny.

- Skonsultowałem się z odpowiednimi źródłami. Jeśli poszukiwanym przestępcą jest zwyczajny klient, to jesteśmy zobowiązani natychmiast zakomunikować o tym glinom. Jednakże uzupełnienia, dotyczące realizacji nagrody, były wprowadzone później i w ten sposób, zobowiązania do współpracy z gliniarzami w nich nie ma.

- Czyli - mówiąc po ludzku - nie będziecie na mnie donosić?

- W ciągu najbliższej doby pańskie zadowolenie ma dla nas najwyższy priorytet. Jednakże w chwili, kiedy stanie się pan zwyczajnym człowiekiem, zadziała ten punkt naszej ordynacji, który nakazuje współpracę ze stróżami porządku. Jest tak sformułowany, że nie możemy od niego odstąpić.

- Czyli mam jeszcze dobę?

- Niemal dobę.

- Niezłe perspektywy. A przy okazji - wiesz, kim jestem?
- Oczywiście. Dysponujemy odpowiednią technologią, by to określić. Jesteś tułaczym programem Essutil Quack.
- No właśnie. Według prawa nie jestem człowiekiem. Czy w związku z tym mogę być waszym laureatem?
- W swoim czasie przewidzieliśmy to i do naszego statutu wnieśliśmy punkt, zgodnie z którym naszymi klientami mogą być wszystkie tułacze programy, które wyraziły ochotę bycia turystami w wielkim świecie. Skoro takie programy mogą być klientami, to mogą też być laureatami naszych konkursów.

Pokiwałem głową.

Chłopcy przewidzieli wszystko, kulawego konia nie kupią.

- Tak więc, od jakiego obiektu zaczynamy zwiedzanie? - Głos infoboya ponownie nabrał czarującego brzmienia.

- Od żadnego - odpowiedziałem. - Nie mam teraz na to czasu.

- Życzenie to jest dla nas rozkazem, ale gdyby nasza pana ochota na wycieczkę przed upływem tej doby, to wystarczy podejść do dowolnego infoboya i przedstawić się. Zachowuje pan prawo do nagrody.

- Dobra, niech ci będzie - mruknąłem.

Nie potrzebuję tych wycieczek. Bez nich też mam kłopotów co niemiara.

- W takim razie pożegnaj pana. Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

Powiedziawszy to, infoboy podreptał przed siebie.

Z zazdrością patrzyłem za nim.

Oto, kto nie ma kłopotów. Na pewno program, jaki został usadowiony wewnątrz tego metalowego kurczaka prowadzi spokojne życie, nieskażone żadnymi problemami. Oczywiście, od czasu do czasu trafia się mu jakiś szczególnie nieprzyjemny

turysta i żeby go zadowolić musi się mocno napracować. Ale, słowo honoru, trzeba się mocno wyteńczyć, żeby zaklasyfikować to do grupy wielkich problemów. W każdym razie to, co się stało ze mną - mu nie grozi.

Fajne życie.

W ogóle nasz świat jest kiepsko urządzony. Jakiś program może sobie żyć i cieszyć się życiem w pełnym tego słowa znaczeniu, podczas gdy prawdziwy człowiek, zrodzony z żywej, prawdziwej kobiety, może trafić w takie zawirowania losu, jakie mogą się przyśnić tylko w ciężkim, sennym koszmarze.

A może dość już tego narzekania?

Oczywiście, życie zaserwowało mi jeden z tych prezentów, które rzadko do ludzi trafiają. Jednakże mogłem już do tej chwili zginąć kilka razy. Wciąż jednak żyję, funkcjonuję i nawet mam szczęście, nie wiem, czy nie największe w życiu.

W końcu - wygrałem nagrodę firmy przewodników. Może dałoby się znaleźć jakiegoś turystę i odsprzedać mu za pewną kwotę swoje prawo do nagrody?

Nie, firma się na to nie zgodzi. Szkoda. Pieniądze by mi się przydały.

Fart, żeby go lichy. Fart.

Może za bardzo mi się wiedzie?

Jak nazwać to, że udało mi się uciec przed wszystkimi tymi myśliwymi. U dozorczy ZOO natychmiast znalazło się schowane na gorsze czasy sztuczne ciało, i to nie zwyczajne, a przysposobione do prowadzenia działań militarnych. Znajdowało się zaś nie na drugim końcu naszej kuli ziemskiej, a o pół godziny od mojego domu. Teraz jeszcze ta nagroda.

Nie za dużo tego? Czy nie wygląda ta seria nieco podejrzanie?

Podejrzenie? I to jak! Jak się zastanowić, to sporo elementów z wydarzeń ostatnich godzin wygląda co najmniej dziwnie.

Należy to sobie dobrze przemyśleć. Ale przedtem...

Obliczyłem, że do domu Doca mam piętnaście minut tupania, co najmniej. Tak więc miałem trochę czasu. Pewnie po przybyciu przyjdzie mi opowiedzieć nie tylko o tym, co mi się przydarzyło, ale i podzielić się przemyśleniami na temat, jak właściwie doszło do tego, do czego doszło.

Pomysły. Nie miałem ich po prostu. Nie miałem najmniejszego pojęcia o tym, kto zrobił mi to świństwo, i - najważniejsze - dlaczego. Oczywiście, gdy dowiedziałem się, że moje ciało zostało skradzione, założyłem, że poszło do jakiegoś starego pierdziela, zmuszonego do szybkiej wymiany swojej zużytej, podarowanej przez naturę powłoki.

Teraz ta teoria upadła całkowicie.

Zbyt wielkie siły skierowane zostały przeciwko mnie. Zbyt drogo kosztowało nikczemnika moje ciało. Bez żadnego uzasadnienia. Chyba, że jest z tych, co to nigdy nie ustępuje? Może porywając ciało nie spodziewał się, że będzie kosztowało tak wiele zachodu, a potem, kiedy okazało się, że operacja wymaga dodatkowych środków, postanowił nie ustępować i nie poddawać się.

Może, w końcu, zapędziłem go w narożnik?

Oj nie, coś mi się tu nie zgadza. Nawet nie chodzi o pieniądze - ten, przeciwko któremu walczyłem, posiadał i pieniądze i władzę. Może była to władza, że się tak wyrażę, nieoficjalna, ale jednak była. Stąd pytanie: po co mu właśnie moje ciało? Dlaczego mając pieniądze i władzę połakomił się właśnie na moje? Kto mu nie pozwalał kupić ciała jakiegoś biedaka, który sięgnął najprawdziwszego dna, biedaka,

któremu całkowicie nie powiodło się w życiu, dla którego jedynym sposobem zagwarantowania istnienia swoim bliskim, stała się sprzedaż ciała i przesiedlenie do cybera dla biedoty?

Oczywiście, takie umowy są uważane za niezgodne z prawem. Oczywiście, jeśli o takim interesie dowiedzą się gliny i udowodnią, że tak właśnie było, to żadne pieniądze kupca nie uratują. I jeszcze jedno „oczywiście”: takie umowy realizowane są rzadko i wiążą się z dużym ryzykiem.

Ale, jak głosi plotka, zdarzają się od czasu do czasu. Często kończą się powodzeniem. Szczególnie kiedy kupujący ciało ma władzę.

Władzę.

Na pewno ją ma. No to, kto mu przeszkadzał zdobyć ciało w wyniku polubownej umowy? Na pewno ryzykowałby przy tym znacznie mniej, niż usiłując ukraść moje ciało. A przy tym byłoby znacznie tańsze.

Co więc doprowadziło niegodziwca do mojego ciała, co w nim było takiego kuszącego? Nie jestem supermanem, nie posiadam potężnych mięśni i refleksu ninji, nie mam dostępu do państwowych tajemnic, nie mam wpływowych przyjaciół, których złodziej mógłby wykorzystać przy pomocy mojej fizys, nie jestem też typem superkochanka, co to przez całą noc może zaspokajać kobietę. Jestem zwyczajny, i wszystko mam zwyczajne. Mięśnie, przyjaciół, pracę.

Po licho więc potrzebne mu moje ciało? Może posiada ono jakieś właściwości, które wyróżniają go z szeregu innych, a których to właściwości ja jeszcze nie odkryłem?

Moje ciało?

Nie, dość, dość. Jeszcze trochę i wpakuję się w gąszcz tak niewiarogodnych hipotez... Na przykład, że moi rodzice nie byli nimi, a tak naprawdę jestem następcą tronu jakiegoś

odległego, straszliwie bogatego kraju. Właśnie wczoraj upłynął termin zgłaszania pretensji do tronu i jakiś bydlak postanowił ukraść ów tron. Przy pomocy ciała.

A to dopiero początek. Jeśli dołączymy do tego trochę wyobraźni, to można zbudować takie konstrukcje myślowe!..

Zakląłem.

Do diabła z wszystkimi fantazjami i hipotezami. Prościej by było założyć, że tak naprawdę nikt ciała nie kradł. Dlaczego? Dlatego, że nigdy ono nie istniało, dlatego że nigdy nie byłem żywym człowiekiem. To znaczy - co? A to, że od początku byłem programem, programem wykonanym przez jakiegoś szalonego kukaraczę w nieznanym mi celu. Wspomnienia? Bzdura! Co za problem tak je wymodelować?!

Miałem ochotę nie tylko kląć, ale wygłosić całą rynsztokową tyradę. Trzypiętrową i z koloraturą.

A może za wcześnie za przekleństwa?

Oczywiście, myśl o tym, że tak naprawdę nigdy nie byłem prawdziwym człowiekiem jest głupia. Ale mimo wszystko... mimo wszystko...

Istniało, siedziało we mnie, jakieś dziwne odczucie, że trafiłem do jakiejś starej komputerowej gry. Z gatunku tych, co to pozornie dają graczowi pewną swobodę. Ale do pewnych tylko granic. Gdy tylko zbliżałem się do jednej z tych granic, miękko i niezauważalnie kierowano mnie w odpowiednim kierunku. Bardzo miękko i bardzo niezauważalnie.

Nawet może nie tak. Zupełnie nie tak. Nie jestem graczem. Jestem jedną z postaci, która w określonym czasie musi się znaleźć w odpowiednim miejscu. Rozpaczliwie z tym walczę, usiłuję wyrwać się z tego zaczarowanego kręgu, ale za każdym razem znajduję się w potrzebnym miejscu i w odpowiednim czasie. Potem następuje pauza, a ja rozkoszuję się pozorami

wolności. Następnie, prawdziwy gracz znowu bierze mnie uprzejmie za łokieć i kieruje tam, gdzie trzeba. W odpowiednim czasie.

Ciekawe, kim jest ten gracz? Oddałbym wszystko, żeby tylko móc popatrzeć mu w oczy i zadać kilka pytań. Niekoniecznie przyjemnych.

Właśnie, można sprawdzić wersję, czy nigdy nie byłem człowiekiem. To proste. Za pięć minut wszystko się wyjaśni. Jeśli zainstalowano we mnie fałszywą pamięć, to żadnego Doca w tym domu, w jakim podobno mieszka, nie będzie. Może też być tak, że istnieje i nawet mieszka w tym domu, ale nie ma pojęcia o moim istnieniu.

Stop, a to co znowu?

Nieopodal rozległo się wycie syren.

Szybko skoczyłem w kierunku najbliższego domu. Na moje szczęście właściciel miał ambicje i ozdobił go dwoma pilnującymi wejście lwami. Ukryłem się za jednym z kamiennych śpiochów i czekałem. Syrena była coraz bliżej. Zapach, bijący od lwa zasugerował, że jakiemuś nocnemu hulace nie tak dawno też posłużył. Chociaż w innym celu niż ja.

Zastanawiałem się, czy warto przesunąć się do drugiego z kamiennych kotów, ale może tam jest jeszcze gorzej?

No, w każdym razie awietka przemknęła obok. Wylazłem zza lwa i węszyłem chwilę.

Chyba miałem szczęście, w każdym razie nie wdepnąłem w nic naprawdę fatalnego. Choć mogłem. To było logiczne dopełnienie tego, co się ze mną działo.

„Nie - pomyślałem, idąc dalej. - Jaka tam, do licha, gra? Czegoś takiego nie ma w żadnej grze. Z czego wynika prosty wniosek - że muszę ukrócić wodze fantazji i zająć się czymś

sensownym. Tylko i wyłącznie”.

Jednakże całe moje wieloletnie doświadczenie podsuwało mi ciągle wytarty i banalny slogan. O tym, że droga do piekła jest, z reguły, wyznaczona dobrymi chęciami.

12.

Doc to wystarczająco mądry i stosunkowo uczciwy człowiek. Gdy mówię „stosunkowo”, mam na myśli, że my wszyscy na tym świecie po osiągnięciu określonego wieku przestajemy być aniołeczkami. Wystarczyłoby żebyście posłuchali mnie samego, gdy usiłuję wcisnąć jakiejś babeczce swój towar. Idę o zakład, że długo potem podejrzewalibyście mnie o wiele niecnych rzeczy, a przy kontaktach bezpośrednich co i rusz sprawdzalibyście, czy portfel jeszcze jest w kieszeni. Uczciwość Doktora jest o wiele wyższej próby. Może dlatego, że jego zawód wymaga uczciwości, a mój - nie. Nawet wręcz przeciwnie. Uczciwy komiwojażer szybko odpada z wyścigu.

Oprócz tego Doc kultywuje pojęcie męskiej przyjaźni. Jak na prawdziwego mężczyznę przystało ma wielu znajomych, ale przyjaciół tylko kilku, a jego przyjaciele to prawdziwi przyjaciele, a nie potencjalni kandydaci, których można usunąć w celu ułatwienia sobie życia.

Teraz trochę o wadach.

Doc lubi zaszpanować. Łatwo poddaje się różnym wpływom. Fakt - każda taka moda z czasem przemija. Na przykład, kiedyś wbił sobie do głowy, że mądry człowiek po prostu musi żyć, jak to się mówi, „na poziomie”. Myśl ta zawładnęła nim i nie dawała się odrzucić, w związku z czym

Doc na kilka lat stał się prawdziwym pracoholikiem. Pracował w dzień i w nocy, rozwinął burzliwą działalność zarobkową, zupełnie zapominając o pewnej nieprzyjemnej rzeczy.

Chodzi o to, że nie da się żyć „na poziomie”. Przez cały czas czegoś jeszcze brakuje, przez cały czas wydaje się człowiekowi, że jeszcze trochę, że odrobina wysiłku... Akurat! Tej właśnie „odrobiny” nie da się capnąć przez całe życie.

Od razu zastrzegam się, że nie chodzi mi o bajkowych milionerów. Z nimi sprawa wygląda inaczej. Mówię o ludziach, którzy żyją na takim poziomie, że widząc, iż czegoś im jeszcze brakuje, idą do sklepu i to właśnie kupują, nie martwiąc się ile na to potrzeba pieniędzy.

Tak więc, jeszcze raz powiadam, przez trzy lata Doc usiłował wykończyć siebie. Potem nastąpiła chwila opamiętania. Osiągnął *satori*, splunął na to wszystko i znowu stał się normalnym człowiekiem.

Na pamiątkę po tych czasach zostało wypieszczone mieszkanko w elitarnym budynku. Drzwi, rzecz jasna, miały system ochronny, który przeszkadzał w wizytach elementu niepożądanego, chuliganów, złodziei mieszkań, narkolików i komiwojażerów.

Oczywiście, moja wizyta u Doca będzie odnotowana. Problem tylko w tym, czy może to komuś grozić konsekwencjami, czy nie. Oczywiście, mój potężny wróg teoretycznie mógł uruchomić searchprogram we wszystkich tego typu systemach ochrony, mając nadzieję, że któryś mnie wykryje. Ale w rzeczywistości jest to trudniejsze, niż wyśledzenie jakiegoś programu w jednym z cyberów. Megapolis jest naprawdę ogromne.

Oszacowawszy, jaki tu jest system ochrony, uznałem, że jestem w stanie go wykiwać. Gdybym miał pewne narzędzia.

Ale nie miałem. Tak więc, przyjdzie mi pakować się do mieszkania Doca, że tak powiem, oficjalnie.

Wdusiłem kilka przycisków, znajdujących się na prawo od drzwi. Po pół minucie na znajdującym się obok ekraniku pojawiło się oblicze Doca.

- Czym mogę służyć?

W jego głosie dała się słyszeć spora porcja nieufności.

No jasne, noc to nie najlepszy czas na wizyty, szczególnie niezapowiedziane.

Otworzyłem już usta, żeby się wytłumaczyć i przytrzasnąłem zuchwę.

Jak mam mu wytłumaczyć kim jestem i po co się tu pojawiłem? Zupełnie wyleciało mi z głowy, że wyglądam zupełnie inaczej niż wcześniej. Mogę mu próbować to wytłumaczyć, wyjaśnić, co się ze mną stało, ale zajmie to zbyt dużo czasu.

- No, kochaniutki, muchomorów się objadłeś?

Musiałem improwizować.

- Przychodzę od pańskiego znajomego Essutila Quacka - oświadczyłem. - Mam od niego posłanie.

- Jakie?

- Proszę mi wybaczyć, ale to osobisty przekaz.

- Aha, osobisty?

- Wyłącznie. To bardzo ważne. Krótko rzecz ujmując - sprawa życia i śmierci.

Jakoś mi się wydało, że oczy Doca dziwnie błysnęły.

- Yhy, w takim razie - proszę wejść.

Drzwi szcęknęły i otworzyły się. Odetchnąłem z ulgą i wszedłem do wnętrza. Winda przewiozła mnie na czwarte piętro. Drzwi do mieszkania Doca były otwarte.

Dziwne. Zazwyczaj wita przyjaciół w progu. O rany,

zapomniałem. Nie jestem w tej chwili jego przyjacielem, a tylko posłańcem od przyjaciela.

Rozmyślając mnie więcej w tym guście, wszedłem do mieszkania. I zamarłem jak wkopany: prosto w twarz zerknął mi hipnolet.

Fatalna zabawka. Jeśli zamierzacie rozpirzyć kogoś na strzępy - śmiało korzystajcie z hipnoletu. Wykona całą robotę sam, wystarczy tylko nacisnąć na spust.

- Co, niespodzianka?! - czule zapytał Doc.

Na jego twarzy gościł wyraźny triumf. Nic dziwnego - sam pochwyił złodzieja. Przygoda!

Pokiwałem głową i powiedziałem:

- Świr! Odsuń tę armatę. Nie daj Boże przypadkowo naciśniesz na spust.

- Właśnie, że tak - spokojnie odparował Doc. - Jeśli mnie rozzłościsz. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Rozumiem, rozumiem - burknąłem. - Tylko pamiętaj, że rozwalisz wtedy jednego ze swych dobrych znajomych. Zupełnie przy tym niepotrzebnie.

- Dzwonić po gliny?

Zza drzwi do sąsiedniego pokoju wyłoniła się miniaturowa żona Doca. W jej oczach płonęła ciekawość, z pewną domieszką niepokoju. A juści - mąż dokonuje obywatelskiego czynu, trzeba pilnować, żeby ten wstrętny włamywacz jakoś mu nie zaszkodził.

- Poczekaj chwilę - wspaniałomyślnie polecił Doc. - Najpierw wyprowadzimy tego ptaszka na czyste wody.

Demonstracyjnie skrzyżowałem ręce na piersi i oświadczyłem:

- Dobrze, wyprowadź mnie na czyste wody. Pamiętaj jednak, że okłamałem cię tylko w jednej rzeczy: nie jestem

posłańcem Essutila, jestem nim samym.

Doc wyszczerzył zęby.

- Ale numerant. Łże i nawet się nie zająknie.
- Jak może się jąkać? - wtrąciła się żona. - Przecież sztuczni się nie jąkają.

- A po co mam się jąkać - powiedziałem. - Sprawdź mnie.
Zadawaj pytania.

Mówiąc to drgnąłem w myślach. A jeśli Doc zada mi takie pytanie, na które nie znam odpowiedzi? Na pewno nie pamiętam szczegółów wszystkich naszych spotkań.

- Dobra. - Doc chytrze zmrużył oczy. - Czym cię częstowałem, kiedy ostatnio gościłeś u mnie?

No, to pytanie odpowiedź znałem.

- Usiłowałeś poczęstować mnie smażoną kurą, zarazo jedna. Zapomniałeś, palancie, że nie jadam kur. Ale to nic, jeszcze ci się odegram za tę kurę. Potem, kiedy wrócę do swego ciała.

- Zgadza się, tak było. - Doc opuścił hipnolet. - Niech to licho, Essutilu, po cholere włazłeś w sztuczne ciało?

- Zaraz ci opowiem - obiecałem. - Mogę odejść od drzwi?

- Możesz, możesz - zezwolił łaskawie. - Chodźmy do kuchni, tam mi wszystko opowiesz.

Stara, datująca się nie wiadomo odkąd tradycja całej inteligencji - prowadzić poważne rozmowy w kuchni.

Weszliśmy do niewielkiej kuchni, wręcz lśniącej z czystości, usiedliśmy przy stole.

Powiedziałem:

- Przynajmniej nie będziesz mi proponował tej ohydnej smażonej kury. Boże, jak ty ją pochłaniałeś, kiedy byłem tu ostatnio. Kurojad nieszczęsny.

- Spokojnie, przyjacielu, spokojnie - dobrodusznie odezwał

się Doc. - O ile pamiętam, głodny stąd nie wyszedłeś. Było też co nieco prócz kury. Jednakże jeśli się nie uspokoisz, to następnym razem zaserwuję wyłącznie oparte na kurze dania. Wtedy zobaczymy.

- Może póki co, niech coś dzisiaj przekąsi? - zapytała Maja, żona Doca. - Pewnie jest głodny.

Stała z boku i już coś kroїła i szykowała jakąś kolacyjkę.

- Dobra porcja prądu, oto co mu potrzeba - powiedział Doc. - I nic więcej. Czy nie tak, Essutilu?

- Niestety - rozłożyłem ręce. - Ma rację, Maju. W tym ciele mogę konsumować tylko prąd. Ale kiedy moja wielka przygoda się skończy...

- Biedny - pożałowała mnie Maja. - Ale co - nie zjesz nawet kawałeczka?

- Może zjeść nawet byka! - wzruszył ramionami Doc. - Ale sensu to nie ma żadnego. Dlatego daj sobie spokój i zostaw nas samych. Coś mi się wydaje, że Essutil ma prawdziwe problemy. Spróbujemy coś wymyślić, żeby mu pomóc.

To mnie trochę podbudowało. Doc to Doc, jego podstawowym zajęciem było doprowadzanie do stanu użyteczności sztuczne ciała, leczyć je, że tak powiem. Rzeczywiście, mógł mi pomóc.

A Maja to mądra dziewczynka. Po kilku sekundach zostaliśmy w kuchni sami.

Doc uśmiechnął się krzywo, wyjął z kredensu butelkę piwa, otworzył ją i łyknąwszy zdrowo powiedział:

- No to opowiadaj. Strasznie lubię opowieści o drobnych przekrętach.

- Opowiem ci. Ale najpierw jedno dziecinne pytanie: oglądałeś dzisiejsze newsy?

- Jeszcze nie. A co, jest tam coś innego, niż zwyczajna

codzienna sieczka z papką?

- Kto wie, kto wie... Zobaczmy najpierw wiadomości, a potem ci wszystko opowiem.

- Jak chcesz. Obejrzyjmy.

Mówiłem już, że Doc jest szpanerem? No, więc halovid ma nawet w kuchni.

Włączywszy go, szybko uruchomił wyszukiwanie programu z wiadomościami, i zaczęliśmy je przeglądać.

Muszę przyznać, że mogłem wyłuszczyć mu swój problem przed wiadomościami, ale chciałem zobaczyć jak to będzie wyglądało, że tak powiem w oficjalnej wykładni.

Próżność to straszliwa wada. Podatni na nią są wszyscy, nawet te jelenie, którym ukradziono własne ciało.

Newsy niczym, rzeczywiście, nie wyróżniały się z codziennej sieczki informacyjnej. Gdzieś tam nastąpił kolejny kryzys i z tego powodu znacznie wzrosła ilość śmiertelnych zejść wśród bankierów. Niektórzy z nich tak zbeczelnieli, że zamiast w ciszy i skupieniu łykać piguły z trucizną, czy testować wytrzymałość czerepów przy pomocy starego sposobu z pistoletem, rzucają się z dachów drapaczy chmur zupełnie nie troszcząc się o to, czy tam, gdzie zamierzają wylądować nie parkują zupełnie niewinni ludzie.

W innej części cywilizowanego świata wybuchł kolejny skandal, gdy jakiś upierdliwy dziennikarz, połączywszy ze sobą kilka faktów, doszedł do wniosku, że prezydent pewnego wielkiego kraju posiada własny, niewielki, można powiedzieć kieszonkowy cyber, zasiedlony przez niewyobrażalne ślicznutki. Wnioskami swoimi, rzecz jasna, podzielił się dziennikarz ze społeczeństwem. Gniewne tyrady i dementi zwolenników wspomnianego prezydenta, były tak liczne, że można było być pewnym - cyberburdel naprawdę istnieje.

Gdzieś tam, w niewyobrażalnie odległą podróż, poza granice Układu Słonecznego, wybierała się kolejna międzynarodowa załoga, składająca się wyłącznie z bohaterkich eksploratorów i fanatyków nauki. Przyglądając się przygarbionym sylwetkom i wąskim ramionom kosmonautów, niemal zatęskniłem za starymi dobrymi czasami, kiedy każdy kandydat na lot poza atmosferę naszej planetki wyglądał jak tytan, miał stanowcze męskie spojrzenie i potrafił zapewne wyginać szyny na szyi, a śniadanie popijał kwasem solnym. A te dzisiejsze aplegry... Nie wyglądali zgoła na bohaterów. Zresztą, co im mogło grozić? Siedzisz sobie w cyberze i zajmujesz się powszednimi sprawami. W chwili, kiedy gwiazdolot znajdzie się w odpowiednim punkcie, musisz przenieść się do sztucznego ciała, wykonać zaplanowane obserwacje i możesz sobie wracać. Po powrocie ludzie ci wejdą do własnych ciał, które, nawiasem mówiąc, zupełnie się przez ten czas nie zestarzeją, i będą do samej śmierci uważać siebie za herosów. Tfu... Kiedyś to było życie.

Na peryferiach jednego z megapolisów dokonano zuchwałego przestępstwa. Trójka kryminalistów wdarała się do budynku, gdzie mieściło się miejskie więzienie, w celu uwolnienia swojego koleśka. Więzienie udało im się przejąć, ale nie starczyło im czasu, żeby przenieść skazanych do ich własnych ciał, ponieważ na miejsce przestępstwa dotarł oddział gliniarzy. W potyczce jeden z bandytów został zastrzelony, dwóm pozostałym udało się zbiec z więzienia, ponieważ gabaryty tego obiektu pozwalały na to. Kilka oddziałów stróżów porządku prowadzi energiczne dochodzenie i ma nadzieję na szybkie odnalezienie tropu wiodącego do przestępców.

Dalej szły jeszcze jakieś komunikaty o wydarzeniach mniejszego kalibru. I w końcu... Jest!

Lektor oświadczył:

- Właśnie otrzymaliśmy wiadomość o tym, że Szalony Program o imieniu Essutil Quack, będący przyczyną zająć w cyberze, przestał istnieć. Otoczony ze wszystkich stron naszymi wspaniałymi gliniarzami, ukrył się na terytorium ogrodu zoologicznego starożytnych wirusów i, zamiast oddać się w ręce władz, skończył ze sobą wskoczywszy do klatki jednego z najgroźniejszych i drapieżnych wirusów.

Lektor przeszedł do innych wiadomości, a Doc, wyłączony halovid, pociągnął z butelki jak prawdziwy heros i chrząknął skonfundowany.

- Co to znowu za program? Dlaczego nosi twoje imię?

- Bo to właśnie ja byłem.

- Tułaczy program?

- Nie, ja. Własną osobą, tylko że oni uznali mnie za tułaczy program.

- No to dlaczego nie wyjaśniłeś im, że są w błędzie?

- Dlatego, że w tamtej chwili właśnie byłem tułaczym programem. Jak nazwiesz kogoś, kto już nie włada własnym ciałem?

- No-no! Dawaj, opowiadaj.

Wyglądało, że jest strasznie zainteresowany. Pewnie wydawało mu się, że usłyszy coś wysoce zabawnego. Zabawnego? Jak dla kogo. Dla mnie osobiście nie było nic śmiesznego w całej tej mojej przygodzie.

Westchnąłem na modłę skazańca przed egzekucją i przystąpiłem do opowiadania...

Gdy skończyłem Doc kończył drugą butelkę. Osuszywszy ją powiedział:

- Ale numer, niekiepski!

- Zainteresowało cię?

- Opowieść taka sobie, nie było w niej nic specjalnie interesującego, ale twoje ciało - to co innego! Czy ty rozumiesz, że może być warte naprawdę krocie?!

- Z jakiej paki?

- Z takiej, że to twoje ciało nie jest oznakowane. To wielka rzadkość w naszych czasach. Wszystkie sztuczne ciała, stworzone w ostatnich latach są cechowane w pewien specjalny sposób. Jak by ci to wyłożyć... przystępnie. Mocuje się na nich coś w rodzaju sygnalizatorów. Działa to, oczywiście, zupełnie inaczej, ale zasada jest w jakimś stopniu podobna. Sedno sprawy polega na tym, że kiedy tylko gliniarze chcą, mogą zlokalizować absolutnie dokładnie dane sztuczne ciało.

- Aha - powiedziałem. - Panowie gliniarze postanowili ułatwić sobie pracę.

- Dokładnie tak. Przy tym, uważaj, wszystkie sztuczne ciała nie tylko są oznaczone, ale posiadają też funkcję pozostawiania po sobie pewnych identyfikacyjnych śladów.

Powiedziawszy to, wyjął z lodówki trzecią butelkę piwa, otworzył ją i na długo przyssał się do szyjki. Z zawiścią obserwowałem jak opada poziom cieczy w butelce.

- Jak oni to robią? - zapytałem.

- Zapach - odpowiedział Doktor. - Określony zapach. Zwykli ludzie nie są w stanie go wyczuć, ponieważ wydziela się w mikroskopijnych ilościach. Natomiast gliniarze, gdy znajdują się na miejscu przestępstwa dokonują analizy powietrza przy pomocy prostego przyrządu i, jeśli wykaże, że był tu sztuczniak, zwracają się do jednego ze swych wydziałów, realizujących wyszukiwanie. Tam dostają raport, jaki sztuczny był w tym miejscu oraz w określonym czasie - i po zabawie. Przestępca zostaje rozpoznany w ciągu kilku

minut. Pozostaje im tylko schwywanie go, co realizuje ten sam wydział wyszukiwania. Rozumiesz teraz?

- Rozumiem. Wygląda na to, że przy pomocy sztucznego ciała nie można popełnić przestępstwa?

- Bezkarne, pamiętaj - bezkarne.

- Ale przecież sam widziałem w newsach informacje o przestępcach, dokonujących zbrodni przy pomocy sztucznych ciał.

- Oczywiście, ciągle znajdują się jacyś jelenie, którzy usiłują wprowadzić w czyn sprytny, jak im się wydaje, pomysł dokonania przestępstwa przy pomocy sztucznego ciała. Akurat! Ten wariant kusi mnóstwem pozornych zalet. Tylko, że wszyscy oni nieuchronnie wpadają, przy czym nawet nie wiedzą, gdzie dali plamę.

- Innymi słowy, gliny ukrywają informację, że w każdej chwili mogą określić gdzie znajduje się posiadacz sztucznego ciała?

- Jasne. Po co każdy ma to wiedzieć? Przecież dzięki utajnieniu tej informacji łapią wszystkich, którzy usiłują polepszyć swój byt przy pomocy sztucznego ciała. A te ciała zostają całe i czynne. Można je skonfiskować i uzupełnić budżet zarządu policji, sprzedawszy je kolejnym jeleniom, którzy, być może, przymierzają się do jakiegoś skoku.

- Jelenie powinni wiedzieć, że nieuchronnie wpadną...

- E, nie... - Doc pomachał mi przed nosem długim wskazującym palcem. - Jeśli jakiś człowiek naprawdę postanowił dokonać przestępstwa, to dokona go, czy to przy pomocy sztucznego ciała, czy bez niego, ale - bądź pewien - nie odstąpi. Ale bez sztucznego ciała trudniej będzie go schwytać.

Akurat w tym momencie do kuchni zajrzała Maja. Wyglądała na bardzo śpiącą.

- Chłopaki, idę spać - zakomunikowała. - Radźcie sobie sami.

Niemal chórem zapewniliśmy ją, że damy sobie radę. Oświadczyła, że nie za bardzo nam wierzy, tym nie mniej znikła.

- Z etycznego punktu widzenia nie jest to właściwe - powiedziałem. - Wygląda mi, że ukrywając przed zwyczajnymi mieszkańcami tego świata informację o tym, że sztuczne ciała są oznaczone, gliniarze prowokują do łamania prawa. Czy nie mam racji?

- Jak by ci na to odpowiedzieć - odrzekł Doc. - Jestem pewien, że nawet gdy ludzie będą o tym wiedzieli, nie zrezygnują z pomysłu wykorzystania sztucznych ciał. Po prostu - przed użyciem ciała będą usiłowali usunąć piętna. Nic dobrego z tego nie wyjdzie - żeby usunąć cechę należy bardzo głęboko wdrzeć się do programu podstawowego, kierującego funkcjami sztucznego ciała. Może tego dokonać tylko wybitny specjalista. A prawdziwie wybitny specjalista nie będzie pracował dla jakiegoś frajera. Tak więc nic mu nie zostanie, jak radzić sobie własnymi siłami. Spartoli taki co się da, cechy nie wyłączy, a uszkodzi podstawowe funkcje ciała. Rozumiesz, czym to grozi?

- Nie całkiem - przyznałem.

- Tym, że albo zepsują sztuczne ciało albo uszkodzą je i pójdą na skok, ryzykując przy tym swoje życie i życie wielu innych ludzi, którzy nawiną się im pod rękę.

- No, to prawda. Ale jeśli całkowicie zepsują ciało, jakim dysponują, to już nie dokonają z jego pomocą przestępstwa.

- A guzik! Kupią inne ciało, zdobędą nawet trzecie... Będą tak postępować, póki nie postawią na swoim. Rozumiesz?

Zamyśliłem się.

W sumie w tym, co wyłożył Doc było sporo logiki, tej życiowej logiki, dzięki której można wytłumaczyć a nawet usprawiedliwić wszystko, nawet zamach na wolność, na prawo jednostki.

Zresztą - co mi tam? Ja nie mam teraz czasu na takie rzeczy. Ja muszę wywalczyć wolność dla siebie. Mimo wszystko jednak...

- No dobra, z jeleniami, co to marzą o dokonaniu przestępstwa w sztucznym ciele wszystko jasne. A co z zawodowcami? Ci chyba wiedzą, co jest grane?

Doc uniósł energicznie na poły pustą butelkę do góry i oświadczył:

- Chwała ci, o najmądrzejszy z najmądrzejszych! Masz absolutną rację. Zostali do rozważenia zawodowcy. Ci ludzie wiedzą, co jest grane. Dlatego mówimy o nich - profesjonalści. Co więc z nimi zrobić?

- Przestań robić sobie jaja - powiedziałem. - I jeszcze jedno - piwo to fajna rzecz, ale może w czasie, kiedy poważnie rozmawiamy należałoby ograniczyć jego spożycie?

Doc skrzywił się, ale przyznał:

- Masz rację. Coś za bardzo się na nie zawzięłem. Przechodzimy na kawę.

Co za zaraza. Teraz będę się gapił, jak pochłania kawę. Dobrze, że przynajmniej nie zabrał się do jakiejś kury. Gdy Doc sypał do tygielka kawę, zapytałem:

- No to co możemy powiedzieć o zawodowcach?

- Zawodowcy to zawodowcy - filozoficznie zauważył Doc, stawiając tygielek na palniku. - Oczywiście, tych prawdziwych jest niewielu, i na robocie znają się rewelacyjnie! Dowiedzieli się o piętach i błyskawicznie cena na stare, nie oznakowane sztuczne ciała podskoczyła niebotycznie. Niemal każdy

znaczący spec w dziedzinie sztucznych ciał otrzymał wiele i jeszcze więcej kuszących propozycji. Propozycje owe były składane jak należy, bez wszystkich tych szalonych i idiotycznych numerów z szantażami, porwaniami, wymuszeniami.

- Ty też dostałeś takie propozycje?

- Ja też. Pamiętaj, że nie potrzebowali wszechstronnych specjalistów, chodziło o tych, którzy są wystarczająco kompetentni, by wyłączyć piętno. Muszę powiedzieć, że propozycje były cholernie kuszące i zawierały punkt o gwarancjach zachowania w tajemnicy przed stróżami porządku.

Przelał zawartość bulgoczącego tygielka do dużej filiżanki, łyknął i uśmiechnął się zadowolony.

- A tyś się, rzecz jasna, nie zgodził.

- Nie. Moja nieśmiertelna dusza jest mi droższa. Prócz tego, to jest taki system, że wejście kosztuje grosik, a wyjście - dwa. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Pewnie, że rozumiem. Ale tamta strona, jak mniemam, zaczęła naciskać.

Doc znowu usiadł przy stole i łyknąwszy raz jeszcze, pokręcił głową:

- Guza tam. Odmówiłem, a oni nie nalegali. Tak kończy się ta bajka. Oczywiście, nie wątpię, że kogoś sobie znaleźli, kto się skusił na ich propozycję. A może już wiesz, dlaczego i zawodowcy nie rozpowiadają na prawo i lewo, że sztuczne ciała są oznakowane?

- Pewnie dlatego, żeby nie wydawać forsy na ochroniarzy.

- Otóż to. Przy tym, przed zakusami amatorów mogą nie uchronić nawet goryle, ponieważ zostanie użyte wszystko, co się da. Zapomnij, bracie, i o spokojnym życiu. Na długo.

- Ach, to jest najważniejsza przyczyna... - powiedziałem.
- Jedna, jedna z najważniejszych - poprawił mnie Doc.
- Nie, mam na myśli co innego. Chodzi mi o to, że tak dziwnie mnie powitałeś.

- Właśnie dlatego - spokojnie zgodził się gospodarz.
- Gdybyś się okazał takim jeleniem, oddałbym cię glinom, a gdybyś się okazał zawodowcem, powiedziałbym, żebyś zabierał swoje zabawki i wyszedł tymi samymi drzwiami.

Podczas gdy trawiłem otrzymaną informację, Doc spokojnie dopił kawę, odstawił filiżankę i zapalił.

- Jeszcze jedno pytanie - powiedziałem w końcu.
Doc łaskawie skinął głową.
- Jeśli to taka straszna tajemnica, to dlaczego mi o wszystkim opowiedziałeś?

- Dlatego, że to jedyna rzecz, jaką mogę cię w tej chwili wesprzeć - informacja. Kapujesz? Ponieważ nie wiem, co może ci się przydać, wykładam wszystkie karty. W końcu - po co do mnie przyszedłeś? Żebym cię wziął za łapkę i odprowadził na komendę i przysiągł, że nie jesteś tułaczym programem, a moim starym przyjacielem, Essutilem Quackiem? Nie pomoże. Ci, co motają tą sprawą i tak to wiedzą, a ci, co nie są wtajemniczeni, za diabła nie uwierzą. Nie, bracie, musisz coś przedsięwziąć sam.

- Ale co?
- Przede wszystkim musisz wyniuchać, kto ci buchnął ciało. To będzie najlepszy dowód.

- Ale, jeśli będzie to konieczne, potwierdzisz, że jestem tym, kim jestem?

- Na pewno. Ale, tak sobie myślę, nie będzie łatwo odnaleźć twoje własne ciało.

- Skąd ta pewność?

- Stąd, że nie jesteś jedynym, któremu w ostatnim czasie buchnięto ciało. Jesteś natomiast pierwszym, któremu udało się tak długo przetrzymać i żyć. Jest to pewna nadzieja, ale niewielka. Wystarczy, że fortuna na mgnienie oka odwróci się do ciebie plecami...

- Poczekaj-poczekaj - odezwałem się. - Powtórz... Masz podstawy, by sądzić, że ciała są kradzione często?

- Mam - uśmiechnął się Doc.

- No to opowiedz szczegółowo - zażądałem. - Może już dość tych sekretów rodem z madryckiego dworu.

- Nie mam żadnych sekretów - oburzył się Doc. - Posiadam informacje, których wiarygodności nie jestem pewien. Coś na poziomie mętnych plotek. Ale plotki krążą, a - jak wiesz - nie ma dymu bez ognia. Pewnie, czasem w cyberach rodzą się najdziwsze konfabulacje, tak więc...

- Nie dręcz mnie - poprosiłem.

- Nie dręcę - warknął Doc. - Słuchy o kradzieży ciał krążą po cyberach już jakieś trzy miesiące, co najmniej. Kiedy usłyszałem po raz pierwszy - nie uwierzyłem. Po tygodniu plotka wróciła, ale miejscem powstania był już inny cyber.

- A co to za plotki?

- O tym, że komuś ukradziono ciało. Z reguły wszystko odbywa się według tego samego scenariusza. Ciało jest porywane tak, że nie ma się do czego przyczepić. Ofiara usiłuje przez jakiś czas udowodnić, że została okradzona, a potem znika. Albo już po tym, jak trafi na komendę glin, albo przydarza się jej jakieś nieszczęście. A to wpadnie do wykrotu z odpadami, a to wejdzie do domu, który właśnie jest kasowany. Oczywiście, ci, co resetowali budynek - jak się potem okazuje - dziwnie zapomnieli sprawdzić, czy nie znajduje się w nim ktoś postronny.

- Ile było takich przypadków? - zapytałem.
- Na razie słyszałem o ośmiu. Twój - dziewięty.
- Osiem? - upewniłem się oszołomiony.
- Yhy. A to są, pamiętaj, tylko te przypadki, o których się plotkuje. Na pewno były też porwania, w wyniku których ofiary znikają nie otworzywszy nawet ust. Tak więc tę liczbę można pomnożyć przez dwa, a może i przez trzy. Rozumiesz, co to znaczy?

- Taśma - powiedziałem. - Ktoś uruchomił taśmowe zdobywanie ciał. Teraz wszystko staje się zrozumiałe.

- To znaczy - co? - zainteresował się Doc.
- Wszystko. Nijak nie mogłem pojąć, dlaczego ktoś stracił tyle energii i pieniędzy, żeby buchnąć moje ciało. Natomiast jeśli działa już taśma i ciała giną jedno po drugim, to wszystkie wydatki są usprawiedliwione. Ja jestem takim lekkim potknięciem, nietypowym przypadkiem. Właśnie dlatego porywacze stracili tyle pieniędzy, żeby mnie schwytać. Muszą zachować za wszelką cenę uruchomiony już i wyregulowany system. Pieniądze zwrócą się w przyszłości, byle tylko udało się mnie załatwić.

Pokiwawszy głową, Doc zgasił niedopałek i powiedział:

- Też tak pomyślałem, przynajmniej w pierwszej chwili.

Ale potem przyszła mi do głowy pewna rzecz, która rozbija tę teorię na strzępy.

- Co to za rzecz?

- Zaraz. Poczekaj, już wracam.

Podreptał do pokoju. Sądząc pod odgłosach szukał czegoś na swoim biurku, na którym, co wiedziałem z poprzednich u niego wizyt, panuje potworny burdel. Dał się słyszeć senny głos jego żony, którą, oczywiście, zainteresowało, co też się dzieje. Odpowiedziawszy jej, że nic szczególnego, Doc wrócił

do kuchni. W ręku trzymał wystrzępiony notes.

- Zaraz... zaraz... - mrucał wertując notes. - Gdzie ja to miałem? Aha, jest.

Znalazłszy potrzebną stronicę odczytał osiem cyfr.

- Co to jest? - zapytałem.

- To są numery cyberów, w których podobno dokonano kradzieży ciał. Zwróciłeś uwagę na pewną sprawę?

- Jaką?

- „Jaką?” - przedrzeźniał mnie Doc. - Proszą, jak świński ogon. Po pierwsze, wszystkie te cybery, należą mniej więcej do tej samej klasy. Są to cybery odwiedzane nie przez bogaczy, ale i nie przez biedaków.

- To jasne - wzruszyłem ramionami. - Niebezpiecznie jest kraść ciało bogatym turystom. Łatwiej jest z biedakami, ale ci, z kolei, mają te ciała byle jakie. A najlepsi są reprezentanci klasy średniej. Ciałka dobre i niewiele szumu.

- Dobrze gada - krzywo uśmiechnął się Doc. - A co powiesz o drugiej cesze?

- Posłuchajmy ciebie - odparłem.

- Słuchaj, słuchaj. Zwróciłeś uwagę, że ciała porwane były w różnych cyberach, każde w innym. W różnych. Dociera do ciebie?

- No?

- Boziu, pomóż mi z tym facetem! - zakrzyknął Doc. - Jak można być takim nierozgarniętym? O jakich taśmowych kradzieżach mówimy, o jakim zysku, skoro każde ciało jest kradzione w innym cyberze?! Jak się robi taśmę, ćwoku?

- Aha - powiedziałem.

- Masz swoje „aha”. Jak można zorganizować taśmę? Ktoś przekupuje w jednym określonym cyberze wszystkich potrzebnych do ustawienia sprawy. Firmę utrzymującą portal,

gliniarzy, pilnujących porządku, niektórych przewodników i tak dalej. Właśnie tak powstaje taśma. Dopiero kiedy cały skład jest przekupiony taśmą zaczyna działać. Raz na kilka dni kradną jakieś ciało u turysty i tną na transplanty, innymi słowy - na części wymienne. Trwa to tak długo, póki nie zacznie cuchnąć. Wtedy ci, co stworzyli taśmę usiłują zwinąć interes, czasem nawet im się to udaje. Wtedy zapadają się pod ziemię i czekają kilka miesięcy, aż wszystko się odstoi. Potem wracają do czynnej działalności i próbują uruchomić taśmę w innym miejscu.

- A w tym przypadku... - zacząłem mówić.

- Właśnie! Gratuluję, lepiej wolno niż wcale! Nie może być mowy o taśmie, skoro ciała są kradzione za każdym razem w innym miejscu? Na dodatek w tygodniowym odstępie. Wiadomo, że przez tydzień nie dasz rady tak rozpracować cyber, żeby można było ukraść w nim ciało. A nawet jeśli ktoś tego dokona, to będzie to tyle kosztowało, że kradzież jednego ciała jest kompletnie nie zyskowna.

- No to co to za jakaś dziwna taśma? - zapytałem.

- Skąd mam wiedzieć? - burknął Doc. - Gdybym wiedział, to bym powiedział.

Zamyśliłem się.

No naprawdę, argumenty Doca trafiały do mnie. Ale musiał się w jakimś miejscu mylić. Jeśli jakieś postęпки ludzi wydają się wam pozbawione sensu, to zawsze jest możliwość, że to wy interpretujecie je niewłaściwie.

Ciekawe, jak można właściwie interpretować wyłożone przez Doca fakty? Ale... stop, chyba jest taka możliwość.

- Może to jest duża taśma? - zapytałem.

- Co to znaczy „duża taśma”?

- To znaczy - bardzo duża. Ktoś, jakiś czas temu wykonał

atak na osiem, czy nawet, uwzględniając ten, w którym ukradziono moje ciało, dziewięć cyberów. Za jednym zamachem na dziewięć, rozumiesz?

- I co dalej? - zainteresował się Doc.

- To, że ten ktoś rozpracował na wszystkie gwinty te dziewięć cyberów, i teraz w każdym po kolej kradnie ciało. Na czym polegają zalety tego systemu, zapytasz? Na tym, że ten znacznie trudniej jest wykryć niż zwyczajną taśmę, co znaczy, że jest bezpieczniejszy. Mogę jeszcze dodać, że z tego też powodu będzie działał dłużej i, odpowiednio, przyniesie więcej zysków. Ktoś wpakował w gigantyczną taśmę kolosalne pieniądze, ale też i zgarbione astronomiczne zyski. Może, o ile temu cwaniakowi nie odbije szajba, system będzie działał całe lata.

- Cholernie ciekawa teoria - oświadczył Doc.

Jego oblicze nagle skamieniało, jakby stało się maską. Nie wytrzymałem i zachichotałem zadowolony z siebie.

Co, zatyka papryka?! Niech ci się nie wydaje, mądrało.

Doc chwycił papierosa, zapalił, sztachnął się kilka razy i nagle, zakławszy szpetnie, zgasił ją w popielniczce.

- No co - zgadzasz się ze mną? - zapytałem.

- Nie zgadzam się - wycedził Doc. - Nijak się nie zgadzam.

- Co ci się nie podoba?

- Wiele rzeczy. Pewne, teoria ciekawa. Ale nie do zrealizowania w praktyce.

- Dlaczego?

Uśmiechnąłem się ponownie.

Ciekawe, jakimi argumentami zaskoczy mnie ten spec od sztucznych ciał?

- Dlatego, że przy dużej taśmie musi się kręcić wielu ludzi. Im więcej ludzi, tym większa szansa, że któryś się wygada czy

popęłni błąd, czy będzie usiłował wykiwać głównego organizatora. Czynniki ludzkie, oto co sprawia, że duża taśma nie może długo działać. A jeśli nie będzie działała długo, to poniesione koszty nie zwrócą się.

Doc miał niewątpliwie rację. Ale nie zamierzałem tak łatwo się poddać - miałem w zanadru jeszcze jedno pytanie.

- Dobra, duża taśma jest niestabilna. Zgoda. Dlaczego jest niestabilna? Dlatego, że tych, co przy niej pracują zmusza do pracy chciwość. Jednakże innego wytłumaczenia masowych kradzieży ciał jak na razie nie mamy. To znaczy, że to taśmowe przestępstwo jest faktem. Może ktoś zmontował dużą taśmę nie dla pieniędzy?

- No, przegiąłeś - odezwał się Doc. - A po co? Co jeszcze może spowodować, że ludzie zaczną robić takie rzeczy?

- Oto jest i moje pytanie. Pomyśl, może jednak coś masz?

- Może i tak - Doc prychnął przez nos. - Ale skąd mam...
Chociaż, wiesz co? Chyba coś mam!

- Słucham cię uważnie.

- Pomysł. Jakaś fanatyczna idea. Oto mamy cement, który może złączyć ludzi mocniej niż pieniądze.

- Jaka idea? - zainteresował mnie.

- Jakakolwiek. Skąd mam wiedzieć? Im prostsza, tym lepsza. Do fanatyków złożone idee nie trafiają... Ale nie, to głupi pomysł. Żeby stworzyć naprawdę dużą taśmę na bazie jakiejś fanatycznej idei, trzeba dużo czasu. A fanatycy są niecierpliwi, gdzieś ten pomysł prędzej czy później by wypłynął.

Milczał chwilę, potem pokręcił głową bezradnie i powiedział:

- Niestety, nie mam odpowiedzi na twoje pytanie. Obawiam się, że będziesz musiał znaleźć ją sam.

- Nie pomożesz mi?
 - Już ci pomogłem. Podałem ci dane, których nie sprzedałbym nikomu innemu. Doceń to.
 - Ale mógłbyś poradzić co jeszcze?
 - Mogę. Masz niteczkę. Chwyć ją i spróbuj rozplatać kłębuszek. Jaka to niteczka? Plotki o kradzieżach, mianowicie. Powinieneś dowiedzieć się, czyje jeszcze ciała zostały porwane i w jakich okolicznościach. Może to ci pomoże wykryć złodzieja.
 - Akurat, dadzą się wykryć...
 - Jak się postarasz - wykryjesz. Najważniejsze, to pamiętaj, że jeśli gdzieś pracuje taśma, to musi mieć centrum. Ktoś, gdzieś siedzi, otrzymuje informację o przebiegu przedsięwzięcia, wydaje polecenia. Znajdź go, tego szefa, zanim oni ciebie schwytają. To twoja największa szansa.
 - Łatwo ci mówić - mruknąłem. - Pójdź nie wiadomo gdzie, znajdź nie wiadomo co.
 - Myśleć musisz, myśleć! - warknął rozdrażniony Doc. - Przede wszystkim dowiedz się kim byli ci okradzeni. Potem zrozumiesz, co należy robić.
 - Ale oficjalnych danych o porwaniach nie ma.
 - Zgoda, nie ma. To znaczy, że musisz wygrzebać dane z nieoficjalnych źródeł.
 - Masz na myśli pałac słuchów?
 - Oczywiście. Będziesz musiał tam zajrzeć.
- Rzuciłem na Doca uważne spojrzenie. Twarz miał zarumienioną, włosy zmierzwione, oczy... Tak, z oczami coś było nie tak. Jakieś pełne winy, czy co? Może wystraszone, albo...
- Co tak na mnie wytrzeszczasz gały - warknął Doc. - Rozumiem, że te dane powinienem uzyskać ja. Mnie łatwiej

jest to zrobić, ale postaw się na moim miejscu. Sądząc z twojej opowieści, wyprzedzasz swoich prześladowców zaledwie o krok. Może nawet o pół kroku. Oni muszą przewidzieć, że spróbujesz jakoś dorwać te dane, czy to sam, czy przez kogoś postronnego. Co to oznacza?

- To, że każdego, kto spróbuje uzyskać dane o kradzieżach, wezmą na celownik.

- Właśnie. Ty nie masz nic do stracenia, ratujesz życie, a ja... Nawet nie mam dokąd uciec.

Zgadzając się z nim, skinąłem głową. Najprościej było obrazić się na niego. Pewnie tak bym zrobił z dziesięć lat temu. Ale nie teraz. Teraz wiedziałem o tym szalonym przedsięwzięciu pod nazwą życie znacznie więcej. Doc naprawdę zrobił dla mnie wszystko, co mógł. I nawet więcej. Wymagać czegoś więcej byłoby okrucieństwem. W końcu ma swoje, ustabilizowane życie. Trudno wymagać, by dla czegoś tak efemerycznego jak przyjaźń rezygnował z niego. Jeśli rzeczywiście coś mu się przytrafi, nigdy sobie nie daruję. Albo nie jemu, a komuś jemu bliskiemu. Ten drugi wariant jest jeszcze gorszy. Ale jednak, jednak...

- Dobra, pora i na mnie z honorem się oddalić - powiedziałem wstając. - A ty musisz do pracy jutro.

- To mi akurat zwisa - rzucił Doc. - Co mi tam praca!

Znowu coś się działo z jego wzrokiem i to mnie peszyło. Powinienem był jeszcze z nim trochę posiedzieć, pogadać o czymś, żeby się uspokoił, żeby przekonał samego siebie, że postępuje właściwie. Ale wiedziałem też, że muszę już uciekać. Ulży mu, gdy tylko opuszczę to mieszkanie. A po kilku minutach uspokoi się do końca i wróci do tego świata, w którym czuje się komfortowo, do świata wygodnego mieszkania i czystej kuchni, świata, do którego przywykł i nie

zamierza go na żaden innym zamienić.

Poza tym... Naprawdę zrobił dla mnie więcej, niż ktokolwiek inny na jego miejscu by zrobił. Nie mogłem wymagać, żeby jeszcze czymś ryzykował. Czyli...

Coś jeszcze do siebie przez chwilę mówiliśmy, ale to już nie miało żadnego znaczenia. Najważniejsze zostało powiedziane. Postawiono wszystkie kropki nad „i”.

Doc odprowadził mnie do drzwi. Wyszedłem na korytarz, usłyszałem jak za moimi plecami szczęknął, na pewno trwały i niezawodny, zamek, ruszyłem do windy.

W czasie, gdy zjeżdżałem na dół w moim umyśle pojawiło się jeszcze jedno pytanie.

Ciekawe, czy Doc rozmawiałby ze mną, gdybym pojawił się w nowiutkim sztucznym ciele? Czy wywaliłby mnie ze swojego mieszkania? Albo czy jeszcze gorzej - zawezwałby gliniarzy?

Winda spływała w dół, a ja kombinowałem, który wariant jest bardziej prawdopodobny. A potem pudło z moim ciałem zatrzymało się na parterze, skłamałem sobie za głupie myśli i zakazałem myślenia na ten temat. Ponieważ, jeśli ktoś się zagłębi w takich rozważaniach, to prędzej czy później stanie się paranoikiem.

Istnieją takie sytuacje, kiedy można liczyć tylko na siebie, na nikogo więcej. Takie, jak ta, w jakiej właśnie się znajdowałem.

13.

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu na ulicy nie czekała na mnie zasadzka. Widocznie pościg gdzieś się potknął, a może to ja wykazałem się nadzwyczajnym sprytem i urwałem się

ścigającym.

Intuicja podpowiadała mi, że nie będzie to trwało długo. Nawet jeśli nie zlokalizują mnie zanim dotrę do pałacu słuchów, to na pewno potem już mnie wyczają.

Przy okazji, o pałacu słuchów...

Jeśli ktoś spróbuje wejść tam przez zwyczajną bramę, to nie da się uniknąć identyfikacji. To jest niedopuszczalne w mojej sytuacji. Jak na razie oficjalnie nie istnieję, zginąłem w klatce okrutnego wirusa. Oczywiście, prześladowcy już wiedzą, że się uratowałem, ale oficjalnie, że tak powiem, nie mogą tego zgłosić.

Gliniarze, którym uciekłem? Nie, ci też będą milczeć. Nawet, jeśli zostali przekupieni przez złodziei ciała, to gdy tylko zgłoszą, że to właśnie ja na nich napadłem, zapyta ktoś, skąd wiedzą, że to ja.

Wygląda z tego, że dwa oficjalne trupy, zagłada awietki i napaść na stróżów porządku na razie przypisane są nieznanemu nikczemnikowi, usadowionemu w starym sztucznej ciele. Im dłużej tak to będzie wyglądało, tym lepiej dla mnie.

Wynika z tego, że trafić do pałacu słuchów mogę tylko w jeden sposób: przez bramę anonimową. Jeśli ścigający wzięli ją pod obserwację, to wpadnę w pułapkę, z której nie mam właściwie jak uciec.

Ach, żyje się raz. Wszak nie są wszechpotężni, ci cholerni złodzieje? Całkiem niewykłuczone, że kontrolowanie anonimowych bram jest trudniejsze niż uruchomienie dużej taśmy.

Nie pozostaje mi nic innego, jak zaryzykować. Kto nie ryzykuje nie wpada. Co prawda, najczęściej tak mówią ci, co nie muszą ryzykować. Ale mimo to... Po prostu - nie mam

innego wyjścia.

Skoro więc już wiem, dokąd mam iść, to dlaczego stoję tu i stoję? Ruszyłem w drogę. Do pałacu słuchów mam co najmniej dwie godziny drogi. Chociaż, gdyby mi się udało skorzystać z kolejki jednotorowej. W tym przypadku droga zabrałaby mi znacznie mniej czasu.

Skierowałem się w stronę przystanku. Na szczęście znałem dobrze tę okolicę i nie bałem się, że zabłądzę.

Musiałem przyznać, że wykonawcy mojego ciała dobrze się sprawili. W nocnej ciszy niemal nie było słychać moich kroków, nieźle jak na takie stare ciało.

Maszerowałem, czujnie wsłuchując się w nocną ciszę, gotów przy najmniejszym dźwięku rzucić się do ucieczki, ukryć, zniknąć prześladowcom z oczu. Strach? Chyba nie...

Nagle zrozumiałem, że naprawdę niemal wcale się nie boję. No bo niby czego mam się bać? Śmierci? W ostatnim czasie tyle razy mi zagrażała, że czułem się, jakbym przekroczył pewną granicę i wstąpił do krainy całkowitej, niezachwianej obojętności. To nic dobrego. Powinienem czuć się i zachowywać jak kot, przemierzający ulicę zasiedloną przez złe, silne i zdrowe psy. Jeśli zaś poddam się apatii, to skończy się to tak, że gdy nadejdzie zagrożenie, to zamiast wykonać rozpaczliwy ruch w celu uratowania żywota, wpadnę w stupor. Wynikiem czego będzie moja śmierć. Cóż, kowalem swego losu jesteś sam.

O-la-la! Co to się dzieje? Nie wolno mi tak myśleć! Od tego zależy nie tylko moje życie, ale i życie tych, co po mnie trafią na taśmę. Przecież po mojej śmierci taśmowe pozyskiwanie ciał ruszy pełną parą, będą nowe kradzieże, nowe zaginięcia, nowe ofiary. Aż do czasu, kiedy ktoś będzie miał więcej szczęścia niż ja.

Jeśli ktoś będzie miał więcej szczęścia niż ja. Jeśli będę na tyle nieostrożny, że dam się załatwić. Jeśli nie uda mi się zemścić na tych nikczemnikach, którzy uruchomili ten przestępczy system.

Ha, rycerz na białym rumaku, w starej zbroi. Jeden przeciwko całemu światu, gotów walczyć do końca, ponieważ innego wyjścia nie ma. To ja jestem tym rycerzem, ja, zwykły komiwojażer, nie mający doświadczenia w walce z wiatrakami, nie mający nawet przy boku Sancho Pansy.

Bzdury, najczystsze bzdury. Walczyć mi przyjdzie nie z wiatrakami, a prawdziwymi olbrzymami. Może lepiej będzie poddać się, usiąść na krawężniku i czekać tak długo, aż natknie się na mnie patrol glin, póki nie dostarczą mnie do komendy, gdzie już czeka przytulne, malutkie więzienie. Wywloką mnie z tego starego wstrętnego ciała, przeniosą w wieczny spokój i obojętność więzienia. A wtedy zostanie mi tylko...

Miałem ochotę huknąć pięścią w ścianę najbliższego domu, i to nie raz. Miałem ochotę poczuć, jak w mózgu odezwie się impuls bólu, to by mnie otrzeźwiło, przywróciło do normalnego istnienia, odpędziło cień obojętności, która zwała się na mnie i prawie już pochłonęła, niemal gasząc całą wolę. Niemal cisnąwszy na kolana.

Właśnie tak! Huknąć w ścianę, zobaczyć, jak pojawiają się na niej pęknięcia, jak na jezdnię sypią się drobne odłamki. Tak, niech będzie, że to ściana jest winna. Ona, nie ja, który zaczyna marzyć o schowaniu się jak żółw w skorupie.

Na pewno nie! Widzicie ich? Jak żółw? Guza tam, nie dam się. I nawet nie będę tłukł w ścianę, a po prostu spokojnie ruszę dalej. Obojętności się zachciało? A czegoż jeszcze można oczekiwać od człowieka, któremu cały świat stanął na głowie?

Oczywiście - depresja, oczywiście - wszystkie te głupie numery, jakie wycina pozbawiona standardowej powłoki, standardowych odczuć, świadomość. Ale nie mam prawa okazywać teraz słabości. Skoro nie mam - nie będę. I nie będę ściągał na siebie uwagi jakimiś głupimi odruchami.

Zamiast tego spokojnie pójdę do kolejki. Dotrę do pałacu słuchów. To jest najrozsądniejsze wyjście w mojej sytuacji.

Pałac słuchów.

Maszerując w kierunku przystanku myślałem o tym, że dotąd nie miałem okazji wejść doń przez bramę anonimową. Powiadają ludzie, że istotnie się różni od innych bram. A pewnie, przecież to anonimowa brama! Bardzo jestem jej ciekaw.

Pomyślałem również, że gdybym teraz był w swoim zwykłym ciele, to potrzebowałbym znacznie więcej czasu, by opanować się, pozbyć drżenia rąk, zmusić ciało do precyzyjnego wykonywania poleceń. Wyszło na to, że sztuczne ciało ma przewagę nad naturalnym również w takim aspekcie.

Rozumiem teraz, dlaczego tak wielu jeleni usiłuje dokonać przestępstwa w sztucznym ciele. Ma ono całą masę zalet - siłę fizyczną, refleks, no i możliwość stworzenia sobie alibi. Żeby stworzyć sobie alibi przy pomocy sztucznego ciała, wystarczy mieć prywatny portal do jakiegokolwiek cybera i mieć tu, w wielkim świecie, podłączone doń sztuczne ciało. Potem wchodzisz sobie całkowicie oficjalnie do jakiegoś cybera, przechodzisz do tego właściwego, i przeskakujesz do sztucznego ciała. Moment i połowa sprawy załatwiona. Potem sztuczne ciało wykorzystujesz jak chciałeś, odbywa się powrót do cybera. Ponieważ nie można odtworzyć twoich wędrowek po cyberach, masz w kieszeni stuprocentowe alibi. W chwili popełnienia przestępstwa nie było cię w wielkim świecie.

Wielu jeleni pewnie nie jest w stanie wykonać nawet takiej kombinacji, wynajmują po prostu sztuczne ciało i mają nadzieję, że gliny nie są w stanie określić, jaki to sztuczniak załatwił tego czy innego człowieka, ograbił bank czy okradł czyjeś mieszkanie.

Przypomniałem sobie, że wcześniej już nie raz zastanawiałem się, jak gliniarze wykrywają sprawców przestępstw dokonanych przy pomocy sztucznych ciał. A do tego serwowano nam mylące wszystkich seriale, w których odważni gliniarze przy pomocy karkołomnych konstrukcji logicznych wyprowadzali przestępców na czyste wody.

A w rzeczywistości wszystko okazało się takie proste. Nie trzeba myśleć, nie trzeba zbierać dowodów. Wystarczy określić, że na miejscu przestępstwa było sztuczne ciało, a po kilku minutach wiadomo, jakie ciało zostało wykorzystane i gdzie się znajduje w danej chwili.

Tanie i skuteczne. Piętna. I trochę obłudy - pewnie gliny nie raz umyślnie wstrzymują się z aresztowaniem sprawcy, byle nie zdradzić, w jaki sposób go wykryli. Odwlekają ujęcie o dobę, o dwie. Pewnie radzą się siebie - dojrzał już przestępca, czy jeszcze nie, może pozwolić mu jeszcze użyć wolności, dzień, dwa, kilka godzin. Tych, co ich zdaniem mogą dokonać kolejnego przestępstwa, biorą od razu, a innym mogą dać trochę luzu. Może nawet niektórzy odczuwają z tego powodu przyjemność, może śledzą ich jak kot, bawiący się myszką, pewien, że w każdej chwili może ją schwytać, a na razie - może się pobawić. Przed schwyтaniem.

Wyszedłem na Prospekt Niezaspokojonych Pragnień. Do przystanku jednotorówki miałem tylko kilka przecznic. Minę je, wsiądę do wagonika i za jakieś pół godziny będę na miejscu. O ile, rzecz jasna, nie stanie się nic niezwykłego.

A wtedy...

Uśmiechnąłem się.

Patrzcie-patrzcie, jak to szybko i łatwo zaszczepiono mi odruchy uciekiniera. Cholernie łatwo. Wszystkie odruchy. Łącznie z wyraźną nienawiścią do prześladowców.

Gliny. Oczywiście, że nie mam racji. To nie są potwory, tylko zwyczajni ludzie, którzy z woli fortuny zajmują się tym, czym się zajmują. Pewnie, to nie aniołki z choinki, często się myślą i bywają niesprawiedliwi. Mylić się jest rzeczą ludzką. Może nawet czasem któryś z nich ma wyrzuty sumienia, że postąpił niesprawiedliwie, ale - z reguły - jest już za późno na kajanie się. Jeszcze inni się nie kajają, ponieważ uważają, że nigdy się nie myślą, że błędy popełniają inni. W tym też nie różnią się od większości ludzi. Mają rodziny, żony, dzieci, a nawet zrędlawe teściowe, a niektórzy - chore matki. Tak więc w celu poprawienia poziomu własnego, tak krótkiego i tak szarego życia, jak również dla innych celów, zdarza się, że wchodzą na drogę przestępstwa, naiwnie wierząc, że ich powody są unikatowe, jedyne i niepowtarzalne. Tym samym popełniają odwieczny błąd, za którym idzie tak czy inaczej wymierzana kara.

Dlaczego więc tak się na nich wściekam? Bo mnie ścigają? A jakie to ma znaczenie? Jeśli zdołam udowodnić, że ukradziono mi ciało, to na pewno znajdą się gliniarze, którzy schwytają przestępców, odstawią do sądu i zatroszczą się, by nie uciekli z więzienia. To będą właśnie ci gliniarze, których w tej chwili tak nienawidzę i uważam za swoich wrogów, z którymi będę walczyć do ostatniego tchu.

Najzabawniejsze, że w rzeczywistości jesteśmy po jednej stronie barykady. Po prostu oni jeszcze tego nie wiedzą. A ja powinienem im to uświadomić.

Odruchowo pokręciłem głową.

Nic takiego - tylko im to uświadomić.

Stacja jednotorówki była niemal pusta. Na jednej z ławek siedział, oczekując pociągu, jakiś brodaty typ, czytający z przejęciem grubą książkę, na drugiej usadowił się lump w wystrzępionej marynarce i w kapeluszu z opadającymi połami. Kolejną ławkę okupowało stadko dziewczyn, widocznie wracających z jakiejś imprezki.

Brodacz czytał, lump pokaszliwał i drapał się, dziewczyny szczebiotały, od czasu do czasu radośnie i zaraźliwie chichocząc.

Nie wyczuwało się żadnego niebezpieczeństwa.

Przycupnąłem na wolnej ławce i zacząłem oczekiwać przyjazdu pociągu. Po jakichś dziesięciu minutach moje oczekiwanie zostało nagrodzone przyjazdem składu, przesiadłem się z twardej ławki peronu na miękką w wagonie. Drzwi zamknęły się i pociąg ruszył.

Odetchnąłem z ulgą.

No, jeszcze jeden etap mam za sobą. Zostało tylko dotrzeć do bramy pałacu słuchów. Mogą tam na mnie czekać, a mogą i nie. Zależy od szczęścia. Nie ma sensu wróżyć.

Pociąg ciął noc na małe dwuminutowe odcinki, dzieliły je minutowe postoje. Siedziałem przy oknie, od czasu do czasu obrzucałem kontrolnym spojrzeniem cały, niemal pusty wagon, i żałowałem w duchu, że nie mogę się zdrzemnąć.

Miło by było na kwadrans zapaść w sen, oderwać się od niepokoju, rozpuścić w błogim niebycie, zupełnie jak normalny człowiek.

„I przegapić właściwą stację, albo zostać obudzony przez patrol glin - pomyślałem. - Nie, sen w mojej sytuacji to głupota. Dlatego też zapomnimy o nim na jakiś czas”.

Udało mi się. Podczas jazdy nie pojawił się patrol gliniarzy, nikt z pasażerów nie zwrócił na mnie specjalnej uwagi.

„Co zresztą nic nie znaczy - pomyślałem, wysiadając na potrzebnym mi przystanku i kierując się do pałacu słuchów. - Jeśli mam jakiegokolwiek pojęcie o sprawie, to właśnie tu powinni na mnie czekać i nie po to, by wręczyć bukiet z zaproszeniem na bezpłatną kolację w modnej restauracji”.

Pałac słuchów to duży budynek, nieco podobny do starego zamku. Prowadzi doń co najmniej dziesięć wejść. Wszystkie, z wyjątkiem jednego, prowadzą do najzwyczajniejszych bram. Przeszedłszy przez nie, zwiedzający znajdował się w tej części pałacu, w której informację można było kupić lub sprzedać.

Mnie natomiast interesowała anonimowa brama. Miała jedną zaletę w stosunku do innych - używający jej klient w ogóle nie musiał podawać swoich personaliów ani zawodu. Przy tym korzystający z niej człowiek nie musiał kupować czy sprzedawać informacji, a mógł ją wymienić.

Pewnie, nie było mowy o sprawiedliwej wymianie. W końcu pałac słuchów był przedsięwzięciem komercyjnym i jego pracownicy dążyli do zawierania tylko takich umów, które miały przynieść ich firmie niezły dochód. Miałem jednak nadzieję, że moich informacji wystarczy, by otrzymać w zamian to, co mnie interesowało.

Z powodu nocnej pory, plac przed pałacem był pusty. To też było mi na rękę. Jeśli jest gdzieś tu zasadzka, łatwiej będzie ją wykryć. W dzień byłoby to o wiele trudniejsze. W dzień przed pałacem sterczy taka masa ludzi, że można zorganizować nawet dwie zasadzki, a ich cel niczego nie zauważy, aż do finału. Inna sprawa, że kanały, którymi pałac słuchów jest związany z siecią cyberów, są wykorzystywane niezależnie od pory dnia i nocy.

Zadziwiająca jest, jak wielu ludzi potrzebuje informacji, której współczynnik wiarygodności sięga średnio pięćdziesięciu procent. Są nawet tacy, co wykładają gotówkę za coś, co jest wiarygodne w pięciu czy dziesięciu procentach. A w końcu dziennikarzy bulwarówek wśród klientów jest bardzo mało. Na pewno mniej, niż biznesmenów czy naukowców.

Skierowałem się od razu do anonimowej bramy, pchnąłem drzwi i znalazłem się w poczekalni. Jakżeby inaczej - zasiadała w niej dziewczyna tak niesamowicie urodziwa, że jakiś podstarzały lowelas mógłby się zachłysnąć własnym ślinotokiem.

- Czym możemy panu służyć? - rozległ się delikatny, przywodzący na myśl słowa „hurysa” i „raj”, głosik.

- Chciałbym dokonać wymiany - powiedziałem.

- Czy posiada pan wystarczające informacje do jej dokonania?

- Posiadam - potwierdziłem.

- Przypomnę panu nasze zasady. Jeśli podane przez pana informacje zostaną uznane za niewystarczające do wykonania wymiany, nie otrzyma pan w zamian nic. Jednocześnie zastrzegamy sobie prawo do tego, co nam pan przekaże, niezależnie od wyników transakcji. Czy pan się zgadza?

Przez chwilę miałem ochotę powiedzieć wszystko, co myślę o właścicielach pałacu słuchów, ale powstrzymałem się w ostatniej chwili. Nie wypadało używać takiego paskudnego języka w obecności tej bogini. A inne słowa wyparowały mi z głowy.

- No więc, czy pan się zgadza na warunki?

Nadludzkiem wysiłkiem woli wymamrotałem:

- Zgadzam się.

- Czas potrzebny na negocjacje?
- Maksimum pół godziny.
- Dobrze. Proszę przejść do kabiny numer siedem i przygotować się do przeniesienia.

Grzecznie wykonałem polecenia bogini. Kabina była ciasnawa, ale nie miało to większego znaczenia. W końcu, czy to ważne - w jakiej pozycji będzie się znajdowało moje ciało, podczas, gdy ja będę w pałacu słuchów?

Zaraz po tym jak przekroczyłem próg, drzwi kabiny zamknęły się. Przyjemny kobiecy głos policzył do dziesięciu, na moją głowę zjechał metalowy kołpak. Potem nastąpiła krótka jak błyskawica pauza niebytu i znalazłem się w pałacu słuchów.

Oczywiście, że byłem tu już wcześniej kilka razy. Tylko, że korzystałem z tej jego części, gdzie informacje się kupuje. Tam dominował wspaniały pałacowy wystrój - wygodne kanapy, piękne obrazy na ścianach i bezpłatna kawiarnia. Personel był bardzo podobny do tej piękności, którą dopiero co widziałem w recepcji.

A tu...

W anonimowej części pałacu wszystko było inne. Żadnych kanap ani krzesel, w ogóle - żadnych mebli. Stałem w wąskim korytarzu, kończącym się dwanaście kroków ode mnie niewielkim pokoikiem, w którym za pustym biurkiem siedziała jakaś kobieta. To musiała być owa specjalistka, z którą miałem negocjować warunki wymiany.

Niezbyt zachęcające powitanie!

Nie zostało mi nic innego jak ruszyć w kierunku biurka. Moje kroki odbijały się głuchym echem, jakby do podeszw butów przymocowano kawały żelaza. Nie otynkowane, kamienne ściany emanowały chłodem.

B-r-r-r... Niezła historia.

Kobieta siedziała przy biurku, nisko opuściwszy głowę, zasłaniając twarz dłońmi, jakby usnęła, albo miała się za chwilę rozszołać. Nic dziwnego. Gdybym znalazł się na jej miejscu i musiał pracować w tak ohydny biurze, dawno rozpląnąłbym się we łzach. A może praca w tej sekcji pałacu jest jakimś rodzajem kary? Jeśli tak, to kiepsko mają się moje sprawy. Jakiej tolerancji i chęci współpracy można oczekiwać od człowieka, który odbywa tu karę?

Zatrzymałem się przed biurkiem i rozejrzałem. Niczego, co przypominałoby krzesło czy fotel nie było w pobliżu. Wyglądało, że mam stać przez cały czas rozmowy.

No, nic. Da się wytrzymać. Bywało gorzej.

Odkaszlnąłem.

Kobieta wolno odjęła rękę od twarzy, popatrzyła na mnie i obdarzyła mnie uśmiechem.

Lepiej by to sobie darowała.

Chcę być dobrze zrozumiany - nie oczekiwałem nikogo podobnego do tej nimfy, która przywitała mnie w recepcji, nie. Ale... nie aż do tego stopnia!

Sądząc ze wszystkiego, osoba, z którą miałem rozmawiać, miała co najmniej siedemdziesiąt lat. Twarz jej była ascetycznie chuda, kąciki ust skierowane w dół, nos podobny do dzioba drapieżnego ptaka, a w dziedzinie wyrazistości jej oczy mogły rywalizować ze starym, zakurzonym lustrem. Ach, byłbym zapomniał - uśmiechnęła się. To mi pozwoliło przyjrzeć się jej zębom. Niczego sobie, mógł ich pozazdrościć średniowymiarowy rekin.

- Zjawiłeś się, żeby dokonać wymiany? - zapytała kobieta.

- A jak pani myśli, po co jeszcze? - odparłem. - Gwarantuję, że nie chodzi mi o pani serce i rękę.

Nie lubię takich numerów, Ci, co tworzyli te kazamaty uważali, że taka sytuacja uczyni potencjalnych klientów bardziej skłonnyymi do wymiany informacji. A może chcieli podkreślić, że na żadną działalność charytatywną w tym segmencie pałacu nie można liczyć.

Co prawda pamiętałem, że w pozostałych częściach pałacu również nie bardzo dokuczał im altruizm, ale nie odczuwało się tego tak boleśnie.

- Co chciałbyś wiedzieć? - zakrakała wrona.

- Krążą słuchy, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy w dziewięciu cyberach ukradziono ciała dziewięciu osobom. O ostatnim przypadku wiem wszystko, i ten mnie nie interesuje. Znam również kody pozostałych ośmiu cyberów, w których odbyły się grabieże. Znaczy to, że interesują mnie numery portali, przez które przedostawali się poszkodowani ludzie, i nazwy firm, do których należą owe portale. Firmy te, najprawdopodobniej, są filiami jakiejś jednej dużej firmy. Chciałbym więc otrzymać i jej dane.

- Tak więc mamy do czynienia z dwoma pytaniami - drapieżnie uśmiechnęła się precyzyjna staruszka. - Czy to ciągle jedno?

Ha, babunia zna się na swojej robocie! Jeśli połączę oba pytania w jedno, to moich informacji może nie wystarczyć do wymiany. Stracę wszystko. Natomiast zadane oddzielnie pytania kosztują więcej; może być tak, że na drugie pytanie nie otrzymam odpowiedzi.

Dobra, cholera z nią. Niech mi tylko poda numery portali i nazwy firm, to już będzie niemało.

Staruszka ponownie zademonstrowała garnitur uzębienia. Musiała tracić sporo czasu, żeby utrzymać go w całkowitym porządku. Pewnie rano szlifowała je kawałkiem szamotowej

cegły.

- Ach, widzę, że bystrzacha z ciebie.
- A co się będę - oświadczyłem skromnie.
- W takim razie mogę ci powiedzieć, że prawdopodobieństwo tych danych, jakie chcesz otrzymać sięga osiemdziesięciu pięciu procent. To bardzo wysokie prawdopodobieństwo.

- Prawdopodobieństwo tego, co ja zamierzam wam opowiedzieć w zamian, sięga stu jeden procent.

Starucha ni to rozkaszła się, ni to zachichotała. W każdym razie akustycznie jej odgłosy pasowały i do jednego, i do drugiego.

- To jest twoja subiektywna skala. Gdybyśmy mierzyli pewność informacji według skali klientów...

Rozeźliła mnie.

Ile można się znęcać? Czy nie pora przejść do sedna? Natychmiast zaproponowałem to reprezentantce pałacu słuchów.

- Dobrze, skoro dokonaliśmy wstępnych szacunków - udając, że nie słyszała moich słów, oświadczyła - możemy przystąpić do wymiany. Wykładaj, co masz.

Zaczęło się.

Starając się nie opuszczać ani jednego szczegółu, zacząłem opowiadać. Z powodu tej szczegółowości moje opowiadanie trwało długo. Kiedy skończyłem stara pudernica siedziała chwilę zupełnie nieruchomo, jakby trawiła wiadomości.

Nie wytrzymałem, wychyliłem się ponad blatem biurka i pomachałem jej przed oczami dłonią.

Zero reakcji.

Może coś się zawiesiło? Rzadko, ale się zdarza. W takim przypadku nie otrzymam potrzebnych mi danych, ale nawet

przez jakiś czas nie będę mógł wyjść z pałacu słuchów. Nie, śmierć mi nie grozi. Odpowiedzialni za bezpieczeństwo pałacu przywołają ratowników i wyciągną mnie stąd. Gorzej, że nikt nie przeszkodzi ratownikom, gdy się dowiedzą kim jestem, zawołać gliny? To by był wynik, jakiego nie spodziewałem się odwiedzając pałac.

Już kombinowałem, czy nie wyciągnąć staruszki z za biurka i nie potrząsnąć nią porządnie, ale ta nagle otworzyła oczy i wyskandowała:

- Co się tak podniecasz? Zamyśliłam się. Nie można chwilę pomyśleć?

Odetchnąłem z ulgą i odzyskałem na tyle werwę, że zapytałem:

- No to jak?

- Co jak?

Zrodziła się we mnie ochota zdobycia adresu starej harpii i zabawienia się z nią w Raskolnikowa. Musi w końcu gdzieś mieszkać w przerwie między wykonywaniem swoich katowskich obowiązków? Nie miałem wątpliwości, że nie jest programem. Takim sadystą może być tylko istota ludzka, żywa.

- Czy odbędzie się wymiana?

Staruszka oparła się plecami o fotel i zmierzyła mnie pogardliwym spojrzeniem.

Usiłowałem zazgrzytać zębami. Niestety, nic z tego nie wyszło. Zęby górnej szczęki i żuchwy zetknęły się ze sobą, ale dźwięk przy tym powstały był skandalicznie cichy. Może tworzący tę część pałacu mistrzowie przewidzieli, że komuś z klientów przyjdzie do głowy coś podobnego i zatroszczyli się, by nic z tego nie wyszło.

Po oszacowaniu zaprezentowanych wiadomości i

dokonaniu ich jakościowej analizy, jak również określiwszy ich wiarygodność w skali, przyjętej jako bazowa w naszej firmie, dokonawszy przy tym poprawek na błędną percepcję świata, przekształconych za pośrednictwem dokonanych przeze mnie, przy pomocy zwykłych procedur szacowania wartości indywidualnego wektora danego klienta, doszłam do wartości, najbardziej prawdopodobnej dla otrzymanej informacji. Porównawszy ją z wartością informacji, którą chce on otrzymać, doszłam do wniosku, że wymiana nie jest parytetowa...

Chyba właśnie w tym momencie wydałem dźwięk, przypominający ryk głodującego od tygodnia tygrysa, na widok znajdującego się w zasięgu jednego skoku apetycznego tłusciutkiego królika.

Nie zwróciwszy na te odgłosy najmniejszej uwagi, stara halabarda kontynuowała:

- ...jednakże, uwzględnivszy, że otrzymane informacje sprzyjają podniesieniu wiarygodności pewnych, posiadanych przez nas w danej chwili informacji, uważamy za racjonalne dokonanie przeszacowania cen, požądanych przez klienta informacji. Po wniesieniu owej poprawki konstatujemy z ogromną naszą przyjemnością, że możemy dokonać częściowej zapotrzebowanej przez klienta wymiany. Zresztą, gdyby uznał on nasze pertraktowanie zawartej z nami umowy za nieadekwatne, zmuszeni jesteśmy uprzedzić go, że jesteśmy gotowi do sądowego rozstrzygnięcia danej kwestii. Co prawda, nie możemy zagwarantować w tym przypadku anonimowości klientowi, ale, uwzględnivjąc, że rozprawa sądowa zacznie się po wniesieniu przezeń pozwu, wszystkie straty, poniesione ewentualnie po usunięciu warunku anonimowości, będą obciążały jego, konto.

Zrobiła krótką pauzę, którą wykorzystała na napawanie się widokiem mojej oszołomionej twarzy. Wyglądało, że całkowicie ją w tym przedmiocie usatysfakcjonowałem, ponieważ, po serii tych samych dźwięków, ni to kaszlu, ni to chichotu, stara harpia zainteresowała się:

- No to jak?
- Co mianowicie? - zapytałem ostrożnie.

Czułem się, jakby chwilę temu zwałił mi się na głowę cały budynek.

- Czy zgadzacie się z takim potraktowaniem naszej umowy?

- Ale dokładnie z czym?

- Ach, nic nie zrozumieliście - czule powiedział potwór w masce staruszki. - Zaczniemy więc od początku. Jak wicie, zawierając daną umowę, omówiliśmy pewne warunki, zgodnie z którymi...

- Proszę przestać - oświadczyłem z mocą.

Prawdę mówiąc, z trudem powstrzymałem się, żeby z piskiem nie runąć do drzwi.

- Proszę przestać - powtórzyłem. - Proszę mi tylko powiedzieć, czy odpowiecie mi na moje pytania?

- Tak, na pierwsze. W przypadku pytania drugiego wymiana byłaby nie równoważna.

- Co pani ma na myśli?

Staruszka rozłożyła ręce.

- Przecież wyjaśniłam wszystko. Przekazanych przez pana informacji jest za mało, abym mogła odpowiedzieć na drugie pytanie. Jednakże w ramach rekompensaty mogę panu podać nazwiska i pewne dane personalne ludzi, którym ukradziono ciała.

Odetchnąłem z ulgą i powiedziałem:

- W takim razie zamieniam się w słuch.

Staruszka bez zająknięcia podała mi niezbędne wiadomości. Dokonawszy tego, zainteresowała się, czy uważnie ją słuchałem i czy nie powinna mi czegoś powtórzyć. Nie uskarżałem się nigdy na pamięć i dlatego zapewniłem ją, że nie ma takiej potrzeby.

- W takim razie nie zatrzymuję pana więcej - oświadczyła leciwa sadystka.

Odczuwając ogromną ulgę podreptałem korytarzem do recepcji i po kilku chwilach znalazłem się ponownie w swoim sztucznym ciecie.

- Dobrze się pan czuje? - zapytała boginka, gdy wywlokłem się z kabiny.

- Tak - skłamałem, zbliżając się do niej.

- Och, musi pan mieć żelazne zdrowie i nerwy. Niektórzy wpełzają stamtąd na kolanach. Zwłaszcza, kiedy trafiają na dyżur Starej Rekinicy.

- Starej Rekinicy? - zapytałem. - To jej imię?

- Nie, oczywiście, że tylko przydomek. - Dziewczyna pogroziła mi przepięknie skonstruowanym paluszkiem. - Nigdy się pan nie dowie, jak się nazywa, proszę nawet nie próbować. To jest u nas przestrzegane bardzo surowo. Ale proszę się na nią nie obrażać. Nie ma pan pojęcia ile mieliśmy wcześniej pozwów sądowych. Ho-ho, i jeszcze trochę! A od momentu, kiedy zaczęliśmy stosować tę metodę, ilość pozwów gwałtownie się zmniejszyła. A klienci tylko na tym zyskali. Wyobraża pan sobie, co mogą z panem zrobić w sądzie, skoro taka babunia jest w stanie doprowadzić pana do takiego stanu?

Wyobraziłem sobie to częściowo i zadrzałem.

- Czas na pana - przypomniała księżniczka.

- Tak, oczywiście. A nie przyszło wam do głowy, że ta metoda zmniejsza ilość potencjalnych klientów?

- Myli się pan - zaszcebiotała dziewczyna. - Nawet, jeśli tracimy klienta przy tej bramie, to niemal na pewno są to ci początkujący przy innych bramach, przy tych, gdzie trzeba płacić. A tak nawiasem mówiąc - niektórzy przychodzą po raz drugi, i nawet trzeci. Według mnie - podoba im się ten chwyt.

Zanim wyszedłem na ulicę przysięgłem sobie w myślach, że nie należę do grona tych miłośników i, że noga moja więcej tu nie postanie.

14.

Wbrew oczekiwaniom na ulicy nie czekała na mnie zasadzka.

Pomyślałem, że może tu, w wielkim świecie moi prześladowcy nie mogą mnie zlokalizować ponieważ zasiedliłem nie cechowane ciało.

Całkiem prawdopodobna hipoteza. Potrafili określić miejsce, w którym wyszedłem z cybera-12 i nawet zdążyli podesłać tam swoich najemników, ale potem... Całkiem możliwe, że w ich szeregach wkradła się panika. Może narobią jakichś błędów, a ja na tym skorzystam.

Dokładniej przyjrząwszy się tej myśli doszedłem do wniosku, że zajmuję się okłamywaniem samego siebie. Nie, ludzie, którzy potrafili uruchomić duży taśmociąg, na pewno nie wpadają w panikę z byle powodu. Na pewno też wiedzą, że wcześniej czy później wpadnę im w oko. W końcu - chcę odzyskać swoje ciało.

W tym momencie będą chcieli mnie capnąć. Jeśli fortuna się

ode mnie odwróci, rzecz jasna.

A ja, przecież, do cybera muszę wrócić. Nic na to nie poradzę. Żeby rozplątać cały ten kłębek, muszę zdobyć informacje, które są do zdobycia tylko tam.

To znaczy...

Westchnąłem ciężko i podreptałem przed siebie.

Cyber to cyber. Skoro i tak nie mogę uniknąć powrotu do jednego z cyberów, to po co to odwlekać? Mus to mus, tylko muszę zdecydować, który najbardziej pasuje do moich celów, oraz jak tam się przedostać. Pierwsza część zadania to pestka, druga - niemal niemożliwa.

No dobra, zróbmy to normalnie, etapami.

Pierwszy etap - wybór niezbędnego cybera. Warunek: musi być w pobliżu, żebym nie marnował czasu na drogę,

W myślach przewertowałem znane mi cybery i zatrzymałem się na trzydziestym trzecim. Pasował do moich celów niemal idealnie. To cyber z samymi biurami, urzędami, bankami, cyber ludzi interesu. Niemal na pewno, gdzieś w jego trzewiach siedzi potrzebna mi informacja, ale trzeba będzie się napocić, żeby ją wydobyć. Zresztą, to już będzie etap trzeci. A ja jeszcze jestem w pierwszym.

Jak przeniknąć do cybera?

Nie będzie łatwo. Jeśli najzwyklejszy cyber chroniony jest jak bank, w kierunku którego zacierają Bonny i Clyde, to taki cyber jak trzydziesty trzeci, musi być strzeżony dużo lepiej. Każdy jednocześnie wie, że nie ma na świecie takiej rury, której nie można odetkać, nie ma drzwi nie do sforsowania, nie ma cybera, do którego nie da się wejść z zewnątrz.

Wszuchałem się.

Kroki. Zbliżające się. Wyraźne, odmierzone kroki niespiesznie spacerującego człowieka. Kto to może być?

Gdzieś, i to nie tak dawno, słyszałem te kroki.

O! Oto kto!

Zza rogu wyszedł infoboy i stanął w miejscu niczym olbrzymi blaszany kurczak, który zgubił gdzieś swoją mamę.

Nie różnił się od tego, który powiadomił mnie o wygranej, ale pewnie nie był to ten sam. A co mi za różnica? Najważniejsze, że nie muszę się go obawiać. A poza tym...

Nagle dotarło do mnie, że właśnie stoi przede mną całkowicie realna możliwość przeniknięcia do cybera. O ile wszystko wygląda tak, jak sobie wyobraziłem i, jeśli choć w najmniejszym stopniu będzie mi sprzyjał los.

Przypomnijmy sobie, co wiemy o trzydziestym trzecim cyberze... No tak, jest tam to, co mi jest właśnie potrzebne. Dlatego - śmiało naprzód. Nic nie stracę, jeśli mój plan zawiedzie. Nic. Wszystko, co mogłem stracić, już straciłem.

- Hej ty! Podejdz-no tu!

Skinąłem palcem na infoboya.

Nie musiałem powtarzać polecenia. Kiwając się lekko na boki, pośpieszył do mnie prawdziwie kurzym krokiem.

Łaski nie robi - ma nadzieję zarobić na obsłudze mojej osoby. Szkoda, trochę się rozczaruje.

- Czym mogę służyć?

- Możesz, możesz... - Chyba nie wytrzymałem i uśmiechnąłem się złośliwie.

Na żelaznego ptaszka nie podziałało to wcale. Wydawało się, że rozpiera go entuzjazm. A jakże - prawdziwy klient, i w takim martwym czasie!

- Jeśli zamierza pan coś obejrzeć, to jestem gotów do świadczenia usług. Proszę pamiętać, że spektrum naszych, świadczonych klientom usług jest bardzo szerokie. Oto, na przykład, polecam panu dwunastogodzinną wycieczkę po

starej części naszego megapolis. Obejmuje ona dwadzieścia cztery unikatowe obiekty z opcją wykonywania zdjęć każdego z nich. Co trzy godziny zaplanowana jest przerwa, w trakcie której można...

- Stop, stop - przerwałem słowotok. - Sprecyzujmy. Nie jestem zwyczajnym klientem. Jestem laureatem waszej nagrody.

Infoboy zamyślił się na chwilę. Potem zdecydowanie potrząsnął głową i zapytał:

- Pańskie nazwisko?
- Essutil Quack.

- Zgadza się. Rzeczywiście jest pan naszym laureatem. A ponieważ pański czas jeszcze nie upłynął, to jestem gotów do zrealizowania dowolnego pańskiego życzenia.

Miałem wrażenie, że z jego głosu ubyło nieco entuzjazmu. Guzik mnie to obchodziło. Byle nie zaparł się w decydującej chwili.

- Muszę również przypomnieć panu, że po upływie czasu działania bonusu będziemy musieli przekazać gliniarzom całą posiadaną na pański temat informację.

- Dobra, możecie sobie przekazywać. Na razie jednak mam do dyspozycji trochę czasu. Dlatego - proszę za mną.

Maszerowałem w kierunku cybera-33, towarzyszył mi infoboy, który przez całą drogę usiłował mi wcisnąć zwiedzanie to jednego zabytku, to drugiego, ale zaparłem się. Interesował mnie cyber i wyłącznie cyber.

W końcu dotarliśmy do miejsca przeznaczenia.

Przyjrzałem się budynkowi, w którym znajdował się cyber i uspokojony skinąłem z zadowoleniem głową. Przed wejściem do budynku, jak tego w duchu oczekiwałem, ustawiona była tabliczka z praktycznie niezniszczalnego polialumonium. Nie

widziałem z tej odległości, co było na niej napisane, ale to i tak nie miało znaczenia. Najważniejsze, że była tabliczka. A to, z kolei, znaczyło, że mogę spróbować wykorzystać metalowego kurczaka w charakterze porządnego taranu, lub oddziału chwackich junaków, gotowych na moją komendę pójść na szturm piekła.

Zerknąłem na infoboya, stojącego obok mnie i oczekującego poleceń.

Pora zaczynać.

On też wyczuł, że mam ochotę na dialog, bo pośpiesznie odezwał się:

- Czy zdecydował się już pan rozpocząć naszą wycieczkę?
- Tak: jest. Dokładnie tak. O ile dobrze wiem, ten budynek jest zabytkiem?

- Ten? - Kurczak przyjrzał się budynkowi, należącemu do cybera-33. - Nie wchodzi w standardowy zestaw tras wycieczkowych.

- Ale można go obejrzeć?

- Teoretycznie.

- A praktycznie?

Miałem wrażenie, że we wnętrzu kuraka coś żałośnie zaskrzypiało. Mimo to szybko zapytał:

- Zamierza pan obejrzeć ten obiekt?

- Właśnie o to mi chodzi. Zamierzam obejrzeć każdy jego pokój, każdy zakątek, wszystko starannie sobie obejrzeć. Czy wasza firma może mi to załatwić?

- Może - odpowiedział tonem skazańca infoboy. - Ale muszę pana uprzedzić. Jeśli będzie pan usiłował w jakiś sposób uszkodzić umieszczony w tym obiekcie cyber, to pańska premia zostanie natychmiast anulowana, a zanim popełni pan przestępstwo zdołam pana unieszkodliwić.

- Ależ nie zamierzam w żaden sposób uszkadzać tego cybera - zapewniłem kurczaka. - Chcę obejrzeć budynek, a jeśli nie możecie mi tego zapewnić, to powiedzcie i po sprawie.

- Dobrze, spełniłem pańskie życzenie - powiedział infoboy.
- Ale musimy jakąś chwilę poczekać. W chwili obecnej nasi prawnicy przystąpili do negocjacji z ochroną cybera. Ma pan szczęście, ponieważ budynek rzeczywiście ma pewną wartość historyczną. Dlatego, zgodnie z działającymi w naszym megapolisie przepisami, uda im się zapewne udowodnić, że pańskie życzenie ma podstawy prawne.

- No i ile będę musiał czekać?
- Jakies pięć-dziesięć minut.
- Tyle mogę poczekać.

Infoboy trochę mnie okłamał, przyszło mi czekać dobre pół godziny. W tym czasie niebo pojaśniało zwiastując świt. Na ulicach pojawili się piesi. Obok nas dwukrotnie przelatowała awietka gliniarzy. Pewnie, gdybym był sam, gliny zainteresowałyby się kim jestem i co tu robię. Ale - jak na razie - towarzystwo infoboya usprawiedliwiało moją obecność przy tym budynku. Nic szczególnego, po prostu nadmiernie ciekawski turysta, który postanowił zwiedzać zabytki w niespecjalnie standardowym czasie. Obecność infoboya w oczach gliniarzy zapewniała o mojej praworządności.

Zresztą, kto wie, może za trzecim razem już zainteresują się kim jestem i co tu robię?

Już się przymierzałem, żeby zadać swojemu przewodnikowi szereg pomocniczych pytań, gdy ten poderwał się i powiedział:

- Tak myślałem. Nasi prawnicy potrafili wymóc przestrzeganie pewnych punktów kodeksu, których do tej pory właściciele cyberów nie traktowali poważnie. Nie będę

zawracał panu głowy drobiazgami. Najważniejszy jest wynik. A wynik jest następujący: może pan obejrzeć ten budynek i ma pan prawo spędzić tu dowolną ilość czasu. Oczywiście, gdy tylko skończy się przedział pańskiego bonusu będziemy musieli przerwać wycieczkę, albo kontynuować ją, ale już za opłatą.

- Ale jakiś czas jeszcze mam?
- Oczywiście. Do końca przedziału na realizację nagrody jest jeszcze daleko. Jednak musiałem pana przestrzec.

- Dziękuję. Ale już chyba czas, żebyśmy przystąpili do zwiedzania?

- Może pan rozpoczynać już teraz.

No, chyba się udało.

Ruszyłem do budynku cybera-33.

Najbardziej przypominał duży sejf. Olbrzymi kamienny sześcian, grube jak cholera ściany, bez śladu okien i z jedynymi drzwiami, które dałoby się wyważyć zapewne tylko przy pomocy kumulowanego wybuchu jądrowego.

Budowniczy tej twierdzy popełnił tylko jeden błąd. Najprawdopodobniej nie wytrzymał i pokazał budowlę jakiejś historycznej postaci. Z czasem gdzieś odezwał się biurokratyczny licznik, więc na budynku umocowano tablicę upamiętniającą, przez co stał się on obiektem zabytkowym. Nikt, prócz mnie nie wymyślił, że ta niewielka tabliczka, w pewnych okolicznościach staje się wyrwą w murze. Przynajmniej na razie.

Zatrzymawszy się pod drzwiami cybera nie wytrzymałem i obejrzałem się.

Oho, jak myślałem. Awietka glin pojawiła się po raz trzeci. Wygląda, że stróże porządku postanowili zainteresować się, co też wymyślił turysta i jego towarzysze. Być może nawet dostali

cynk, z którego wynikało, że jakiś osobnik w sztucznym ciele napada na ich kolegów.

Za późno, panowie i panie! Kto się spóźnił na pociąg, ten nim nie pojedzie.

- Otwieraj te drzwi - poleciłem infoboyowi.

Ten cicho, w niemal niesłyszalny sposób gwizdnął i drzwi otworzyły się.

Stali za nimi dwaj ochroniarze. Zdrowe byki w mundurach, uzbrojeni po szyję, z nieruchomymi, jakby wyrzeźbionymi w granicie, twarzami. Krótko mówiąc - prawdziwi zawodowcy.

- Czy to jest wasz klient? - poinformował się jeden z ochroniarzy.,

- Tak, to on.

- Jasne.

Obaj skierowali na mnie swoje nieprzychylnie spojrzenia, w sumie miały wagę posągu z Wyspy Wielkanocnej.

Cznięm ich. Jeśli będę zwracał uwagę na spojrzenia jakichś ochroniarzy, to lepiej od razu zawrócić i dać sobie spokój. Bezcelność i jeszcze raz bezcelność. To nią zdobywa się twierdze. Tylko z jej pomocą mam małą szansę na osiągnięcie upragnionego celu.

Obejrzałem się, żeby sprawdzić jak idzie gliniarzom. Było ich dwóch. Już wypakowali się z awietki, stali teraz obok i przyglądali się temu, co się działo w progu budynku. Może zastanawiali się, kiedy mają mnie aresztować. Nieco później, kiedy wyjdę na ulicę, czy od razu teraz, póki jeszcze nie wszedłem do budynku. Chociaż niewykluczone, że po prostu znudziło im się siedzenie w awietce i postanowili rozprostować kości; a może przy okazji pogapić się na frajera, który z jakiegoś powodu chce obejrzeć cyber z bliska, że tak powiem - nie od wewnątrz, a z zewnątrz.

No to jak tam to szło?.. Aha, bezczelność...

- Proszę nas wpuścić - zażądałem.

Jeden ze strażników otworzył usta, chyba zamierzając posłać mnie tak, gdzie się zazwyczaj posyła wszystkich hucpiarzy, ale zrezygnował i usunął się na bok.

Dumnie przemaszerowałem obok niego do budynku cybera. Infoboy przemknął obok mnie i zapytał:

- Czy możemy zaczynać wykład prezentacyjny?

- Za chwilę. Najpierw chcę zobaczyć, jak wygląda cyber - oświadczyłem.

- Och, oczywiście, oczywiście - szybko zgodził się żelazny kurczak. - Poprowadzę pana.

Dałem się poprowadzić, miałem przy tym hardą i dumną minę.

Chyba to któryś z ochroniarzy rzucił za mną dość niepochlebłą uwagę, ale już mnie to nie ruszało. Ruszało mnie coś innego. Gorączkowo usiłowałem wymyślić sposób, przy pomocy którego mógłbym przekonać infoboya, by pozostawił mnie samego w pomieszczeniu cybera, przynajmniej na pięć minut.

Minęliśmy jeszcze jedne drzwi. Tu też stali dwaj strażnicy. Byli nieco niżsi od tej pary, która witała nas przy wejściu, ale za to szersi w barach. Mieli też chyba jeszcze gorsze o mnie zdanie.

Jeden z nich nawet zaryzykował i wygłosił krótką opinię, w której opisał mnie jako drobnego gryzonia, o wielce podłym charakterze, przyzwyczajonego do życia w piwnicach i stołowania się na śmietnikach.

Wysłuchawszy do go końca, stuknąłem swego przewodnika w metalowy bok.

Nieco roztargnionym tonem powiedział:

- Tak-tak, ma pan całkowitą rację. Słowa grubianina strażnika zostały zapisane. Właśnie para najlepszych prawników firmy zabrała się za sporządzanie aktu oskarżenia. Obrażając naszego klienta przedstawiciel firmy ochroniarskiej dokonał znacznego uszczerbku w wizerunku firmy. Sądzę, że kwota jaką uzyskamy jako rekompensatę pozwoli znacznie zmniejszyć wydatki, poniesione na zorganizowanie danej wycieczki.

- Stop - powiedziałem. - A ja to co?

- W jakim sensie?

- Czy mnie osobiście nie należy się żadna rekompensata?

- Oczywiście, że się należy. Jeśli pan nalega, to nasi prawnicy zajmą się tym równolegle. Oczywiście, z sumy odszkodowania zostanie odliczone ich honorarium. Proszę podać mi numer konta, na które najpóźniej za pół godziny zostanie przekazana pozostała kwota.

No tak, miał mnie. Jak mogę mieć konto, skoro - zgodnie z dokumentami - nie istnieję na tym świecie? Niefart.

- Dobra - powiedziałem. - Mam dzisiaj dzień dobroci dla otoczenia. Nie potrzebuję ich szmalu.

- Tak też sądziliśmy.

Przyjrzałem się uważniej temu cholernemu kurczakowi.

Wygląda, że nici z mojego planu. Gdybym był sam na sam z programem, który nim steruje, to jakoś bym go wykiwał. Jednakże teraz przez jego sensoceptory wbija we mnie gały cała horda cwaniaków. Prawnicy, pewnie ze dwóch operatorów, w obowiązki których wchodzi wypłatywanie firmy z podobnego typu niepewnych sytuacji, i jeszcze nie wiadomo kto. Cokolwiek wymyślę, to bractwo będzie potrafiło skontrolować moje działanie.

Ale wycofywać się też nie mogę. Ech, żyje się raz!

Już nie spotkaliśmy więcej ochroniarzy. Jasne. Cyber-33, jest oczywiście ważniejszy od wspomnianego już cybera-12, ale jednocześnie nie jest niczym specjalnym w świecie cyberów. Przemierzaliśmy długie korytarze, białe, wysterylizowane, zalane martwym światłem. Korytarze wiły się, prowadząc nas od jednego kąta budynku do drugiego.

- Jakiś labirynt, czy co - skomentowałem w końcu. - Chyba lepszy, niż na Krecie.

- To prawda - zgodził się infoboy. - Co prawda nie ma tu minotaura, ale są rzeczy gorsze. Gdyby jakaś banda usiłowała szturmem wziąć ten budynek, to do cybera nie dotarłby nikt. Wszyscy polegą w tych korytarzach. Ochroniarze to ludzie, można ich jakoś zneutralizować, otruć, przekupić, oszukać. Ale te korytarze są tak naszpikowane czujnikami i różnymi śmiercionośnymi pułapkami, że po sygnale alarmu nikt stąd nie wyjdzie żywy.

Musiał mieć jakiś ceł opowiadając mi to, na pewno. Zresztą, co mnie to obchodzi. Ja mam inne zmartwienie. Jak wejść do cybera.

Zapytałem mimo to:

- Czyli, jak to mówią: nowe - to dawno zapomniane stare.
- To znaczy?
- Przecież to chwyt znany dobrze od starożytności. Już wtedy wewnętrzne pomieszczenia budowano tak, by napastnicy, nawet po przejściu bramy głównej, musieli pokonać prawdziwe labirynty, gdzie na każdym kroku czekała ich śmierć.

- Właśnie-właśnie, z czymś podobnym mamy tu do czynienia.

- A gdyby korytarz zamierzało pokonać stado takich jak ty ptaszków?

- Bez sensu. Są pułapki przewidziane i na taką okoliczność.
- A-a-a... Rozumiem.

W końcu korytarze skończyły się. Przed nami znajdowały się jeszcze jedne drzwi, potężne i też ochraniane przez dwa byczyska w ludzkiej skórze. Widocznie ktoś już ich powiadomił, że w naszej obecności lepiej jest trzymać gęby na kłódkę, w każdym razie żaden nie pofolgował sobie z uwagami na temat mojej powierzchowności, czy pochodzenia. Ale spojrzenia... A niech im.

Poczułem zimny powiew na karku.

Drzwi otworzyły się, ochroniarze rozstąpili się, a my weszliśmy do sali cybera-33. Drzwi zamknęły się i infoboy oświadczył:

- No więc możemy rozpocząć zwiedzanie. To właśnie jest cyber.

Najbardziej przypominało to orzech włoski, o średnicy jakichś dziesięciu metrów, w matowym stalowym kolorze. Ze dwadzieścia grubych, skręconych z niezliczonej ilości przewodów o molekularnej grubości, kabli odchodziło od niego i znikało w ścianach sali. Jeden z nich, najgrubszy, służył do zasilania, pozostałe zapewne prowadziły do portali, czy służyły do czegoś innego.

No to jesteśmy w domu. Teraz muszę dostać się do wnętrza tego orzecha. Ciekawe tylko - jak?

Dążąc tutaj, liczyłem właściwie na to, że każdy cyber musi mieć coś na kształt portalu technicznego. Na wypadek, gdyby cyber uległ jakiejś poważnej awarii, na przykład globalnemu kokonowaniu. Ten portal, to coś jak tylne czy kuchenne wejście, przez które może do cybera przedostać się ekipa serwisantów, żeby doprowadzić go do stanu użyteczności.

Portal? Gdzie jest ich portal?

Zerknąłem na infoboya.

Gdyby tak zadać mu kilka pytań naprowadzających? Powinien co nieco wiedzieć o budowie cyberów. A ja, w końcu, potrzebuję tylko wiedzy o lokalizacji bramy rezerwowej.

- Posłuchaj... - zacząłem.

- Nie, to ty posłuchaj - przerwał mi kurczak. - Nie powinniśmy aby porozmawiać szczerze?

A to historia! Tego się po nim nie spodziewałem.

- Co masz na myśli? O czym powinniśmy porozmawiać?

- Dość już tego strugania durnia. - Wyglądało, że infoboy jest nastawiony do rozmowy naprawdę serio. - Możesz zupełnie szczerze odkryć przede mną swoje karty i opowiedzieć o zamiarach. Pamiętaj, że główna sala jest chroniona przed wszelkimi próbami penetracji. Nie mogę nawet połączyć się stąd ze swoją firmą. Praktycznie jesteśmy tu sami. I nikt nie może nas podsłuchać, nikt niczego się nie dowie.

- Do czasu, kiedy stąd nie wyjdziemy - podsunąłem. - A wtedy dowiedzą się wszyscy, i o wszystkim. Czy nie tak? Poza tym, jak znam życie, nagrywasz każde moje słowo i każdy mój krok.

- Nie mogę ci w żaden sposób udowodnić, że nic tu nie rejestruję. Jednakże pomyśl sam, w jakiej sytuacji jest firma - jeśli zaplanowałeś coś karalnego, to cała firma jest na krachu bankructwa.

- Dlaczego?

- Dlatego, że jeśli popełnisz przestępstwo, to według prawa nasza firma nie wykręci się z jakiejś formy współodpowiedzialności. Kto w końcu, napierał, żeby wpuścić ciebie do cybera? My, kto by jeszcze? Co jeszcze chce wiedzieć wysoki sąd? Co spowodowało, że pomogliśmy wejść do

budynku cybera potencjalnemu przestępcy? Dlaczego nie powiadomiliśmy odpowiednich władz, że naszym klientem jest poszukiwany przez władze tułaczy pogram? Obawiam się, że nasi prawnicy będą mieli kłopoty z odpowiedzią na te pytania.

- Jak na razie nie popełniłem żadnego wykroczenia. W każdym razie od chwili, kiedy jestem klientem waszej firmy.

- Do sprawy podłączyliśmy dwóch wykwalifikowanych specjalistów od psychologii ludzi. Sklasyfikowali twój stan jako wysoce niebezpieczny. W danej chwili, powiadają, jesteś maniakiem pewnego pomysłu. Jeśli do jego realizacji konieczne będzie złamanie prawa - złamiesz je nie mrugnawszy nawet okiem. Zgadza się?

Pomyślałem sobie, że infoboy może tylko chcieć, żebym się przyznał do planowania jakiegoś przestępstwa. Gdy tylko to się stanie będzie miał całkowite prawo do załatwienia mnie.

To ci ptaszek! To ci zuch-kurczak! W każdym razie nie daremnie, jak to się mówi, trzaska dziobem. Chyba, że się mylę. Może infoboy naprawdę chce zaproponować jakieś wyjście z sytuacji. W każdym jednak przypadku muszę być bardzo ostrożny.

Starannie dobierając słowa powiedziałem:

- Mylisz się. Nie zamierzam robić niczego, co nie jest zgodne z prawem.

- Aha - odezwał się metalowy ptaszek. - To tak?

- Oczywiście. - Nie udało mi się powstrzymać od ironicznego uśmiechu. - Ale ponieważ jestem strasznie ciekawski, to chciałbym wiedzieć, co chciałeś zrobić, gdybym naprawdę zamierzał dokonać jakiegoś przestępstwa? Jasne, że nie byłbyś tylko postronnym obserwatorem.

Infoboy zamyślił się. W końcu zdecydowanie potrząsnął

głową i powiedział:

- W każdym innym miejscu, w dowolnych innych okolicznościach dołożyłbym wszelkich starań, by nie dopuścić do przestępstwa. Jednakże, w tym przypadku, moje pełnomocnictwa są nieco ograniczone. Dlaczego? Dlatego, że nasza firma znalazła się w bezprecedensowej sytuacji, która, jestem o tym przekonany, więcej się nie powtórzy. Już teraz nasi prawnicy pracują nad zmianą reguł pracy z klientami. Ale nie to jest ważne. Ważne jest co innego. Pomyśl sam, bardzo jest nam niezręcznie zabijać ciebie tu, w tym miejscu. Jeśli będziesz próbował zrobić coś specjalnego, na przykład uszkodzić cyber-33, to będę musiał to zrobić. Ale bardzo byśmy tego nie chcieli.

No, to coś się wyjaśnia.

- Innymi słowy - powiedziałem - zgodziłeś się zaprowadzić mnie do tej właśnie sali, żeby zaproponować interes?

- Dokładnie. Jeśli zabiję cię, to dostaniemy się w ogień śledztwa. Ochroniarze doniosą glinom, że coś się stało temu człowiekowi, którego przyprowadziłem na wycieczkę. Tak więc nie musisz się tego obawiać. Zrozum, że nasza firma jest bardziej od ciebie zainteresowana w tym, żeby o naszej rozmowie nikt się nie dowiedział. Nie da się podsłuchać o czym tu rozmawiamy, sala jest znakomicie odseparowana od wszelkiego rodzaju promieniowania, by nie uszkodziło ono cybera. Nie prowadzę zapisu. Po co mi w pamięci ta rozmowa? Jest niebezpieczna. Dlatego powinieneś opowiedzieć mi szczerze, co właściwie zamierzasz przedsięwziąć. Spróbujemy potem znaleźć wyjście z sytuacji, i to takie, które pozwoli uniknąć kojarzenia mojej firmy z twoją osobą. Zgoda?

Pomyślałem, że pewnie mówi prawdę. A to znaczy, że naprawdę trzymam tę firmę w garści. Teraz nie wolno mi

wykonać fałszywego ruchu. O poprzednim planie zapomnijmy, teraz infoboy za skarby świata nie wypuści mnie z pola widzenia. Co mi zostaje? Jak zwykle - ryzyko.

Dlatego bijcie werble i grzmijcie trąby, ruszamy w bój.

- Aha - powiedziałem. - Mogę się założyć, że byłeś przekonany, iż zamierzam uszkodzić cyber? Wprowadziłeś mnie zatem do środka między innymi dlatego, żeby pokazać jak trudno jest się tu dostać.

- Nasi psycholodzy uważali, że prawdopodobieństwo takiego twojego celu nie jest wykluczone - przyznał żelazny kurczak. - Chociaż ja osobiście w to nie wierzyłem. Wydaje mi się, że po prostu trafiłeś w objęcia Niefartu.

Hm, a kto to mi wciskał, że software ni cholery nie zna się na psychologii ludzi? Proszę bardzo - ni cholery!

- Zgadłeś - powiedziałem. - Jestem w kropce i to wielkiej. Takiej wielkiej, że sam jej nie ogarniam.

- Po co ci cyber? - zainteresował się infoboy.

Dobra, skoro mówimy szczerze, to niech tak będzie.

- Muszę dostać się do tego właśnie cybera. Otrzymać w nim pewne informacje i wrócić. To wszystko, nic więcej.

- Nie możesz przejść przez zwyczajny portal?

- Nie. A do cybera muszę się dostać już teraz. Natychmiast.

- Interesują cię tylko informacje?

- Yhy.

- Ale przecież wiesz, że my możemy ci przekazać dowolną informację. Co cię interesuje?

- Nie da się - odparłem. - Zupełnie się nie da. Skąd mam wiedzieć, że podaliście mi prawdziwe informacje, a nie jakiś kit?

- Tak więc nie ufasz nam?

Wydawało mi się, że żelazny kurczak spróbował przybrać

minę urażonej niewinności. Prychnąłem krótkim śmiechem.

- Oczywiście, że nie. Zresztą tak samo, jak wy mnie.

- Ale jeśli nie dowierzamy sobie wzajemnie, to po co zawieramy jakieś porozumienia?

Obdarzyłem go spojrzeniem pełnym ironii. No nie, takie teksty nie działają na prawdziwego komiwojżera. Metalowy chytrusek trafił fatalnie.

- Musisz w jakiś sposób zagwarantować, że nie zamierzasz nas oszukać - nalegał infoboy.

- Zostanie wam moje sztuczne ciało - powiedziałem. - Rozumiesz? Ja pójdę do cybera. Nie mogę przejść z niego do innego cybera. Nie wypuszczą mnie po prostu. Dlatego jedynym sposobem, żeby gdziekolwiek móc się udać jest sztuczne ciało. Muszę zdobyć potrzebne wiadomości i wrócić. Potem się od was odczepię.

- A co będzie, jeśli nie zgodzę się?

- Wtedy natychmiast spróbuję uszkodzić cyber. A właśnie, gdybyś nie wiedział - jestem uzbrojony. Dlatego, jeśli nie dogadamy się, wybór będziesz miał niewielki. Albo pośrednio narazisz na uszczerbek cyber, albo wykończysz mnie w tej chwili w tym miejscu. Ale i w jednym i drugim przypadku jesteście przegrani.

Infoboy odezwał się:

- Tak. Nasi specjaliści też doszli do wniosku, że najprawdopodobniej masz przy sobie broń. Właśnie dlatego nalegaliśmy, żeby cię nie przeszukiwano. Kosztowało to nas sporo, ale gdyby znaleziony przy tobie broń... A ty teraz usiłujesz nas szantażować, grożąc jej użyciem.

- Właśnie tak. Grozę. Najlepiej zrobicie ulegając moim żądaniom.

Żelazny ptak ponownie zamyślił się.

Pomyślałem ze współczuciem, że nielekkko mu jest teraz. Musi podjąć decyzję już teraz, sam, bez specjalistów, psychologów i prawników, decyzję, od której wiele zależy. Może powinienem mu trochę pomóc?

Podszedłem do kurczaka, położyłem rękę na jego metalowym boku i powiedziałem z przejęciem:

- Posłuchaj mnie. Naprawdę muszę tylko czegoś się dowiedzieć w tym cyberze. Nic więcej. I zaraz potem wracam. Przy tym, jeśli uda mi się wykorzystać otrzymane dane tak jak trzeba, to przestanę być uważany za przestępcę, odzyskam swoje ciało i znowu stanę się zwyczajnym człowiekiem. Twoja firma nie może w żaden sposób na tym stracić. Wybieraj więc: wojna czy pokój.

- Okłamujesz mnie?

Uśmiechnąłem się, słysząc to naiwne pytanie, ale odpowiedziałem:

- Nie.

- Dobrze, idź do tego cybera. Ile czasu potrzebujesz?

- Nie wiem. Pewnie wystarczy mi kilka godzin.

- Postaraj się wrócić możliwie szybko. Za jakiś czas ochrona się zaniepokoi, jakoś ich uspokoję. Będę musiał na chwilę wyjść z sali, żeby powiadomić firmę o tym, że się dogadaliśmy. Przy okazji zakomunikuję strażnikom, że trafił się dociekliwy klient i zamierza wykorzystać na penetrację cybera kilka godzin. Zachciało mu się, powiem, wysłuchać kilkugodzinnej prelekcji na temat powstania cyberów, całą, pełną wersję, i nie wyjdzie z sali, póki mu całej nie opowiem.

- No to działaj - pozwoliłem.

Infoboy już ruszył bokiem w kierunku drzwi, gdy rzuciłem niedbale:

- Przy okazji, nie mogę wypatrzeć awaryjnego odbiornika.

Nie wiesz gdzie to jest?

Zatrzymawszy się, infoboy kilka sekund poświęcił na przypatrywanie się mojej twarzy, potem zapytał:

- Przy okazji - nie grywasz czasem w pokera?

- Nie.

- To dobrze. Nie chciałbym spotkać się z tobą przy jednym stole. Dobra, chodź pokażę ci.

Przeszliśmy na drugą stronę cybera. Tu infoboy nacisnął na powierzchni gigantycznego orzecha jakiś występ. Z obudowy wysunął się długi przewód, na końcu którego widniały dwie klemy.

- Masz szczęście, że ten cyber ma tyle lat - oświadczył żelazny kurczak. - Ci, co go budowali zatroszczyli się, by można było doń trafić nie tylko przy pomocy standardowego odbiornika. W tamtych czasach lubili się asekurować.

- Dzięki, chyba rzeczywiście to jest to, czego potrzebuję.

- Życzę powodzenia. Idę. Muszę jak najszybciej powiadomić swoje szefostwo o wynikach naszych rozmów.

Podreptał w stronę wyjścia z sali.

Ostrożnie chwyciłem przewód w dwa palce i uważnie przyjrzałem się klemom.

Tak, to chyba to, czego potrzebuję. Owszem, budowniczoście cybera mogli wyposażyć go w jakieś pułapki, akurat na takie okazje, i zamiast do cybera trafię do jakiejś małej komórki, w której będę zamknięty, aż wygarną mnie gliny.

Do licha z podejrzliwością! Nie pozostaje mi nic innego, jak zaryzykować. Nie ma czasu na roztrząsanie wszystkiego i długotrwałe analizy. Może kierownictwo firmy turystycznej nie zaakceptuje mojej umowy z kurczakiem. Może wrócić w każdej chwili i, na przykład, wykończyć mnie tu i teraz. Muszę postępować tak, żeby postawić ich przed faktami dokonanymi.

A zatem...

Wymacałem na swoim boku to miejsce, do którego należało podłączyć przewody, w myślach poprosiłem o wsparcie wszystkich znanych mi i nieznanym bogów i chwyciłem przewód mocniej.

No, czas na mnie...

15.

Cyber-33 nie spodobał mi się od pierwszej chwili. Tylko ktoś chory mógłby nazwać go wesołym miejscem. O jakiej wesołości tu mowa, skoro jest to legowisko najprawdziwszych nudziarzy?

Biura, urzędy, jakieś przedstawicielstwa, filie i mnóstwo urzędasów, w poważnych czarnych garniturach, koniecznie pod krawatami i z okrutnie poważnymi minami.

Oczywiście, na ich tle wyglądałem jak biała wrona. W każdym innym cyberze znalazłby się jakiś aborygen, który zainteresowałby się pojawieniem typu, tak niepodobnego do tubylczej ludności, czy turystów tego ogromnego, upakowanego do olbrzymiego orzecha przedstawicielstwa.

Na szczęście, ci sami tubylcy, jak również stali bywalcy cybera-33, ciekawością nie grzeszyli. Wyglądało na to, że okazana ciekawość, zainteresowanie czymś innymi poza codziennymi sprawami, odbierana była jak zdrada w stosunku do precyzji, rzeczowości, niezawodności i wszystkich pozostałych ideałów, na których trzymał się świat białych kołnierzyków.

Przeszedłem się wzdłuż jednej z ulic, rozglądając się na boki i usiłując oszacować, co mam robić dalej.

No bo tak: trafiłem tam, gdzie chciałem. Co dalej? Jak zdobyć niezbędne mi wiadomości? Można najzwyczajniej w świecie wejść do którejś z tych instytucji i zadać interesujące mnie pytania. Tylko dlaczego wydaje mi się, że ktokolwiek chętnie odpowie na nie. Raczej zaczną mi zadawać pytania, na które, rzecz jasna, nie będę mógł odpowiedzieć. A potem przegonią w diabły.

Może skorzystać z czyjejś pomocy? Czyjej? Komu jestem potrzebny w tej krainie dokładności i precyzji? Kto mi może tu pomóc?

Ach, wystarczy tego narzekania... Najważniejsze, że tu jestem. Na początek muszę usiąść i dobrze wszystko przemyśleć. Kto wie, może wyjście jest tuż obok, pod nosem? Może trzeba tylko rozejrzeć się dokoła?

Przeszedłem się jeszcze trochę i zobaczyłem niewielki szyld, informujący, że każdy zmęczony i głodny, może śmiało odwiedzić lokal o nazwie „Wysokie dywidendy”.

To jest właśnie to, czego w tej chwili potrzebuję. Tym bardziej, że mam nawet pieniądze. Niby to tylko dwie dziesiątki, otrzymane od pechowych turystów w cyberze-12, ale zjeść za to się da. Powinno też starczyć na paczkę papierosów.

Ostatnia myśl spodobała mi się najbardziej. Palić chciało mi się niemiłosiernie.

Pchnąwszy drzwi, nad którymi wisiał szyld, wszedłem do lokalu „Wysokie dywidendy”. Rzeczywiście, było tu przytulnie, nie przypominał w niczym „Blood Mary”. Stoliki dla klientów stały w równym szeregu, kelnerki poruszały się z precyzją starożytnych robotów, kontuar zadziwiał nierealną, nieosiągalną czystością i ładem. Jednakże klienci zachowywali się nieco swobodniej, niż na ulicy. Niektórzy, sięgając dna

rozwiązłości, pozwolili nawet sobie na rozpięcie jednego guzika marynarki i poluzowanie krawata. Przysięgam, że widziałem nawet jednego typka, który posunął się tak daleko, że odważył się uśmiechnąć.

To ci historia!

Zająwszy wolny stolik, chciwie zapaliłem i przygotowałem się do czekania na kelnerkę. Jednakże zdążyłem tylko dwa razy się zaciągnąć i już się pojawiła.

- Słucham pana?

Szybko zbadałem menu i przekonałem się, że moich finansów nie wystarczy, by urządzić wielkie party. Nic to, ograniczę się do zwyczajnego obiadu.

Ale ceny tu, aż strach!

Kelnerka znikła, a ja, rozparty wygodnie, zaciągnąłem się raz jeszcze. Kupiłem papierosy, jak się okazało, dość dobrej jakości. W każdym razie na pewno nie były wyprodukowane w jednym z chińskich cyberów.

Nie zdążyłem dopalić papierosa, gdy kelnerka przyniosła zamówienie. Zanim zacząłem jeść, rozejrzałem się jeszcze raz i odkryłem coś, co mną wstrząsnęło - jeden z urzędników chyba opowiedział koledze dowcip, w każdym razie obaj wydali z siebie serię dźwięków, przypominających w jakiś nieuchwytny sposób delikatny chichocik. Może nawet nie było żadnego dowcipu, po prostu jeden opowiedział drugiemu, jak udało mu się przedstawić w oczach szefa największego swojego biurowego rywala. Nieważne. Ważne jest to, że jednocześnie zobaczyłem, jak zareagowali na ten śmiech urzędnicy ze stolika obok.

Jednocześnie, niespotykane synchronicznie, pojawiła się na ich twarzach wyraźna dezaprobatą. Utrzymali ją na obliczach krótko, może kilka sekund.

Ale to mi dało pogląd na otaczający mnie świat - tu interesowało każdego nie to, co sobą reprezentujesz, a to jak wyglądasz. Ubranie i zachowanie określało status społeczny oraz prawo do wydawania poleceń.

Czy dałoby się to wykorzystać do moich celów?

Przystąpiłem do jedzenia, pochłonięty tą myślą. Gdy talerze opustoszały i przyszła kolej na kawę, miałem już w głowie zaczątek planu.

Przede wszystkim muszę się przebrać. Muszę zdobyć ubranie nie byle jakiego urzędasza, a szefa urzędasów. Jak tego dokonać? Nie przychodziło mi do głowy nic innego jak wypatrzeć jednego takiego, gdy będzie sam, zademonstrować mu swoją pukawkę i zaproponować wymianę ubrań. Potem mogę się zjawić w jednym z urzędów statystycznych...

Hej, a to kto?

Omam nie zachłysnąłem się kawą.

Przy sąsiednim stoliku siadała właśnie dziewczyna, którą na pewno znałem. Na dodatek, jeśli zgodzi się mi pomóc, to może i nie będę musiał wymachiwać spluwą przed nosem jakiegoś biednego urzędnika. Jeśli się zgodzi... A jeśli nie? Do diaska, co by z niej była za dziennikarka, gdyby zrezygnowała z bardzo ciekawej informacji? I co ze mnie za komiwojażer, który nie potrafi wytargować w zamian za tę informację potrzebnych mi danych?

Sądząc z pobieżnej obserwacji dziennikarka wpadła tu tylko na filiżankę kawy, nie można więc tracić czasu. Czas na atak.

Przywołałem kelnerkę, zapłaciłem i, chwyciwszy swoją filiżankę kawy, szybko przesiadłem się do stolika dziewczyny. Ta rzuciła na mnie roztargnione spojrzenie i z chłodnym uśmiechem na ustach oświadczyła:

- Kim pan jest i czego ode mnie chce? Uprzedzam - jestem

tu w interesach i nie zamierzam poznawać nowych interesujących ludzi.

Łyknąłem kawy, pokręciłem głową i powiedziałem:

- Już się poznaliśmy. I to pani chciała mnie poznać podczas naszego pierwszego spotkania, a ja nawet obiecałem pani wywiad.

Dziennikarka jeszcze raz przyjrzała mi się badawczo, potem pokręciła głową:

- Wywiad? Przykro mi, ale tym razem moja niezawodna pamięć mnie zawodzi.

- Nie zawodzi pani - powiedziałem szybko. - Po prostu pani pamięta inną twarz, a ja mam teraz inną. Proszę sobie przypomnieć, że uratowała mnie pani od uwięzienia i w zamian zażądała prawa do wywiadu.

Była wspaniale opanowana. Nawet kiedy już wiedziała, kto obok niej siedzi, drgnęła tylko nieznacznie.

- Stop, stop! Podobno zginąłeś?

Złożyłem ręce na piersi i modlitewnym tonem powiedziałem:

- Niestety, tylko dla reszty świata. Na przekór chęciom wrogów moich, duch mój ciągle jeszcze nie wzbił się do królestwa niebieskiego.

- Proszę przestać się wygłupiać - surowo powiedziała dziennikarka. - To nie miejsce na takie żarty.

Rzeczywiście, już kilku klientów patrzyło na mnie z dezaprobatą.

- Może zmieńmy to posępne środowisko na takie, gdzie możemy porozmawiać bez świadków?

- A znasz takie miejsce? - zainteresowała się dziennikarka.

- Dopiero co tu się znalazłem. Ale nie wątpię, że wystarczy trochę poszukać...

- Nie trzeba. O ile ty nie znasz tego cybera, to ja bywam tu często. Chodźmy, wiem gdzie możemy spokojnie porozmawiać.

Szybko dopiliśmy kawę i skierowaliśmy się do wyjścia z „Wysokich dywidend”.

- Interesuje mnie, dlaczego bywasz tu, w tak przeraźliwie nudnym miejscu? - zapytałem. - Co tu może kogoś interesować?

- Informacja, rzecz jasna. Informacja - wyjaśniła dziennikarka. - Czy ty sądzisz, że zdobywamy ją tylko w pałacu słuchów? Oczywiście, musimy bywać i tam, ale tu można znaleźć znacznie więcej ciekawych rzeczy. Oczywiście - trzeba wiedzieć jak to się robi i gdzie tej wiedzy szukać.

Przypomniawszy sobie pałac słuchów, skrzywiłem się. Widząc to, dziennikarka roześmiała się:

- Czyżbyś zaglądał do anonimowej bramy? Nie spodobało ci się tam, co? Czyż nie tak?

Wyszliśmy na ulicę, a ja, chcąc zmienić temat rozmowy, zapytałem:

- Może powiesz mi jak masz na imię? Widzimy się już trzeci raz, może pora się przedstawić?

- Gloria Ra, „Wiadomości osiemdziesiątego szóstego kanału”.

- Bardzo mi miło. Jak ja się nazywam wiesz.

- Jak na tułaczy program masz dziwne imię. Pewnie twój stwórca miał pewne poczucie humoru.

Powiedziawszy to, Gloria zaczęła oddalać się od lokalu. Starając się nie zostawać w tyle, zacząłem wyjaśniać:

- Zrozum, jestem człowiekiem. Tułaczym programem zostałem niedawno temu, po tym, jak ukradziono mi ciało.

- Fruń, ptaszku mój - rzuciła dziennikarka.

Uznałem, że ulica to nie najlepsze miejsce na wyjaśnienia, zamilkłem. Jak już przyjdziemy na miejsce... Moja przewodniczka nieźle znała ten cyber. Minęliśmy kilka przecznic, potem coś jak kort, na którym z minami katorżników, którzy połowę życia spędzili na wyplataniu esparilli i doprowadzili każdy gest do perfekcji, machało raketkami kilkudziesięciu urzędników w identycznych dresach.

Zerknąwszy na nich Gloria skwitowała:

- Świry.

To mi się spodobało. Mam w nosie, że tenis powraca do łask. Nie rozumiem tej gry, zupełnie jej nie rozumiem. Ale nie wytrzymałem i zauważyłem zjadliwie:

- Mówi się, że ten sport znakomicie podtrzymuje sportową formę?

- I tak to świry.

Oho! Mam do czynienia z uparciuchem. Trzeba to zapamiętać.

Za kortem była jeszcze jedna ulica, minęliśmy ją. Skręciłem za Glorią w jakiś wąski zaułek i nagle zobaczyłem taki malutki domek, jaki kochają ilustratorzy książek dla dzieci - w takich murach powinny, ich zdaniem, mieszkać wszelakie gnomy, hobity i inne drobne bajkowe ścierwo.

Wewnątrz domek, rzecz jasna, był znacznie większy. Tak w ogóle, to przestrzeń cybera nie jest nieograniczona, przy budowie domu płaci się nie tylko za miejsce zajmowane z zewnątrz, ale i wewnątrz też. Innymi słowy ktoś tu nieźle zabulił. Ciekawe, jak zamierza zwrócić sobie te koszt?

Otrzymałem odpowiedź niemal natychmiast.

Przestąpiwszy próg, znaleźliśmy się w dużym pokoju, zupełnie pustym, o ile nie liczyć mocno przygarbionego

dziadka, siedzącego na taborecie i kopącego ze straszliwie wielkiej fajki.

Dziaduś uniósł głowę i wymamrotał:

- A, Gloria. Dawno cię nie było. Na ile zajmiesz pokój?

- Na godzinkę, może półtorej - odpowiedziała dziennikarka. - Myślę, że wystarczy.

- No to pieniądze z góry.

I dziaduś wymienił taką kwotę, że oczy wypełzły mi na czoło. Dziennikarka, nie odzywając się, wyjęła z kieszeni portfel i odliczyła dziadkowi wymaganą kwotę. Ten zaczął zadowolony pochrząkiwać, a potem pstryknął palcami.

Na jednej ze ścian pojawiły się drzwi.

- Idziemy - rzuciła Gloria.

Otworzyła drzwi i weszliśmy do pokoju wielkości niedużej sali gimnastycznej. Na wprost nas znajdowało się olbrzymie, po prostu królewskie łóżko, obok niego wytworny stolik nocny i para wygodnych foteli. Pod przeciwległą ścianą znajdował się niewielki basen.

- Co to za jaskinia rozpusty? - Nie mogłem się powstrzymać od wyrażenia swego zdziwienia.

- Zgadłeś - odpowiedziała Gloria. - Właśnie jaskinia rozpusty. Rozumiesz, urzędnicy z tych biur to też ludzie. Od czasu do czasu muszą odpocząć, jak ja i ty. Ale boją się przy tym, że ktoś, kto nie powinien, dowie się o ich małych szaleństwach. Dlatego odwiedzają takie miejsca, istniejące, powiem ci przy okazji, i w innych cyberach, od czasu do czasu, mając gwarancję, że nikt i nigdy nie zobaczy ich i nie podsłucha. A jak wiadomo, popyt kształtuje podaż. Tak, przy okazji - gdyby ci do głowy przyszły jakieś głupie myśli, to możesz już zacząć się z nimi żegnać. Korzystam z tego miejsca tylko, gdy zamierzam prowadzić bardzo ważne rozmowy. I

pamiętaj, że jeśli twoja opowieść nie będzie warta tych pieniędzy, jakie zapłaciłam za ten pokój, gniew mój będzie straszny.

- Spoko - powiedziałem. - Jest, jest warta tych pieniędzy. Pewnie znacznie większych też.

Gloria tknęła palcem w najbliższą ścianę, wyjęła z barku dwie puszki piwa, postawiła na stoliku i rozsiadłszy się w wygodnie w fotelu poleciła:

- No to zaczynaj.

Usiadłem naprzeciwko niej, otworzyłem puszkę i łyknąwszy przystąpiłem kolejny raz do opowiadania swojej historii. Przy okazji myślałem o tym, że jeśli sprawy będą się tak toczyć dalej, to powinienem zdobyć dyktafon, nagrać „historię ohydneho porwania ciała zupełnie niewinnego obywatela Essutila Quacka” i będę go wypożyczał wszystkim chętnym do odsłuchiwania.

16.

- Ach, to takie buty - powiedziała Gloria Ra. - A nie okłamujesz mnie?

Wyciągnąłem ponad głowę dwa palce i oświadczyłem:

- Klnę się na księgę świętego Basika, że opowiedziałem prawdę, samą prawdę i nic prócz prawdy.

- To słowa, nic więcej... Powtórz-no mi numery cyberów, w których dokonano kradzieży ciał, numery portali, nazwy firm dzierżawiących i dane ofiar.

Powtórzyłem posłusznie.

- Uważasz więc, że ktoś zmontował dużą taśmę? Ale powinien na to zareagować rynek transplantów, powinno na

nim zapanować jakieś ożywienie. Gliniarze nie mogą tego nie odnotować.

- Oczywiście, że powinni na to zwrócić uwagę. Ale mogą nie wiedzieć, co jest przyczyną tego ożywienia, skąd przychodzą świeże organy. A gdy dotrą do dostawcy będzie już za późno. W każdym razie dla mnie. Do tej chwili moje ciało puszcza na rynek, w częściach.

- A wiesz co? - powiedziała Gloria. - Te kradzieże można wytłumaczyć w inny sposób. Gdybym wiedziała, kto tu jest szefem, to mogłabym...

Parsknąłem ironicznym śmieszkiem.

- A gdybym ja znał imię przywódcy złodziei...

- No tak, ty byś go udusił gołymi rękami.

Gloria wykonała krótki rejs do baru i postawiła przede mną nową puszkę piwa. Łyknąwszy ze swojej usiadła wygodnie, założyła nogę na nogę, i kiwając czubkiem jednej stopy oddała się rozmyślaniom.

Wiedząc z doświadczenia, że kobiety nie lubią, kiedy przerywa się im tę trudną czynność, jeszcze raz łyknąłem piwa, a potem zapaliłem papierosa.

Reasumując - wyłożyłem wszystkie swoje atuty na stół. Teraz mogę tylko czekać na zakończenie tego wszystkiego. Może ta piękna dziennikarka uzna, że niewarta skórka wyprawki i pogoni mnie i moje kłopoty. Wtedy wrócę do tego planu, jaki obmyślałem chwilę przed jej pojawieniem się. A może... Nie, powinna, naprawdę powinna mi pomóc.

- Yhy - powiedziała Gloria. - Z tego wynika że musimy odkryć główną firmę, sprzyjającą porywaniu ciał. W niej siedzi przywódca bandy. Rozumiesz, że tylko gliny mogą sobie z tym poradzić?

Wiedziałem, co ma na myśli. Wiedziałem, że to by było

zgodne z prawem. Ale nie urzędowało mnie. Znam się na kobietach. Najlepsza metoda, prowadząca do podjęcia odpowiedniej decyzji, to niezauważalne naprowadzenie ich na nią. Polecenia nie mają sensu. Ale można tak posterować rozmową, podsunąć fakty, które muszą doprowadzić do...

- Oczywiście, masz rację - przyznałem. - Gliniarze mi nie uwierzą, ale przecież możesz i ty się do nich zwrócić. W odróżnieniu ode mnie jesteś praworządną obywatelką. Gliny będą musiały sprawdzić te fakty, które im podasz. A sprawdziwszy nieuchronnie schwytają złodziei.

- Schwytają - skinęła głową. - Albo nie schwytają. Nie zapominaj, że wśród gliniarzy są jego ludzie. Najpewniej zdążą go uprzedzić, a ten skoczy w długą. Albo, nawet nie ruszywszy się z miejsca, zniszczy wszystkie dowody i poszlaki. W jednym i drugim przypadku będzie nieuchwytny dla prawa. Kto mu przeszkodzi za jakiś czas obmyślić jeszcze coś, coś jeszcze ohydniejszego od tej karuzeli?

- Tak więc nie możemy w tej chwili pójść do glin z powodu kruchości dowodów i wątpliwości, czy prawo zadziała - skonstatowałem. - Nie uda się pojmać przywódców. Dobrze mówię?

- Jesteś cwańszy, niż myślałam. - Gloria popatrzyła na mnie z zainteresowaniem. - Oczywiście, są też inne problemy. Jestem przekonana, na przykład, że gdybym tylko wyłożyła im co wiem, to natychmiast na te informacje nałożono by prohibicję, aż do zakończenia śledztwa i schwytania całej bandy. A wtedy ktoś mnie na pewno wyprzedzi. Zgoda?

- Na pewno.

- A ponieważ własnymi rękami zarabiam na swoje życie, to nie będę się pozbawiać honorarium za przyszłą publikację.

- Czy to znaczy... - bąknąłem.

- To znaczy, że nie zostaje nam nic, jak tylko podjąć własne dochodzenie.

- Nam?

- A ty myślałeś, że co - posiedzisz sobie gdzieś i poczekasz, aż podam ci wszystkie fakty na tacy? Nie uda się taka wolta! Poza tym - odniosłam wrażenie, że strasznie się rwałeś do ratowania swojego cennego ciała. Czy może się mylę?

- Coś ty - nie. Wchodzę w to.

Nie wytrzymałem jednak i uśmiechnąłem się zadowolony. Mój plan został zrealizowany. Teraz będzie darła ziemię pazurami, ale zdobędzie wszelkie potrzebne wiadomości. Ciekawe, co też jest podstawowym źródłem jej zapału? Chęć ukarania przestępców, czy zarobienia sutego honorarium? Raczej to ostatnie.

- No to tak... - Gloria zerknęła na zegarek. - Za czterdzieści minut mam się spotkać z pewnym człowiekiem. On jest posiadaczem tego, czego tak potrzebujemy - możliwości zdobycia każdej praktycznie informacji i jednocześnie nie ma nic wspólnego z gliniarzami. Posiedzimy tu jeszcze pół godzinki, na drogę zejdzie nam dziesięć minut i akurat zdążymy na czas. Myślę, że wcale nie powinieneś szlajać się po ulicach cybera przez te pół godziny. Po co wywoływać wilka z lasu?

- Dobrze - powiedziałem. - A co będziemy robić przez te pół godziny?

- Możemy o czymś porozmawiać. Na przykład, jak cię udało ująć z życiem z klatki okrutnego, dzikiego starożytnego wirusa. Powiedziałeś, że tułacze programy przeniosły cię do swojej kryjówki, zanim zdążył cię pożreć? Przeglądałam wiadomości. Ci, co widzieli jak to się stało, byli gotowi przysiąc na wszystko, że widzieli jak cię pożarł.

Taki obrót sprawy mnie nie urządził. Oczywiście, opowiadając swoją story opuściłem kilka szczegółów. Po co, na przykład, dziennikarka ma wiedzieć, czym w istocie jest ogród zoologiczny wirusów? Rozpowie o tym wszem i wobec, i dostanie za to jeszcze pieniądze. Nie, wystarczy, że daję jej porywaczy.

- Wszystko tak właśnie się stało - oświadczyłem starając się nadać głosowi możliwie twarde brzmienie.

- Jesteś pewien? - Gloria zarzuciła ręce na głowę i wygięła całe ciało, jak duży i piękny kot. - Czy może jednak istnieje inna wersja twojego cudownego uratowania się?

Uniosłem brew. Tak, rzeczywiście, miała co zaproponować. W innych okolicznościach rzeczywiście zająłbym się... Ale nie dziś. I nie za cenę zdrady. W końcu dozorca zoologu zaufał mi. Nie mogę go zawieść.

- Jeszcze się zastanawiasz?

Podarowała mi takie spojrzenie, że stopniałaby góra lodowa.

- Innymi słowy - proponujesz mi jeszcze jeden interes? - zapytałem.

- A gdyby tak, to co?

- To nasz interes jest niesprawiedliwy. Nie mam nic do zaproponowania za twoją ofertę. Wszystko odbyło się tak, jak ci opowiedziałem. Wszystko, rozumiesz?

- Rozumiem.

Spodziewałem się, że w jej głosie usłyszę rozczarowanie. Akurat! Czekał tatka latka! Spokojna, równa intonacja. Jakby nic się nie stało.

Oszołomiony pokręciłem głową.

Przedemną siedziała spokojna, nieprzystępna, całkowicie opanowana kobieta. Zauważywszy wyraz mojej twarzy,

uśmiechnęła się protekcjonalnie.

- Nie zwracaj na to uwagi. Informacja to największy skarb naszych czasów. Dla niej warto poświęcić wszystko. Gdybyś wiedział jak często muszę robić dla niej to, co wcale mi się nie uśmiecha.

No tak. Oczywiście.

Próbowałem oszacować, co może Gloria odczuć gdybym się zgodził - potem, kiedy informacja będzie już opłacona. Pewnie znienawidziłaby mnie, przeklinała od ostatnich. I brzydziła się swoim ciałem.

A może i nie? Może podoba jej się taki sposób rozliczania? Połączenie przyjemnego z pożytecznym. Co w tym złego? Interes to interes. Nieważne jaka jest cena, ważne, by obie strony wywiązały się ze zobowiązań.

Poza tym, kto mi dał prawo do jej osądzania? Czyja się czymś od niej różnię, jestem w jakiś sposób lepszy? Dlatego, że odmówiłem? W tej chwili, w tej chwili tak. A gdyby warunki były inne? Czy wtedy też wykazałbym się taką twardością? Czy byłbym od niej lepszy? Kto powinien czuć się bardziej poniżony - ten, co płaci, czy ten, kto pobiera opłatę?

Jako komiwojażer, ileż razy proponowałem klientom podobnego typu interesy? Pewnie, o żadnym płaceniu ciałem nie było mowy, ale czy to ma jakieś znaczenie?

Interes, w zasadzie, jest taki sam. Przychodzimy do klienta i usiłujemy wymienić na ich pieniądze swój uśmiech, dobry humor, optymizm, usiłujemy przekonać, że już w życiu nic nieprzyjemnego się nie zdarzy. A potem zabieramy ich pieniądze i zabieramy ze sobą wszystko, co, wydawałoby się, sprezentowaliśmy klientom. Można powiedzieć, że oni z kolei nie tracą całkowicie swoich zakichanych pieniędzy, ponieważ w zamian dostają jakieś towary. Ale zadajmy sobie jedno

proste pytanie: czy kupiliby te duperele, gdybyśmy nie dodawali doń swojego do nich szacunku i zachwytu, i tego przekłętego optymizmu i pewności dnia następnego?

Oczywiście, że nie. Bez tego nie bylibyśmy potrzebni z tym swoim zestawem starych jak świat, lekko nadgryzionych przez mole, popularnych usług, na które dziś, zwłaszcza dziś, jest takie zapotrzebowanie.

A przecież to metoda działania nie tylko komiwojażerów. Istnieje cała masa zawodów opartych na takich interesach, cała masa. Może dlatego tak mało chodzi po tym świecie dobrych ludzi, szanujących swoich bliźnich? Dlatego, że cały ten zestaw uczuć stał się towarem. Nikt nie daruje już nikomu szacunku, w zamian żąda czego wymiernego, na przykład mamony.

Tak więc, co jest bardziej niemoralne: ta dziewczyna, która zaproponowała swoje ciało w zamian za interesujące ją wiadomości, czy ja, dzień po dniu, dom po domu, kawałek po kawałku, handlujący tym, co zwie się duszą moją nieśmiertelną?

- Przestań, chłopie - odezwała się nagle Gloria. - Nie przejmuj się tak. Patrz na życie prościej.

Miała rację. Nie czas i nie miejsce na rozważanie takich tematów. Kiedyś, potem, kiedy to wariactwo się skończy, spotkam się w „Blood Mary” z Hobbinem i Nobbinem, urzniemy się, rzecz jasna, i wtedy podywagujemy sobie na te tematy. Będziemy gadali długo, waląc się pięściami w piersi, skąpo okraszając dyskurs męskimi łzami, wylanymi z powodu tego, co już nigdy nie wróci.

O ile uda mi się przeżyć ten najbliższy okres. A prawdopodobieństwo tego, jak mawiają matematycy, dąży do zera.

- Przecież powiedziałam: nie martw się - odezwała się Gloria. - Napij się piwa, wyluzuj, pomyśl o tym, co zrobisz z tym nędznikiem, który buchnął twoje ciało. Wiesz, robiłam kiedyś materiał o średniowiecznych chińskich torturach. Mogę ci podpowiedzieć kilka takich przepisów...

Pokręciłem głową.

- O Boże! - oburzyła się dziewczyna. - Ci faceci! Łamią się w najmniej odpowiedniej chwili. Chcesz to oddam ci się, żebyś tylko doszedł do siebie I wcale nie chcę wiedzieć, jak uratowałeś się z tego zakichanego ZOO. Chcę mieć do czynienia z gościem, który w ciągu ostatniej doby wywrócił na nice wszystko, czego udało mu się dotknąć. Rozumiesz? Potrzebny mi jest partner, na którym mogę polegać, bo inaczej załatwią nas w try miga. A moje życie jest mi drogie. No to jak?

Rzuciła się na łóżko i zaczęła szamotać z pościelą, jak dziki kot, jeszcze piękniejsza w tym momencie. Zrozumiałem, że teraz i w tej chwili rzeczywiście mogę wszystko. To już nie jest handel, interes... Chociaż, jeśli mam być uczciwy, to też jest jakaś postać interesu, ale już inna, zupełnie inna. Jeśli teraz nie wdrapię się za nią na to wspaniałe łóżko, to będzie mnie uważała za skończonego debila, czy impotentą, albo geja. I nigdy mi tej chwili nie wybaczy, ponieważ są takie rzeczy, których kobiety nie wybaczą nigdy.

Zatem...

Żadne zatem - już szedłem w kierunku łóżka, szedłem zdrętwiałymi palcami szarpiąc się z guzikami, by, znalazłszy się obok tej pięknej kobiety na łóżku, rozległym jak pas startowy, nie tracić czasu na ich rozpinanie. Jakoś udało mi się trafić na fotel, w którym przed chwilę siedziała Gloria. I mimochodem odnotowawszy ten dziwny fakt, natychmiast o nim zapomniałem, wyrzuciłem z głowy, szczególnie, że fotel

przepadł, zszedł mi z drogi, zniknął. Ale nie miało to znaczenia, ponieważ łóżko, jak pole bitwy, oczekujące tylko swego stratega, leżało przede mną. Nie zostało mi już nic innego jak wdrapać się na jego płaszczyznę, sięgnąć tak pięknej i pożądanej Glorii, udowodnić jej, że ta zwariowana doba, jaka mi się przytrafiła, te wszystkie moje ucieczki, nie zabiły we mnie żądy, nie zniszczyły chęci kochania i bycia kochanym. Straciwszy ciało nie przestałem być człowiekiem.

Człowiekiem, żeby diabli wzięli wszystkich, którzy usiłovali mnie zabić.

Myśląc tak, wgramoliłem się na łóżko i jakoś tak niezgrabnie przysunąłem się do Glorii, usiłowałem ją objąć. I znieruchomiałem. Ponieważ prosto w oczy patrzyło mi zimne i obojętne oko pistoletu, przy tym nie jakaś damska zabaweczka, a najprawdziwsza policyjna trzydziestka ósemka.

- Nie trzeba - twardo oświadczyła Gloria. - Koniec. Sza. Pośmialiśmy się i wystarczy.

A ja, jeszcze nie rozumiejąc co się dzieje, znowu wyciągnąłem do niej ręce, a nawet, jak ostatni idiota, wymamrotałem:

- No co, no co jest?

- Nic - odpowiedziała Gloria. - Jeden nieprawidłowy ruch i strzelę. Wątpisz?

Chciałem powiedzieć, że tak, ale popatrzyłem jej w oczy i instynkt samozachowawczy podpowiedział mi, że nie powinienem tego robić.

Nie ma co - mężczyźni lubią postraszyć jeden drugiego bronią. Nic bardziej ich nie bawi, jak takie zabawy. Czasem się przy tym zdarza, że broń wypali. Potem, choć może to i dziwne, okazuje się, że nikt strzelać nie zamierzał. Ale jeśli pistolet trzyma kobieta, i jeśli nie jest to jakaś smarkuła, i jeśli

oświadcza, że będzie strzelać, to niemal na pewno naciśnie na język spustowy. Trafi w kogoś czy nie - to inna sprawa, ale na spust naciśnie na pewno.

- Ach, to tak.

Ześliznąłem się z pościeli, zwałem z powrotem w swój fotel, i - to naturalne - obrażony odwróciłem się od niej. Od tej kusicielki, chytrej żmii, która ośmieliła się tak ze mną postąpić.

A Gloria zachichotała. No bo jak jeszcze mogła zareagować na moje zachowanie? Nie minęło pół minuty, jak stała obok mnie i mówiła:

- Aleś ty głupi. Musiałam tobą potrząsnąć, żebyś wrócił do stanu używalności. Muszę przecież wiedzieć, co jesteś wart.

- No i co, wiesz już? - zapytałem ponuro.

- Oczywiście. Teraz wiem, że kiedy trzeba potrafisz się opanować, a gdyby tak nie było musiałabym cię załatwić. Nie wolno zajmować się poważnymi i niebezpiecznymi sprawami w zespole z człowiekiem, który nie potrafi zapanować nad swoim stanem psychicznym - prędzej czy później nie weźmie się w garść i zawali całą operację.

- Jestem w takim razie dumny z siebie - skwitowałem oschle.

- Głuptas z ciebie. Ja się nie zajmuję miłością w cyberach. Tylko tam, w wielkim świecie. Rozumiesz? No, nie wygłupiaj się. Rozumiem, że twoja miłość własna została boleśnie uszczypnięta, ale musiałam tak właśnie postąpić. Musiałam.

Westchnąłem.

Rzeczywiście, co to ja jestem - dorastający młodzian, czy co? Też mi powód do obrażania się. Tym bardziej, że od tej kobiety zależy, czy odzyskam swoje ciało czy nie. Dlatego wracamy do roli grzecznego chłopczyka.

Zmusiłem się do uśmiechu i powiedziałem:

- Nie ja cię osądzę, kobieto.
- Tu się z tobą zgadzam - odrzekła Gloria.

Usiadła w swoim fotelu i uzbroiła puszką piwa, nawet uśmiechnęła się do mnie, uśmiech był zaczepny i jakby coś dyskretnie obiecujący. Że niby - nie przejmuj się, bracie, i w twoim ogródku zaświeci słońeczko. Potrzebujemy tylko czasu.

„Aha, akurat! - pomyślałem. - Zaświeci! Gwiazda w oku, gdy dostaniesz po pysku. To nie dla ciebie panienka. Przestań hodować jakieś bezpodstawne iluzje”.

Ciekawe, swoją drogą, gdzie ona ukrywa swój pistolet? W rękawie? A co, zresztą, za różnica? Jesteśmy w cyberze. Tu można ukryć na sobie cały arsenał i nikt niczego nie zauważy.

- Przy okazji, chcę cię uprzedzić: człowiek, na spotkanie z którym pójdziemy, jest w określonych kołach wielką fiszą. Rozumiesz? Dlatego zachowuj się możliwie kulturalnie i nie zadawaj głupich pytań. Raczej pozwól, żebym ja działała.

- Rozumiem, mam się zachowywać jak grzeczny chłopczyk. Nie będę dłubał w nosie, nie będę szarpał dziewczynkę za warkocze, i zanim wypróbuję odporność jakiejś szyby na stłuczenie piłką, sprawdzę, czy w pobliżu nie ma jakiegoś gliniarza.

- Właśnie to miałam na myśli. A teraz dopij swoje piwo, wypal papierosa i szykuj się do wymarszu. Nie przymierzaj się do mnie. Ja muszę jeszcze coś przemyśleć. A tak, nawiasem mówiąc, to zabawny z ciebie typ.

Hm, zabawny. Co to znaczy? Komplement to, czy po prostu metka, jedna z tych, które kobiety lubią przyczepiać swoim znajomym? Łup, metka wisi i już żadną siłą nie da się jej oderwać.

Zerknąłem spod oka na Glorię.

Chyba rzeczywiście pograżyła się w rozmyślaniach.

Zadziwiająca kobieta. Większość moich kobiecych znajomych najpierw coś robi, potem usiłują wymyślić, jak usprawiedliwić swoje działania. Chociaż kto wie? Może kobiety-dziennikarki są inne? Może w tym świecie biznesu mogą przeżyć tylko takie?

Dobra, co mnie to? Czas, żebym i ja wymyślił plan najbliższych działań.

Właściwie nie miałem specjalnego wyboru. Jeśli Gloria naprawdę wyszarpie ze swojego wysoko postawionego znajomka adres firmy, do której należą portale, przez które wchodzili okradzeni z ciał ludzie, to nie zostanie mi nic innego, jak złożyć wizytę w tej firmie. Po co? Jak odnajdę złodzieja, czy złodziei mojego ciała?

Wyobraziłem sobie, jak to może wyglądać.

- Dzień dobry, dzień dobry, przyszedłem tutaj, żeby się dowiedzieć, jaki to bydlak ukradł moje ciało. Zdaję sobie sprawę, że większość z waszych pracowników, to uczciwi ludzie, ale ktoś tu się zajmuje sprawami wyjętymi spod prawa i lepiej, żeby się do tego teraz przyznał. Szkoda czasu. Interesuje was kim ja jestem? Ścigający mnie gliniarze uważają, że jestem tułaczym programem, ale to nie ma żadnego znaczenia.

Finita la komedia. Aktora na rękach wynoszą wielbiciele. Widzowie ciskają w powietrze nakrycia głowy. Kurtyna.

Nie, trzeba jakoś inaczej. Ale jak?

Dopiłem piwo i zapaliłem papierosa. Potem popatrzyłem na Glorię. Ta awanturnicza dziewczyna nie zdobyła się na nic innego, jak tylko puszczenie do mnie oka..

Pokiwałem głową.

To ci aferzystka!

No dobra, wracajmy do naszych niełatwych rozmyślań. Roz-

ważmy kilka wariantów. Logika to potężna broń, o ile, oczywiście, korzysta się z niej właściwie.

Czego potrzebuję? Ni mniej, ni więcej jak tylko głównego winowajcę wszystkich nieszczęść, jakie zwały mi się na głowę, chcę chwycić go za gardło i zmusić do zwrócenia ukradzionego mi ciała. Jak to osiągnąć? To złożony problem, ale mam już rozwiązanie. Nie sądzę, by łańcuszek śladów doprowadził mnie od portali prosto do przestępcy. Na pewno ta nitka będzie się wiła, przecinała z innymi nitkami, plątała się. Ale gdzieś tam jest takie miejsce, w którym schodzą się wszystkie nici. Centrum pajęczyny. Właśnie tam siedzi ten ktoś, kto jest mi potrzebny. Boss przestępców, z którym po prostu muszę się zobaczyć.

Nie sądzę, by był to któryś z szeregowych urzędników niepozornej firmy. Raczej jest to ktoś posiadający duży majątek, albo wielką władzę. Nie wykluczone, że jedno i drugie.

Nie uda mi się go znaleźć bez pomocy Glorii. Ale potem powinienem zadziałać sam. Są takie sprawy, do których kobiety, nawet silne i mądre, takim jak pewna znana mi dziennikarka, nie powinny wtykać nosa. Możliwe, że kiedy wykryjemy kto stoi na czele tego gangu złodziei ciał, Gloria zażąda, byśmy zwrócili się do glin. A czemu nie? Będziemy mieli już wystarczającą ilość faktów, dalej ryzykować - jej zdaniem - będzie głupio, zwłaszcza, że wszystko można przekazać gliniarzom. Oni doprowadzą sprawę do końca. Może, może... A może i nie. Raczej wyłapią drobne płatki, a główny pomysłodawca i szef realizacji zwieje, zatarłszy ślady.

Innymi słowy - sprawiedliwość zatriumfuje, ale tylko częściowo. Do wykazu rzeczy bezpowrotnie utraconych dopisze się moje ciało. Bilans mi nie sprzyja, czyli nie urzęda

mnie to. A więc... Tak, nadejdzie taka chwila, kiedy będę musiał pozbyć się Glorii, w przeciwnym przypadku będę mógł powiedzieć swojemu ciału „bye”. Oczywiście, nie tak szybko, ale kiedyś taka chwila nadejdzie. Muszę, więc już teraz przewidzieć wszystko.

Zgasiłem niedopałek i pogłaskawszy wzrokiem piękną dziennikarkę, zadałem sobie oczywiste pytanie. Ciekawe, czy ona nie dokonuje takich samych umysłowych dociekań? Podzieliłem się z nią danymi, resztę może zrobić równie dobrze beze mnie.

Czyli co - przekaże mnie glinom? Przestrzeli mi nogę i porzuci w jakimś odludnym miejscu? Wyprowadzi na ulicę, cmoknie w policzek i pożegna się? Na pewno może tak postąpić, nawet za chwilę, za momencik.

Może niepotrzebnie jej zaufałem? Może trzeba było zdobywać potrzebne mi dane w pojedynkę? Trudno, teraz nie da się cofnąć swoich kroków i nie ma co o tym myśleć. Tylko co zrobić z moją piękną koleżanką, gdyby zechciała podrzucić mnie glinom? Na pewno mnie nie posłucha, a może posłucha?

Westchnąłem.

Też mi wybór. „Być albo nie być” w nielegalnym domu schadzek jednego z administracyjnych cyberów. Co wybierasz, bezcielesny Hamlecie?

„Nic - powiedziałem sobie. - Po prostu - nic. Co ma być - będzie. Pożyjemy-zobaczymy”.

„O?! - powiedział, wynurzywszy się z podświadomości, instynkt samozachowawczy. - Nie za bardzo jesteś beztroski?”

„A kto się ciebie pyta? - huknąłem nań. - To moja sprawa; dzieci, ryby i instynkty, głosu nie mają”.

„Jesteś pewien?” - zachichotał instynkt samozachowawczy.

„Całkowicie. Ja sam wypiję to piwo. A ty, jak jesteś taki

mądry, mogłeś mnie uprzedzić, że mogą mi ukraść ciało. Wtedy wysiadłeś, co?”

Wspaniały cios poniżej pasa. Zazwyczaj takie ciosy są podstawą do dyskwalifikacji. Jeśli mamy do czynienia z neutralnymi sędziami. Jeśli. Tu nie. Tu ja jestem sędzią. Dlatego instynkt musiał podwinąć ogon pod siebie i zniknąć.

Postanowiłem wtedy - czort z nim. Może jakoś się wszystko ułoży. Może mnie Gloria nie wykiwa. Może wszystko zrozumie i pozwoli tak dokończyć tę grę, jak jest mi to potrzebne. W końcu nawet ja muszę komuś w końcu zaufać. Poczekamy, zobaczymy, dowiemy się. Najprostszy sposób. Szczególnie wtedy, kiedy nie chcesz stawać w jednym szeregu z podłymi porywaczami nikkczemnikami.

Znowu pojawił się instynkt samozachowawczy w całej swej okazałości i zaczął dawać jakieś znaki, usiłując ściągnąć na siebie uwagę, ale tak nań huknąłem, że znowu się schował. No, niech wie, kto tu rządzi. Nikkczemnik. Połowa tego gówna, jakim zalany jest świat, to z jego winy. Ale tym razem się zawiedzie.

W końcu nie muszę stawać się zimnym, bezlitosnym zabójcą? Nie, nie muszę. Nie ja usiłuję zabić, to mnie chcą pozbawić żywota jacyś energiczni kolesie. Niech tak zostanie. Z Glorią jakoś się dogadam.

Usiłowałem wyrzucić z głowy wszystkie te schizoidalne myśli. Szczerze mówiąc nie szło mi najlepiej. Chociaż jest jeden dobry sposób... Podniosłem się z wspaniałego fotela i skierowałem się do baru. Piwo jest w takich wypadkach panaceum. Wezmę sobie puszczkę i...

- Dobra - powiedziała Gloria. - Czas się skończył. Zwijamy się.

Cóż, jak zwijamy, to zwijamy.

17.

Sekretarka patrzyła na mnie tak, jakby była dumną patrycjuszką, a ja - niewolnikiem z gatunku barbarzyńców, który ośmielił się wyznać jej miłość. Po kilku chwilach jej profesjonalizm wziął górę i udało się jej - wyteńczywszy wszystkie siły - postać mi nawet uśmiech. Doceniłem ile wysiłku ją to kosztowało, i też wyszczerzyłem zęby.

Gloria dźgnęła mnie łokciem w bok i wysyczała:

- Nie napalaj się. Nie po to tu przyszliśmy.

Westchnąłem.

Och, te kobietki. Nic nie rozumieją. Ta ślicznotka zbliży się do mnie tylko w przypadku zagrożenia własnego życia. Nie ma najmniejszych powodów do zazdrości. Absolutnie żadnych. A poza tym, jakie ta spryciara ma prawo do mnie?

Sekretarka oświadczyła:

- Zaraz mister Serge będzie o was wiedział. Ale muszę od razu uprzedzić: dzisiaj ma bardzo napięty grafik. Sądzę, że nie będzie mógł państwa przyjąć.

- Proszę zameldować. Potem się okaże - powiedziała Gloria.

- Oczywiście, oczywiście, tylko mam spore podstawy być pewną swych racji.

Powiedziała to jakby żałując nas.

Gloria posłała jej zimny uśmiech i powiedziała:

- Mam nadzieję, że mister Serge dobrze pani płaci za wykonywanie swoich obowiązków. Czy w ich skład wchodzi narzucanie klientom swoich głupich sądów?

To, niewątpliwie, była rękawica. Spojrzenia obu kobiet

skrzyżowały się. Według mnie, w pomieszczeniu zapachniało ozonem. Na szczęście sekretarka szybko opamiętała się i, prychnąwszy niczym rozzłoszczona kotka, skierowała się do gabinetu Serge'a.

- Brawo - powiedziałem. - Świetnie ją załatwiłaś.

- A ty co się podpinasz... - burknęła Gloria. - Trzeba było wytrzeć ślinę z brody i samemu rzucić się w bój.

Dup! Trafiony-zatopiony. Słusznie.

Nigdy nie należy machać bykowi przed nosem czerwoną szmatą, nigdy nie tłumaczcie biurokracie, że źle interpretuje prawo, i nigdy - przenigdy nie podkładajcie się kobiecie, która z waszego powodu omal przed chwilą nie wydrapała oczu innej kobiecie.

Sekretarka pojawiła się po trzydziestu sekundach. W tych partiach, w których kiełkuje u niej czar, nastąpił wyraźny wzrost temperatury. Miło uśmiechnąwszy się, siostrzenica Cerbera powiedziała:

- Mr Serge oczekuje państwa.

Zerknąłem z szacunkiem na Glorię.

Kim ona, do licha, jest? Może jej papa jest właścicielem jakiegoś oddalonego, ale cholernie bogatego i wpływowego megalopolisu? Nie, na pewno do zwykłych dziennikarek nikt nie odnosi się z takim szacunkiem.

- Niech to będzie dla pani lekcją - rzuciła Gloria przechodząc obok sekretarki.

Przepuściłem ją przodem i dlatego zdążyłem zauważyć, jak sekretarka pokazała jej plecom język.

- Kiedy przydarzy się jej wypadek samochodowy i pozbawiona nóg będzie prosiła na rogu o wsparcie, zawiadomię panią o tym fakcie - powiedziałem do sekretarki. - Będzie pani mogła pójść i wsadzić jej kilka szpiców z

kujawiaczka.

- Sam jesteś bęcwał.

Dup! Po raz drugi. Tak, tak, zupełnie zapomniałem. Dzisiaj mam dzień pochopnych czynów. Czas zacząć trochę myśleć, inaczej nie dożyję następnego ranka.

Wchodząc do gabinetu mister Serge'a, przygotowałem się, że zobaczę rzeczowego, skoncentrowanego, zręcznego, chytrego, bystrego, wystarczająco twardego, w sumie - straszliwie standardowego człowieka interesu.

Pewnie tak było, ale na pierwszy rzut oka Serge był zwyczajnym urzędnikiem średniego szczebla, uczciwie wykonującym swoje obowiązki, nic więcej. Miał zwyczajną, powiedziałbym apatyczną twarz, najzwyczajniejszy garnitur, niezbyt drogi. Żadnych złotych cacek, które tak lubią młodzi ludzie, którzy odkrywają nagle, że są w stanie zarabiać duże pieniądze przy pomocy własnej inteligencji i całkowitego braku zasad.

Gdy weszliśmy, przypatrywał mi się przez jakiś czas, usiłując widocznie zrozumieć, kim jestem. Wcale nie skonfundowana tym Gloria podeszła do biurka, przy którym zasiadał Serge i usiadła w jednym z foteli. Przycupnąłem w drugim i przyjrzałem się biurku. Popielniczki nie widziałem. Zapewne gospodarz ma coś przeciwko paleniu w jego gabinecie.

Nic to, wytrzymam.

Uśmiechnąwszy się dziennikarka powiedziała:

- Cześć, mamy do ciebie sprawę.

Uśmiechnąwszy się lekko w odpowiedzi, człowiek interesu machnął ręką z energią dystrofika i wyemitował:

- Tak, tak. Zazwyczaj przychodzisz z jakąś sprawą. A szkoda. Mogłabyś kiedyś zajrzeć po prostu tak sobie. Od

dawna nie miałem do czynienia z nikim mądrym. Z kim przyszłaś?

Ostatnie pytanie zadane było tonem, który świadczył, że pytającego wcale nie obchodzi odpowiedź.

- To jest Essutil - wyjaśniła Gloria. - Ma kłopoty. Trzeba mu pomóc.

- Duże te kłopoty?

- Takie tam, średnie. Ale podał mi ciekawe dane i zainteresowałam się tym. Może z tego wyjść niezły reportaż.

Obojętnie skinąwszy głową Serge oświadczył:

- Owszem, miewasz zabawne pomysły. Potem, o ile te dane będą miały jakąś wartość, przekażesz je mi.

- Z całą pewnością - uśmiechnęła się Gloria.

- Chociaż - nieco smutniejszym głosem powiedział Serge - w ostatnim czasie w sferze mojej działalności panuje całkowity bezruch, cisza. Nic istotnego się nie dzieje. O ile, rzecz jasna, nie liczyć tego, co się wydarzyło dwa dni temu. Jakiś maniak, zatroskany, że jego żona spędza w pracy zbyt dużo czasu, usiłował zatrzaskać ten cyber, w którym jego żoneczka pracowała jako dizajner środowiska. Przy tym zrobił to jak ostatnia noga, w wyniku swej działalności oferma-terrorysta zginął, a następstwa jego ataku zostały uprzątnięte w pół godziny.

Powiedział to tak smętnym tonem, jakby szczerze żałował, że temu gościowi, co chciał załatwić cyber, nie udało się przynajmniej poważnie go uszkodzić.

- Czyli cisza - rzuciła Gloria. - Może przed burzą? Jak wiadomo, przed wielkim sztormem zawsze panuje całkowity sztil.

Serge odchylił się w fotelu, kilka razy uderzył niemrawo paluszkami w blat biurka i powiedział:

- Może, może... Chociaż... Raczej nie. Nie te czasy. Wszystkie zachodnie magapolisy mają furę wewnętrznych problemów. Azjaci zupełnie się zaplątali w pajęczynie swoich systemów finansowych i w najbliższym czasie nie sądzę, by zdobyli się na jakieś poważne akcje. Afryka milczy. Coś poważniejszego może się wydarzyć tylko tu, u nas, ale, jak na razie, nie zauważyłem żadnej oznaki zbliżającego się sztormu. Ani jednej!

Pokręcił zmartwiony głową.

Dopiero teraz doznałem iluminacji, w wyniku której zrozumiałem kim jest Serge. Szczerze mówiąc odkrycie to nie ucieszyło mnie jakoś specjalnie. Wystarczy, by znajomek Glorii zainteresował się moją osobą...

- A u nas, jak powiadasz - sztil, flauta? - zapytała Gloria.

Oczy Serge'a jakoś dziwnie rozbłysły na mgnienie oka, jak oczy kota, który zobaczył już apetyczną myszkę. Zresztą, chwilę później, ponownie zapanowała w nich obojętność i apatia.

- Niby był jakiś taki drobny wypadek, nie mieszczący się w zwykłym schemacie... Myślę, że w przyszłości moja firma będzie musiała poświęcić więcej uwagi tułaczym programom. Większość z nich, oczywiście, nie stanowi żadnego zagrożenia, jednakże niektóre... Hm, zbyt szybko, że się tak wyrażę, rozwijają się. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

- Rozumiem - skinęła głową Gloria. - Masz na myśli, że wcześniej czy później pojawi się taki tułaczy program, który będzie sprytniejszy od firm ochroniarskich, w tym i twojej?

- Nie, na razie nam to nie grozi. Czy nie zastanawiałaś się nigdy, nad tym, że świat cyberów jest w gruncie rzeczy obcy naturze człowieka? Oczywiście, usiłujemy ustanowić go na swoje podobieństwo, i na razie to nam się udaje. Na razie. Ale

kiedyś stanie się to nieuchronne. Ludzie będą musieli przyznać, że są osobami postronnymi w świecie cyberów. Wtedy przed ludzkością stanie dylemat: albo wejść w całości do cyberów i porzucić Ziemię na użytek Matki Natury, albo uznać suwerenność świata cyberów, świata tułających programów i zmienić swój status gospodarzy na status gości.

- Oho-ho! - wesoło odezwała się Gloria. - Odważna hipoteza. Jaką więc drogę, twoim zdaniem, wybierze ludzkość?

Serge rozłożył ręce:

- Na razie nie wiem. Mogę tylko powiedzieć, że wybrawszy świat cyberów ludzkość będzie musiała się zmienić. Czy zostanie przy tym ludzkością? Kto wie? Czy można nazwać ludzkim społeczeństwem społeczność składającą się z jednostek, których nie można nazwać ludźmi? Z drugiej strony, oddawszy cybery programom, przyznając się, że nie jesteśmy w stanie z nimi konkurować, że rozwijają się szybciej niż my, ludzkość znajdzie się w ślepej uliczce. Wtedy zostanie nam tylko jedna droga - do innych planet. Ale i tu mieszkańcy cyberów wyprzedzają nas o sto punktów. Ich loty w kosmos nie są ograniczone ani czasem trwania życia, ani koniecznością walki z przeciążeniami, zbyt wielkimi dla ludzkiego ciała.

- Gdzie więc jest wyjście?

Serge wzruszył ramionami, miał przy tym minę smutnego arlekina.

- Nie wiem. W każdym przypadku, niezależnie od tego jaką drogę dłuższego rozwoju wybierze ludzkość, rozum nie zaniknie. Tylko nosicielem może być ktoś inny.

- Czyli wszystko skończy się wojną? - zapytała Gloria. - Jeśli ludzie poczują, że są wypierani z cyberów, że programy stały się mądrzejsze od nich, zostanie im tylko jeden argument, ten właśnie, po który ludzkość sięgała niezliczoną ilość razy w

obliczu zagrożenia.

- Uderzenie kamieniem w głowę? - zapytał Serge.

- Oczywiście.

- Może, może. Jednakże zburzenie cyberów nic ludzkości nie da, a nawet przyniesie straty. Dokładnie rzecz ujmując, odrzuciwszy cybery ludzie złamią grzbiet własnej cywilizacji, wrócą do kamiennych toporów i ubrań ze skór. Wojna z cyberami będzie dla ludzkości niezawodnym samobójstwem. Rozumiesz?

- Oczywiście... - Oczy Glorii płonęły entuzjazmem.

Wyglądało, że przy każdym spotkaniu ona i Serge roztrząsali podobne tematy i zamierzali poświęcić na rozmowę o tych kuszących perspektywach jakiś czas jeszcze. Ten czas, jakiego ja nie miałem.

Odkasznąłem. Gloria, drgnęła i rzuciła mi przepraszające spojrzenie. Serge zrobił bardzo skruszoną minę, rozłożył ręce i oświadczył:

- Tak, zupełnie zapomniałem, że przyszedłem do mnie z jakąś sprawą. Czym więc mogę wam służyć?

- Dla ciebie to betka - rzekła Gloria. - Chodzi o pewne informacje, dotyczące właścicieli portali do cyberów. Mamy numery dziesięciu cyberów, w każdym są portale, które nas interesują. Znamy numery portali, wiemy także do jakich firm należą. Najprawdopodobniej są to małe firemki, posiadające tylko jeden portal. Wszystkie one, jak sądzę, są filiami jednej większej firmy. Jakiej? Chcemy wiedzieć, co to za firma.

- O? - powiedział Serge. - Skromne życzonko. A jesteście pewni, że one naprawdę należą do jednej firmy?

- Mamy nadzieję, że tak. Jeśli okaże się, że te ważne firmy są dwie, to nasze dochodzenie znacznie się skomplikuje.

- Dochodzenie? - w zamyśleniu powiedział Serge. - Aha,

natknęłaś się jednak na coś ciekawego. Ostatnim razem, kiedy zwróciłaś się do mnie z prośbą o pomoc w pewnym drobnym śledztwie, to w wyniku tego straciłem kilku swoich starych klientów.

- Ale za to znalazłeś cyber-widmo, którego szukałeś przedtem kilka miesięcy, jak również otrzymałeś znakomite wynagrodzenie. A ilu nowych klientów się do ciebie przytuliło w ostatnim czasie? Nie wydaje ci się, że to wynik właśnie tego, z powodzeniem zakończonego dochodzenia w sprawie cybera-widma?

- Możliwe. W ostatnim czasie rzeczywiście zwiększyła nam się ilość klientów - przyznał Serge. - Ale nie jestem pewien, czy miała na to wpływ historia cybera-widma, jednak - pamiętając o naszych przyjaznych stosunkach - zgadzam się ci pomóc. Oczywiście, w ramach swoich skromnych sił.

Pokiwałem głową.

Smutny, rozleniwiony i rozczarowany do życia człowiek, jakiego zobaczyłem po wejściu do gabinetu, właśnie na moich oczach był zszedł. Na jego miejscu siedział twardy, rzeczowy, gotowy do natychmiastowego działania szef prywatnej agencji ochroniarskiej.

Niezbadane są dzieła Twe, o Panie.

Byłem pewien na sto procent, że Serge wcale nie grał, kiedy na początku spotkania ukazał się w postaci takiego zmęczonego życiem człowieka, by potem zmienić go na inny wizerunek. To nie była wymiana masek, a najprawdziwsza przemiana.

„Może to wcale nie jest człowiek? - pomyślałem. - Co to za sztuka dla programu robić takie rzeczy. Dla złożonego, rzecz jasna, programu. Inna sprawa, tak przy okazji, że być może to, o czym mówili Serge i Gloria już się zaczęło? Może programy

już po cichutku zastępują ludzi na kierowniczych stanowiskach?”

- Trzeba to zrobić możliwie szybko - powiedziała Gloria. - Czas nagli.

- Szybko? Szybko to tylko kociaki się rodzą - mruknął Serge. - Dobra, zaraz kogoś uszczęśliwię tą robotą.

- A nie mógłbyś tego zrobić sam, co? - poprosiła Gloria. - Bardzo nam zależy, żeby o naszym małym dochodzeniu wiedziało możliwie najmniej ludzi.

Serge potarł czoło. Potem uśmiechnął się chytrze i powiedział:

- Życzenie damy jest rozkazem. Ale obiecujesz mi opowiedzieć wszystko o wynikach tego śledztwa?

- Oczywiście.

- Mam na myśli te fakty, które nie wejdą do twego reportażu, które będziesz musiała przemilczeć.

- A jeśli nasze dochodzenie skończy się fiaskiem? Poza tym - skąd wiesz, że będą takie fakty, które będę musiała zataić?

- Nie próbuj mnie wykiwać. Pamiętaj, że widzę cię na wylot i jeszcze na pół metra w grunt. Jestem pewien, że takie fakty będą. Jeśli się mylę, to po raz pierwszy dostaniesz coś ode mnie za darmo. Czy chociażby dla tego numeru nie warto zawrzeć naszego małego sojuszu?

- O? Proponujesz mi podpisanie ugody?

- Oczywiście.

Gloria odwróciła się do mnie i zapytała:

- To jak, zgadzamy się?

- Zgadzamy się - oświadczyłem.

A niby co jeszcze mogłem powiedzieć? Już wiedziałem, że ten Serge to żaden program; to sukinsyn z gatunku tych, co nie należy przy nich kłapać dziobem za dużo.

- Zgadząmy się - przytaknęła Gloria. - Ale mam dwa warunki.

- Mów.

- Pierwszy: jeśli w tej sprawie rzeczywiście pojawią się jakieś fakty, których nie będę mogła zamieścić w swoim reportażu, to, oczywiście, możesz je wykorzystać, ale tak, żebym na tym nie ucierpiała ani ja, ani mój partner.

- Przyjęte. A drugi?

- Potrzebuję kontenera archiwizującego. Postaram ci się go zwrócić, ale nie obiecuję.

- Dobrze. Dam ci archiwoz. - Serge rzucił mi badawcze spojrzenie. - Sądzę, że musi być takiej pojemności, by zmieściła się weń czyjaś maska?

- Właśnie.

- A czy mogę wiedzieć...

- Nie - uśmiechnęła się Gloria. - Nie możesz. Umówiliśmy się przecież, że potem, kiedy dochodzenie skończy się, przyjdę i opowiem ci wszystko. Potem, rozumiesz?

- Tak. - Serge uśmiechnął się. - Tak przy okazji, nie znudziła ci się twoja praca? Mam w firmie jeden ciekawy wakat. Nie narobisz się, zarobek stabilny i znacznie wyższy niż to, co zarabiasz teraz, do tego dochodzi możliwość doprowadzania do spasmów moich sekretarek nawet po dziesięć razy dziennie. Pomyśl, może się zgodzisz?

- Zazwyczaj tak kuszą swoje ofiary ptasznicy, którzy czyhają aż ofiara wejdzie do klatki - prychnęła Gloria. Nie, wolność jest mi droższa.

- Rozumiem - pokiwał głową Serge. - Może nawet masz rację.

- Na pewno mam rację. A ty, może byś już zaczął realizować naszą umowę?

- Może, może. Podajcie mi wszystkie potrzebne fakty i zmywajcie się stąd. Wcale nie mam ochoty przed wami, czy przed kimkolwiek innym, demonstrować sposobów otrzymywania potrzebnych mi wiadomości.

- Rozumiemy - powiedziała Gloria. - A dokąd, twoim zdaniem, mamy się „zmyć”?

- Gdzie chcecie. A najważniejsze, żebyście nie rozsiadali się w recepcji. Doprowadzicie mi sekretarkę do szafu i będę musiał wypłacić jej rodzicom znaczne odszkodowanie.

- I żeby inni twoi klienci nie widzieli, jakich miewasz znajomych - sarkastycznie rzuciła Gloria.

- To też. Tak więc - szorujcie do jakiejś kawiarni. Za pół godziny dołączę do was. Jest jeden fajny lokalik w pobliżu. Nazywa się „Hojny klient”. Zajmijcie tam oddzielny gabinet i czekajcie na mnie.

- Dobra, czekamy tam na ciebie - zgodziła się Gloria.

Podążyła Sergowi wszystkie niezbędne dane i opuścili jego gabinet.

Przechodząc obok sekretarki, Gloria nie mogła się powstrzymać i posiała jej tak pogardliwe spojrzenie, że tamta aż zzieleniała i wyszeptała kilka słów, usłyszanych tylko przeze mnie, ponieważ to ja zamykałem dumny przemarsz zwycięzców. Wystarczyło mi opanowania i przezorności, by nie przekazywać ich Glorii. Właśnie dlatego dziennikarka przez całą drogę do kawiarni prezentowała wspaniały humor.

Tam, zajmwszy jeden z wolnych gabinetów, złożyliśmy zamówienie. Gloria zapytała:

- No, i jak ci się on widzi?
- Serge?
- No pewnie, że on. Dusiek, prawda?
- No chyba! - przyznałem dość fałszywie.

W rzeczywistości znajomek Glorii wywarł na mnie nieco inne wrażenie. Z reguły tego typu ludzie są mili dopóty, dopóki nie znajdziesz się przypadkowo na ich drodze. Wtedy szybko dowiadujesz się, że to był błąd. Na szczęście, na razie nic nam nie grozi.

Chociaż, kto wie? Serge, na pewno domyślił się, że nie jestem w zgodzie z prawem. Jego kolejne kroki? Wyłożyć mnie glinom? A niby po co? Co z tego będzie miał? Odpowiedź: nic. Może tylko stracić, ponieważ wyników dochodzenia Glorii na pewno już nie dostanie.

Nie, chyba od tej strony nic mi nie grozi. W każdym razie - na razie.

- Przyznam, że nie wiem, po co ci kontener? - powiedziałem do Glorii.

W tym momencie przyniesiono zamówioną kawę. Doczekawszy się zniknięcia kelnerki, Gloria skosztowała naparu i powiedziała:

- Dla ciebie. Jak inaczej chcesz przenieść się do innego cybera? Te twoje numery ze zmianami wyglądu zewnętrznego tu nie mają szans powodzenia.

- Chcesz więc mnie wsunąć do archiwboxu?

- Yhy. Innego wyjścia po prostu nie ma. Przeszmuglujemy cię jako bagaż.

Nie spodobało mi się to. Dać się wepchnąć do skrzyni, spakować jak jakiś bagaż. Przy tym, jeśli plan Glorii nie wypali, dowiem się o tym dopiero wtedy, gdy mnie wyciągną z kontenera, żeby wpakować do więzienia. A może i tego mi oszczędzą. Po prostu jakiś gliniarz, za odpowiednią opłatą, skasuje mnie, zwolni opakowanie, i nikt mu nie udowodni, że w kontenerze coś było.

- Niepotrzebnie się zadręczasz - powiedziała Gloria. - Już

przewoziłam tak ludzi z cybera do cybera. Takie archiwboxy z reguły nie są sprawdzane, szczególnie jeśli to bagaż ludzi mojego zawodu.

W myślach posłałem wszystko do diabła i zająłem się kawą. A czy mam inne wyjście? Jak mawiają Chińczycy, jeśli jesteś gwałcony i nie sposób tego uniknąć, to wyluzuj się i spróbuj mieć z tego przyjemność.

Kawa była rzeczywiście wspaniała. Mieszkańcy tego cybera to potworni nudziarze, ale znają się najedzeniu i napojach. Odwiedziłem drugi lokal i do żadnego nie mam zastrzeżeń.

- No to jak, wbijesz się w kontener? - zapytała Gloria. Rozłożyłem ręce.

- Jaki mam wybór?

- Żadnego.

- No to przyjdzie mi wykonać polecenie.

Subtelnie uśmiechnąwszy się Gloria powiedziała:

- Wiedziałam, że jesteś człowiekiem myślącym.

- Tak, taki właśnie jestem - zapewniłem ją. - Niektórzy na moim miejscu mogliby nawet pójść dalej w myśleniu i dać się rozwalić. Po co się męczyć, skoro koniec i tak jednaki?

- Och, czy aby nie wpadliśmy w melancholijny nieco nastrój?

- Ależ skąd! Jestem pełen optymizmu i werwy. Promieniają ze mnie. A skoro mówimy o optymizmie - to jaki jest nasz plan?

- Najprostszy z możliwych - odparła, nie mrugnąwszy nawet okiem, moja partnerka. - Nazywa się to „rozpoznanie walką”. Na nic innego po prostu nie mamy czasu. Zjawiamy się w cyberze, w którym zapewne usadowił się główny przestępca, i usiłujemy chwycić byka za rogi.

- Aha, to ten kretyński system „Przybyłem - zobaczyłem -

zwyciężyłem”, dzięki któremu giną młodzi optymiści. A tak poważnie?

- Dobrze, skoro poważnie, to pomyślmy, czego tak naprawdę potrzebujemy. Chcemy przywrócić ci ciało? Tak?

- Tak.

- I poznać pewne fakty, potrzebne mi do reportażu, a także dla naszego wspólnego znajomego Serge'a. Uwzględnij, że on nam pomaga i tę pomoc należy odpracować.

- Zgoda. Chociaż bardzo chciałbym dać jeszcze po pysku temu szefowi złodziei.

- Zapomnij o tym. To przekracza nasze siły. Jestem przekonana, że ochraniają go zawodowcy, prawdziwi zawodowcy, a nie ci chałturszczycy, którzy nie potrafili schwytać cię w cyberze-12. Z tymi chłopakami nie ma żartów, nie zdążysz policzyć do trzech, jak znajdziesz się na tamtym świecie. Zgadzasz się ze mną?

Ponuro pokiwałem głową.

Niewątpliwie moja czarująca znajoma miała całkowitą rację. Główny szef był poza moim zasięgiem, bardzo chciałbym zrobić mu jakieś kuku, ale musiałem się zgodzić, że nic dobrego z tego by nie wyszło.

- No to jak?

- Tak, masz rację - zgodziłem się z kwaśną miną.

- Mądrała. Dobrze myślisz. Tak więc, jedyna rzecz, jakiej potrzebujemy, to informacje. Żeby uratować twoje ciało powinniśmy wiedzieć, gdzie ono się znajduje.

Prychnąłem.

- Naprawdę sądzisz, że od razu nam wszystko powiedzą, do wszystkiego się przyznają?

- Na pewno nie. Ale zapominasz, że moim najważniejszym zajęciem jest zdobywanie informacji. Uwierz mi - mam w tych

sprawach spore doświadczenie i precyzyjny plan działania.

Chyba wychwyciła w moim oku pewne zwątpienie, bo prychnęła rozzłoszczona.

Oczywiście, nie wątpiłem, że Gloria ma świetną technikę zdobywania informacji. Nie utrzymałaby się w swoim zawodzie ani pięciu minut, gdyby było inaczej. Poza tym, widziałem ją w akcji. Ale plan naszego dziarskiego nalotu na cyber przestępcy, zajmującego się kradzieżami ciał turystów... Może tu dziennikarka lekko przesadziła?

- Zobaczysz, wszystko zobaczysz - obiecała Gloria.

Co do tego - miała rację. Wszystko zobaczę. I to wkrótce. Byle by tylko mój anioł stróż, dzięki któremu jeszcze żyję, nie wpadł na pomysł krótkiego, zasłużonego urlopu.

- Uwierz mi, wcale nie wątpię w twoje umiejętności - zacząłem ostrożnie. - Ale podobno jesteście partnerami. A skoro tak, to logiczne by było, żebym dowiedział się, co wymyśliłaś.

- Może. Ale z twojej strony jeszcze bardziej logiczne by było, byś uwierzył mi na słowo. Partnerzy powinni sobie ufać. Czy nie tak?

Kaszlnąłem.

Nie ma gardy na łom twardy. Gdyby była mężczyzną wiedziałbym, co powiedzieć i jak zmusić do odsłonięcia kart. Ale kobieta... Nie, ta dziewczyna na pewno nie należy do tych, co zmieniają swoje decyzje. Może więc najwyższy czas przymknąć kłapaczkę i pozwolić, by wydarzenia po prostu toczyły się same. Zamknąłem się. Gloria też. Chyba się z lekka obraziła. Prócz tego, musiała coś przemyśleć. Ja też.

Milczeliśmy aż do przyjścia Serge'a. Przyszedł nie - jak obiecywał - za pół godziny, a po godzinie. Przez ten czas napompowaliśmy się kawą aż po czubki głów.

- Aleś mi zadanko wymyśliła - oświadczył Serge wchodząc do gabinetu i siadając przy stoliku.

W rękę trzymał kontener, przypominający starożytną „dyplomatkę”.

- Dowiedziałeś się jednak wszystkiego - powiedziała Gloria.

- Dokładnie. Dowiedziałem się. Jakiś koszmar. Z taką pajęczyną jeszcze nie miałem do czynienia, ale w końcu znalazłem miejsce, w którym przecinają się wszystkie nici. Cyber-76. Nawiasem mówiąc, znajduje się w Afryce. Trochę daleko, co?

Gloria skinęła głową.

- Tak myślałam, że będzie dość odległy od naszej części świata. Essutilu, rozumiesz, co mam na myśli?

Rozumiałem. To proste. Żaden lis nie poluje tam, gdzie mieszka. Nasz przeciwnik hołdował podobnym zasadom.

- Może dam ci kilku ludzi do ochrony? - zapytał Serge. - Kto wie, jak się sprawy potoczą?

- Nie potrzebuję - zdecydowanie oświadczyła Gloria. - Nie zamierzamy szturmować tego cybera, udajemy się tam po informacje, a więc im mniej ludzi, tym lepiej.

Miała w tym przypadku rację.

- Jak chcesz - odezwał się Serge. - Czy nie czas pakować twojego partnera do kontenera?

- Czas, czas. Jaka to pojemność?

- Akurat dobra żeby zmieścić jeden program maski. Co do punktu.

- A jeśli nie zmieści się, to co - podzielimy go na dwa kontenery?

- Nie, tak się nie da. Przecież to nie jest zwyczajny program. Maski żywego człowieka nie można podzielić. Jeśli Essutil się nie zmieści, to przyjdzie szukać innego sposobu przeniesienia

go do cybera-76. Na to pójdzie masa czasu i forsy. Tak więc spróbujemy - powóz zajechał, proszę wsiadać.

Powiedziawszy to, Serge otworzył „dyplomatkę” i położył ją na stole.

No tak, w środku był odbiornik. Nie zostało mi nic innego, jak, że tak powiem, „spakować się”.

- No to, dzinie, włącz do swego dzbana - uśmiechnęła się Gloria.

Jęknąłem jak skazaniec.

- No, nie upieraj się - uśmiechnęła się dziennikarka. - Będzie ci tam wygodnie. A ja muszę się śpieszyć.

Miała rację. Trzeba było się śpieszyć. Z dumą muszę przyznać, że powstrzymałem się od drugiego jęku. Nie lubię przesady,

- Potem będziesz mógł przez resztę życia chwalić się, że pewna kobieta nosiła cię na rękach.

Też mi argument. Każdy z nas był noszony przez jakiś czas na ręku. W niemowlęctwie.

Potem, westchnąwszy jednak cichutko, wzruszyłem ramionami i wkroczyłem do „dyplomatki”.

18.

- Jak się czujesz? Nie dokuczały ci koszmary? - zapytała Gloria.

Udałem, że doceniam jej żart. W rzeczywistości o żadnych koszmarach nie może być nawet mowy, jakie koszmary, skoro pół minuty temu byłem w lokalu „Hojny klient”, a potem wszedłem do odbiornika. I to właśnie zrobiłem dziesięć sekund temu. Tak mi się w każdym razie wydawało, póki

Gloria nie zadała tego pytania.

No i zanim się nie rozejrzałem.

Rzeczywiście...

- Co to jest? - zapytałem.

Gloria wzruszyła ramionami.

- Cyber-76, ten, do którego chcieliśmy się dostać. Robi wrażenie, nieprawdaż?

Prawdaż. Robi. Ogromne.

Powiadają, że w cyberach znajduje się cała masa świrów. Czy też szurniętych, albo skiksowanych, na jedno wychodzi. Trzeba sobie więc powiedzieć, że ci co tak twierdzą, mylą się, nawet o tym nie wiedząc. Prawdziwy, stuprocentowy świr w świecie cyberów jest tylko jeden - to właściciel cybera numer... Zresztą - co ja się tak rozgadałem? Wszyscy i tak już wiedzą, o jaki numer chodzi.

- Właścicielem tego cybera jest jeden człowiek? - zapytałem.

- Niemal - odpowiedziała Gloria. - Z papierów wynika, że należy do pewnej bardzo mającej firmy, zajmującej się badaniami w dziedzinie bliskiego kosmosu. Ale w rzeczywistości właścicielem tego cybera jest jeden człowiek.

- Dyrektorem owej firmy - powiedziałem.

- A właśnie, że nie zgadłeś. - Gloria pstryknęła przed samym moim nosem palcami. - Oficjalnie cyber jest częścią tylko jednego działu, odpowiedzialnego za badania opinii społecznej w dziedzinie sytuacji na rynku papierów wartościowych. I, odpowiednio, wszystkim tu zarządza szef tego działu, niejaki Douglas Smolanchik.

- Nic nie rozumiem - powiedziałem. - Co ma do tego rynek papierów wartościowych. Po co jakiemuś działowi cały cyber?

- O to właśnie chodzi. Tego ja też nie rozumiem. Chociaż

udało mi się wyjaśnić, że sam dział nie zajmuje tak wiele miejsca. Widzisz ten domek na szczycie góry? Tak, to właśnie to. Większą część cybera, szczególnie w pobliżu portalu, zajmują najprzeróżniejsze małe firemki, kilka większych magazynów informacji rezerwowej, i - jak wszędzie - sklepiki, kawiarnie, hotele, salony rozrywki.

Przypatrzyłem się uważnie domkowi, wskazanemu chwilę temu przez Glorię. Na oko nie było w nim nic nadzwyczajnego. Niewielka kostka umieszczona na szczycie góry. Wewnątrz może mieć wymiary hangaru na prom kosmiczny, ale to nie miało znaczenia. Najważniejsza była inna sprawa: jak się tam dostaniemy?

Największy problem polegał na tym, że podstawa góry, na szczycie której uwił sobie gniazdko ów Douglas Smolanchik znajdowała się w niebie. Dokładnie mówiąc, góra przypominała olbrzymi stalaktyt, podstawę którego zasłaniały chmury. Przy tym, między wierzchołkiem góry a dolną powierzchnią cybera ziała pięciopiętrowa pustka.

- Chcesz powiedzieć, że ten najważniejszy oprych znajduje się w tym domku?

- Na to wygląda. Może siedzi tam najbardziej zaufany pomocnik tego nikczemnika. To nie jest ważne. Ważne, że tam właśnie musimy się dostać.

- A jak oni sami tam się przedostają?

- Ach, dla nich to betka. Gdzieś nieopodal jest teleportacyjna kabinka, przy pomocy której każdy, kto ma do tego prawo, bez najmniejszych przeszkód przedostaje się do wnętrza budynku. Niepożądani goście, tacy jak wścibscy dziennikarze, czy awanturnicy, usiłujący za wszelką cenę odzyskać swoje ciało, przez tę kabinę nie przejdą. To proste i wygodne. Gdyby gospodarze chcieli kontrolować wszystkie

jego bramy, portale i kanały łączności z innymi cyberami, to przyciągnęłyby to na pewno uwagę kogoś ciekawskiego. A i kontrola nad wieloma punktami jest trudniejsza.

- Rozumiem - wejście jest tylko jedno, i dla nas zamknięte? No to jak się tam dostaniemy?

- Istnieje pewien sposób. - Gloria uśmiechnęła się niczym sfinks.

- A polega na tym, że znowu wsuniesz mnie do jakiegoś kontenera?

- Nie, to nie tak.

- No to na inne rzeczy się zgadzam.

- Trzymam cię za słowo.

- Co to znaczy?

- Ach, nic - uśmiechnęła się Gloria. - Tyle tylko, że spróbujemy właśnie teraz dostać się do tego malutkiego, milutkiego domku dla ptaszków i zobaczymy, kto tam naprawdę mieszka.

- W takich milutkich domkach dla ptaszków czasem siedzą takie smoki... Jesteś pewna, że wszystko pójdzie gładko?

- I kto to pyta? - warknęła Gloria. - Ten sam facet, który kilka godzin temu niemal rozwalił cyber-12. Chciał się, widziecie go, zabawić. Pobawić w policjantów i złodziei.

Mówiąc to zamknęła „dyplomatkę”, wsunęła za najbliższy krzak róży, potem rozejrzała się niczym złodziej i, wyjąwszy z kieszeni niewielki czarny sześcian, położyła go na ziemi. Sześcianik syknął i zamilkł.

- No i co dalej? - zapytałem.

- Poczekaj. To jest świetna rzecz, tylko potrzebuje pięciu do dziesięciu minut, żeby wykonać badanie. Potem sam zobaczysz.

Pokiwałem głową.

Coś nie chciało mi się wierzyć w te wszystkie cudenka techniki. Na moim miejscu żaden z herosów filmu akcji nie wygłupiałby się, tylko poszedł i stuknął po łbie ochroniarza przy teleporcie do ptaszarni. A dla większego efektu waliłby ze spluw we wszystkie strony, a potem wbiwszy muszkę pistoletu w galaretowaty brzuch szefa gangu, zażądał od niego zwrotu majątku i pełnej, bezwarunkowej skruchy.

W tym momencie zdrowy rozsądek, dotąd spokojnie drzemiący w odległym kącie mojej świadomości otworzył jedno oko i zainteresował się, co zrobiłby ów superman, gdyby przy teleporterze nie było ochrony. Ochrony - ludzkiej. Zamiast człowieka mógł go strzec tępy program, uczulony tylko na to, by przepuszczać odpowiednich ludzi, nieodpowiednich odsiewając.

Nie chciało mi się z nim sprzeczać. Pudełko wciąż coś analizowało. Gloria o czymś myślała, paląc długiego „damskiego” papierosa. Nie chciałem jej przeszkadzać. Niech myśli. Sprawie to nie zaszkodzi. Bo co jeszcze mogłoby zaszkodzić? Wiadomo - ci, co odpowiadają za bezpieczeństwo tego domku dla ptaków, też sroce spod ogona nie wypadli. W końcu - jaką aferę wykręcili! Nie wiedzieć dlaczego, przypomniało mi się, że nazwałem twórcę tego cybera szaleńcem. To ja byłem głupi. Co to powiedział pewien starożytny pisarz na ten temat? Aha, przypomniałem sobie. Że mądry człowiek będzie ukrywał suchy liść w jesiennym lesie, bo tam trudniej go znaleźć.

Jestem pewien, że ten kto zbudował ów cyber, najpierw stworzył odwróconą górę, na szczycie której umieścił domek dla ptaszek, a dopiero potem nabudował różnych rzeczy po to, by ta górka nie rzucała się tak w oczy. I świetnie mu się udało.

Jeszcze raz spenetrowałem całą znajdującą się w zasięgu mego wzroku przestrzeń. Względny porządek panował tylko w jednej połowie cybera. Widocznie akurat tam znajdowały się te wszystkie kawiarnie, bary przekąskowe, drobne biura. No pewnie, po co straszyć statystów? Tym bardziej, że mają jedno zadanie: stworzyć pozory najzwyczajszego życia.

Ciekawe, jak budowniczy tego systemu zabezpieczył się przed najazdem gapiów? Pewnie w pierwszym roku istnienia tego wspaniałego chaosu musiały tu walić tłumy, pragnące na własne oczy zobaczyć to szaleństwo.

Hm, szaleństwo... Zgoda, wyglądało to, jakby komuś odbił dekiel. Najbardziej podobały mi się dwie rzeczy. Ogromny kamienny ptak, bardzo podobny do sowy, i ogromna, jaskrawo błyszcząca brytfanna. Sowa siedziała na odpowiednim dla jej rozmiarów drewnianym pniu i wodziła ogromnymi oczami z jednej strony w drugą. Oczywiście, to tylko projekcja, ponieważ nikt nie będzie tworzył autonomicznego programu olbrzymiej sowy. Po co to komuś w cyberze? Ale projekcja, trzeba przyznać, była znakomicie wykonana. Można było sobie z łatwością wyobrazić, że ptaszek, otworzywszy dziób rzuca się na nas, swoją lekką przekąskę.

Brytfanna była nieco mniejsza. Najwyżej na trzech-czterech chłopa. Twórcy cybera oparli ją o niewielkie wzgórze, ozdobione ładniutkim napisem: „Weloryba”. Dla kogoś coś to znaczyło, dla mnie nie. Ale ta brytfanna coś w sobie miała. Coś monumentalnego. Może dla kogoś, kto rozumiał słowo „Weloryba” było to coś ważnego, potrzebnego i nawet wielkiego.

- Gotowe - powiedziała Gloria. - A ty, jak widzę, zapatrzyłeś się na te urokliwe miejsca? Zapewniam, że nic w tym ciekawego nie ma. Miałam znajomego, który jak się napalił

gramszyszu malował takie właśnie rzeczy. Uważał, że gramszysz stymuluje jego potencjał twórczy. Skończyło się tym, że musiał wybrać: gramszysz czy malarstwo. Jak uważasz, co wybrał?

Popatrzyłem na tajemnicze pudełko. Przybrało barwę niebieską, pewnie proces analizy zakończył się. Teraz ta zabawka nas uszczęśliwi, chcąc pewnie dostać się do ostoi złodzieja wystarczy wypowiedzieć coś w rodzaju „Sim-sim, otwórz się”.

Popatrzyłem na Glorię. No, zaczynajmy.

- Patrzysz na mnie, jakbym miała za chwilę dokonać cudu.

Nie, no wśród kobiet też są jasnowidzące. W każdym razie w historii spotyka się wiele przypadków takich ich działań, które nie podlegają żadnej racjonalnej interpretacji.

Dawaj, skarbie, dawaj.

Skarb nie zawiódł mnie. Podniosła pudełeczko z ziemi, mocno ścisnęła w rękę i powiedziała:

- Teraz obejmij mnie za talię. Nie za mocno. Polecimy.

Nie potrafiłem ukryć pełnego rozczarowania westchnieniem.

- Czy ten twój tajemniczy aparat to zwykły antygraw? Nie uwzględniłaś jednej rzeczy: kto nam w tej ptaszarni otworzy okno albo drzwi? Możemy latać sobie po tym cyberze, aż zsiniejemy, ale do wnętrza domku dla ptaków nie dostaniemy się. A na dodatek jego budowniczy mógł przewidzieć taki wariant i czeka nas niespodzianka. Lepiej poszukajmy teleportera.

Mocno tupnąwszy w rozdrażnieniu nogą Gloria oświadczyła:

- Tępak i bałwan. Nic nie rozumiesz. To nie jest żaden antygraw, a najprawdziwszy przenikacz, szósta generacja.

Zupełnie mnie nie obchodzi, jak się to cudeńko nazywa. Nie

przedostaniemy się przy jego pomocy tam, gdzie potrzebujemy.

- Wysłuchaj mnie wreszcie. - Gloria trąciła mnie czubkiem buta w łydkę. - Ocknij się. Jesteśmy w cyberze. To nie jest wielki świat. Tutaj wszystko jest ułudą, iluzją. Tu nie ma grawitacji, jest tylko jej imitacja. A i ta działa tylko dlatego, że ktoś, przygotowując matrycę bazową, wprowadził całkowicie niestandardowy zestaw cyfr. Tak naprawdę to tu nic nie ma - ani powietrza, ani ziemi pod naszymi nogami, ani pożywienia, które pochłaniamy. Jest tylko informacja, dzięki której odbieramy ten otaczający nas świat tak, a nie inaczej. Tu nie ma czterech elementów, z których składa się wszystko rzeczywiste. Tablicy Mendelejewa też nie ma. To znaczy - jest, ale zawiera tylko jeden element - informację. Rozumiesz?

- No to co? Wiem to wszystko.

- A to, że przenikacz tę właśnie informację... jakby ci to wytłumaczyć... rozsuwa. To znaczy - tworzy wokół siebie coś jak kokon, który ją odsuwa. Kokon jest niewielki, dlatego ci, co znajdują się wewnątrz, powinni trzymać się możliwie blisko jego centrum. Centrum to pudełeczko. Jeśli wpadniesz na pomysł, żeby mnie puścić i pospacerować sobie samodzielnie, to nie radzę. Możesz stracić to i owo. To, czym dotkniesz wewnętrznej granicy sfery. Jeśli zaś będziesz zajmował się głupstwami, to sama cię do niej docisnę. Wynik będzie taki sam, opłakany.

- Rozumiem. A jeśli ktoś dotknie zewnętrznej granicy sfery?

- Niczego nie zauważy. Znajdujących się wewnątrz sfery nie tylko nie można zobaczyć, ale i poczuć. Możemy przejść przez kogoś, a on nawet tego nie zauważy.

- Ale żeby coś zrobić będziemy musieli wyłączyć twoje

urządzenie?

- Oczywiście.
- Jasne. A skąd to masz? Ale mów szczerze i uczciwie!

Gloria wzruszyła ramionami i przyznała się:

- Od Serge'a. Wymieniłam na twoją historię.
- Co?

Wytrzeszczyłam gały na Glorię.

- Powtarzam: wymieniłam na twoją historię. Zgodnie z moimi oczekiwaniami bardzo go zainteresowała, i to tak mocno, że dał mi w zamian przenikacz.

Oto są, babskie sztuczki. Wygląda, że pomysł z zapewnieniem sobie pomocy dziennikarki nie był najszcześniejszym w moim życiu.

- To się nazywa twoja wdzięczność? - zakpiła Gloria. - Bez przenikacza moglibyśmy co najwyżej pogapić się na widoki i wracać. A tak - mamy sporą szansę czegoś się dowiedzieć. Rozumiesz?

- Owszem. Nie przyszło ci do głowy, że Serge, zamiast podarowania ci jakiegoś wspianiałego przyrzędu mógł zadzwonić do glińczy? A wtedy z tej „dyplomacji” przeniósłbym się prościutko do nie mniej przytulnego więzienia, albo - co prawdopodobniejsze - zniknąłbym bez śladu, jak rosa poranna.

- Wytłumacz mi w takim razie, jaką korzyść odniósłby Serge? Żadnej. Albo i gorzej. Niektórzy jego klienci, dowiedziawszy się, że jest takim gorącym miłośnikiem praworządności, mogliby powędrować do innej firmy, gdzie mniej się współpracuje z władzami, a bardziej się troszczy o zachowanie tajemnic powierzonych przez klientów. Całkowite zachowanie sekretu klienta, to jeden z wielorybów, na grzbiecie którego opierają się firmy ochroniarzkie tego typu.

Oprócz tego, Serge'a bardzo interesuje moje sprawozdanie na temat gniazda spiskowców.

- No to powinien być wysłać z tobą kilku swoich chłopaków, takich mocniejszych, na wypadek naszej wpadki.

- Akurat na tę okoliczność nie mamy żadnego wsparcia. Co innego, gdyby służby bezpieczeństwa tej firmy schwytały jakąś dziennikarkę i jeden pozbawiony rodziców program, a co innego, gdy z nimi będą przedstawiciele określonej firmy ochroniarskiej. Wyobrażasz sobie, jakie nieprzyjemności czekają Serge'a?

- Innymi słowy, on ma nadzieję, rozgrzebać żar cudzymi rękami?

- A mamy inny wybór?

Podrapałem się za uchem. Oczywiście, wyboru nie mieliśmy. Kto powiedział „a”, niech powie i „b”. Ma rację ta dziewczyna, choć wygląda nie tak kompetentnie. Ale - racja, bez przenikacza nie mamy szans i trzeba by wracać do domciu. A może... Zaraz, zaraz!

- Teraz wiem dlaczego tak się śpieszyłaś, żeby wepchnąć mnie do walizki - powiedziałem z goryczą. - Żeby nie kręcił się w pobliżu, kiedy ty będziesz dobijała targu.

- Dokładnie - roześmiała się Gloria.

- Och, niech to licho pokręci. Jakie jeszcze masz dla mnie niespodzianki. Pokaż mi je lepiej od razu hurtem.

- Już więcej nic nie ma - uśmiechając się lekko powiedziała Gloria.

- Naprawdę? - usiłowałem się upewnić.

- Oczywiście.

Zrozumiałem, że wypytywanie Glorii nie ma sensu. Na pewno ma w zanadrzu jeszcze jakieś numery. Tylko nie powie mi o nich, do czasu.

Dlatego nie warto iść z nią na noże. O wiele mądrzej będzie porozmawiać na inny temat.

- A tak w ogóle - kiedy i gdzie to się pojawiło? - Wskazałem brodą przenikacz. - Nie słyszałem nigdy o czymś takim.

- Przenikacze zostały wymyślone i wyprodukowane dość dawno temu. Po prostu są dokładnie skatalogowane i nie jest łatwo dostać jeden do prywatnego użytku. Sergowi jakoś się udało. Bardzo wątpię, czy jeszcze raz mu się uda. Zazwyczaj przenikacze wykorzystywane są do napraw i usuwania przerwań lub zawiesznień. Są bardzo przydatne w takich wypadkach - jakikolwiek kataklizm by się w cyberze nie przydarzył konserwator zawsze może zupełnie bezpiecznie przejrzeć dowolny kawałek przestrzeni i zdecydować, co należy zrobić.

- Rozumiem - powiedziałem, uspokajając się z lekka.

Szczerze mówiąc już mnie zaczął dręczyć widok tłumu gapiów, którzy przy pomocy takich przenikaczy, niewidoczni i nieosiągalni, będą smakować intymne szczegóły cyberowego życia.

- Ale ten twój Serge capnął tę rzecz nie po to, by usuwać awarie?

- Wiadomo!

Gloria popatrzyła do góry, na ptaszarnię. Zrozumiałem co myśli, i powiedziałem:

- Dobra, czas na nasze wniebowstąpienie. Co więc mam zrobić?

- Obejmij mnie w pasie i nie puszczaj cokolwiek by się nie działo. Całą resztę biorę na siebie.

Co powiedziane - zrealizowane.

Ustawiłem się za dziewczyną, objąłem jej talię, a potem zameldowałem:

- Gotów. Zaczynamy.

Gloria nacisnęła coś z boku kasetki, otworzyło się wieczko. Pod nim pokazało się dziewięć kropek ułożonych w trzy rzędy.

- Wszystko to proste - wyjaśniła dziennikarka. - Podobnie jak w starych klawiaturach jeszcze sprzed epoki cyberów. Te przyciski sterują ruchem do przodu, a te góra-dół, a te dwie w prawo i w lewo. I jeszcze te dwa zwiększają lub zmniejszają prędkość ruchu, i ostatni - włącza i wyłącza przenikacz. Od niego właśnie zaczniemy.

Wrażenie było dość zabawne.

Kiedy Gloria włączyła przenikacz, wokół nas ukształtowała się sfera. Wrażenie przy tym było takie, jakbym się znalazł w centrum bańki mydlanej, powstałej niespodziewanie i zniekształcającej otaczającą przestrzeń.

- Jak się czujesz? - zapytała Gloria.

- Wytrzymam - odpowiedziałem. - Tak w ogóle, to śmiesznie. Jak owad, który nagle wpadł w bursztynową bańkę.

- Dokładnie. Przez cały czas wydaje się, że powinieneś wylecieć przez dno. Ale to się nie stanie, ponieważ tu nie działa grawitacja. Nie zapomnij, że w cyberach działa tylko dlatego, że została wprowadzona odpowiednia informacja. A ponieważ ta informacja do wewnątrz sfery nie przenika...

- Jasne, rozumiem - przerwałem jej. - Tylko jak długo tak będziemy rozmawiać? Może by się ruszyć?

- Oczywiście. Tylko chciałam ci co nieco wyjaśnić. Po prostu, kiedy pierwszy raz skorzystałam z tego urządzenia, poczułam się dość dziwnie.

- Po raz pierwszy? Czy to znaczy, że często pożyczasz od Serge'a przenikacz? Więc to jest wasz, dziennikarski sposób na wszechwiedzę?

- Nie, nie jest to nasz sposób - obraziła się Gloria. -

Przenikacz pożyczalam tylko kilka razy, najwyżej kilka. A dziennikarzy, jak i wilków, karmię własne nogi. Jak również smykałka, niuch, i - w dużym stopniu - równe znajomości. Wystarczy, czy jeszcze mam wyliczać?

- Już-już, wystarczy! Przyznaję - pomyliłem się - oświadczyłem pośpiesznie. - Jedźmy, co?

Zamiast odpowiedzieć Gloria obróciła pudełeczko o dziewięćdziesiąt stopni i otaczający świat przesunął się. Teraz poruszanie do przodu było jednoznaczne ze zbliżaniem się do domku dla ptaków - za plecami miałem dolną powierzchnię cybera, a nad głową miałem sławetną kamienną sowę.

Wynikiem tego był zawrót głowy.

- Trzymaj się mnie mocno - poleciła Gloria. - Zaraz ruszymy.

- Jestem gotów - mruknąłem. - Trzymam się. A co zrobimy, jak nas złapią?

Gloria prychnęła:

- A jak sądzisz?

- Ja osobiście zamierzam walczyć. Co mi zostało? Nie łudzę się, że mogę liczyć na współczucie złodziei.

- Ja też. Nie myśl, że legitymacja prasowa zastąpi kamizelkę kuloodporną. Na pewno nie!

- Ciekaw jestem, ile zamierzasz capnąć za ten swój reportaż?

- Nie powiem. Ale nie aż tak dużo jak sądzisz.

- No to co ci każe ryzykować życiem?

- Sam system. Po to, by znajdować się w gronie wybitnie zarabiających dziennikarzy, muszę co jakiś czas serwować dużego formatu sensację, muszę być na ustach rzesz. No i właśnie nadszedł czas, by o sobie przypomnieć. W przeciwnym przypadku moja sytuacja finansowa bardzo się

pogorszy.

- Rozumiem. Innymi słowy wplątujesz się w tę sprawę nie tylko po to, by zarobić wielkie pieniądze, ale i załatwić perspektywy na przyszłość.

- Oj tak, właśnie coś takiego.

Palce Glorii przemknęły po plamkach i kula z nami w środku wolno ruszyła w kierunku ptaszarni.

Nie poprawiło to mojego samopoczucia.

Wyobraźcie sobie, że nadlatuje na was, niczym karzący palec losu, ogromna góra. Oczywiście, niczym to nie grozi, ale i tak macie wrażenie, że zaraz grzmotniecie w nią, że nic nie przeszkodzi w spadaniu i rozbiciu się na kawałki o dach wspomnianego domku dla ptaków, po czym wasze istnienie zakończy się, zginiecie, znikniecie na zawsze. A wtedy z waszych ust ulatuje mocny krzyk trwogi, chcecie wczepić się paluchami w powietrze, mimo, że to niemożliwe. Wpijacie weń paznokcie, staracie się utrzymać, utrzymać swoje życie, zdolność oddychania i myślenia, życia.

Koszmar!

- Zamknij oczy - poradziła Gloria. - Będzie ci łatwiej.

- O dziękuję, postoję - zaprotestowałem. - Wolę widzieć. Wydaje mi się, że w przyszłości nie uda mi się zbyt często widywać takich rzeczy.

- No to weź się w garść i nie wczepiaj we mnie, jak rozbitek w koło ratunkowe. Chcesz na mojej talii sprawdzić swój chwyt?

No tak, przesadziłem chyba.

Osłabiłem cęgi swych rąk.

- No, lepiej. Jeszcze kilka minut i jesteśmy na miejscu.

- Nie da się szybciej?

- Nie da. Kto wolno jedzie, dalej zajedzie. A teraz milcz, nie

dekoncentruj mnie.

- Jasne.

Góra nadlatywała. Teraz, gdy zostało mi do niej zaledwie kilka metrów, mogłem przyjrzeć się jej lepiej - widziałem leżące na jej stokach kamienie, szczeliny oraz dach domku dla ptaszków.

Nie da się ukryć - wykonanie prima sort. Ktoś nie pożałował pieniędzy. Dachówki na dachu zostały wykonane nie przy pomocy powielania, a każda oddzielnie. Teraz widziałem, że różniły się od siebie nieznacznie. Ta ma pęknięcie, a ta nadgryziony brzeg.

Ho-ho, ktoś wydał sporo infobucksów na to pokrycie.

- No, zaraz wszystko zobaczymy - stwierdziła Gloria.

Sfera dotknęła dachu i ruszyła dalej, rozsuwając go jak połówki muszli. Jeszcze trochę...

- Zgadza się - powiedziała Gloria. - Wewnątrz ta ptaszarnia jest większa.

Sam już to zauważyłem. Nasza kula wisiała pod sufitem wielkiej sali, podzielonej ściankami jak plaster miodu. W każdym segmencie pracowały przy biurkach dziesiątki ludzi, drukowali jakieś listy, czytali dokumenty, rozmawiali z kimś przez videofony.

- Drobni urzędnicy - powiedziała Gloria. - Nie, ci nas nie interesują. Tutaj żaden normalny człowiek nie trzymałby sekretnych danych. Jedziemy dalej.

Opuściła kulę przenikacza niemal nad samą podłogę, przekręciła kasetkę o dziewięćdziesiąt stopni. W wyniku tego ruchu podłogę mieliśmy pod stopami, a sufit nad głową.

Ucieszyło mnie to. To miłe, kiedy świat jest taki, do jakiego przywykłeś.

Palce Glorii ponownie przemierzyły kropki sterownika i

ruszyliśmy dalej. Następny pokój również wypełniali urzędnicy, ale tych było mniej, a ich boksy były większe i przestronniejsze.

- Chyba posuwamy się w dobrym kierunku - oświadczyła Gloria. - Tu siedzą urzędaszy o stopień wyższy w hierarchii służbowej.

- Chcesz powiedzieć, że gdzieś tam przed nami jest gabinet owego Douglasa Smolanchika?

- Pewnie tak. Kto jak kto, ale on musi być wprowadzony i w sprawę dużej taśmy, i w to, gdzie znajduje się twoje ciało.

- Myślisz, że nie doszło jeszcze do rozprowadzenia na rynek transplantów?

- Tak właśnie myślę. Mam pewien pomysł.

Właściwie, jeśli mam być szczery, to i ja dorobiłem się kilku domysłów, ale cholernie mi się one nie podobały. Jeśli miałem rację, to może i odzyskam ciało, ale niemal na pewno nie uda się ukarać winnych.

Dobra, nie to jest najważniejsze. Zacznijmy od zwrotu skradzionego.

Minęliśmy drugie pomieszczenie i ruszyliśmy dalej. Obok nas przepływały gabinety, coraz większe, coraz bardziej wystawne. Pracowali w nich ludzie, o których już na pierwszy rzut oka można było powiedzieć, że stoją wysoko w hierarchii służbowej. Za ich gabinetami ciągnęły się laboratoria, podziemne warsztaty, w których wyraźnie wykonywano coś nietuzinkowego.

- Ho-ho, to całe miasto - powiedziałem. - Nieźle tu się kręci. Wyobrażasz sobie, ile ich to kosztuje?

- Nie sądzę, żeby płacili za swój pałac dużo pieniędzy - odezwała się Gloria. - Ten cyber to własność kompanii. Jedyne ich koszty to podatek od posiadania cybera.

Oczywiście, miała rację. Tak więc to miasto na górze mogło być naprawdę duże. Na pewno niełatwo będzie znaleźć w nim jednego człowieka. Powiedziałem o tym Glorii.

Wzruszyła ramionami.

- A po licho on nam? Czy ty myślisz, że przybyliśmy tu po to, by dźgnąć go w krtań lufą pistoletu i zażądać informacji, gdzie znajduje się ciało? Nie, nas interesuje jego gabinet. Na pewno ukrywa tam wszystkie potrzebne nam informacje. Ale gdyby ich tam nie było, to dam ci szansę, byś wykonał stary jak świat numer z wyborem: albo życie, albo informacje. Nie bój się, dotrzymam słowa.

- A jak rozpoznasz gabinet należący do niego?

- Jakoś tam rozpoznam. Widziałam gabinety takich szefów nie raz. W najgorszym przypadku przypomnę sobie jak wygląda. Serge pokazał mi jego zdjęcie.

- Ja, jak widzę, nie byłem godny obejrzenia go?

- Niestety, w czasie, gdy wyjął fotografię z kieszeni, ty znajdowałeś się już w „dyplomatce”. Uznaliśmy, że nie ma sensu wyciąganie cię z niej.

Aha, to tak. Cóż... Minęliśmy jeszcze kilka pokoi, w tych znajdowali się ludzie w mundurach.

- Ochrona - skomentowała Gloria. - Ciepłej, znacznie ciepłej.

Milczałem, usiłując przewidzieć, jakie jeszcze atuty wyciągnie ze swych przepastnych rękawów. Nic mi nie przychodziło do głowy, choć intuicja podpowiadała, że muszą jakieś być, muszą. Gloria należała do tych kobiet, które nie mogą żyć bez niespodzianek i tajemnic. Niech będzie, czas pokaże.

W jednym z pomieszczeń dziennikarka zatrzymała sferę i gwizdnęła zdziwiona.

- To ci historia, jestem zaskoczona.
- Co się stało?
- Widzisz tę mapę nad biurkiem? Wygląda, że to jest to, czego nam trzeba. Na szczęście w pokoju nie ma nikogo. Musimy to wykorzystać.

Szybko wyłączyła przenikacz i skoczyła do ściany. Szarpnięta mocno mapa - odpadła. Dziennikarka radośnie zachichotała, wróciła w moje objęcia i włączyła sferę.

- Co ty byś beze mnie robił?

Pytanie było czysto retoryczne. Już od dawna wiedziałem, że bez tej energicznej kobiety nawet bym się nie urwał z cybera, w którym zasiadał jej dziwny, potężny znajomy. Łaziłbym między tymi białymi kołnierzykami, między lokalami tak długo, aż dosięgłyby mnie gliny.

- Aha, powinniśmy skierować się tutaj - oświadczyła Gloria, wskazując coś na mapie. - Gabinet Smolanchika powinien być tu. Widzisz, jaki go oplata system ochronny? Gdybyśmy nie mieli przenikacza, to za skarby byśmy tam nie weszli.

Nie da się ukryć - miała rację.

- Pora na to, po co tu przybyliśmy - oświadczyła Gloria. - Na pewno dobrze by było, gdyby Smolanchik otworzył teraz swój sejf. Na pewno jest tam fura ciekawych papierów.

Gloria tak się podnieciła, że dzielące nas od gabinetu pomieszczenia przebyliśmy ze znacznie wyższą prędkością.

I utrafiliśmy w znakomity moment.

Smolanchik akurat znajdował się w swoim gabinecie i zajmował się zamykaniem sejfu. Gdybyśmy się spóźnili o kilka sekund... Oczywiście, to mógł być ktoś inny, ale od razu mój szósty zmysł odpowiedział mi - to on. Zresztą, kto w gabinecie szefa mógł zamykać jego sejf? Tylko on sam.

Wyglądał ten Smolanchik niespecjalnie przekonująco.

Średni wzrost, raczej szczupły. Od razu rzuciły mi się w oczy jego czarne, podobne do szczoteczek wąsiki a la Charlie Chaplin i oczy, bezczelne, z jakąś powłoką tupetu. Nie widziałem u niego żadnych drogich sygnetów i łańcuszków do dewizek, ale garnitur miał szyty u znakomitego i na pewno nie taniego krawca - siedział na nim jakby był jego drugą skórą.

Mgnienie oka po tym, jak znaleźliśmy się w jego gabinecie Smolanchik zatrzaskał drzwi sejfu i wystukał kilka cyfr. W odpowiedzi drzwi po prostu znikły, całkowicie stopiwszy się z tapetą ściany. W miejscu, gdzie się przed chwilą znajdowały, widać było tylko malutką czerwoną plamkę, której - gdyby o niej nie wiedział - postronny człowiek nawet by nie zauważył.

- Ale mieliśmy szczęście! - ucieszyła się Gloria. - To się zdarza tylko w filmach. Dwa ruchy i jesteś królowką! Teraz wystarczy, by na dziesięć minut zostawił swój sejf bez nadzoru, a już my zdobędziemy złote runo.

- Zapamiętałaś kod?

- Oczywiście. Od dziecka mam znakomitą pamięć do cyfr. - Trafiła mnie łokciem w bok. - Niech tylko ten lalusz ruszy się na spacer... Dobrze by było, żeby zrobił to szybko.

- Lalusz? - zdziwiłem się. - Według mnie wstrętniejszy od tego faceta może być tylko pokryty szlamem, stuletni krokodyl.

- To tylko twoja opinia. A według mnie jest bardzo-bardzo interesującym mężczyzną - oświadczyła Gloria. - I gdyby tylko przyszło mu do głowy...

Nie, no na pewno ma jakiś dar jasnowidzenia.

Do pokoju wszedł dość tęgi mężczyzna w średnim wieku, wyglądający na biznesmena. Rozmawiał ze Smolanchikiem z pewnością siebie, ale i tak coś w sposobie podchodzenia do obserwowanego przez nas mężczyzny kazało sądzić, że jest

jego podwładnym.

Para ludzi interesu zaczęła rozmawiać z ożywieniem.

- Czy możemy coś zrobić, żeby usłyszeć, o czym mówią? - zapytałem.

- Nie, żadna informacja przez sferę nie może przeniknąć. Żadna. A szkoda.

- Zgadzam się. - Zacząłem żałować, że nie nauczyłem się w swoim czasie czytać z ruchu warg, a przecież mogłem... Ech!

- Zaraz wyjdą - oświadczyła pewnym tonem Gloria.

- Zaraz to Smolanchik obsztorcuje za coś swego zastępcę i pośle go tam, gdzie raki zimują - powiedziałem nie mniej pewnym tonem.

- Założymy się?

Już miałem się zgodzić, kiedy Smolanchik i jego zastępca skierowali się do wyjścia.

- Ach, trzeba było szybciej - powiedziała z żalem Gloria. - Już bym coś od ciebie wyciągnęła, na pewno.

- Co byś ze mnie wyciągnęła, skoro jestem goły jak święty turecki?

- Nie teraz, potem, kiedy się wyplączesz z tego bałaganu.

- Sądysz, że się wyplączę?

- Niby czemu nie? Ze mną nie zginiesz. A teraz - do roboty, mamy buchnąć kilka sekretów i kilka tajnych dokumentów.

Miała rację w tym względzie.

Pokój był pusty już dobre pół minuty. W każdej chwili mógł wrócić gospodarz. Inna taka okazja może się już nie powtórzyć.

- No to zaczynajmy - rzuciłem. - Tylko uważaj, proszę.

- Będę działała tak ostrożnie, jakbym miała w trzewiach starożytną bombę wodorową - zapewniła mnie Gloria.

Wyłączyła sferę, i - ponieważ wisieliliśmy pół metra nad

podłogą gabinetu Smolanchika, nasze stopy z cichym stuknięciem zetknęły się z nią. Gloria dała mi znak przyciskając palec do ust, i szybko pomknęła w kierunku sejfu. Miała rację. W tym gabinecie, znajdując się poza sferą przenikacza, najlepiej było nie hałasować. Kto wie, jakimi systemami zabezpieczającymi, naszpikowane zostały te ściany?

Na otwarcie sejfu Gloria potrzebowała pięć sekund. Nie był chroniony żadnym systemem sygnalizacyjnym, w każdym razie, gdy Gloria otworzyła drzwi nic nie zaczęło wyć i mrugać pomarańczowym światłem.

Wszystko się zgadza. Smolanchik zupełnie logicznie rozumował, że wobec przedsięwziętych środków ostrożności nikt nie zdoła przeniknąć do jego gabinetu. Sam sejf więc, był raczej hołdem złożonym tradycji. Skoro zaś tak, to po co wydawać pieniądze na coś drogiego i skomplikowanego. Wszyscy ci bogacze mają taki fatalny zwyczaj oszczędzania na rzeczach ewidentnie potrzebnych, jednocześnie szastając forszą na różne głupstwa. No i to się na nich odbija, dzięki czemu mamy ciągłą wymianę na szczytach bogactwa i władzy.

Gloria westchnęła zadowolona i przysunąwszy się bliżej sejfu wsunęła doń rękę. Na jej twarzy rysował się wyraz radości - dziecko, które z ciekawości przepełowało drogą zabawkę i teraz grzebie się w jej wnętrznościach, usiłując zrozumieć zasadę jej działania.

Skierowałem się do sejfu, ale nagle, widząc na biurku szefa stertę małych kwadracików w kolorze perłowym, zmieniłem marszrutę i ruszyłem ku nim.

Tak jak myślałem były to wizytówki, nie takie zwyczajne, a z gatunku tych, co się je rozdaje w szczególnych przypadkach, z zestawem podstawowych danych, które pozwalają spotkać się

z właścicielem wizytówki szybko i z pominięciem wszelkich sekretarek i asystentów.

Cenne znalezisko. Mogą mi się przydać. Uważnie przeczytałem dane z wizytówki i schowałem ją do kieszeni. Może jednak stanie się tak, że niektórzy ludzie, winni tego, co mi się przydarzyło, zapłacą za swoje czyny? Te dane właśnie wtedy mi się przydadzą. W końcu - gdy Bóg śpi, diabli sobie żartują!

Popatrzyłem na Glorię.

Skinęła ręką, przyzywając mnie do siebie. Widocznie coś znalazła. Zobaczmy...

Podszedłem do dziennikarki, a ona, wsunawszy mi w dłoń jakiś świstek, zajęła się badaniem trzewi przechowalni osobistych sekretów pana Smolanchika.

Kartka.

Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. To był jakiś plan. Co takiego szczególnego zobaczyła w nim Gloria? Zwykły plan jakiegoś budynku... Zaraz... co tu jest w centrum? Potrzebowałem kilku sekund, żeby zrozumieć, co mam przed oczami.

Coś podobnego do włoskiego orzecha... Oczywiście, to cyber, po prostu cyber! Cyber? Trzymam w ręku plan cybera? Po co taki plan typowi typu Smolanchika?

Jeszcze raz przyjrzałem się planowi.

No tak, bez wątpienia to plan jakiegoś cybera. Tylko dlaczego ma taki skomplikowany system zabezpieczający? Również labirynt, prowadzący do samego cybera, był bardziej złożony niż ten, który łaskawie zaprezentował mi infoboy. Ten miał kilka pięter, masę pułapek.

Który cyber był tak chroniony?

Oderwałem wzrok od planu i chciałem zadać Glorii kilka

pytań, gdy nagle usłyszeliśmy głos:

- Ach, mamy tu nieoczekiwanych gości!?! Czego szukacie w moim sejfie?

Popatrzyłem w stronę drzwi. Oczywiście. Smolanchik.

Na jego obliczu nie było widać ani cienia lęku, stał szeroko rozstawiając nogi, wzięwszy się pod boki i przyglądał się nam z zainteresowaniem. A tośmy wpadli, niech to wszyscy diabli!

Zaczęliśmy z Gloria działać w zsynchronizowanym rytmie: ja wsunąłem rękę do kieszeni, wymacując pistolet, Gloria poderwała się na równe nogi i chwyciła kasetkę przenikacza.

- Ani ruchu więcej. Drgniecie i jesteście trupami.

W rękę Smolanchika pojawił się pistolet. Malutki, niklowany, bardzo podobny do tych, które rozhisteryzowane damulki lubią nosić w swoich torebkach, obawiając się złodziei. Zupełnie nieprzydatne do niczego pukawiatka, z których nie da się trafić z trzech metrów do wielbłąda.

Ale to, co trzymał w rękę Smolanchik, a byłem swego pewien, nie było damskim pukawiatkiem. Tylko wyglądało na zabawkę. Najbardziej zaś zdenerwowało mnie to, że spluwa w jego rękę pojawiła się znikąd.

- Ty - powiedział, kierując we mnie pistolet - wyciągnij wolno rękę z kieszeni. Klnę się na zbawienie mojej duszy, że jeśli coś w niej będziesz trzymał, w tej samej chwili zostaniesz podziurawiony.

Nie żartował. Miałem tego świadomość. Westchnąwszy z miną skazańca, wypuściłem z dłoni rękojeść pistoletu i wyjąłem rękę z kieszeni.

- Świetnie. A teraz stańcie obok siebie.

Gloria posłusznie wykonała jego polecenie, a potem cienkim głosikiem skrzywdzonej prymuski powiedziała:

- Proszę posłuchać, to jakieś nieporozumienie. Jesteśmy

zwykłymi turystami, przyprowadzono nas do centrum na wycieczkę i my...

- Zabłądziliśmy - odpowiedział Smolanchik. - A żeby znaleźć powrotną drogę wleźcie do mojego sejfu. Bzdura. Tu nie wchodzi turyści. Następna wersja?

- A na dodatek... - Gloria nagle zamilkła.

Zabrakło jej fantazji.

- A na dodatek... Zaraz-zaraz, wydaje mi się, że faceta skądś znam. - Oczy Smolanchika zmieniły się w szparki. - Jesteś tym tułaczym programem, który zginął w rezerwacie wirusów.

- Tym programem, któremu ukradłeś ciało - odpowiedziałem. - Który dobie tu był normalnym człowiekiem, podle pozbawionym prawa do życia.

- No, to nareszcie wszystko zaczyna pasować - oznajmił zamyślony Smolanchik. - A ty jesteś pewnie tą jego przyjaciółką, która, sobie na złość, postanowiła mu pomóc. Tak, wszystko się zgadza. Wleźcie więc do mojego sejfu, żeby wywlec zeń coś tajnego i wymienić na twoje ciało?

Mylił się, rzecz jasna, ale nie zamierzyłem wyprowadzać go z błędu. Co to w końcu za różnica, co sobie myśli ten zabójca?

- Tylko, że gdyby nawet wasz skok się udał - Smolanchik szybko zerknął na zegarek - w co bardzo wątpię, to i tak nie mielibyście z niego żadnego pożytku. Po pierwsze, dla zasady nie poddaję się szantażowi, a po drugie..

Zamilkł.

- A po drugie... - odpowiedziałem mu.

Smolanchik machnął lewą ręką i powiedział:

- Niech to licho, wszystko jedno... Bez względu na wszystko - ciała i tak nie możemy zwrócić. Ponieważ za pół godziny zostanie ono wykorzystane, a nawet ja nie mam możliwości odwołania zaplanowanej operacji.

- Dlatego... - podsunąłem mu początek następnego zdania.
- Dlatego - skorzystał z podpowiedzi Smolanchik - macie, moi drodzy niepożądani goście, niewielki wybór. Z jakiegoś powodu mam dzisiaj fantastyczny humor i dlatego proponuję wam interes.

Z trudnością powstrzymałem jęk. Znowu interes! Jakże mi zbrzydły w ostatnim czasie!

- Na czym polega ten interes? - zapytała Gloria.
- Nie jestem w stanie powstrzymać wykorzystania ciała Essutila Quacka w tej jednej operacji, ale mogę obiecać, że zwrócę je, gdy to wszystko się skończy. Ono nie będzie nam po prostu potrzebne. Ponadto, wszystkie właściwe osoby zapomną co nawyrabiał w cyberze-12 i jako rekompensata zostanie mu wypłacona określona suma pieniędzy. Pasuje?

Gloria dźgnęła mnie łokciem w bok i cienkim głosem małej dziewczynki powiedziała:

- Hojny wujek, prawda?
- Prawda - opowiedziałem. - Ale jeszcze nie słyszałem, czego oczekuje w zamian za swoją hojność.
- Drobiażdżek - rozłożył ręce Smolanchik. - Zupełne nic: wyjaśnicie mi jak przedostaliście się do mojego gabinetu. Tylko i wyłącznie to.
- Tylko to? - zapytałem.
- Właśnie. Takie nic. Uwzględnijcie, że mogłem nic nie proponować, a po prostu zawołać ochronę. Potem zajęliby się wami nasi spece, a wtedy i tak powiedzielibyście im wszystko, ale już nie z własnej woli.
- Jasne - skinęła głową Gloria. - To znaczy, że chcesz wiedzieć, jak tu trafiliśmy?
- Tak - przyznał się szczerze Smolanchik.
- Dobrze - nie mniej szczerze powiedziała dziennikarka. -

Mogę ci pokazać.

I włączyła przenikacz.

- Czy ty wiesz, co zrobiłaś? - wrzasnąłem.

- Bo co? - zdziwiła się Gloria. - I tak by cię wykiwał.

- To jasne. Ale mówię o czym innym. Gdybyś stała o dziesięć centymetrów dalej ode mnie, mógłbym stracić prawe ucho. Albo nawet rękę.

- Och, wybacz - odezwała się Gloria. - Chodź do mnie, kochany, obejmij mnie.

Kochany? To coś nowego.

Spełniwszy życzenie Glorii popatrzyłem w końcu na Smolanchika. Wyglądał jak ktoś doszczętnie skitrany. Nic dziwnego. Na jego miejscu ktoś mniej odporny mógłby nawet kopnąć w kalendarz.

- Jeśli podejmiemy do niego bliżej - odezwałem się do Glorii - a ty na moją komendę wyłączysz sferę to ja kopnę go w łapę z bronią i rozbroję. Potem będziemy mogli się z nim zabawić.

- Nie uda się - odezwała się Gloria. - Ten typ za sekundę odzyska głos i wezwie ochronę, dlatego najwyższa pora stąd zniknąć.

- Przecież jesteśmy poza ich zasięgiem.

- Póki przenikacz jest włączony. Ale żeby się wydostać z tego cybera, będę musiała go wyłączyć. A wtedy nas macną. Kto wie, może oni są nawet w stanie zamknąć wyjście z cybera? Dlatego trzeba się stąd zmywać.

- Masz rację - zgodziłem się.

- Ja mam zawsze rację - powiedziała pieszczotliwie Gloria. Odwróciła kulę tak, że miałem twarz skierowaną ku podłodze.

Tym razem, tak mi się wydawało, Gloria wydusiła z urządzenia wszystko, co się dało. Przebiliśmy się przez

podłogę gabinetu Smolanchika i znaleźliśmy się pół metra od dolnej ściany cybera w ciągu dosłownie kilku sekund. Ponownie obróciwszy sferę tak, by ptaszkarnia znalazła się nad naszymi głowami, Gloria oświadczyła:

- Teraz przygotuj się, zaraz wyłączę przenikacz.
- Po co? - zdziwiłem się. - Lepiej pod jego osłoną walmy do portalu?

- Archivbox - przypomniała Gloria. - Musimy go zabrać, bo inaczej jak cię stąd zabiorę?

Zaraz potem wyłączyła przenikacz i, wylądowawszy, rzuciliśmy się pod ten krzak, pod którym moja piękność ukryła kontener.

- No i już - powiedziała wyciągając „dyplomatkę” z krzaków. - Zaraz będziemy mogli...

Uderzenie wiatru o huraganowej wręcz sile, zważyło nas z nóg. Upadając zauważyłem, że kasetka przenikacza wypada Glorii z rąk i, poturlawszy się ze dwa metry, wpadła do jakiejś szczeliny.

- Co, do licha?! - wrzasnęła Gloria podrywając się na równe nogi.

- To sowa - powiedziałem wstając i wskazując palcem gigantycznego ptaka.

Właśnie tak było. Wyglądało na to, że Smolanchik jednak ocknął się i zaalarmował swoje siły, i to w wymiarze totalnym, kiedy uruchamiane są wszystkie posiadane w cyberze systemy ochronne. Sowa była akurat jednym z nich.

Gloria chwyciła „dyplomatkę” i krzyknęła:

- Uciekamy!
- A co z przenikaczem?
- Cholera z nim. Przecież nie chcesz przez niego zginąć! - krzyknęła dziennikarka uciekając od monstrum.

Nie musiała mi tego powtarzać. Runąłem w ślad za nią. W odpowiedniej, co się zowie, chwili: ułamek sekundy później olbrzymi dziób ptaka wbił się w ziemię, w miejscu, w którym jeszcze chwilkę temu staliśmy. Chyba nigdy nie biegłem tak szybko.

Za naszymi plecami wrzeszczała kamienna sowa, kilka razy wiatr powstający od uderzeń jej skrzydeł zwał nas z nóg, ale podrywaliśmy się i dalej gnaliśmy jak szaleni do portalu, którym mieliśmy się przedostać do sąsiedniego cybera. Od strony ptaszarni ktoś walił w nas ognistymi kulami. Na szczęście odległość była znaczna i strzelec pudłował. Właściwie nie zwracałem na to szczególnej uwagi. Moją uwagę zaprzętała myśl, Glorię, jak się okazało, też.

Zatrzymawszy się przed budynkiem portalu otworzyła pokrywę archiwboxa i krzyknęła:

- Wskakuj. Żeby tylko nie zamknęli przejścia. Żeby tylko nie zdążyli tego zrobić.

Zgadzałem się z nią w tym momencie na sto procent. Dlatego skoczyłem w „dyplomatkę” na główkę, jak wytrenowany nurek...

19.

- Uff- odezwała się Gloria, gdy ponownie wyskoczyłem z archiwboxa. - Takiego zwariowanego dnia nie miałam już dawno. Kiedy wszystko się skończy, zalegnę w łóżku na tydzień i będę się oddawać wspaniałemu, zachwycającemu nieróbstwu. Może nawet przeznaczę na to kilka tygodni.

- Dobrze ci mówić - powiedziałem, zapalając papierosa. - Masz dom. Ja nie mam nawet własnego ciała.

- Dziękuj, że w ogóle jeszcze żyjesz. Wiesz, że ten bydlak Smolanchik zamknął przejście? Spóźnił się dosłownie o kilka sekund i zdążyłam przejść do sąsiedniego cybera. Nasze szczęście, że aby zamknąć wszystkie portale i przejścia potrzeba trochę czasu.

- Fajnie, że nasza wyprawa skończyła się bez ofiar - powiedziałem ponurym tonem. - Jednakże nie osiągnęliśmy celu. Wiadomo tylko jedno - za pół godziny definitywnie stracę swoje ciało.

- Nie za pół godziny - poprawiła mnie Gloria. - Za piętnaście minut. Żeby tu się dostać musiałam stracić trochę czasu. Ale tu możesz wrócić do swojego sztucznego ciała.

Rzeczywiście. Rozejrzawszy się, zobaczyłem wśród przechodniów wielu urzędników. A stojący obok budynek wyraźnie był biurem jakiejś firmy, i ten obok też, i następny, i po drugiej stronie ulicy.

- Po co mam wracać do sztucznego ciała? - powiedziałem markotnie. - Czy nie prościej, żebym tu pozostał? Przecież i tak w najbliższym czasie albo zdelektują mnie gliny, albo skończę tak, jak kończy większość tułaczych programów - w wykrocie.

- Och, wygląda, że pękłeś, kolego - powiedziała Gloria.

Chwyciwszy mnie za rękę, niemal siłą pociągnęła na najbliższy, wypieszczony skwer i zmusiła, żebym usiadł na jednej z ławek.

- Po co to wszystko? - wymamrotałem.

- Po to, że zostało nam niewiele czasu. Jeszcze możesz spróbować uratować swoje ciało.

- Ciekawe jak? Nawet nie wiem, gdzie ono jest.

Gloria klasnęła w dłonie.

- Bałwan. Czy naprawdę potrzebujesz policzka, żeby się trochę otrząsnąć? Przecież czegoś się dowiedzieliśmy. Teraz

trzeba dobrze przemyśleć, co wiemy. Na pewno jest jakieś wyjście.

- Wyjście znajduje się na ogół tam, gdzie wejście - mruknąłem pogrążony w rozpaczy.

- Ach tak!

Spoliczkowała mnie. Szkoda mi się zrobiło niedopałka. Walał się teraz jakieś trzy metry od ławki. Poza tym bolała mnie twarz. Zresztą najważniejszy cel Glorii został osiągnięty. Ocknąłem się, wynurzyłem z toni apatii, poczułem nagle, że nie wszystko stracone.

Nie da się zwyciężyć tego, kto nie wierzy w możliwość porażki.

- Dobra, myślmy - powiedziałem. - Popatrzyliśmy w oczy przeciwnikowi. Prócz tego dowiedzieliśmy się, że nie wiadomo za bardzo po co ma w sejfie plan systemów ochronnych jakiegoś cybera. Wiemy też, że moje ciało będzie niedługo wykorzystane w jakiejś operacji. Wszystko? A właśnie, grzebałaś w sejfie, nie było tam czegoś jeszcze ciekawego?

- Zdążyłam przejrzeć tylko kilka ze znajdujących się tam teczek - odpowiedziała Gloria. - Nie było tam nic szczególnego. Może gdybym grzebała dłużej...

- Dobra, co się stało... Podsumujmy. Co mamy? Plan i czas. Niedługo zacznie się ta sławetna operacja, w której ma uczestniczyć moje ciało. Co to może oznaczać?

- Nietrudno się domyślić. Zostało porwane nie po to, by w postaci organów trafić na czarny rynek implantów. Jest im potrzebne w całości do wykonania jakiegoś przestępczego zadania.

- Tak jest. Pozwala to założyć, że pozostałe ciała zostały porwane w tym samym celu. Innymi słowy, Smolanchik dysponuje aktualnie piętnastoma - szesnastoma ciałami, które

postanowił wykorzystać do jakiejś enigmatycznej operacji. Jakiej i gdzie?

- Plan - przypomniała Gloria.
- Ach, plan... Chcesz powiedzieć, że zamierza przy pomocy tych ciał przejąć jakiś cyber? Po co mu to?

- Chociażby po to, by otrzymać okup. Chłopcy Smolanchika, wykorzystując skradzione ciała przejmują jakiś cyber i żądają wysokiego okupu. Gdy go dostaną, porzucają ciała, a sami uciekają z cybera i spróbuj ich potem znaleźć.

- Będą musieli wraz z ciałami porzucić pieniądze. Nie mogą ich przenieść do cybera. Rozumiesz?

- Okup nie musi mieć postaci gotówki. Władze megapolis będą zmuszone przelać je na konto w innym megapolisie, z którym nie podpisano umowy o ekstradycji.

Pokiwałem z powątpiewaniem głową.

- Wszystko to mogłoby się udać, gdyby Smolanchik nie był pracownikiem dużej firmy. Pieniądzy może władze nie odzyskają, ale na pewno dowiedzą się, kto to wszystko zorganizował, a wtedy gliniarze uprzykrzą skutecznie życie firmie i jej szefom.

- A co go to obchodzi? Jestem pewna, że w tej właśnie chwili Smolanchik daje drapaka z naszego megapolisu, jak lis, za którym goni wataha gończych. A jego ciało na pewno znajduje się już w bezpiecznym miejscu.

- Coś mi tu nie gra - powiedziałem wolno. - To nie jest właściwy wariant.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, próby wyszarpania okupu od władz w dziewiętnastu próbach na dwadzieścia kończą się wpadką. Władza robi co może, żeby tylko nie zapłacić terrorystom pieniędzy. To nawet jasne. Każdy przypadek, kiedy przestępcy

uda się przejąć pieniądze i uciec z nimi, rodzi dziesiątki innych prób. Lepiej stracić coś teraz, niż w przyszłości stanąć przed dziesięciokrotnie większym zagrożeniem. Za duże ryzyko. Po drugie, olbrzymie koszta. Po co Smolanchik kradł te ciała, tracił na to niewyobrażalne pieniądze, skoro mógł sobie spokojnie kupić piętnaście sztucznych. O wiele taniej i bez kłopotów. Zamiast organizowania tej olbrzymiej karuzeli czy też taśmy, trzeba było tylko urządzić wszystko tak, by nikt nie wiedział gdzie zostały kupione sztuczne ciała. Bo po zakończeniu operacji trzeba będzie je porzucić. Po trzecie, czy nie za dużo ma ten Smolanchik pieniędzy? Spróbuj sobie wyobrazić jaką kwotę stracił już na przeprowadzenie tej operacji! Czy on jest multimilionerem? Wiadomo, jest świetnie ustawiony, ale nie aż w takim stopniu!

- Ale ma swój cyber - zaproponowała Gloria.
- Cyber należy do firmy, w której on pracuje, a nie osobiście do niego. W ogóle, pieniądze na zorganizowanie tej robótki - przy tym, pamiętaj - w pełnej tajemnicy, mogły u niego pojawić tylko pod jednym warunkiem.
- Jakim? - zapytała Gloria.
- Pod warunkiem, że w całej sprawie bierze udział kierownictwo firmy. Ale po co solidnej, bogatej firmie, cały ten kryminał? Na dodatek szansa, że wszystko się uda, są tak małe, że żaden zdrowy na umyśle i ciele biznesmen nawet by tego nie próbował.

Po chwili namysłu Gloria zdecydowanie oświadczyła:

- Tak, masz rację. Rzeczywiście - coś się nie zgadza. Całkowicie się nie zgadza.
- To znaczy...
- To znaczy, że zbudowaliśmy całkowicie niepoprawny model. Coś opuściliśmy.

- Ale co? - zapytałem ironicznie. - Posiadane przez nas fakty mogą być interpretowane tylko tak. I nijak inaczej.

- Nie jestem pewna.

Wyciągnąwszy z kieszeni papierosy Gloria zapaliła. Ja też. W milczeniu obserwowaliśmy przechodzących obok nas urzędników, wciąż od nowa usiłowałem ułożyć posiadane dane, jak kawałki łamigłówki w jedną całość. Nic mi nie wychodziło. Nic. Chociaż... Miałem takie dziwne odczucie, że jest jeszcze coś, jakieś fakty, o których zapomniałem.

- Słuchaj, a jeśli ta operacja wcale nie musi przynieść dochodów? - nagle zapytała Gloria.

- A co?

- Nie, no pieniądze, ale nie tak bezpośrednio, a w przyszłości. Na przykład, tym sposobem pozbędą się konkurenta.

- Niby jak?

- Szturmem zdobędą należący do niego cyber i wysadzą go w powietrze. Szkody będą niewyobrażalne.

- No to musieliby sobie załatwić piętnastu kamikadze, a skąd ich wziąć? Nie jednego czy dwóch, ale tuzin z hakiem. Starymi czasy było tego towaru pełno, ale teraz, kiedy praktycznie każdy może przenieść się do cybera, to samobójców zrobiło się strasznie mało. Przy tym potrzebni są niezwyčajni samobójcy, a spece - od strzelania, wysadzania, szturmowania... Może by się znalazło piętnastu włóczęgów, ćpunów czy alkoholików, ale specjalistów? Specjaliści od walk rzadko dają się zmienić w fanatycznego samobójcę. Nie, ten wariant też nie przejdzie.

- Dlaczego? Mogą założyć minę i próbować się zmyć.

- Szansa na szczęśliwe zakończenie jest jeszcze mniejsza niż otrzymanie okupu.

Ale coś w tych słowach było. Czułem to w duchu. Może rzeczywiście Smolanchika nie interesują pieniądze, a coś innego. Zachichotałem.

- Wiesz, czym my się teraz zajmujemy?

- Czym?

- Stosujemy brzytwę Ockhama. Bardzo prosta zasada. Odcinamy wszystko, co niepotrzebne. A to, co pozostanie, jest prawdą.

- Tak, masz rację - powiedziała nieco roztargniona Gloria. - Brzytwa Ockhama. Dobra nazwa. Jest w niej coś egzotycznego, niepokojącego. Tak więc, zgodnie z tą zasadą chcę ci podrzucić jeszcze jedno pytanie. Dlaczego oni nie wykorzystują do wykonania swego planu programów? Przecież mogliby naszpikować umysły porwanych ludzi programami i kazać im iść umierać. Czy to złe wyjście?

- Nie, nie przejdzie - odpowiedziałem jej. - Sama dobrze wiesz, że program nie może wnikać w ludzkie ciało. Do sztucznego - proszę bardzo. Ale do prawdziwego ludzkiego ciała... nie i jeszcze raz nie. Właśnie dlatego powstało prawo, zgodnie z którym zakazane jest wytwarzanie programów, które mogłyby być implantowane do ludzkiego ciała.

- Tak, wiem o tym - powiedziała Gloria. - Ale Smolanchik mógł wynająć specjalistów, którzy mogliby opracować taki program.

- Nie. Skalpel Ockhama - powiedziałem twardo. - Ten właśnie skalpel. To by wymagało fantastycznej fortuny, którą dysponuje firma. Do tego trzeba również mnóstwa czasu. Może całe lata. Nie, to coś innego.

Milczeliśmy zgodnie przez chwilę.

Dopaliłem papierosa i, cisnąwszy niedopałkiem o ziemię, pomyślałem nieco melancholijnie, że wszystkie nasze wysiłki

są daremne. Nie rozwiążemy tej zagadki. Czyli że...

- Poczekaj - powiedziała Gloria. - Chwyćmy za drugi koniec. Jeśli Smolanchik zaczął kraść ciała, to może to oznaczać tylko jedno: ma piętnaście świadomości ludzkich, specjalistów do walk, którzy nagle zostali bez ciał. Ci ludzie, otrzymawszy ciała, zdolni są, żeby odwdzińczyć się za ich zwrot, do najbardziej beznadziejnych czynów.

- Poczekaj, poczekaj - opowiedziałem jej. - Niekoniecznie. Ale coś jest w tym stwierdzeniu o piętnastu specjalistach, którzy nagle zostali bez ciał... coś w tym stylu słyszałem i to niedawno...

Akurat w tym momencie moja pamięć, ulitowawszy się nade mną, podsunęła to, co od pewnej chwili usiłowałem sobie przypomnieć.

Do licha! Kryminaliści! Oczywiście, że tak!

- Wiem, gdzie Smolanchik zdobył piętnastu speców od działań bojowych - powiedziałem.

- Gdzie?

- W więzieniu, oto gdzie. Przed pojawieniem się w tym cyberze, jak pamiętasz, byłem w wielkim świecie. Wpadłem do pewnego przyjaciela i przypadkowo zobaczyłem wiadomości. Jakies typki porwały więzienie, ale nie zdołali porwać ciał swoich towarzyszy. Ciała zostały w zarządzie gliniarzy. A więzienie, to jednak nie jest cyber. Małe gabaryty, więc je ukradli.

Gloria uśmiechnęła się radośnie.

- Teraz się zgadza, jesteśmy na tropie. A ponieważ w więzieniu ma się całą galerię typów, nie sprawi trudności wybranie piętnastu osób, zdolnych do opanowania cybera, prawda?

- Prawda.

- Wszystkie te typki w kradzionych ciałach, po zajęciu cybera powinni zażądać nie pieniędzy, ale zwrócenia im ich ciał i zabezpieczenia ucieczki. A dla swoich ciał na pewno są gotowi na wszystko.

- A nie prościej byłoby uciec w tych ciałach, które już mają?
- Nie, są im potrzebne ich własne - oświadczyła z mocą Gloria. - Własne. Uwierz mi - życie w cudzym ciele to nie kawałek ciastka. Jeśli przebywasz w nim za długo można oszaleć. Próboweś kiedyś czegoś takiego?

- A ty?
- Próbowalam raz. Koszmarne uczucie. Mówię ci - można zwariować.

Popatrzyłem na Głorię z nieukrywanym zainteresowaniem. Ciekawe, jakie okoliczności zmusiły ją, by wlała w cudze ciało? Co prawda dochodziły do mnie różne plotki o wyrafinowanych dewiantach, którzy na jakiś czas zamieniali przy pomocy cybera ciała... Dobrze, teraz nie ma czasu na takie dociekania.

- Tak więc - z niezmaconym spokojem kontynuowała Gloria - już do czegoś doszliśmy. Skalpel Ockhama pomógł. Teraz wiemy, po co Smolanchikowi ciała. Jak się czujesz na myśl, że do twojego ciała wchodzi właśnie jakiś brudny przestępca?

Chrząknąłem.

Dobra myśl. Ja sam jeszcze o tym nie myślałem. Nie było czasu. A i teraz też nie ma. Tym bardziej, że mam w pogotowiu ciekawe pytanko.

- Przy okazji - zadałem jej - mogłabyś mi wyjaśnić, jak Smolanchik może coś zyskać na tej operacji? Kryminaliści są zainteresowani wszystkim tylko nie tym, żeby wysadzić w powietrze cyber konkurenta. Nawet jeśli dostaną wcześniej

ciała, to wysadziwszy go odetną sobie wszystkie drogi odwrotu. Przechwycają ich po drodze do granicy.

- W każdym przypadku będą ich przechwytywali.

- Oczywiście. - Zastanawiałem się chwilę, ale w końcu zdecydowanie potrząsnąłem głową. - Nie, nic mi nie wychodzi. Pewnie ci, z którymi kryminaliści będą pertraktować zwrot ciał, uwzględnią wariant z wybuchem i postarają się wytargować takie warunki, przy których otrzymają gwarancje, że do tego nie dojdzie.

- A jeśli nie?

- No to nie odbędzie się handel. Zrozum, najważniejszy cel kryminalistów to otrzymać swoje ciała. Najważniejszy cel glin - nie dopuścić do wysadzenia w powietrze cybera. Jeśli jedna z umawiających się stron nie będzie miała gwarancji, że jej warunki na pewno będą spełnione, to nie dojdzie do interesu.

- A nie wydaje ci się, że ktoś ze świata przestępczego mógł po prostu wynająć Smolanchika? Za bardzo duże pieniądze ma uwolnić tych, co siedzą w więzieniu?

- Po co w takim razie zajęcie cybera? Po co kradnie piętnaście ciał? Wystarczyło ukraść jedno, albo dwa, jeśli tych, co zapłacili jest dwóch. Dlaczego kradł ciała w celu zajęcia cybera? Tylko w jeden sposób można to wyjaśnić - on sam jest zaangażowany w to przedsięwzięcie. Albo jego firma. Czy to nie brzmi lepiej?

Powiedziawszy to, westchnąłem.

Pytanie, w końcu, było ważne. Gloria wytrzeszczała chwilę na mnie oczy, potem potarła czoło, wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Dobra, ten problem teraz nie jest taki ważny. Najważniejsze to określić, jaki właściwie cyber postanowiła zająć przygotowana przez Smolanchika drużyna?

Rozłożyłem ręce.

- Tego to już nie damy rady.
- Przecież widziałeś plan. Nie dał ci do myślenia?
- Nie jestem specem od cyberów. W sumie to bywałem tylko w jednym.
- Ale gdyby udało nam się ustalić, na jaki cyber nastawili się przestępcy...

Zapaliłem i przespacerowałem się po skwerku. Niewątpliwie, całe nasze myślenie nie ma sensu, jeśli na jego podstawie nie potrafimy określić, w jaki właściwie cyber wymierzony jest cios Smolanchika.

Czas, przeklęty czas, zostało go tak niewiele.

Oczywiście, mógłbym teraz skoczyć do wielkiego świata i zerknąć na ostatnie wiadomości. Znaleźć w nich odpowiedź na to pytanie. Inna sprawa, że gdy dowiem się tego z wiadomości, to będzie już za późno na nasze działania. Na dodatek, gdy już tam się dostaniemy, to dokoła będą takie hordy dziennikarzy, gliniarzy i gapiów, że pozostanie nam tylko rola pasywnych widzów. A w tym czasie pertraktacje między przestępcami i glinami mogą zakończyć się fiaskiem, zaczniesz się strzelanina i stracę swoje ciało na zawsze.

Nie, żeby mieć gwarancję uratowania ciała muszę być pod cyberem albo w chwili, kiedy wszystko się zacznie, albo chwilę później, póki jeszcze nie pojawią się główne siły glin. W tym celu muszę w ciągu najbliższych dziesięciu minut określić numer tego przeklętego cybera. Takie, bracia, sprawy. Akurat w tym momencie obok skweru przechodzili dwaj urzędnicy. Jeden z nich podszedł do mnie i poprosił ognia.

Pstryknąłem zapalniczką, urzędnik z widoczną rozkoszą zaciągnął się dymem papierosa i ruszył w stronę swego towarzysza, żeby dokończyć przerwana na chwilę rozmowę.

Usłyszałem jak powiedział do niego:

- No więc potem przenoszę wszystkie pieniądze w depozyt i jak gdyby nigdy nic zwracam się do centralnego banku. I jak myślisz, co mi odpowiedzieli?

Urzednicy oddalali się, więc nie usłyszałem ciągu dalszego. Właściwie, nie potrzebowałem go. To, co usłyszałem podsunęło mi taką myśl... Taką głupią. Taką durną... Stop! Dlaczego - taką durną?! Właśnie, że świetną myśl. Najważniejsze, że wyjaśniającą wszystko.

Zachichotałem i wróciłem przed ławeczkę, na której siedziała Gloria.

Dziewczyna obrzuciła mnie zaniepokojonym spojrzeniem.

- Nie przejmuj się - powiedziała. - Ostatnio z moimi nerwami też nie jest najlepiej. Ale nie chichoczę jak głupia.

Ciągle histerycznie chichocząc pomachałem jej przed twarzą dłonią. Gloria westchnęła:

- Tak, tak, rozumiem wszystko. Ty też wrócisz do normy, ale na razie pomyśl o takim wariancie. Może ten plan...

- Poczekaj - wyrzuciłem z siebie, opanowawszy w końcu nerwowy chichot. - Mogę ci powiedzieć, jaki cyber jest celem Smolanchika. Centralny cyber bankowy. Wszystko mi pasuje: znajduje się w naszym megapolisie, nie tak znowu daleko stąd, a przy tym tylko tam może być tak potężny system ochronny.

- Centralny cyber Bankowy - odruchowo powtórzyła Gloria.

Nagle palnęła się w kolano i niemal krzyknęła:

- Niech to diabli, oczywiście że tak! Wreszcie wiadomo na jaki łup zamierzył się Smolanchik. Centralny cyber bankowy.

- Właśnie on. Dlatego ty teraz pobiegiesz uprzedzić gliny, a ja rzucę się ratować swoje ciało. Może mi się to uda.

- Biegnij - powiedziała Gloria. - A ja zostaję. Biegnij.

- Dlaczego? - zapytałem.
- Dlatego, że jeśli Smolanchik nie poplątał coś z czasem, to do początku wymyślonej przez niego operacji zostało pięć minut. Biegnij.

Miała, rzecz jasna, rację.

Odwróciłem się i z całych sił rzuciłem się tam, gdzie znajdował się portal, na drugim końcu którego znajdowało się moje sztuczne ciało.

20.

- Już straciłem nadzieję - powiedział infoboy. - Myślałem, że nie wrócisz.

- Nie mam czasu - oświadczyłem rzucając się do wyjścia z sali cybera. - Chodźmy stąd i to możliwie szybko.

- I nie będzie pan więcej niepokoił mojej firmy? - zapytał infoboy maszerując obok mnie.

- Nie będę. Klnę się, że już nigdy nie pojawię się na waszym horyzoncie. Nawet jeśli nagle będą musiał zorganizować wycieczkę dla wszystkich moich znajomych. Wolę spędzić tydzień na wkuwaniu przewodników, niż ponownie was niepokoić.

Metalowy kurczak wydał z siebie wysoki melodyjny dźwięk, jak sądzę oznaczający najwyższy stopień zadowolenia.

Szybkim krokiem przemaszerowałem obok ochrony, skręciłem za róg i rzuciłem się biegiem.

- Co się stało? - zapytał infoboy truchtając obok mnie, na co pozwalały mu długie nogi.

- Nic, zupełnie nic! - ryknąłem. - Po prostu bardzo się śpieszę. Bardzo, rozumiesz?

- To nawet widać.

Ponieważ nie zareagowałem na jego słowa, infoboy też postanowił zamilknąć.

Przed wyjściem z budynku cybera musiałem jeszcze raz przyhamować. Klnąc na czym świat stoi, wyszedłem z budynku cybera i szybko rozejrzałem się.

Glin, jak na złość, w pobliżu nie było. Szkoda. Wielka szkoda. Bardzo by mi się teraz przydała awietka z dwoma glinami na patrolu. Nie będą przecież gonił do cybera banku centralnego na własnych nogach? A pieniędzy na jakiś inny rodzaj transportu, rzecz jasna, nie miałem.

- Życzę powodzenia! - krzyknął za mną infoboy, gdy zacząłem się oddalać od budynku cybera.

Nie odpowiedziałem mu. Nie miałem po prostu czasu bawić się w grzeczności. Tym bardziej, że musiałem stracić jeszcze co najmniej kilka minut, żeby doprowadzić sztuczne ciało do gotowości bojowej. Zanurkowałem w pierwszą lepszą bramę i zająłem się właśnie tym. Właściwie nie wymagano ode mnie nic ponad to, żebym wydał umówioną komendę i nieruchomo stał dwie minuty. Były to zapewne najdłuższe dwie minuty w moim życiu.

W końcu podprogram, sterujący procesami aktywacji, oznajmił, że wszystko gotowe. Potem dodał, że w takim stanie mogę przebywać nie dłużej niż godzinę. Potem zostanie mi tak mało energii, że ledwie jej wystarczy, by wrócić do schronu.

Kicham na to. Potem, to będzie zupa z kotem. Najważniejsze żebym zdążył teraz.

Wypadłem na ulicę i rozejrzałem się jeszcze raz. Gliny, gdzie są gliny?! Łapcie mnie, szukajcie, łapcie! Ktoś tam na górze kolejny raz pokazał, że obdarza niezasłużenie wielką sympatią moją osobę. Obejrzawszy się, zobaczyłem awietkę glin.

Wynurzywszy się z najbliższej przecznicy wolno zbliżała się do mnie.

Och, szczęście ty moje! O, farcie mój cudny!

Rozpaczliwie zamachawszy rękami rzuciłem się do awietki. Oczywiście nie zostałem niezauważony. Awietka gwałtownie zanurkowała w dół i wylądowała jakieś pięć metrów ode mnie. No! Teraz trochę kitu dla stróżów porządku i po zabawie. Najważniejsze to zbliżyć się do nich na odległość wyciągniętej ręki. Potem ja będę dyktował warunki.

- Halo, obywatelu, co się stało?

Gliniarzy było dwóch. Jeden z nich otworzył drzwi i wysunął na zewnątrz tłusty, spasiony pysk. O takich się mówi, że można o ich czoła tłuc prosiaki.

- Pomocy... tam... napadli...

- Na kogo?

- Na cyber bankowy. Zaraz będzie o tym komunikat.

Mówiąc to podszedłem do gliniarza.

- A ty co masz z tym wspólnego?

- Ja jestem świadkiem. I osobiście znam kilku z napastników.

Odległość między mną i awietką zmniejszyła się jeszcze trochę.

- A co my mamy do tego?

- Jak to co? Powinniście dostarczyć mnie na komendę. Przydam się do pertraktacji. Spytaj swoich przełożonych. Jestem pewien, że każą ci dostarczyć mnie natychmiast do centralnego cybera bankowego.

Zrobiłem jeszcze dwa kroki.

- No, stój tam w miejscu - nagle zaczął mądrzeć gliniarz. - Zaraz sprawdzimy...

Za późno. Gwałtownie skoczyłem do przodu, szarpnąłem

drzwiczki i wyrznięłem kantem dłoni glinę w szyję. Odseparowało go to od rzeczywistości niemal natychmiast.

Dobra, teraz drugi. Jeśli zdąży zaalarmować... nie zdąży. Jeszcze jeden ruch i uderzony przeze mnie gliniarz turlał się po jezdni. Wsunąłem się do wnętrza i wyłączyłem jego kolegę. Odczekawszy chwilkę, by spotkał się z jezdnią, usiadłem przed pulpitem sterowniczym i zatrzasnąłem drzwi.

Świetnie. Teraz pełnym gazem do centralnego cybera bankowego. I niech ma mnie w opiece mój anioł stróż! Dobrze przynajmniej, że zdarzyło mi się kiedyś kierować cywilną awietką, może uda się i tą. Udało się!

Przyjrząwszy się pulpitowi zrozumiałem, że tak właśnie będzie.

No to gazem, pod pełnymi żaglami. Żeby tylko gliniarze nie ocknęli się za wcześnie. Chociaż, co oni mogą zrobić, nawet gdyby ocknęli się właśnie teraz? W porządku - zameldują na komendę. A co dalej? Nie, musi mi się udać, muszę zdążyć.

W chwili, gdy awietką wzbijała się w powietrze, na monitorze pulpitu pojawił się komunikat: „Uwaga! Napad na centralny cyber bankowy! Wszystkie jednostki natychmiast zgłosić się w miejscu napadu!”

Aha, mieliśmy rację! To znaczy, że inne nasze myślowe konstrukcje też muszą być prawidłowe. Teraz tylko trzeba dotrzeć do centralnego cybera bankowego zanim obok niego pojawią się najprzeróżniejsi spece od walki z terroryzmem. Mam szansę. Oni zaraz wystartują. Będą pędzić na całego, ale ja już jestem w powietrzu, już pokonałem część drogi.

A niech to!

Ledwo udało mi się rozminąć z dużą pasażerską awietką, pomalowaną jak namiot cyrkowy, nabitą jakimiś turystami, sądząc po ilości holokamer - z japońskiego megapolis. Bardzo

się panom samurajom udało, naprawdę bardzo.

Pędziłem, wyciskając z patrolowej maszyny wszystko, co się dało. I zdążyłem. Chyba naprawdę zdążyłem. Przed budynkiem centralnego bankowego cybera stały tylko dwie patrolowe awietki, odpowiednio - miałem do czynienia z czterema gliniarzami. Zajmowali się tym, czym powinni byli się zajmować - stali z tępych wyrazami twarzy i czekali na specjalistów.

Gratuluje, doczekaliście się. Jednego już macie. I żeby nie było żadnych wątpliwości - przyleciał patrolową awietką. Widocznie bardzo się śpieszył. Wylądowawszy obok szeregu glin, wyskoczyłem z pojazdu, dokładnie zamknąłem drzwi i zdecydowanym głosem człowieka, przywykłego do wydawania rozkazów zapytałem:

- Ilu ich jest?

- Nie wiadomo - powiedział jeden z gliniarzy, krępy, niemal kwadratowy, z twardymi rysami oblicza, na którym wielkimi literami wypisano co najmniej dwadzieścia lat wzorowej służby. - A pan kim jest?

- Elleri Quin. Główny wydział do walki z terroryzmem. Pododdział kontaktów siłowych. Czy wysunięto już jakieś żądania?

- Nie. Minutę temu jeden z nich wyrzwał na zewnątrz i krzyknął, że będzie pertraktował tylko z wysokim szefem.

Poczułem ulgę. Mój plan się udał. W każdym razie nikt nie zażądał ode mnie dokumentów. Muszę działać szybko, bo zaraz przybędzie naprawdę jakaś fisza.

- Dobra, skoro chcą rozmawiać z kim ważnym, to ich żądanie zostanie spełnione. Już w tej chwili.

Powiedziawszy to, skierowałem się do drzwi budynku cybera.

- Hej - próbował mnie zatrzymać ten sam doświadczony gliniarz. - Należy poczekać na przybycie głównych sił.

- Zapytam pana o zdanie wtedy, oczywiście, kiedy będzie to potrzebne - oświadczyłem nie znoszącym sprzeciwu tonem, po czym odsunąłem go na bok.

- Ale mimo wszystko...

Za późno. Już szedłem w kierunku drzwi cybera. Widocznie okupujący go przestępcy obserwowali mnie, ponieważ, gdy tylko doszedłem do drzwi, któryś zapytał przez głośnik:

- Szanowny pan to kto?

Miałem wielką ochotę odwrócić się i popatrzeć na gliniarzy, może już mnie rozszyfrowali i wycelowali w moje plecy swoje armaty?

- Mam nowiny - powiedziałem. - Od Smolanchika. Wpuście mnie. Musimy pogadać.

Przez chwilę nic się nie działo. Przestępcy naradzali się. Jeśli będą zwlekali dość szybko nadejdzie moje małe kaput. Drzwi otwarto w chwili, gdy z tyłu słychać już było sygnały kilku pędzących do cybera awietek.

- Wchodź. Tylko bez żadnych sztuczek.

- Jakie mogę wam zaserwować sztuczki? - warknąłem i przemknąłem przez powstałą w drzwiach szczelinę.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem w środku, była lufa przedpotopowego automatu. Wyglądało, że na zakup broni Smolanchik raczej się nie wysilił. Jak im się udało z takim sprzętem zawładnąć cyberem?

- Jakie masz dla nas nowiny? - zapytał uzbrojony w automat paker.

Nie wyglądał na słabeusza. Widocznie ludzie Smolanchika starali się dobrać do tej akcji znajdujących się w dobrej formie. Ech, gdybym i ja był jakimś cherlakiem albo spaślakiem, to

nikt by się nie połakomił na moje ciało i miałbym spokój.

- Mogę to przekazać tylko waszemu dowódcy - powiedziałem. - Trzeba wprowadzić pewne korekty do pierwotnego planu.

Oczy pakera zwięźli się. Coś nie bardzo mi wierzył. Był tam też drugi, tyle, że znajdował się w głębi korytarza i też celował we mnie z automatu. Sprytne. Gdybym teraz coś przedsięwziął, to zastrzeli i mnie i kolesia.

- Nie próbuj mnie kiwnąć - powiedział pierwszy paker. - Widziałem, że przyleciałeś awietką glin.

- Bez wątpienia - zgodziłem się. - Przyleciałem. Co z tego?

- A to, że możesz być bardzo cwany gliniarzem. I kiedy wprowadzimy cię do wnętrza, zaczniesz machać łapkami, walić z pistoletu.

Szczerze mówiąc, to był właśnie mój plan. Nie mogłem jednakże przyznać się do tego.

- Jesteś bardzo mądry - powiedziałem kpiącym tonem. - Pomyśl teraz przez chwilę. Co ja mogę zrobić sam przeciwko wam wszystkim. Poza tym, gdybym był gliniarzem, to skąd bym wiedział o Smolanchiku dosłownie kilka minut po opanowaniu przez was budynku?

- Ale gliny cię przepuściły.

- Pewnie. Właśnie dlatego przyleciałem ich awietką.

Drugi paker, uważnie przysłuchujący się rozmowie, rzucił:

- Dobra, Kinol. Chyba się wszystko zgadza. Ciągnij go do Smarka. A ja tu popilnuję. Na szturm to oni się zdecydują nie wcześniej, niż za pół godziny. Chociaż według scenariusza w ogóle tego nie uczynią.

Kinol?

Nos mojego rozmówcy miał normalne wymiary. Ale... Zupełnie zapomniałem, że jego własne ciało mogło mieć

ogromną niuchawę.

- Idziemy. - Kinol pchnął mnie lufą automatu w stronę korytarza. - Tylko, błagam, nie kuś mnie. Migiem zrobię z ciebie durszlak.

Rozłożyłem ręce.

- O jakich pokusach mowa? Po co mi jakaś zadyma?

- Szoruj, szoruj.

Poszorowałem. Po drodze do cybera zobaczyłem jeszcze pięciu bojowników, ale własnego ciała nie zobaczyłem.

Niedobrze. W idealnym finale powinienem już wiedzieć, gdzie ono się znajduje. A tu... swoją drogą ciekawe, gdzie je wepchnęli. Idąc do sali cybera miałem nadzieję, że właśnie tam je zobaczę. Ale wystarczył jeden rzut oka, by nadzieja ta umiała.

Trzeba będzie działać na chybił trafił. Cóż... Piętnastu chłopca na umrzyka skrzyni? Jo-ho-ho i...

W sali znajdowali się jeszcze trzej. Nie wiedziałem, kto dowodzi. Ale to nie miało większego znaczenia. Gorsze było to, że nie mogłem określić, kto jakimi dysponuje umiejętnościami. Zazwyczaj można to określić po ruchach, wyrazie twarzy, po sposobie mówienia. A tu sprawy wyglądały zupełnie inaczej. W ciele zupełnie nieszkodliwie wyglądającego człowieka może znajdować się najniebezpieczniejszy przeciwnik.

No, farcie, złośliwy żartownisiu, nie zawieź mnie teraz. Potem możesz sobie robić ze mną, co ci tylko przyjdzie do głowy.

- A to kto? - zapytał jeden z goryli, niewysoki, ale cholernie barczysty typek z małymi oczkami i dużą kwadratową zuchwą.

- To, Smarku, posłaniec od Smolanchika. Powiada, że powstały jakieś korekty planu.

Aha, to jest przywódca. No-no!

- Smolanchik? Kretyn, skopie nam całą sprawę. Dobra, chodź tu i wykładaj całą sprawę, co tam ten bęcwał wymyślił.

Dobra, *show must goes on!*

W zaktywizowawszy w myślach pewne podprogramy, zmniejszyłem dzielącą mnie od Smarka odległość i - udając, że potknąłem się o coś - runąłem na ziemię.

Bandydzi zareagowali niemal natychmiast. Niemal. Poruszałem się znacznie szybciej od nich i ta zwłoka mi wystarczyła. Smark załamał się po jednym ciosie w jego skarbnicę. Stojący obok niego, po prawej, siwobrody osiłek zaczął walić się na plecy, nie wiadomo po co sięgając do rękoności sterczącego z gardła noża. Ten, który stał po lewej stronie, przywódcy, zdążył odsunąć się, ale wystrzeliłem z nadgarstka lewej ręki cienką stalową, podobną do małego bumeranga płytką, przeszła jego pierś i, widocznie, trafiła prosto w serce.

Ale miałem czuja walić się na ziemię. Seria z automatu Kinola przeszła powietrze nad moją głową. Kretyn. Na spust nacisnął, ale lufy w dół nie skierował.

Obróciłem się na pięcie, gwałtownym ruchem wyrwałem mu z ręki broń i huknąłem lufą w splot słoneczny. Kinol zgiął się w pół. Wyprostowawszy się palnąłem go w łeb i, niech to lichy, przesadziłem. Głowa rozpadła się jak arbuzy. Nie czułem obrzydzenia. Jeden z uruchomionych przeze mnie podprogramów uwalniał od uczuć tego typu, uczuć przeszkadzających w szybkim, sprawnym działaniu, zimnym i wyrachowanym.

Dobra. Ci mają dość. Czas na resztę. Ale najpierw trzeba się przekonać co do jednej rzeczy. Szybko się rozejrzałem.

Oto jest.

Do boku olbrzymiego orzecha, znacznie większego od

widzianego podczas wycieczki z infoboyem, przyczepiony był ładunek. Prościutka konstrukcja. Kilka lasek dynamitu i jakiś patent z cyferblatem i dwoma małutkimi migającymi diodami.

Podprogram działał znakomicie, więc zrobiłem to, czego w innym stanie nigdy bym nie zrobił. Odczepiłem ładunek od cybera, wyrwałem jedną z lasek i złamałem ją. Na podłogę wysypał się żółty proszek o mocnym kwiatowym zapachu. Mogło to być wszystko, ale nie dynamit. Oczywiście, nie jestem saperem, ale nie mogło to wybuchnąć w żadnym wypadku. Najprawdopodobniej sypiący się z resztek opakowania proszek był zwykłym, nieszkodliwym proszkiem do prania.

No i już. Durnie patentowani ci przestępcy. Szczególnie, że zawierzyli takiemu Smolanchikowi. Cisnąwszy fałszywy ładunek na podłogę, ruszyłem do drzwi wyjściowych. Teraz dopiero zacznie się najciekawsze. Tu nie można się już pomylić. Zbyt wiele znajduje się w puli.

Za drzwiami powinny znajdować się jeszcze dwa zbiry. Załatwiłem ich w mgnieniu oka, bez żadnych specjalnych numerów, skoków i machania rękami. Po co? Znacznie łatwiej było wyskoczyć i, zanim się zorientowali co jest grane, wsadzić w każdego po kilka pocisków.

Wsadziłem potem pistolet do kieszeni i chwyciłem automat jednego zabitych. Z tą zabawką będzie mi wygodniej. Szczególnie, że nie ma potrzeby brania jeńców. Ci, których ciała sobie przyswoili, już dawno nie ma w świecie żywych.

Gotów do działania ruszyłem korytarzem. Po pięćdziesięciu krokach dotarłem do odnogi korytarza, na szczęście dokładnie przyjrzałem się w swoim czasie planowi i zapamiętałem rozkład labiryntu. Jednakże kolejne rozgałęzienie, obok którego załatwiłem następnego bandytę, zmusiło mnie do namysłu.

Gdzie może się znajdować moje wielce grzeszne ciało? W jakiej części labiryntu się znajduje?

Nie zostało mi nic innego jak polegać tylko na szczęściu. Zresztą, nie miałem już czasu na zastanawianie się. Gliny lada moment muszą skumać, że dzieje się coś niezwykłego i ruszą do szturm.

Skręciłem w lewo.

I nie pomyliłem się. Ponieważ skręciwszy jeszcze kilka razy znalazłem to, czego szukałem.

Siebie.

Moje ciało stało w niszy, najwyraźniej pozostałości po jakimś zdemontowanym urządzeniu i uśmiechało się bezczelnie. Poza tym miało w ręku automat i, gdy tylko pojawiłem się w jego polu widzenia, rozległa się soczysta seria.

Zdążyłem się ukryć i, przysłuchując świstowi pocisków, rykoszetem orzających ściany, spróbowałem oszacować swoją sytuację. Szczerze mówiąc była do dupy.

Dzieliło nas jakieś osiem kroków, nie mniej. Nie miałem szans pokonać tego dystansu i wczepić w panującego nad niszą bydlaka. A strzelać do niego, rzecz jasna, nie mogłem. Nie zostało mi nic innego jak przedostać się do niego wcześniej, niż on mnie podziurawi. Musiałem polegać tylko na szybkości i farcie.

Albo rybka, albo!..

Wypadłem z za rogu i w biegu pochylałem się w prawo, potem w lewo. Coś kilkakrotnie uderzyło mnie w brzuch. Ale to była betka - akurat brzuch w przypadku sztucznych ciał jest bardzo bezpieczny. Można go pochlastać pociskami, nic ważnego tam nie ma.

Gdy do tego zbira, który z dzikim rykiem szył do mnie z

automatu, zostało tylko kilka kroków, runąłem na podłogę. Dzięki temu wystrzelona z bezpośredniej odległości seria przeleciała mi nad głową. Chwilę potem już przeturlałem się i od dołu walnąłem swoje ciało w brzuch, nie za mocno, ale wystarczająco, by wybić mu powietrze z płuc. Podrywając się na równe nogi sypnąłem mu w gardło kantem dłoni.

Koniec. Wykonane. Skończone.

Podniosłem z podłogi automat, z którego jeszcze chwilę temu sypały się w moim kierunku pociski, odrzuciłem go możliwie daleko i załadowałem sobie nie dające oznak życia ciało na plecy.

No, teraz czas wiać stąd. Reszta to już nie moja sprawa. Niech wyłapują pozostałych przestępców nasi junacy-gliniarze. A ja... Ja muszę jeszcze stąd uciec i wynieść ciało, w które nie powinny trafiać pociski.

Co prawda muszę jeszcze sobie poradzić z jednym bydlakiem przy drzwiach. Ale jakoś sobie poradzę, mam nawet jeszcze kilka pocisków w pistolecie. A właśnie... Wyciągnąwszy pistolet ruszyłem do wyjścia.

Pilnującego go zbira zmiotłem jednym strzałem. Zostało mi już tylko wyjść z budynku.

Wyjść. To już nie jest trudne.

Rzuciłem pistolet na podłogę, poprawiłem sobie ułożenie ciała na plecach i wyskoczywszy z budynku cybera krzyknąłem:

- Wszyscy do mnie! Szybciej. Oni chcą wysadzić w powietrze cyber! Ale możemy ich jeszcze zatrzymać! Szybciej!

Dobrze to sobie obliczyłem.

Drużyna glin, przygotowana do wyłamywania drzwi, runęła do wnętrza. A ja, oczywiście, rozsądnie ustąpiłem im z drogi.

Nie mogę powiedzieć, żeby nikt nie zainteresował się mną.

Po prostu - ponieważ najwyraźniej nie zamierzałem uciekać, a wewnątrz rozgorzał prawdziwy bój, wyjaśnianie kim jestem i jak się tu znalazłem, odłożono na później.

Zaraz za pierwszą grupą, do wnętrza budynku wdarła się druga. Grupka szefów, stojących w bezpiecznej odległości, natychmiast zaczęła wydawać zupełnie niepotrzebne i zwyczajnie kretyńskie polecenia. Dziesiątki dziennikarzy usiłowały przedrzeć się do budynku, i - oczywiście - byli powstrzymywani. Do tego dochodzili jeszcze gapie, a ci jazgotali jak stado dyskutujących srok. No i jeszcze jakiś psychol usiłował rozwiesić nad wejściem do budynku plakat, i to tak, by wpadał w pole widzenia halokamer dziennikarzy. Na plakacie wyliczone były zalety najbardziej aromatycznych herbatników na świecie - „Rajski smak”.

Krótko rzecz ujmując - powstała taka sodoma, że nikogo nie obchodziła moja osoba. Wykorzystawszy to podszedłem do jednej z awietek i ułożyłem na ziemi swoje ciało. Przykucnąłem obok. Dotarłem do końca. Już nic nie musiałem robić, tylko czekać.

Zajmą się mną, na pewno się zajmą. Potem, kiedy ten burdel zostanie opanowany. Zajmą się mną, i rozwikłają wszystko, i oddadzą mi moje ciało, i znowu życie wróci do normy. Będzie dobrze. Bardzo dobrze i zwyczajnie - wspaniale.

Myśląc o tym, rzuciłem roztargnione spojrzenie na własne ciało.

I drgnąłem.

W skroni mojego ciała widniała malutka, dopiero co powstała dziurka po pocisku. Nawet nie słyszałem wystrzału. Może zagłuszył go cały ten rejwach? Nieważne... Co innego jest ważne: dlaczego ktoś strzelał do mojego ciała? I zadałem sobie to pytanie trzy, czy cztery razy, zanim zrozumiałem, że znam

na nie odpowiedź, znam bardzo dobrze.

Dlaczego? Ależ dlatego, że takie bydlaki jak Smolanchik, zawsze asekurują się podwójnie. Dlatego, że z budynku cybera nie powinien być ujść cało ani jeden przestępca. Ani jeden. A czy to takie trudne ustawić gdzieś w pobliżu kilku snajperów?

A wiedząc, że to wyjaśnienie jest absolutnie trafne, przestałem w ogóle myśleć, o czymkolwiek. Po prostu siedziałem i tępo patrzyłem jak z rany postrzałowej wolno, niezwykle wolno wypływa mały czerwony strumyczek. A gdy osiągnął podbródek mojego ciała i zaczął skapywać na jezdnię, zachciało mi się krzyczeć. Wyc jak zwierzę. Nie jak człowiek.

Nie zacząłem jednak krzyczeć. Po prostu odwróciłem się i odszedłem. Została mi do zakończenia jeszcze jedna sprawa.

21.

- A jednak ten kret to wielki oszust - powiedział Nobbin, wystukując swoimi olbrzymimi stopami pod stołem krótką stepującą sekwencję.

Nudzący się na jego głowie wzrok Plotki przewrócił się na plecy i zaczął energicznie drapać się po wypukłym, mocno nabitym brzuszku.

- Odczep się od tego kreta - rzucił Hobbin. - Napijmy się lepiej. W końcu mamy dziś pogrzeb Essutila Quacka. Nie tak często grzebie się takiego dobrego człowieka.

- Dobrze gada - powiedział Nobbin. - Klnę się na własny żywot - myśl jest prawa.

I zaraz po tych słowach Plotka nagle się ożywił i dźgnąwszy mnie palcem w bok zapytał:

- No to jak - pijemy za wieczny odpoczynek?

Pokręciłem głową i powiedziałem:

- Nie, za wieczny odpoczynek już wystarczy.
- A za narodziny nowego tułaczego programu o imieniu Essutil Quack?

- O, za to należy wypić - zgodziłem się. - Ale innym razem. Dobrze?

- Dlaczego? - zapytał Nobbin.
- Dlatego, że nie można pić jednocześnie za wieczny odpoczynek i za narodziny.

- A my skruszymy ową tradycję - oświadczył Hobbin. - Tym razem musimy ją złamać.

- I stracimy okazję do jeszcze jednej okazji? - rzucił pytanie Plotka. - Nie, nie zgadzam się. Choć długotrwała pijatyka jest fajna, to dwie są lepsze.

- A może on ma rację? - zapytał Hobbin. - Hej, Essutilu, będziesz jeszcze stawał.

- Nie ma sprawy, postawię - obiecałem. - Ale innym razem.

- Ale tu, w „Blood Mary”?

- Wyłącznie.

- Nie, no fajny chłop z ciebie! - oświadczył Hobbin. - Za to cię kocham. Bardzo.

Odliczyłem dwieście infobucksów i podając je Plotce, wyjaśniłem:

- Dług.

- Rozumiem. Szanuję - skinął głową tamten.

- A na mnie już czas - powiedziałem wstając.

- Poczekaj. - Plotka chwycił mnie za ramię. - Zupełnie zapomniałem. Dozorca ZOO prosił, żeby cię pozdrowić i podziękować za to, że zwróciłeś to sztuczne ciało. Jest, co prawda, nieco podniszczone, ale jeszcze kilka razy da się wykorzystać.

Przypomniałem sobie, jak szukałem wejścia do bunkra i aż się wzdrygnąłem. To było coś...

- Pozdrów dozorcę ode mnie. I w ogóle - pozdrów wszystkie zainteresowane osoby.

Powiedziawszy to, ruszyłem do wyjścia, a przechodząc obok kontuaru puściłem do barmana oko. Ten wzruszył ramionami, wyłowił spod lady siatkę i zaczął wyłapywać fruujące pod sufitem rybki. Podchodząc do drzwi pomyślałem, że im bardziej wszystko jest po nowemu, tym bardziej wydaje mi się, że po staremu.

Lwi pysk ryknął za mną:

- Dziękujemy za odwiedzinę. Zapraszamy w przyszłości.

Powinienem być mu coś odpowiedzieć, ale nie chciało mi się. Zobaczyłem Glorię.

Stała o piętnaście kroków od „Blood Mary” i uśmiechała się tak, jakby były stareńką, gotową wszystko wybaczyć mateńką, a ja - synem marnotrawnym, który w końcu wrócił do domu rodzicielskiego.

Podszedłem do niej, przez jakiś czas staliśmy i patrzyliśmy sobie w oczy. Potem pocałowała mnie i powiedziała:

- Chodźmy stąd. Chodźmy dokądś.

- Może wrócimy? - zaproponowałem ostrożnie.

- Nie - uśmiechnęła się Gloria. - Musimy pogadać sam na sam. Chodźmy więc do parku.

Dobra. Park, to park.

Poszliśmy do parku, wybraliśmy sobie odległą, ukrytą przed oczami ciekawskich w gęstwinie wspaniałych zarośli wicio-krzewu ławeczkę i usiedliśmy na niej. Kilka chwil milczeliśmy. Potem Gloria zapaliła i powiedziała:

- U ciebie wszystko w porządku?

- Tak - odpowiedziałem szczerze. - Ubezpieczalnia

wypłaciła mi przyzwoitą kwotę. Mogę teraz kupić sobie sztuczne ciało i próbować żyć tak, jak żyłem wcześniej. Oczywiście, nie będzie łatwo, ale spróbuję. Pewnie wcześniej, czy później przyzwyczaję się do sztucznego ciała, gliny ode mnie się odczepiły... Udało mi się. Ocknąłem się z żalu na tyle wcześniej, że zdążyłem zwać i zwrócić sztuczne ciało do bunkra. W ten sposób gliniarze nie mieli żadnych dowodów na to, że byłem w wielkim świecie. Według oficjalnej wersji, cudem uratowałem się ze szponów drapieżnego wirusa, odchorowałem swoje właśnie tu, w cyberze-12. A to, że w wielkim świecie, ktoś w jakimś sztucznym ciele próbował wynieść moje ciało, nie miało ze mną nic wspólnego. Wiesz, wydaje mi się, że gliny coś podejrzewają, ale ponieważ nie mają żadnych dowodów...

- A poza tym ktoś tam na nich nacisnął - powiedziała Gloria.

- Ach tak?

- Oczywiście. Myślisz, że dlaczego tak szybko od ciebie się odczepili? Pomyśl trochę i zrozumiesz, że to do nich wcale nie podobne.

Zapaliłem papierosa i zapytałem:

- Kimże jest ów dobroczyńca, taką pieczę otaczający mą osobę? Czyżby twój stary znajomy Serge?

- Właśnie on.

- Rozumiem. Tylko co do jednego nie mam pewności... Dlaczego on przez cały czas usiłuje mi pomóc? Czym zasłużyłem na taką sympatię?

- To nie sympatia - odpowiedziała Gloria. - Po prostu odwdzięcza się za to, że przy twojej pomocy nieźle zarobił.

- To rozumiem. Ale jak?

Naprawdę zdziwiłem się.

- Dokładnie mówiąc, to zarobił na nas obojgu. Ja swoją dołę otrzymałam w pieniądzach, ty - przysługę, i to bardzo cenną. Gdyby gliny chciały, to łatwo mogłyby capnąć cię za skrzydełka.

Potrzebowałam nieco czasu, żeby strawić to, co powiedziała Gloria, wypaliłam papierosa. W końcu, wyrzuciwszy niedopałek, zażądałam:

- Glorio, opowiadaj wszystko. W końcu - teraz już możesz?
- Mogę, mogę - uśmiechnęła się z lekkim roztargnieniem.
- No to zamieniam się w słuch.
- Dobrze. Ale najpierw odtwórzmy długie dni wszystkich tych wydarzeń, w wyniku których straciłeś swoje ciało.

Zgodziłem się z entuzjazmem.

- Tak więc - zaczęła Gloria. - Niejaki Smolanchik urządził dużą taśmę, czy też karuzelę, dzięki której stał się posiadaczem piętnastu ciał. Ciała te przeznaczone były dla przestępców, którzy mieli na jakiś czas zająć centralny cyber bankowy i, grożąc jego wysadzeniem, zażądać zwolnienia ich prawdziwych ciał, a także ciał innych przestępców z tego samego cyberwięzienia. Jak sądzisz, po co to zrobił?

Rozłożyłem ręce.

- Oczywiście, żeby na tym zarobić.
- W jaki sposób?
- A jakie to ma znaczenie?
- Ma.
- Nie wiem.
- No to ci opowiem. Oczywiście, w ogólnych zarysach. Wszystkie cybery wyposażone są w przyciski, pozwalające znajdującej się na zewnątrz osobie, przy pomocy jednego ruchu odciąć cyber od całego pozostałego świata. Całkowicie. Po co takie zabezpieczenie? Wiesz, że czasem w cyberach

powstają jakieś awarie. Tak więc ten przycisk jest potrzebny, by przy awarii jednego cybera, nie ucierpiały pozostałe. Nie można pozbawić cyberów tych przycisków, bo kiedyś może zdarzyć się globalna katastrofa. Z drugiej strony, bez tego przycisku zajmowanie cyberów nie miałoby żadnego sensu. Utraty czego najbardziej boi się rząd, jeśli ktoś, zawładnąwszy cyberem, grozi jego wysadzeniem?

- Informacji - powiedziałem.
- Dokładnie. Nie cyber, choć i ten kosztuje sporo pieniędzy, a przechowywana w nim informacja jest dla rządu najcenniejsza. Jeśli przestępcy, opanowawszy cyber, nie wiedzą o tym przycisku i nie da się z nimi dogadać, to całą informację można przetoczyć do innego miejsca i zarządzić szturm. Nawet, jeśli przestępcy uruchomią ładunek, to straty są minimalne.
- Ale ci, co zaatakowali centralny cyber bankowy wiedzieli o tym przycisku?
- Jeszcze jak! Pierwszą rzeczą, jaką wykonali znalazłszy się wewnątrz, to było przyciśnięcie go. Co się stało? No, stało się niedobrze - wewnątrz tego cybera przechowywana są tak ważne dane o najprzeróżniejszych firmach, że ich utrata byłaby katastrofą. Dlatego zajęcie centralnego cybera bankowego stało się powodem bezprecedensowej paniki na giełdzie. Akcje firm, mających konta w tym cyberze, spadły na łeb na szyję.
- Stop, rozumiem - powiedziałem. - A ktoś, kto wiedział o przygotowywanym zajęciu cybera, mógł na tej nie mającej precedensu panice zarobić wściekle dużo.
- Właśnie. Szczególnie jeśli doskonale wiedział, że niczym poważnym ten atak nie grozi i, że bomba, którą wręczył terrorystom nie wybuchnie, ponieważ z zasady nie może

wybuchnąć.

- A terroryści?

- Powinni byli zginąć, żeby nikt nie dowiedział się, w jaki sposób zdobyli ciała. Ten element planu Smolanchika zadziałał znakomicie. Z piętnastu osób, które zaatakowały centralny cyber bankowy, nikt nie został żywy. Widocznie wśród szturmujących cyber glin, było kilku przekupionych. Na wszelki wypadek Smolanchik umieścił gdzieś na zewnątrz jeszcze kilku snajperów. To się sprawdziło.

Hm, sprawdziło się. Widziałem, jak się to sprawdzało.

- Do licha, on to wszystko przekreślił sam? - zapytałem.

- Ależ skąd!! Smolanchik był tylko kimś w rodzaju dyrektora wykonawczego. W tej sprawie maczały palce całe szczyty firmy. Zdecydowali się pójść raz na spore ryzyko, no i - odpowiednio - zgarnąć niewyobrażalną pulę.

- Zgarnęli?

- Nie taką znowu dużą, jak sądzili, ale co nieco chwycili.

- Rozumiem - powiedziałem. - Nie bardzo jednak rozumiem historię z tymi zbirami. Coś mi nie pasuje. Smolanchik zaczął kraść ciała, zanim przestępcy ukradli więzienie. Czy może wszystko, co związane z kradzieżą ciupy, też było przez niego zorganizowane?

- Oczywiście. Właśnie dlatego więzienie ukradziono dosłownie w przeddzień operacji. To było mniejsze ryzyko. Przecież gdzieś trzeba było je ukryć.

- Jasne.

Oparłem się plecami o ławkę i wsłuchałem w szczebiot jakiejś ptaszyny. Nieopodal nas, po alejce przeszło kilku turystów. Zatrzymywali się dosłownie przy każdym krzaczku czy drzewku, zaciekle sprzeczali się czy zostały prawidłowo skopowane z wielkiego świata czy nie.

Oczywiście mieli do tego prawo. Chociażby dlatego, że mieli ciała, własne. Tam. W wielkim świecie. A ja mogę tam pojawiać się tylko w sztucznym.

Tak to jest.

- A co ma do tego Serge? - zapytałem.
- On przed nami zaczął podejrzewać, że coś się szykuje. Dlatego w czasie naszej wizyty w należącym do Smolanchika cyberze, towarzyszyła nam para jego agentów.

- Byli niewidzialni dzięki drugiemu przenikaczowi?
- Zgadza się.
- No tak, oczywiście - powiedziałem. - Załóżmy się, że mieli środki łączności, przy pomocy których Serge był natychmiast powiadamiany o tym, co się z nami dzieje?

- Tak.
- A on sam, niewątpliwie, zrozumiał, co zaplanowała firma Smolanchika o wiele wcześniej niż my?

Gloria wzruszyła ramionami i skinęła głową.

- Tak było. Mogę jeszcze dodać, że jego ludzie dokumentowali wszystko. W ten sposób Serge miał dowody. Zdążył uprzedzić niektórych ludzi, którzy mieli konta i inne rzeczy w centralnym cyberze bankowym. Zarobił, rzecz jasna, na tym sporo.

- A ja straciłem swoje ciało - powiedziałem ponuro.
- Nie mógł cię uprzedzić. Nie miał na to czasu. A zresztą - jaki to miało sens? I tak nie dałoby się już uratować twego ciała. Gdybyś nie wyniósł go na ulicę, to zajęliby się nim przekupieni gliniarze.

- Pewnie tak - zgodziłem się. - Pewnie masz rację.

Ogarniała mnie z szybkości fali tsunami całkowita, pełna apatia. Pustka i obojętność. Nie wiem, pewnie właśnie będąc w takim stanie ludzie decydują się na samobójstwa. Ciekawe, jak

to się robi w cyberze? Przychodzą pod wykroty i rzucają się w nie?

Chcąc choć trochę otrząsnąć się z rozpaczki powiedziałem:

- Tak więc dlatego nie szukałaś przenikacza, który wpadł w szczelinę, mimo, że pewnie kosztuje fortunę.

- Tak. Zabrali go chłopcy Serge'a. Oni już wykonali swoje zadanie i czekali tylko aż się otworzą przejścia. Wcześniej czy później Smolanchik musiał je otworzyć.

- Słuchaj - powiedziałem - a nie mógłby ten twój koleś pożyczyć mi jeszcze raz przenikacza? Zapłacę. Oddam mu wszystkie pieniądze z odszkodowania.

Gloria uśmiechnęła się.

- Nic z tego nie będzie. Nic. Nie znajdziesz przy jego pomocy Smolanchika.

- Dlaczego? - zdziwiłem się.

- Dlatego, że taki człowiek już nie istnieje. Nie znajdzie go nikt i nigdy. To samo stanie się w najbliższym czasie z firmą, w której pracował. Zniknie i nie pozostaną po niej nawet wspomnienia.

- Jak to?

- Wszyscy, którzy mieli w jakiś sposób do czynienia z zajęciem centralnego bankowego cybera, zginą w wyniku różnych nieszczęśliwych wypadków. A szeregowi pracownicy znajdą dla siebie inne zajęcie, ponieważ firma w najbliższym czasie splajtuje.

- Sprawią to klienci centralnego bankowego cybera?

- Prawie trafiłeś. Widzisz, przyjęło się uważać, że w świecie wielkiego biznesu nie ma reguł. Gliniarze nie mają na niego żadnego haka. Bogacze zawsze mogą puścić w ruch pieniądze i wykupić się z każdej opresji. Jednakże istnieje pewna rada, w skład której wchodzi szefowie najbogatszych firm. Jeśli

powstaje niebezpieczeństwo, że ktoś poprzez swoje działania może im zaszkodzić, to podejmują określone decyzje i zaczynają działać po swojemu. Dokładnie mówiąc - firma, w której pracował Smolanchik przekroczyła pewną granicę i zaczęła zagrażać wszystkim, absolutnie wszystkim. Jeśli jej szefom udałoby się ta akcja, to z czasem usiłowałiby wykręcić coś podobnego. Gdyby Serge dysponował tylko domysłami, to może ta firma mogłaby się jeszcze jakoś wykręcić, ale Serge miał dowody. Dlatego rada zdecydowała, że tę firmę należy zniszczyć. I tak się stanie. Niedługo. Smolanchik zaś dostał już za swoje.

- A co ja mam robić? - zapytałem.

Gloria roześmiała się.

- Żyć, po prostu żyć. Wiem, chciałeś wykorzystać otrzymane z odszkodowania pieniądze, żeby znaleźć Smolanchika i zabić go. Już nie musisz. Jesteś pomszczony. Dlatego nie zostało ci nic innego jak żyć.

- Jak?

- Tak jak żyje reszta. Zrozum, straciłeś swoje ciało, ale otrzymałeś w zamian nieśmiertelność. O ile, oczywiście, będziesz na tyle sprawny i mocny, żeby wyżyć w świecie cyberów.

Zakląłem i zapytałem:

- Dobra, ale jak mam wyżyć w tym świecie? Komiwojażerów tu nie potrzebują. A to jedyna rzecz, jaką potrafię robić. Zostaje mi więc tylko wielki świat. Będę musiał żyć w sztucznym ciele.

- Niekoniecznie. Masz swoje pieniądze. Otwórz swój interes. Wiesz, co powiedział Serge?

- No?

- Powiedział, że wyjdzie z ciebie niezły prywatny detektyw.

Jeśli nauczysz się pewnych rzeczy i nabierzesz doświadczenia. On sam kiedyś zaczynał właśnie od prywatnej agencji detektywistycznej, której był jedynym pracownikiem. Zobacz, w jakim cyberze są prywatni detektywi?

- Nie.

- Dlaczego nie miałbyś zostać prywatnym detektywem cybera-12? Pomyśl.

Pokręciłem głową.

A właściwie dlaczego miałbym nie rozważyć tego pomysłu?

I w ogóle - prościej siedzieć w „Blood Mary” i oddawać się rozpaczy. Albo spróbować przyzwycząić się do sztucznego ciała. Trudniej - spróbować ułożyć wszystko od nowa. Szczególnie tu, w świecie cyberów.

Może jednak nie tylko straciłem, ale i coś zyskałem?

Jeśli będę miał szczęście, jeśli się nie poddam, to mogę przeżyć bardzo-bardzo długo. A nawet w końcu stać się czymś więcej niż człowiek. Albo, trafić do wykrotu. Co jest bardziej prawdopodobne. Ale można zaryzykować. Przynajmniej jedną próbę mogę uczynić. Mam nawet pieniądze na początek. Wielu ludzi zaczynało z gorszego pułapu.

Poza tym, jeśli uda mi się tu wyżyć, to na pewno zobaczą, co się stanie z naszym światem za sto, dwieście, tysiąc lat. Czy dojdzie do osławionej wojny między światem cyberów i światem ludzi, do wojny przepowiadanej przez Serge'a?

Może te dwa światy mają też trzecie wyjście? Współpraca. Symbioza. Współistnienie.

A właśnie, o wykrocie, żeby to cholera. Nie ma co o nim myśleć. W końcu, w wielkim świecie wszystko się kończy też tym samym. Wykrotem. A tu, jeśli mi się uda, mogę randkę z nim odsunąć, i to o tyle, ile sam zechcę.

- Decyduj się - powiedziała Gloria. - Ten cyber potrzebuje

prywatnego detektywa. Nawiasem mówiąc, Serge obiecał, że od czasu do czasu podeśle ci klientów z innych cyberów.

Może rzeczywiście trzeba tak zrobić?

Smolanchika już nie dorwę. Ale jestem jeszcze coś komuś winien. Złodziej mojego ciała musi za to zapłacić... a wcześniej czy później ktoś podobny do Smolanchika, stanie mi na drodze, i jeśli będą mógł go powstrzymać, to spełnię daną sobie samemu obietnicę. Wcześniej czy później tak się stanie.

Jednakże, jeśli mam godnie spotkać nowego Smolanchika, powinienem się sam wiele nauczyć, nabyć doświadczenia...

- Myśl - powiedziała Gloria. - Myśl.

Chyba domyślała się, niemal wiedziała, co postanowię. Dlatego chciałem się jeszcze trochę zastanowić. Miałem sporo czasu, nikt mnie nie naglił, nikt nie popędzał. Zacząłem węszyć.

Zapachniał jakiś alkohol. Ledwo zapach pojawił się natychmiast zniknął. Ale jego pojawienie się było ostrzeżeniem. Mogło to, na przykład, oznaczać, że w programie sterującym parkiem miała miejsce mikroskopijna awaria. Natychmiast została naprawiona, ale...

- No dobrze - odezwałem się. - Opowiadaj wszystko, do końca. Wszyściutko.

- Co właściwie?

Gloria miała zupełnie niewinną minkę. Nawet zaczęła niewinnie mrugać oczkami, niczym malutka dziewczynka, która zwinęła z kredensu cukierki i teraz usiłuje przekonać otoczenie, że nie było jej nawet w pobliżu.

- Opowiadaj, opowiadaj - powiedziałem. - Niech się dowiem. Coś za bardzo podczas całej tej bieganiny sprzyjało mi szczęście. Nienormalnie i permanentnie. Narzuca się wniosek, że ktoś mi sprzyjał. Kto?

- Bóg z tobą, człowieku - odezwała się Gloria. - Co też ci przychodzi do głowy... Nikt ci nie pomagał, nikt. Rozumiesz?

- A jednak?

Popatrzyłem na nią podejrzliwie i nagle przyszła mi do głowy pewna bardzo śmieszna myśl. Jak na złość Gloria w tym momencie kręciła przecząco głową i powtórzyła:

- Nikt, zupełnie nikt.

Zrobiło mi się zimno, kiedy pomyślałem jaka może być odpowiedź, ale powiedziałem:

- Tylko nie zapewnij mnie, że w ogóle nigdy nie byłem człowiekiem, że jestem po prostu stworzonym przez kogoś programem, stworzonym umyślnie po to, by zdobyć dowody przestępczych zamiarów firmy, dla której pracował Smolanchik.

Gloria zdziwiła się szczerze. Rzuciła mi oszołomione spojrzenie, zachichotała, a potem, pokręciwszy przy skroni palcem oświadczyła:

- Jesteś nienormalnym paranoikiem. Pełnym. Skończonym. Jaki z ciebie, do licha, program? Zawsze byłeś człowiekiem. Oczywiście, pomogliśmy ci, ale niewiele. Odrobinę. Ocalałeś i pomogłeś rozplatać aferę, przede wszystkim dzięki cechom swej osobowości. Właśnie dlatego proponuję ci, żebyś pracował właśnie tu, w cyberze-12. Gdy nabierzesz doświadczenia i wiedzy, Serge zaproponuje ci przejście do swojej firmy.

Odetchnąłem z ulgą. Poczułem, jak z serca spada mi ogromny kamień.

- Wtedy będziemy pracowali razem w jednej firmie - powiedziałem.

- Teraz też się mylisz - odparła Gloria. - Jestem naprawdę dziennikarką, a Serge to tylko fuchy. Potrzebuję pieniędzy,

dużo pieniędzy, żeby nie tylko żyć w świecie cyberów, ale i utrzymywać swoje ciało.

Coś mi się nie spodobało w ostatnim zdaniu Glorii.

- Ach tak? - zapytałem ostrożnie. - A co się stało z twoim ciałem?

Przez jakiś czas Gloria milczała, widocznie zastanawiała się, czy warto mi zaufać, potem przyznała się:

- Mam je. Tylko... jak by to powiedzieć? Krótko mówiąc - jest sparaliżowane.

- Ale przecież nie wyglądasz na sparaliżowaną.

- Oczywiście. Trzy lata temu, może pamiętasz, był wybuch... portalu. Jakiś maniak sporządził własnej roboty bombę i przy jej pomocy uszkodził portal należący do pewnej firmy. Tak więc, stało się to pół godziny po tym, jak skorzystałam z niego. Jeśli kiedyś wrócę do wielkiego świata, to trafię do całkowicie sparaliżowanego ciała.

- Nic nie można z tym zrobić?

- Na razie - nie. Ale mam nadzieję, że z czasem lekarze coś wymyślą... jakiś medyczny geniusz... Wtedy będą mi potrzebne pieniądze. Pewnie dużo pieniędzy.

- Innymi słowy, żeby trafić do wielkiego świata musisz korzystać z cudzych ciał?

- Tak. Przecież wiesz, że są ludzie, którzy wynajmują je za odpowiednie pieniądze. Ale staram się korzystać z tego możliwie rzadko.

Milczeliśmy chwilę. Potem powiedziałem:

- Ach, to dlatego powiedziałaś, że możesz się ze mną kochać tylko w wielkim świecie. Bardzo wygodna wymówka. Szczególnie, że do niczego nie zobowiązuje.

- Tak. Dokładnie tak - powiedziała Gloria. - Ale... Zawsze mogę zrobić wyjątek, dla kogoś kogo... z czasem... być może...

Rzuciłem na nią zdziwione spojrzenie. Gloria roześmiała się i połaskotała mnie za uchem. Leciutko. A potem powiedziała:

- Poczekaj. Jakiś czas. Może już niedługo...

Skinąłem głową.

Cóż, znowu mi przyjdzie czekać. Ale akurat na to mogę sobie teraz pozwolić. W końcu mam przed sobą niemal wieczność.

KONIEC